



Dzieciństwo razem z czołową  
rodzinstwa spędziła na ulicy  
i w rodzinach zastępczych.  
Dziś pełni wysokie funkcje rządowe.  
Nowojorska prawniczka odpowiada  
za walkę o przetrwanie i kształtowanie  
rodzinstwa i o zmianę na świecie.

# *Życie pisane na piasku*

Od bezdomności, głodu i przemocy do zapierającej  
kariery politycznej – porażająco szczera, chwytająca za gardło  
historia walki i niezłomności wobec wszelkich przeciwności losu

**REGINA CALCATERRA**

*Moja  
historia*



*Życie pisane  
na piasku*

REGINA CALCATERRA

Przekład  
JULIA WOLIN



## *Od Autorki*

*Życie pisane na piasku* to prawdziwa historia życia mojego i mojego rodzeństwa, od dzieciństwa aż po dziś. Zgodzili się na publikację tej książki i na użycie na jej kartach ich prawdziwych imion. Jednak imiona i nazwiska niektórych bohaterów zostały zmienione, żeby ochronić ich anonimowość. Mam na myśli między innymi, ale nie tylko, moich byłych rodziców zastępczych oraz krewnych, tych żyjących i tych zmarłych. Warto zaznaczyć przede wszystkim zmianę imienia i nazwiska mojego biologicznego ojca, którego opisuję pod pseudonimem „Paul Accerbi”. Dla ułatwienia moi różni opiekunowie socjalni zostali sprowadzeni zaledwie do kilku osób i są również przedstawieni pod pseudonimami. Zmieniłam także nazwę miasteczka w Idaho, w którym mieszkało moje młodsze rodzeństwo.

## *Prolog*

Od jedenastego września nie widziałam Nowego Jorku tak spokojnego. Dolny Manhattan wyglądał jak opuszczone miasto, nie latały samoloty, po East River nie pływały łodzie, w tunelach metra nie dudniły pociągi. Wall Street to na co dzień najludniejsza ulica na świecie, ale teraz, kiedy stałam na lądowisku dla helikopterów, byłam jedynym człowiekiem w okolicy.

Po drodze z Long Island na Manhattan nie dostrzegłam żadnego ruchu i początkowo sama czekałam w miejscu, z którego miał wystartować helikopter w pierwszy oficjalny lot po huraganie Sandy. Wkrótce pojawili się pozostali i zaczęli wysiadać z samochodów: gubernator stanu Nowy Jork, Andrew Cuomo, dwoje senatorów z Nowego Jorku, Chuck Schumer i Kirsten Gillibrand, wyżsi urzędnicy z gubernatorstwa oraz moi koledzy z hrabstw Nassau i Westchester. Przywitaliśmy się poważnie, ale serdecznie i poczyniliśmy uwagę, że tragedie nadają osobisty ton oficjalnym spotkaniom. Ubrani w dżinsy, wiatrówki i wysokie buty, wymienialiśmy informacje o stratach. Nasze intencje były jasne: musieliśmy uporządkować tę okolicę po zniszczeniach dokonanych przez Sandy.

Za chwilę przez mgłę przedarły się trzy wojskowe helikoptery, pewne i zwinne niczym orły. Na miejscu była już prasa i ochrona, więc w kilkadziesiąt osób staliśmy cicho, gdy śmigła smagały nasze gumowane kurtki. Śmigłowce wylądowały. Poczułam łączącą nas zbiorową świadomość, że nawet ryk silników nie jest w stanie przebić się przez ciężar tego poranka. To jedna z najdziwniejszych chwil w moim życiu: cisza była głośniejsza niż hałas.

Jako zastępczyni starosty hrabstwa Suffolk czekałam na swoją kolej do wejścia na pokład helikoptera i przypadkiem

dostało mi się miejsce z dobrym widokiem na Long Island, dokąd poleciliśmy, oszacowawszy wcześniej zniszczenia w Nowym Jorku. Zgodnie z instrukcjami wojskowych pilotów włożyliśmy słuchawki. Kiedy helikopter odleciał w stronę Breezy Point w Queens, gdzie w czasie huraganu Sandy ogień strawił całe osiedla, znów zapadła cisza. Spłonęły szeregi domów. Rodziny straciły wszystko. Czym innym było słuchanie raportów o mieszkańcach Queens, którzy próbują uciec, a czym innym ujrzenie na własne oczy zniszczonych domów i zrujnowanych ludzi. Niewyobrażalna chwila.

Serce zabiło mi mocniej, gdy zbliżyliśmy się do Suffolk, i przygotowywałam się do przedstawienia grupie urzędników, których darzyłam wielkim szacunkiem, raportu na temat szkód w moim hrabstwie.

– Które miasto w Suffolk ucierpiało najbardziej? – zapytał jeden z nich.

Szybko wcisnęłam przycisk na słuchawkach, który uruchamiał mikrofon, tak jak pokazał nam pilot.

– Lindenhurst – odparłam.

Pokiwali głowami i odwrócili się z powrotem do okien, tak jakby rozumieli, że to miejsce ma dla mnie szczególne znaczenie: tutaj się urodziłam. Tutaj także, trzy dekady później, wiele się dowiedziałam o swoich korzeniach od rodziny, o której istnieniu nawet nie wiedziałam. Moja matka zostawiła za sobą zgliszcza, tak samo jak matka natura, która spustoszyła moją rodzinną wyspę. Przez lata hrabstwo Suffolk przywodziło mi na myśl tylko ból i mrok dzieciennych lat, które czwórka mojego rodzeństwa i ja przeżyliśmy, nie znając naszych ojców i pozostając pod opieką nieodpowiedzialnej matki. Teraz, kiedy patrzyłam na nie z góry, wzbierała we mnie miłość do tego miejsca. To, co tam przeżyłam, ukształtowało mnie. Byłam głęboko poruszona tym, że przebywam teraz w górze jako liderka grupy oceniającej zniszczenia po huraganie. Z tym miejscem wiązała się nie tylko miłość do rodzeństwa. Tu był nasz dom, który zrobił wszystko, żeby nas uchronić przed nieprzewidywalnym. Nigdy sobie nie

wyobrażałam, że pewnego dnia będę mogła się odwzajemnić tym samym.

Do pracy urzędnika publicznego skłonił mnie podziw, jakim darzyłam zadanie rządu: organu, który decyduje, kto jakie otrzymuje wsparcie i w jakiej wysokości. Dzieciństwo na Long Island nauczyło mnie na własnym przykładzie, w jakim stopniu ludzie u władzy mogą wpływać na życie innych. Dorastając, zmagalam się z trudnościami, które poddałyby próbie siłę i wytrzymałość każdego dziecka. Jednak, jakimś cudem, dzięki optymistycznemu nastawieniu i determinacji, moje rodzeństwo i ja zawsze znajdowaliśmy kogoś, kto zechciał nam pomóc.

Ekipa rezolutnych bohaterów tej książki to moja starsza siostra Camille, która na zawsze pozostanie najbliższą mi przyjaciółką, oraz trójka naszego rodzeństwa: Cherie, najstarsza, która jako nastolatka wyszła za mąż i w ten sposób zdołała uciec, Norman, czwarty w kolejności, urodzony niedługo po mnie, i najmłodsza siostrzyczka, Rosie. Nasza dziarska gromadka bezdomnych dzieciaków wałęsających się po plażowych miejscowościach wymykała się czasem na Long Island Sound albo nad brzeg Atlantyku, w te dzikie, wietrzne miejsca, gdzie nie miało znaczenia, kim jesteśmy, co mamy na sobie i jak biednie wyglądamy. Gołymi rękami oraz używając muszli jako łopatek, budowaliśmy nad wodą zamki albo wypisywaliśmy na piasku nasze imiona.

*Cherie Camille Regina Norman Rosie*

Potem każde z nich brałoby w serduszko. Uciekaliśmy z piskiem, kiedy ryczące fale wtaczały się na brzeg i w odgórnie wyznaczonym rytmie cofały się, bezdusznie niweczając nasze dzieło. Wracaliśmy wtedy nad wodę i wypisywaliśmy je na nowo.

Nie wiedzieliśmy wówczas, że ten upór stanie się metaforą naszej przyszłości. Nie istniały osiągnięcia dokonane bez wysiłku, nie byłoby rozwoju bez bezwarunkowej miłości. Oto historia nadziei, dzięki której społeczeństwo wychowało dziecko, a także dzieje przyszłości tego dziecka, które mogło zrewanżować się nadzieją.



## *Ślady po komarach*

*Hrabstwo Suffolk, Long Island, Nowy Jork lato 1980*

Mieszkamy pomiędzy cieniami rzuconymi przez finansowane kokainą, imponujące rezydencje Hamptons, a pełnym życia, tańczącym w rytm muzyki disco Nowym Jorkiem. Piosenki takie jak *Whip it* Devo czy *Bad girls* Donny Summer ryczą z głośników radia samochodowego, ustawionego na stację WABC Musicradio 77 AM. Benzyna jest etylizowana i powietrze cuchnie.

Na Long Island nie ma komunikacji miejskiej i żeby się dostać z miejsca na miejsce, trzeba mieć albo samochód, albo dobre buty. Nasze buty nie są najlepsze.

Ale samochód jest jeszcze gorszy.

Tłuste ramię matki spoczywa na oknie zardzewiałej, żłopiącej benzynę impali, którą można kupić za siedemdziesiąt pięć dolarów na złomowisku. Jej rozwichrzone włosy fruwać po samochodzie, a ona strzepuje papierosa prosto w lepkie powietrze lipcowego poranka. Popiół jak bumerang wpada z powrotem w moje okno i grozi, że wfrunie mi do oczu albo do ust, kiedy łapczywie chwytam powietrze. Zaciskam oczy i sznuruję usta, bo dobrze wiem, że o takich rzeczach nie mówi się głośno.

Moja siedmioletnia siostrzyczka Rosie, brat Norman, który co prawda ma dwanaście lat, ale kiedy wkradamy się do kina, zawsze udaje mu się wyglądać na ośmiolatka, oraz ja, Regina Marie Calcaterra, lat trzynaście (jestem przyzwyczajona do podawania swoich danych obcym osobom, na przykład pracownikom społecznym czy policji), siedzimy na tylnym siedzeniu ściśnięci jak sardynki. Jak zwykle samochód ma łysie opony i potłuczone lusterka, a z silnika wycieka olej. Gdybym



podniosła dywaniki, przez dziury w podłodze zobaczyłabym popękaną nawierzchnię szosy.

Rzadko jeździmy głównymi drogami jak Southern State, Sunrise Highway czy Long Island Expressway. Cookie – tak nazywamy naszą mamę – uważa, że boczne drogi są bezpieczniejsze, bo unika policji. Ma na swoim koncie więcej listów gończych niż dzieci. A nas jest pięcioro.

Zarzuty? Od czego by tu zacząć: jest poszukiwana za jazdę po alkoholu, bez ważnego prawa jazdy oraz niezarejestrowanym autem z kradzionymi tablicami. Jest też winna pieniądze właścicielom domów, urzędowi oraz sklepom monopolowym, w sumie setki dolarów. Okradała swoich pracodawców, jeśli raz na jakiś czas udawało jej się znaleźć pracę barmanki. Cięży też na niej odpowiedzialność za nasze nieobecności w szkole. A gdyby karalne było posyłanie dzieci do szkoły z włosami rojącymi się od wszy, to też można by dodać do listy.

W samochodzie nie rozmawiamy. Nie z wyboru, po prostu impala ma zepsuty tłumik i tak ryczy, że nic nie słychać. Wstydzę się cuchnących wyziewów, więc kulę się na siedzeniu. Widzę, że moja najstarsza siostra, Camille, siedząca z przodu, obok Cookie, robi to samo. Jeśli jednak matka zwęszy nasze uprzedzenia, czekają nas paskudne sińce. Jedyna dobra strona jest taka, że każde z nas ma wygodne miejsce, nie tłoczymy się jedno na drugim jak przez całe lata. To dlatego, że nasza najstarsza siostra, Cherie, w wieku siedemnastu lat zdołała uciec: wyszła za mąż i spodziewa się dziecka.

Na tylnym siedzeniu Rosie, Norman i ja zajmujemy się drapaniem po kościstych, pokąsanych przez robaki nogach i porównywaniem, kto ma najwięcej bąbli i największe strupy. Pokazujemy je po kolei, a Rosie liczy na palcach. Nigdy nie ma zwycięzcy, wszyscy jesteśmy mocno pogryzieni.

Żadne z nas nie śmie spytać, dokąd jedziemy. W bagażniku, w workach na śmieci są wszystkie nasze rzeczy, więc wiemy, że jedziemy do nowego domu. Nasza najbliższa przyszłość może wyglądać różnie: przyczepa, schronisko dla bezdomnych, parking

na tyłach supermarketu i kilka tygodni w samochodzie, piwnica w domu nowego chłopaka Cookie albo strych, może nawet, choć to marzenie ściętej głowy, mieszkanie albo dom. Wiemy, że lepiej nie oczekiwać za wiele. Dla nas woda bieżąca i kilka starych materacy to już dobre życie. Radziliśmy sobie w gorszych warunkach.

Większość dziewczynek w moim wieku idealizuje swoje szesnastoletnie siostry, ale Camille jest moją partnerką w kierowaniu dziełem przetrwania. To jedyna całkowicie przejrzysta osoba w moim życiu i za bardzo potrzebujemy siebie nawzajem, żeby pozwolić sobie na siostrzaną mistykę. Przez lata nauczyliśmy się przystosowywać nowe miejsce do życia tak, żeby choć trochę kojarzyło się z domem, mimo że nigdy nie wiemy, jak długo tam zostaniemy. Po prostu łatwiej nam zasnąć ze świadomością, że młodsze dzieciaki śpią bezpiecznie. Razem. Bez Cookie. Jeśli udawało nam się to tak załatwić.

Cookie przerywa naszą milczącą grę domysłów, zatrzymując się na półokrągłym podejździe. Żwir zgrzyta pod oponami. Naszym oczom ukazuje się szary, poważnie zapuszczony piętrowy dom kryty gontem i otoczony śmieciami, kurzem i chwastami. Nie ma krzaków, kwiatów ani innej zieleni, ale to wywołuje dochodzący z moich ust pisk radości:

– Nie ma trawy!

Rosie i Norman uśmiechają się i kiwają głowami, bo rozumieją, że to oznacza brak pracy zmianowej, którą Cookie nazywa „strzyżeniem trawnika”. Musimy do niej używać starych nożyc do żywopłotu i ciąć trawę, przemieszczając się po niej na kolanach. Camille i ja zwykle bierzemy większość na siebie, żeby uchronić maluchy przed pęcherzami i bólem nadgarstków.

Cookie gasi silnik i kaszle suchym, skrzeczącym kaszlem palacza.

– Jesteśmy – ogłasza. – Dziwki i szmaty rozpakowują auto. – To powiedziawszy, wydaje z siebie głośny prostacki rechot, który kojarzy mi się z zepsutym karabinem maszynowym. Jak zwykle tylko ona uważa, że znieważanie swoich córek jest zabawne.

Spokojnie patrzę na dom. To dom. Nasz dom. Nawet jeśli

tylko na kilka dni, czuję ulgę, że nie zostaniemy rozdzieleni.

W drzwiach auta nie ma wewnętrznych klamek, więc wysiadanie z samochodu zawsze jest krępujące. Odczytuję sygnał, kiedy Cookie wystawia prawą rękę przez okno i podnosi metalową zewnętrzną klamkę, a lewą ręką pcha od wewnątrz. Moje zadanie to wyjść z samochodu i pociągnąć drzwi do siebie, szczególnie kiedy jest zbyt pijana, żeby samej je otworzyć. Zwykle kończy się to tak, że upadam na kościsty tyłek, kiedy ciężkie stalowe drzwi nacierają na mnie pod wpływem siły matki. Szybko podrywam się na nogi, wyprostowana jak Nadia Comaneci na igrzyskach w Montrealu i ląduję na prostych nogach, z ramionami w górze. Patrzę na trójkę sędziów, którzy ocenią mój występ. Jak zawsze Rosie i Norman się chichrają, a Camille krzywi się, mówiąc bez słów: „Znam ten ból”. Ma tak samo chudy tyłek jak ja.

Ponieważ mój występ nie jest zbyt oryginalny, oceny są zawsze takie same. Rosie cechuje największa szczodrość, bo pokazuje dziesięć wyprostowanych palców, Norman zawsze daje piątkę, a Camille pokazuje dwa kciuki, co w jej przypadku równa się dziesiątce.

Cookie zwykle parska w moją stronę, ale nie tym razem.

Tym razem jej się spieszy. Gramoli się zza kierownicy, a gdy schodzi z fotela, samochód się podnosi. Wszyscy obserwujemy, jak ta mierzająca sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i nosząca rozmiar 46 kobieta obchodzi maskę samochodu i rusza w stronę szarego domu, z sześciopakiem piwa Schiltz pod pachą. Kładę ręce na biodrach i rozglądam się, szczęśliwa, że nie widać sąsiadów.

Przepocony biały podkoszulek Hanes eksponuje jej gigantyczne piersi w rozmiarze poczwórne D. Ogromne niczym arbuzy ze wszystkich sił usiłują utrzymać się w miseczce stanika. Kiedy na nią patrzę, mam ochotę zakryć maluchom oczy, ale prawda jest taka, że widok prywatnych sfer matki nie jest szokujący. Co więcej, Norman i Rosie aż się trzęsą od tłumionego chichotu. Jej wizerunek dopełniają stare, obcięte džinsy, które powinny być o piętnaście centymetrów dłuższe i szersze w udach. Zagląda do wnętrza domu przez okno, a potem popycha drzwi

wejściowe, które najwyraźniej nie mają zamka. Odwraca się gwałtownie i macha do nas, co oznacza, że mamy szybko brać się do rozładowywania samochodu.

Młodsze rodzeństwo pozostaje na tylnym siedzeniu, a Camille przechyla się w bok z fotela pasażera, zagląda pod kierownicę i łapie kluczyki, które Cookie zostawiła w stacyjce. Patrzy na mnie i już rozumiemy, co to oznacza. Jak zwykle Cookie nie planuje zostać w nowym domu na dłużej.

Przystępujemy do akcji. Im szybciej rozładujemy auto, tym szybciej nasza matka wyruszy na kolejną popijawę. Pracujemy szybko, przy czym Cookie musi być przekonana, że naszą motywacją jest urządzenie domu. Stukłaby nas do nieprzytomności, gdyby wiedziała, z jakim entuzjazmem się jej pozbywamy.

Przez tylne okno dają znaki Normanowi, który jest przyzwyczajony do mojej choreografii z okazji Dnia Przeprowadzki.

– Zabierz ją do środka – mówię mu. Pomaga Rosie wygramolić się z auta. Brązowe włosy ostrzyżone na pazia ma nieuczesane, a twarz spokojną. Camille i ja ciężko pracujemy nad wychowaniem ciekawskiego, beztroskiego dwunastolatka. Spod krzywo obciętej grzywki ledwie widać słodkie, skośne brązowe oczy, więc składam mu milczącą obietnicę: „Postaram się zdobyć nowe nożyczki”. Od czasu do czasu tłumaczę sobie, że skoro muszę wychowywać dziecko zaledwie półtora roku młodsze ode mnie, mogę sobie pozwolić na ćwiczenie na nim zdolności fryzjerskich, ale fryzura na Dorothy Hamill na prawie nastolatku to okrucieństwo.

Norm idzie do domu z Rosie, która wciąż ma na sobie różową pizamę i idzie za nim krok w krok. Na chwilę przestaję rozładowywać samochód i patrzę na nią, na mały płomyczek życia, płasający na bosaka na tle szarości. Jej niewinność rozrywa mi serce.

Kiedy są już w środku, Camille obchodzi samochód z kluczykami w ręce, otwiera bagażnik, a potem mi je przekazuje,

żeby mogła je włożyć z powrotem do stacyjki.

Pilnujemy przebiegu procesu wprowadzania się, żeby nie wydarzyło się nic, co mogłoby zatrzymać naszą matkę na dłużej niż to absolutnie konieczne. Pewnie właśnie pije drinka, który może ją oszołomić na tyle, że nie będzie wiedziała, gdzie są kluczyki.

Bagażnik pełen jest zielonych worków na śmieci, które pakowaliśmy ja, Camille i dzieci: jest worek z naszymi ubraniami, niemal pusty z przyborami toaletowymi nas wszystkich (pół kostki mydła, stara szczoteczka do zębów, którą się dzielimy, butelka wody utlenionej i tępa, zardzewiała żyletka), torba pełna starych ręczników i worek z jedzeniem, które zabraliśmy z poprzedniego miejsca zamieszkania. Mamy jedną zasadę: każdy rozpakowuje tę torbę, którą trzyma w ręce. W ten sposób nie kłócimy się, kto rozpakowuje ubrania Cookie. Wiem, że ja mam worek z naszymi niezbędnikami, których pilnuję w czasie podróży: ocet, musztarda i keczup. Są tam też inne ważne rzeczy jak kawa, mąka, cukier i mleko w proszku. Po drugiej stronie bagażnika czuję łup Camille: cuchnie zatęchłymi papierosami. Camille krzywi się z rozpaczą.

– Znalezione, niekradzione – mówię jej. – Ja mam kuchnię, ty masz Cookie. Po prostu się ciesz, że ciebie lubi bardziej.

Nigdy nie było wątpliwości, że Cookie woli moje starsze siostry niż mnie. Ponieważ wszyscy mamy innych ojców, nasze nazwiska są równie malownicze jak imiona. Cherie miała najwięcej szczęścia. Dostała imię na cześć piosenki *Sherry* zespołu Four Seasons, która była na pierwszym miejscu listy „Billboardu” w 1962 roku, gdy przysłała na świat. (Cookie znalazła gdzieś francuską pisownię, „Cherie”, którą uznała za bardziej wyrafinowaną. Miało jej to pomóc budować image). Drugą córkę nazwała swoim imieniem, Camille. Z zachwytem powtarza, że mnie nazwała Regina, bo to oznacza „monarchię” i okazało się, że miała rację, bo okazałam się pieprzoną księżniczką. Norman dostał imię na cześć swojego ojca, a Roseanne na cześć naszej prababci, Rosalii KunaGundy Maskewicz, której żadne z nas nie poznało.

Razem z Camille wnosimy worki do środka.

– Nie wierzę! – woła Camille. – Tu są meble!

Rosie wpakowała się na kanapę naprzeciwko okna w wykuszu i leży ze stopami wyciągniętymi jak najdalej, naśladując pozycję Cookie, które siedzi na kanapie po drugiej stronie pokoju.

– Jest nawet telewizor! – krzyczy Rosie i pokazuje duży odbiornik w kącie.

– Wow! – mówię, kucam przy niej i owijam sobie jej mysi ogonek na palec. – Próbowalaś go włączyć?

– Tak! Działa!

Uśmiecham się i ryzykuję rzut oka na Cookie. Wygląda na zadowoloną z siebie. Pali papierosa, a prawą rękę przerwiała sobie przez brzuch. Mogłaby kandydować do tytułu matki roku!

– Pokój przy kuchni jest mój – oznajmia w przestrzeń, a potem macha papierosem w stronę umiejscowionych za nią schodów. – Wy się rozłóżcie na górze.

Na górze są trzy pokoje. W tym po lewej jest łóżeczko dziecięce i stare, drewniane biurko. Żadna szuflada nie ma gałki, a rolę brakującej nogi odgrywa miotła. Pokój naprzeciwko ma dwoje okien wychodzących na ogródek i dobudówkę, którą zamówiła sobie Cookie. Jest tu materac i stelaż ze sprężynami. Oceniam, że to świetne rozwiązanie, bo mogą tu spać Norman i Rosie. Jedno na materacu, a drugie na sprężynach, tak jakby były dwa łóżka.

Chociaż nie ma poduszek ani koców, to i tak wielki postęp od czasów spania we trójkę na tylnym siedzeniu auta albo w bagażniku, co też już przerobiliśmy. Zaglądam do wąskiego pokoju po prawej, z jednym oknem, w którym jest materac na sprężynach i prawdziwa metalowa rama łóżka. Głębiej widzę półkę na ubrania. To będzie pokój Camille. Jest najstarsza, zasługuje na prawdziwe łóżko.

Ja zajmę pokój z łóżeczkiem dziecięcym. Kładę swój worek na podłodze i grzebię w nim, żeby znaleźć moje figurki Jezusa. To sygnał, że ten pokój należy do mnie.

Kiedy odwracam się do drzwi, widzę biegnącego korytarzem Normana, który wpada do pokoju Camille i wygląda na szary, wysypany żwirem podjazd.

– Podoba ci się? – pytam go.  
– Czy mi się podoba? Jest fantastycznie! Mogę mieć ten pokój?  
– Nie, to pokój Camille. Ty i Rosie śpicie w tym z dwoma łózkami.

Biegnie tam, zagląda, odwraca się do mnie z uśmiechem i pędzi z powrotem na dół.

– Przygotuję wszystko, kiedy Cookie wyjdzie! – krzyczę za nim. – Wyjmij trouble, możecie pograć z Rosie, kiedy ja i Camille będziemy sprzątać.

Zastaję ją przy samochodzie, wyładowującą rzeczy Normana i Rosie.

– Cookie jest w swojej sypialni – szepczę.  
– Lepiej, żeby nie urwał jej się film.  
– Załatwione. Kazałam Normanowi rozłożyć trouble pod drzwiami.

– Genialnie! – Podskakująca na środku planszy kula i rozmowa dzieciaków – to wystarczy, żeby ją wykurzyć.

Mam zamiar przystąpić do prac na parterze, ale uświadamiam sobie, że jest już za późno, żeby Rosie chodziła w piżamie. Gra z Normanem w trouble na podłodze salonu, a ja klękam obok i zgarniam piaskowe pasma włosów z jej lekko spoconej buzi.

– *Mia bambina amore* – szepczę do niej. Mój mały skarbie. – Ubierzemy cię, jak tylko ona wyjdzie. – Przyciska głowę do mojej dłoni, żeby odwzajemnić czułości. Przez lata opracowaliśmy sposoby komunikacji pozawerbalnej i wymienialiśmy w ten sposób uczucia i sygnalizowaliśmy wzajemne zrozumienie tak samo jak dzikie lwy, które oglądaliśmy w National Geographic. Im mniej mówimy, tym mniejsza szansa, że nieświadomie rozwściczemy czymś matkę.

Camille i ja zamierzamy doprowadzić do porządku parter, bo tu będziemy spędzać najwięcej czasu. Ale co ważniejsze, aktualnie tu odpoczywa nasza matka. Im szybciej weźmiemy się do porządków, tym szybciej wyjdzie. Atakuję kuchnię, znajdującą się

tuż obok pokoju Cookie, a Camille bierze się do salonu.

– Pssst – syczy z drugiej strony domu. Wystawiam głowę zza drzwi kuchni, żeby na nią spojrzeć. – Pomożesz mi sprzątnąć jej pokój?

Kiwam głową i bezgłośnie poruszam ustami:

– Jak wyjdzie.

Biały stół z laminowanym blatem stoi w rogu pod ścianami, na których wiszą szafki. Okna wychodzą na zakurzony ogródek, ogrodzony metalową siatką. Wyjmuję ze zlewu nędzne talerze, miski i garnki, które zostawił poprzedni właściciel i tam natykam się na wrogów.

– Co się stało? – krzyczy Camille, słysząc brzęk naczyń. Rosie odwraca głowę w stronę kuchni.

– Nic. Camille, pomożesz mi załadować lodówkę? – Camille rozumie szyfr oznaczający obecność karaluchów. Już dawno temu opracowałyśmy ten schemat działania: jeśli w kuchni jest działająca lodówka z zamkniętymi drzwiami, wędruje do niej każde jedzenie, bez względu na to, czy potrzebuje chłodzenia, czy nie.

Jestem przyzwyczajona do mrówek, myszy, a nawet robaków, które, choć obrzydliwe, uciekają w popłochu, kiedy tylko zwęszą moją obecność. Ale nie karaluchy! Nie chodzi nawet o długie nogi i długie czułki, które też mnie brzydzą, ale najgorsze jest ich współdziałanie w grupie i akcje przeprowadzane w ciemności, kiedy atakują naszą żywność jak zgraja łupieżców.

Dołączam do pozostałych w salonie, akurat kiedy Cookie wyłania się z sypialni, ubrana w dżinsy Jordache, sandały Scholla i męski podkoszulek Hanes.

Cookie się nie myje, tylko maskuje smród alkoholu i papierosów toksyczną miksturą perfum Jontue i Jean Naté. Kiedy sunie przez pokój, szybko przeliczam składniki jej stroju: para dżinsów Jordache to tydzień gorącej wody. Sandały Scholla to osiem bochenków chleba, cztery pudełka makaronu, trzy paczki preparowanego ryżu oraz dwutygodniowy zapas mleka w proszku. Perfumy Jontue i Jean Naté prawie wystarczyłyby na pokrycie



kaucji za noc w areszcie, kiedy Cookie kazała mnie i Camille kraść w sklepie Wszystko za Pięć Dolarów.

Cookie burzy włosy, wydyma usta i przypomina nam, że powinniśmy być wdzięczni za matkę, która wystarała się o taki ładny dom dla nas.

– Muszę chlapnąć klinika, bo kac mnie męczy. Nakarmcie dzieci.

– Zawsze to robimy.

– Co?

Camille podnosi wzrok.

– Nakarmimy.

– Norman, jesteś tu mężczyzną.

Wywołany do tablicy Norman podrywa się i wychodzi za Cookie na zewnątrz. Rosie, Camille i ja idziemy za nim na ganek, akurat żeby zobaczyć, jak samochód ugina się pod ciężarem Cookie.

– Kiedy wróci? – pyta Norman.

Rosie ciągnie go za rękę.

– Na pewno zdążymy dokończyć grę.

Drzwi trzaskają za nimi, gdy znikają w środku. Camille i ja odwracamy się, żeby popatrzeć na chmurę pyłu, za którą cichnie ryk silnika.

I znika, ot tak.

## *Zamki z piasku*

*lato 1980*

Supeł w moim żołądku rozluźnia się, kiedy auto Cookie zjeżdża z podjazdu i kieruje się w stronę zatłoczonej Middle Country Road. Rosie i Norman wrócili do gry, a Camille odwraca się do mnie z przebiegłym uśmiechem.

– Jak myślisz, ile jej nie będzie tym razem? – szepczę.

– Zależy, ile ma pieniędzy – mówi Camille i wchodzi do domu. – I z kim się właśnie prowadzi.

W tradycyjnym domu dzieci są zdane na rodziców. W świecie Cookie jej dochód zależy od nas. Liczne dzieci, których się dochowała, umożliwiają jej pobieranie z opieki społecznej hrabstwa Suffolk zapomogi na czynsz, elektryczność i jedzenie. Wzbiera we mnie gniew, gdy zadaję sobie to samo co zwykle pytanie: jak mogą dawać jej tyle pieniędzy, nie sprawdzając, na co je wydaje.

Camille i ja uznajemy, że Cookie przeznaczyła pieniądze na czynsz na opłacenie pierwszego miesiąca tutaj i na depozyt, ale pewnie zabrała ze sobą równowartość ogrzewania i elektryczności. Włączam światło, żeby przekonać się, że elektryczność była tu od początku, więc wygląda na to, że właściciel nie wyłączył jej po wyprowadzce poprzedniego lokatora. Cookie musiała to sprawdzić, kiedy oglądała dom. A ponieważ w środku lata nie potrzebujemy ogrzewania, stwierdziła, że wystarczy nam tyle oleju, ile zostało w baku, jeśli będziemy brać tylko szybkie prysznic. Cookie uważa, że zasługuje na wydawanie pieniędzy przeznaczonych na ogrzewanie i elektryczność na swój alkohol. Jest przekonana, że świetnie nas urządziła.

Drzwi z siatką przeciw owadom trzaskają za mną, kiedy wchodzę za Camille do środka.

– Rosie, skarbie, chodź się ubrać.

Rosie podnosi się i pozwala mi się zaprowadzić na górę.

– Ja poszukam pieniędzy – krzyczy Camille z dołu.

Zatrzymuję się na schodach.

– Norm, pomóż jej.

Zeskakuje z kanapy i sięga pod poduszki, żeby poszukać zgubionego przez kogoś złota.

Pokazuję Rosie jej pokój na końcu korytarza. Ściągam materac ze sprężyn i tworzę dwa oddzielne łóżka.

– Będiesz spała na tym, dobrze? Normanowi pościelę na macie sprężynowej. Znajdę każdemu z was koc.

– Wystarczy ręcznik – zapewnia. Chciałabym móc z nią podyskutować, ale fakty są takie, że chyba nie mamy nic lepszego.

Staramy się nauczyć ją spania samej, bez Camille czy mnie, więc obdarzenie jej materacem, a nie mniej wygodnymi sprężynami powinno zwieńczyć wysiłki. Z jej worka na śmieci wyjmuję kombinezon z poliestru, w którym chodziłam, gdy byłam w jej wieku. Składa się z niebieskich spodenek z mankietami i błękitnej bluzeczki bez rękawów, ale zapinanej na guziki, doszytej do szortów. Trzymam go, a Rosie wchodzi do środka od góry. Zapinamy go na zmianę, jeden guzik ona, drugi ja. Potem zbieram jej włosy do tyłu, żeby ochłodzić twarz i związuję gumką, którą miałam na nadgarstku. Całuję ją w czoło i klepię po brzuszku.

– Idź pomóc Camille i Normanowi szukać pieniędzy. Ja za chwilę przyjdę.

Długi kucyk Rosie podskakuje w rytm jej susów. Brud pod kolanami i jej czarne stopy przyprawiają mnie o dreszcz. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio którekolwiek z nas kąpało się w prawdziwej wannie. (Umywalki na stacji benzynowej się nie liczą). Rosie znika za rogiem i zbiega po schodach, żeby przyłączyć się do polowania na przydział obiadowy. Składam jej piżamę i kładę na łóżku na później, a potem obchodzę pokoje i otwieram okna, żeby na piętrze zrobiło się chłodniej. Zdaję sobie

sprawę, że jak dobrze pójdzie, wieczorem coś zjemy i pójdziemy spać w łózkach!

Obydwie z Camille mamy po metr pięćdziesiąt siedem wzrostu i jesteśmy szczupłe. Jej gęste brązowe włosy kręcą się od upału, okalając okrągłą twarz i migdałowe oczy.

– Zobacz, co znalazłam w jednym ze staników Cookie! – mówi Camille i rozwija banknot pięciodolarowy.

Marszczę nos. W staniku?

– Cud, że przetrwał! Sprawdziłaś piwnicę?

Camille uważa, że pięć dolarów wystarczy, żeby uspić czujność obsługi sklepu spożywczego. Wiemy, że dzieciaki tak zanedbane jak my będą podejrzewane o podkradanie, ale wiemy również, że jeśli nie będziemy się zachowywać nienagannie, wzbudzimy jeszcze gorsze podejrzania: że jesteśmy bez opieki. Wtedy kierownik sklepu zadzwoni po policję, policja ściągnie ludzi z opieki społecznej, a oni natychmiast przejrzą nasze kłamstwa i zrozumieją, że nikt się nami nie opiekuje. Stracimy kontrolę nad naszym życiem. A co gorsza, stracimy Rosie i Norma. Nieważne, na jak haniebnym warunkach skazywała nas Cookie, wszystko było lepsze niż rozdzielenie i trafienie do rodzin zastępczych. Przez lata Camille i ja wypraktykowałyśmy schemat zachowania na zakupach, bo dobrze znałyśmy konsekwencje pomyłek.

Jest piętnasta, a wszystkie programy przeznaczone są dla młodszej widowni niż Rosie. Ustawiam telewizor na nasz ulubiony serial, *Szpital miejski*. Camille zmienia dzinsy na obszerne szorty z dużą liczbą kieszeni i wkłada długi podkoszulek. Ja wciągam workowatą bluzkę, która zakrywa całe gimnastyczne spodenki.

Dajemy dzieciom buziaki.

– Zostańcie w środku – poucza ich Camille. – My idziemy po coś na kolację.

Jak na dwie nastolatki, które nie prowadzą samochodu, Camille i ja wykształciłyśmy silne poczucie kierunku. Każda z nas z dowolnego miejsca trafi na jakąś główną drogę na Long Island. Pamiętamy, że jadąc tu, widziałyśmy sklep spożywczy Pathmark,

więc idziemy Washington Avenue, a na Middle Country Road skręcamy w lewo. Wyprawy po jedzenie to chwile największej bliskości z Camille. Nie tylko dlatego, że jesteśmy partnerkami w zbrodni, dosłownie, ale w tych chwilach jesteśmy po prostu we dwie, jak zwyczajne siostry.

– Jak nakarmimy dzieci, chciałabym znaleźć automat i zadzwonić do Douga, bo nie widziałam go od kilku dni – mówi Camille.

– Dlaczego? Zostaniesz z nami na noc, prawda?

– Patrz – mówi Camille. – Już prawie jesteśmy na miejscu.

Natychmiast po wejściu do sklepu wcielamy się w nasze role. Ja idę prosto do magazynu, gdzie znajduję nastoletniego chłopaka i opowiadam tę samą historyjkę co zawsze: przeprowadzamy się i ojciec wysłał mnie po kartonowe pudełka z przykrywkami. Czy mogłabym dostać kilka? W tym czasie Camille chodzi już alejkami i sprawdza, co uda jej się wsunąć do kieszeni szortów.

Ponieważ kiedy chodzę po sklepie, pudła muszą wyglądać na puste, mogę wkładać do nich tylko lekkie rzeczy: chleb tostowy, jajka, kilka pudełek makaronu z serem, pudełko płatków ryżowych i paczkę papieru toaletowego, którego nie da się ukraść bez użycia kartonu. Nawet jedna rolka za bardzo wybrzusza kieszeń. Nasza technika wymaga włożenia jajek i papieru pomiędzy dwa złożone, puste kartony. Swobodnie, ale ostrożnie sunę przez sklep, tak jakbym spacerowała pogrążona w myślach. Na wielkim parkingu spotykam się z Camille, która za pięć dolarów kupiła masło orzechowe, galaretkę i mleko. Mamy żelazne reguły dotyczące tego, czego potrzebujemy, a co nie zmieści się w kieszeni. Camille zdobyła krojony w plasterki ser Kraft i pudełko z mieszanką do muffinów Jiffy, a ja mam w majtkach dwa pudełka galaretki i budynie.

– Wystarczy co najmniej na dwa tygodnie – ocenia Camille. Wkłada nasze trofea i torbę z zakupami do jednego z kartonów i ruszamy z powrotem do nowego domu, dzieląc się ciężarem zakupów.

Kiedy wchodzimy na Washington Avenue i zbliżamy się do

domu, zauważam, że nie ma żadnych sąsiadów. O tej porze roku mieszkańcy są albo na miejscowej plaży, albo siedzą zamknięci w domach, gdzie jest chłodniej. Na ulicy nie ma dzieci grających w piłkę ani jeżdżących na rowerach. Panuje cisza, w powietrzu nie unoszą się strzępy przyjaznych rozmów ani śmiechu. Te kilka domów, które mijamy, przycupnęło na gołym trawniku, w zaniedbanym otoczeniu. Sugerują przechodniom, że powinni odwrócić wzrok i pilnować swojego nosa. Cenimy to. Nie lubimy, kiedy ktoś na nas patrzy.

Izolacja nie jest nam obca. Kilka lat wcześniej mieszkaliśmy w centrum miasteczka Saint James, dwanaście kilometrów stąd. Nasze mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze przy 621 Lake Avenue, nad fabryką kleju. Po drugiej stronie ulicy była siedziba straży pożarnej. Wielki, biały budynek wydawał się śledzić każdy nasz ruch. W dole znajdowało się skrzyżowanie trzech głównych ulic. To nie były zamożne piętrowe domy w dobrej dzielnicy, wychodzące na Long Island Sound i z widokiem na Connecticut. Oddalenie od lepiej sytuowanych sąsiadów sprawiało, że w Saint James byliśmy niezauważalni. Czasem wychodziłam przez kuchenne drzwi na pokryty smołą dach fabryki kleju, który służył nam za patio. Stamtąd obserwowałam, jak mieszkańcy spieszą wzdłuż głównej ulicy do rzeźnika albo do apteki Spage's. Nieważne, jak długo i jak badawczo się na nich gapiłam, nikt nie podniósł wzroku, nikt mnie nie zauważył.

W tamtym domu najdłużej mieszkaliśmy całą rodziną.

Wtedy była jeszcze z nami Cherie. Ona, Camille i ja chodziłyśmy po zakupy do supermarketu King Kullen, ale było miejsce, gdzie znacznie przyjemniej zdobywało się jedzenie. Po długim spacerze docierałyśmy na plażę Cordwood. Dla nas to było jak wesołe miasteczko: do nabrzeża przycumowany był pływający dok, z którego skakałyśmy do wody. Po lewej stronie stał ceglany mur opuszczonego domu, który stanowił ścianę wspinaczkową, a w zabawach pełnił funkcję zamku. Ale najlepsze, że Cordwood Beach oferowała obiad za darmo! Wracałyśmy z podkoszulkami pełnymi ciężkich małży, omułek i z trawą cebulową, które

przyrządzały dla nas Cherie i Camille. To było proste życie, ale przynajmniej byliśmy razem. To się liczyło.

– Hej! – wołam. – Wróciłyśmy!

Rosie i Norman leżą rozciągnięci na przeciwległych kanapach. Rosie podnosi wzrok, macha do nas i wraca do oglądania telewizji, a Norm wita nas uśmiechem. Kiedy widzi, że dźwigamy jedzenie, rusza na pomoc. Wyjmuję naczynia, które znalazłam wcześniej: kilka garnków, plastikowe talerze z różnych kompletów, parę widelców i łyżkę. Płuczę je w zlewie, a Camille szuka zapalek, żeby podpalić gaz pod kuchenką i ugotować makaron z serem.

– Jak myślisz, na ile wystarczy gorącej wody? – pytam.

– Gi, muszę z tobą poważnie porozmawiać – mówi.

Zamieram i patrzę na nią, ale unika mojego wzroku i skupia się na wycieraniu naczyń. Mówi niskim głosem, to niechybny znak, że będą kłopoty.

– O czym?

– Chcę zamieszkać na lato u Kathy.

– Na całe lato?

– Tak. Myślę, że rodzice Douga pozwolą mi przenocować noc czy dwie u nich na kanapie, a w tym czasie Kathy przekona mamę, żebym mogła zamieszkać u nich.

Serce mi wali.

– To nie będzie na zawsze.

– Ale ja myślałam, że będziesz częściej w domu! – mówię. – Camille, nie możesz mnie znów zostawić z dziećmi. Mieszkałaś u Kathy cały zeszły rok!

Cherie i Camille znają Kathy, odkąd Cherie była w drugiej klasie, a Camille w pierwszej. Ponieważ dzieliła je tak niewielka różnica wieku, łączyło je wszystko, łącznie z przyjaciółmi. Któregoś popołudnia w czasie przerwy w szkole podstawowej w Saint James Cherie dostała w głowę piłką do baseballu. Kathy pomogła jej wstać, sprowadziła z boiska i została z nią, dopóki nie zjawiała się pielęgniarka. Od tamtej pory Cherie, Kathy i Camille są nierozłączne. Kathy ma dużą rodzinę, jej matka dużo pracowała,

więc Cherie i Camille spędzały u nich całe dni, a czasem i tygodnie. To wtedy zostałam zastępczą matką dla Rosie i Normana. Codziennie miałam nadzieję, że Cherie i Camille wrócą, ale kiedy Camille w końcu wróciła, była sama. Cherie wyszła za mąż i zamieszkała w piwnicy domu teściów w Babylon.

Kathy i Camille pozostały bliskimi przyjaciółkami, a Camille mieszkała u Kathy prawie przez cały zeszły rok, kiedy wyrzucono nas z poprzedniego miejsca. My nie mieliśmy dokąd pójść, więc mieszkaliśmy w samochodzie Cookie na parkingu supermarketu przy Hawkins Avenue w Ronkonkomic. Kiedy spotykałam w szkole młodsze rodzeństwo Kathy, unikałam ich. Mieli mnóstwo własnego rodzeństwa, po co im jeszcze moje? Wyobrażałam sobie wielką rodzinę Kathy zgromadzoną przy stole i moje siostry myjące naczynia i pomagające w lekcjach, podczas gdy powinny być w domu i pomagać mnie!

– Jak twoim zdaniem mam sobie poradzić sama? – Camille mnie przytula, a ja wyszlochuję stłumione słowa. – No jak?

– Cśś – mówi i przytula mnie mocniej.

– Czy Cherie wie?

– Gi – mówi Camille. – Zrozum, że mieszkając u Kathy, mogę znaleźć pracę i będę ci dawała pieniądze na jedzenie.

Wyrywam się z jej objęć i uciekam na drugą stronę kuchni. Patrzę, jak łagodna cierpliwość zmienia się w gniew.

– Tutaj też możesz pracować! Przy całej Middle Country Road są sklepy! Możesz pracować w Shoes and Things, w pasmanterii albo w supermarkecie. Minęłyśmy właśnie sto takich miejsc, czemu nie możesz zostać tutaj? – Znowu mnie obejmuję, próbuje uspokoić i pocieszyć.

– Bo nie chcę – mówi spokojnie w moje włosy. – Nie chcę już być mamą. Wychowałam ciebie. Teraz twoja kolej.

– Ale już dawno jest moja kolej! – Odgarniam włosy z twarzy, wilgotnej od potu i łez. Z desperacją błagam, żeby mnie wysłuchała. Myślę o wszystkim, co może się zdarzyć: o natrętach, o właścicielu budynku, policji, opiece społecznej. Będę musiała się z nimi zmierzyć sama. – Ja cię potrzebuję, Camille! Nie idź.



Proszę cię, nie zostawiaj mnie znów samej. Nawet nie wiesz, jak tu jest, gdy ciebie nie ma. Potrzebuję cię, potrzebuję pomocy...

– Gi – mówi, żeby mnie uspokoić. – Obiecuję, że będę zaglądać. Będę przynosić jedzenie. Nie będziesz kradła sama. Wiesz, gdzie będę, i zorganizuję ci monety, żebyś mogła do mnie dzwonić.

– Chcę dzwonić do znajomych, potrzebuję czegoś więcej! – Wskazuję powietrze wokół siebie, symbolizujące izolację, w jakiej się znalazłam. Jeśli nie ubłagam, żeby została, będę negocjować przynajmniej warunki finansowe.

– Co tydzień będę przynosiła pieniądze, obiecuję – mówi i znów zamyka mnie w objęciach.

Stoimy i przytulamy się do siebie, a ja mam nadzieję, że za chwilę szepnie:

– Hej, a może chcesz iść ze mną?

Ale wszystko mówi cisza: Kathy nie może przyjąć nas wszystkich. Kiedy w końcu odsuwamy się od siebie, rozglądam się po kuchni, którą muszę zająć się sama. Skupiam się na makaronie z serem. Mieszam proszek z odrobiną mleka i wrzucam kluski. Camille pomaga mi nałożyć jedzenie na trzy talerze. Ona zje z Dougiem, więc zostanie więcej na jutro. Nalewa dwie szklanki mleka i niesie je do salonu, a ja szybko wstawiam pozostałą porcję makaronu do lodówki.

Dzieci siadają, kiedy widzą, że niesiemy jedzenie, a ja zauważam, jak głośno gra telewizor. Słyszały z kuchni krzyki i pogłośniły, żeby nas zagłuszyć.

Camille idzie na górę, wiem, że weźmie swoje rzeczy. Opuścił mnie apetyt, ale jeśli właściciel domu albo policja odkryją, że troje dzieci spędza tu noc bez opieki, kto wie, kiedy zjem następny posiłek. Lepiej zjeść od razu. Przynajmniej będę mogła spać w łóżku. Pokój Camille był najładniejszy, a ja zasnę spokojnie, wiedząc, że dzieci są za ścianą.

Po kolacji Norm i Rosie wkładają naczynia do zlewu, a ja od razu zmywam. Camille goni ich na górę, żeby umyli zęby wodą utlenioną, której Cookie używa do farbowania włosów. Kradniemy

jedzenie, żeby nie umrzeć z głodu, więc pasta do zębów nigdy nie wchodzi na listę niezbędnych produktów. Woda utleniona musuje w ustach, wywołuje odruch wymiotny, jeśli przełknę choć trochę i wysusza kąciki ust, które pękają i krwawią.

– Ale przynajmniej masz świeży oddech! – droczy się ze mną Camille.

Z powrotem w kuchni kładzie na podłodze torbę z rzeczami i delikatnie całuje mnie w głowę.

– Idę na róg zadzwonić do Douga. Dasz sobie radę?

Wskazuję brodą przed siebie.

– Idź już.

– Kocham cię, Gi.

Odwracam się i śledzę ją wzrokiem, kiedy zmierza do drzwi wejściowych, które przekroczyłyśmy zaledwie przed kilkoma godzinami, a ja tak się cieszyłam, że znów będziemy rodziną.

– Ja też cię kocham – staram się wycisnąć te słowa ze zduszonego od łez gardła.

A potem Camille znika. Ona też.

## *I zostało tylko troje*

*lato–jesień 1980*

Miałam jedenaście lat, kiedy Camille wyprowadziła się po raz pierwszy, a ja musiałam sama zająć się dziećmi. Nie jest mi obce poczucie osamotnienia, jakie wiąże się z samotnym macierzyństwem, ale za każdym razem, kiedy Camille nas opuszcza, samotność powraca. Nieważne, ile to już razy, nigdy nie jest łatwiej.

Kiedy dorastałam, Camille dyskretnie trenowała mnie do tej roli. Wymaga to wypracowania idealnej równowagi pomiędzy opieką nad młodszymi dziećmi i stwarzaniem pozorów, że mamy matkę, która o nas dba. „Nie bądźcie brudni ani głodni”, mówi Camille, bo jeśli dzieci są najedzone, czyste, uprzejme i dobrze wychowane, bez większego trudu udaje się nam unikać pytań. A taki jest cel: uniknąć rozdzielenia, zostać razem.

Do niczego się nie przyznajemy, Norm i Rosie wiedzą, jaka jest stawka. Musimy być cicho i nie zwracać na siebie uwagi, bez względu na to, jak zła jest sytuacja. Panuje między nami zмова milczenia i wielka ufność, że żadne z nas jej nie złamie. System opieki społecznej wydaje się zadowolony z naszej umowy, bo pracownicy społeczni hrabstwa Suffolk są zbyt zajęci, żeby śledzić losy takich dzieci jak my. Do niedawna ta okolica uważana była za dzielnicę robotniczą, ale liczba mieszkańców stale rośnie. Przeprowadzają się tu ludzie z miast, zmieniają Fire Island i tutejsze plaże nad Oceanem Atlantyckim w podmiejską sypialnię pracowników Manhattanu oraz w plac zabaw sławnych i bogatych.

Słyszeliśmy kiedyś od naszych opiekunów socjalnych, że w samym naszym hrabstwie opieką władz objętych jest ponad pięć

tysięcy dzieci. Niektóre z nich trafiają do zakładów, a podobno bicie i gwałty są tam częste. Opowieści szybko się rozchodzą i dowiadują się o tym nawet ludzie z miasta. Słyszałam, że w jednej z nowojorskich gazet pojawił się artykuł, w którym reporter nazwał te zakłady „więzzeniami dla dzieci”. Wiemy więc, że musimy trzymać się swojej wersji. Jeśli ktoś pyta, gdzie jest nasza matka po południu, mówimy, że pracuje jako kelnerka. Wieczorem jest barmanką. Gdy ktoś upoważniony twierdzi, że nie widuje jej auta rano, mówimy, że pracuje w piekarni i o trzeciej nad ranem zaczyna rozwozić świeże pieczywo do restauracji. Kiedy natomiast pada pytanie, gdzie w takim razie jest przed południem, odpowiadamy, że pracuje w delikatesach i obiera ziemniaki na sałatkę ziemniaczaną. Jak widzicie, nasza matka dużo „pracuje”, mamy wymówkę na każdą porę dnia.

Jak długo jesteśmy zgodni co do ostatniej wersji wydarzeń i nie płączemy się w zeznaniach, jesteśmy nie do ruszenia. A ponieważ w tym czy w innym czasie Cookie faktycznie pracowała w każdym z tych miejsc i zabierała nas ze sobą, żebyśmy jej pomagali, wiemy wystarczająco dużo, żeby łagodzić podejrzenia porcją szczegółów.

Kilkakrotnie, choć bardzo rzadko, Cookie podejmowała próby powrotu na dobrą drogę i zdobycia pracy. Kręciła się, szykowała, oznajmiała: „Idę do pracy!”, jakby robiła to codziennie. Wiedzieliśmy jednak, że nie ma się z czego cieszyć. Okresy jej zatrudnienia były zawsze krótkie, a ja często musiałam jej pomagać. Spędzałam całe dni na obieraniu ziemniaków w delikatesach, szatkowaniu kapusty do surówki Coleslaw oraz na krojeniu marchewki i rzodkiewki do sałatek. Właściciel delikatesów płacił każdej z nas po piętnaście dolarów, ale zamiast dać mi moją pensję albo przynajmniej za nią jedzenie, albo nowe buty, Cookie zabierała do kina Cherie, Camille i Normana, a mnie mówiła:

– Podziękuj swojemu ojcu, że musisz siedzieć w domu i pilnować Rosie.

Kiedy drzwi się za nią zamykały, wpatrywałam się w nie, nic

nie rozumiejąc, bo przecież nigdy nie znałam swojego ojca.

Wolałam towarzyszyć jej w barze, gdzie przynajmniej była muzyka i orzeszki do podjadania. Kiedy Cookie pracowała jako barmanka, musiała też sprzątać bar po długiej nocy, a ja szybko nauczyłam się, że w weekendy jest najtrudniej. Mogłabym opłacić nasz czynsz, gdybym dostawała chociaż dolara za każdy niedzielny poranek, który spędziłam na szorowaniu lepkiej podłogi i myciu stolików, mając do towarzystwa dolatującego z głośników Eltona Johna w piosence *Levon* i Billy'ego Joela w *Piano Man*. W wieku siedmiu lat nie miałam pojęcia, co znaczy kochać się z wódką z ginem, ale wyczuwałam, że to piosenka o samotnych duszach. Moją zapłatą za te poranki było tyle wisienek koktajlowych i drinków shirley temple, ile byłam w stanie pomieścić. Pewnie dzięki nim pozbywałam się z rąk skrobiowego zapachu ziemniaków.

Kiedyś spytałam Camille i Cherie, czemu Cookie jest taka okrutna, ale gdy Camille zaczęła mówić o rodzicach, Cherie zakryła jej usta dłonią. Od razu zrozumiałam, że jest coś, przed czym chcą mnie chronić.

– Zaufaj mi – powiedziała tylko Cherie. – Nie chcesz wiedzieć.

Nadrzędnym celem Cookie było jak najwięcej zdobyć jak najmniejszym wysiłkiem, wszystko jedno od kogo, nawet od systemu. Moim priorytetem natomiast było utrzymanie Rosie, Norma i siebie jak najdalej od niego. Jednak bez pomocy Camille, bez jej wsparcia przy problemach codzienności i udziału w zdobywaniu jedzenia, ta praca miała być jeszcze trudniejsza.

Norm i Rosie zapoznają się ze swoim pokojem, a ja odbywam cichą podróż przez cały dom. Nie wiem, jak długo tu zostaniemy, ale i tak jest dużo do zrobienia. Wydarzenia dnia, przeprowadzka, wyjazd matki, wyprawa po jedzenie, a potem odejście Camille wyczerpały mnie. Wychodzę na ganek, żeby popatrzeć w gwiazdy. Wtedy dociera do mnie, że moje ciało błaga o łóżko, a umysł o chwilę spokoju. Chciałabym przespać jedną noc tak, jak nie da się spać w bagażniku, na tylnym siedzeniu ani, jeśli

ktoś wyciągnął najkrótszy patyczek, w miejscu na nogi za przednimi siedzeniami, ze wzgórkami pośrodku. Kiedy Rosie miała trzy czy cztery lata, świetnie się tam mieściła, ale teraz ma siedem lat i jest wysoka jak na swój wiek. Długie nogi i tułów nie układają się już tak dobrze, jak kiedyś.

Na kilka sekund opieram czoło na rękach i spędzam minutę na ganku. Marzę. Nie o chłopaku ani nawet o domu na stałe. Marzę o poduszce. Poduszki zajmują za dużo miejsca w bagażniku, więc Cookie nie pozwala nam ich mieć. Z ociążaniem podnoszę się i wracam do środka. Czas zrobić własną poduszkę.

Wchodzę do pokoju matki. Ma tam podwójny materac i sprężyny. Stelaż ze sprężynami jest rozcięty w nogach, materac też, tak jakby ktoś przesunął ostrzem, żeby powiększyć otwór w materiale. Zapamiętuję, żeby później poszukać tu drobnych albo innych niespodzianek. Przed wyjściem Camille rozpakowała rzeczy naszej matki, więc nie zostało nic do przegrzebania. Pomieszczenie już przesyca smród zatęchłego dymu papierosowego.

Podchodzę do szafy, żeby sprawdzić, czy na podłodze nie ma starych prześcieradeł czy ręczników. Najlepsza byłaby duża powłoczka. Ale nie ma nic oprócz kilku podkoszulków Cookie na wieszakach. Kucam, zaglądam pod łóżko i pod komodę, szukam czegoś, co mogłabym wykorzystać. Znajduję tylko pułapki na mrówki, karaluchy i myszy oraz kłaki kurzu. Cieszę się, że są pułapki, chociaż wyglądają na strasznie stare.

Następnie zaglądam do komody Cookie. Mała górna szuflada zawiera jej gigantyczne staniki z porozciąganyimi ramiączkami i pourywanymi haftkami. Jej bielizna jest tak wielka, że mogłaby służyć jako klosz do lampy, gdyby w tym domu była jakakolwiek lampa. Chociaż jej „niewymowne”, jak nazywa majtki, dobrze by się nadawały do wypchania poduszki, myśl o spaniu z jej majtkami tak blisko twarzy jest obrzydliwa. Przepatruję szuflady w poszukiwaniu skarpetek, ale trafiam na coś plastikowego. Wyciągam dwie torebki. W jednej są yellow jackets, barbiturany, które Cookie zażywa, kiedy ma spadek nastroju. W drugiej – dwie

kartki żywnościowe. Nie mogę uwierzyć, że zostawiła je w domu i szybko dociera do mnie, że może niedługo po nie wrócić. Odkładam je na miejsce, ale może je wezmę, jeśli będę desperacko potrzebowała jedzenia. Cookie zwykle ma całą apteczkę przy sobie, łącznie z percocetem, środkami na uspokojenie, na pobudzenie i na wyciszenie. Jej szuflada z bielizną byłaby spełnieniem marzenia każdej melodramatycznej kobiety z huśtawkami nastrojów. Musiała o tym zapomnieć.

Zasuwam szufladę i odsuwam tę pod spodem, gdzie odkrywam stary, znoszony i poszarzały podkoszulek Hanesa. Wyciągam go i z pewnym wahaniem podnoszę do nosa. Nie śmierdzi dymem, więc pewnie nawet nie jest jej. Na wszelki wypadek postanawiam zaszyć kołnierzyk i rękawy długim, luźnym ścięciem, który puści bez trudu, jeśli będę musiała wyciągnąć nić. Dół jest tak szeroki, że będę musiała go związać, ale powinien wytrzymać jedną noc. Jedna powłoczka zdobyta, zostały jeszcze dwie. Grzebię jeszcze w poszukiwaniu odpowiedniego wypełnienia, a potem zamykam szuflady i z sypialni Cookie idę na piętro.

Najpierw zaglądam do swojego pokoju, bo w rogu widziałam stary, podarty ręcznik. Kiedy podchodzę, żeby go podnieść, zauważam okno, które wcześniej otworzyłam, żeby się wietrzyło. Teraz, w wieczornym świetle widzę, że aż się prosi o włamanie. Odpowiedzialność za dwoje małych dzieci sprawia, że wszystko postrzega się inaczej, przede wszystkim okna i drzwi. Okno znajduje się bezpośrednio nad pokrytym smołą daszkiem nad tylnymi drzwiami i popękany betonowym patiem. Z wcześniejszej wizyty w kuchni pamiętam, że w okolicy jest dość śmieci, po których można by się wspiąć i wślizgnąć do domu; jest zardzewiała suszarka, jakiś poobijany silnik.

Odruchowo zamykam okno i okazuje się, że w oknie nie ma klamki. To fatalnie! Czuję, że serce szybciej mi wali. Ten dom jest tak stary, że możliwe, że klamek nie ma w żadnym oknie. Idę do pokoju dzieci i tam też widzę okno bez możliwości zamknięcia. W pokoju Camille to samo. Biegnę na korytarz – kolejne okno bez

zamka. Pędzę na dół – wszystkie okna stoją otworem.

Zanim pójdę do łóżka, muszę przerwiedagować listę priorytetów.

Idę na dwór poszukać patyków na pozbawionym trawy podwórzu. Kupa śmieci zawiera mnóstwo skarbów, w tym połamaną miotłę i zniszczony wieszak, które biorę. Przerzucając skupisko śmieci, znajduję zardzewiałą pilę. Wracam do środka przez kuchenne drzwi, które – oczywiście – zamykane są na zamek, który bez trudu otworzyłaby nawet Rosie. Układam znaleźiska na podłodze i przeglądam szufladę za szufladą w spiżarni, wypatruję starego młotka albo czegoś podobnego. W końcu wygrzebuję kilka starych gwoździ i śrubokręt. Obchodzę dom i lustruję ściany w poszukiwaniu gwoździ, które mogłabym wyciągnąć.

Kiedy idę do piwnicznych drzwi, nadal nie mam młotka ani gwoździ. Drzwi znajdują się w przedsionku pomiędzy kuchnią a łazienką. Wisi tam duże lustro. Kiedy widzę swoje odbicie, rozpraszam się. Przedemną stoi ktoś obcy. Ładna dziewczyna, ale tak chuda, że aż przeszywa mnie dreszcz. Muszę postarać się jeść więcej.

Przystaję i przyglądam się sobie: od pilnowania Rosie i Norma bawiących się na zewnątrz mam brązową skórę. Włosy, falowane i zwichrzone, zjaśniały na słońcu z czerni do koloru kasztana. Oczy mam ciemne, raczej czarne niż brązowe, ciemniejsze niż przejrzysty, piwny odcień, który ma moje rodzeństwo i matka. Potem krzywię się na widok szpary między przednimi zębami i kulki na czubku nosa.

Otwieram drzwi do piwnicy i ostrożnie schodzę trzy stopnie w dół. Na szczęście widzę sznurek zwisający z gołej żarówki, ale kiedy za niego pociągam, okazuje się, że jest przepalona. Robię kilka dalszych kroków i zauważam, że okienko piwniczne jest wybite. To oznacza, że muszę jeszcze zabezpieczyć drzwi, które prowadzą z piwnicy do kuchni. Nigdzie w zasięgu wzroku nie widzę bojlera, a piwnica jest wilgotna i pusta, nie licząc starej pralki gdzieś pod ścianą i kilku pudeł ze starymi, zapleśniałymi



ciuchami i abazurem. W końcu wymyślam, że ze starych ubrań mogę zrobić zasłony albo wypełnienie poduszek. Wtedy znajduję metalowe regały. Zaczynam szukać gwoździ. Są! Wymacałam osiem śrub i gwoździ do kolekcji. Wkładam sprzęt do pudła z ubraniami i zmierzam z powrotem na górę. Po drodze natykam się na stare, brudne żelazko i też je zabieram.

Zamykam drzwi kuchennie i podpieram klamkę krzesłem. Jeśli ktoś będzie próbował się tu dostać, krzesło przewróci się i ostrzeże nas w porę. Potem przechodzę do przedsionka, który prowadzi do piwnicy. Odcinam nożyczkami kabel od żelazka, a żelazkiem wbijam gwóźdź we framugę i oplątuje kabel między klamką a nim, tworząc ciasną pętlę, która powinna na trochę powstrzymać intruza, który chciałby dostać się tu z piwnicy.

Układam miotłę, wieszaki i gałęzie na kuchennym stole i tnę je piłą, żeby pasowały do okien i służyły jako blokady. Po zabezpieczeniu okien na dole i jednego w moim pokoju przegrzebuję kartony z ubraniami, które znalazłam w piwnicy. Wbijam gwoździe po obu stronach okien na całym parterze i zawieszam na nich koszule, bluzy i podkoszulki. Będą służyły jako zasłony. Zastąpienie okien zatrzyma cyrkulację powietrza w całym domu, ale lepiej być spoconym niż żałować. Robiąc to, zdaję sobie sprawę, że powinniśmy wszyscy spać na dole, bo tam jest chłodniej, a poza tym możemy uciekać przez drzwi wejściowe i kuchenne, gdyby ktoś próbował się włamać. W salonie są dwie kanapy, jest też łóżko w pokoju Cookie, więc każde z nas będzie miało miejsce do spania. Uff! Misja wykonana.

Teraz poduszki. Faszuję szary podkoszulek Hanesa i koszulę, a potem zaszywam wszystkie otwory. Dzieci będą miały poduszki już dzisiaj. Moja poczeka do jutra.

Dzieciaki zgadzają się przenieść na dół. Kiedy już zajrzę do Rosie, śpiącej w pokoju Cookie, a potem usłyszę spokojny oddech Normana z kanapy, sama zajmuję drugą, naprzeciwko niego. Dzieci śpią długo i spokojnie. Pierwszy raz od kilku tygodni leżą wygodnie.

Ja czekam na wschód słońca. Dopiero wówczas czuję się na

tyle bezpiecznie, żeby zasnąć.

Rano budzi nas Rosie, która włącza telewizor.

– Możemy dostać płatków? – pyta mnie.

– Oczywiście – mówię. Jestem szczęśliwa, że udało nam się przetrwać pierwszą noc. – Są w kuchni.

Waha się przez chwilę i kręci włosy na palcu.

– Gi, a zrobisz nam? Płatki są lepsze, kiedy ty je robisz.

Uśmiecham się i mierzwię jej włosy, a potem idę do kuchni.

Po śniadaniu zaczynamy grać w naszą ulubioną grę karcianą, remika 500.

Udaję, że jestem zaangażowana w grę, a dzieci się śmieją i dokuczają sobie. W słońcu widać, że wokół unosi się kurz i osiada wszędzie: na drewnianej podłodze, w zakamarkach szafek i półek. Rosie i Norm patrzą na mnie zdumieni, kiedy podrywam się i wyciągam ręcznik z jednej z powłoczek. Otwieram drzwi wejściowe, żeby wpuścić świeże powietrze i mruczę:

– Mam dość życia w syfie.

Cookie oczekuje, żeby mieszkanie było czyste, kiedy przychodzi, więc permanentne dbanie o porządek stało się synonimem dbania o spokój. Na szczęście mam do oporządzenia tylko dół, bo na górę Cookie na pewno się nie zapuści.

Wchodzę do kuchni i mój wzrok pada od razu na zlew.

Naczynia wiecznie się w nim piętrzą, a ja nienawidzę zmywania. Jedną z przyczyn nieustannych problemów z karaluchami jest to, że zostawiam ten obowiązek na ostatnią chwilę, ale wiem, że teraz, kiedy poleżały w letnim słońcu, sprawa robi się pilna. Wyciągam spod zlewu butelkę białego octu Heinza. Zawsze mamy w zapasie jedną do mycia, ale ponieważ jest zbyt ciężka i nieporęczna, żeby ją ukraść, kupujemy ją na kartki żywnościowe. Rozlewam trochę po talerzach i mam nadzieję, że odstraszę tym karaluszki armie.

Na górze zbieram brudne ubrania z podłogi i przynoszę na dół, do łazienki, a potem napełniam wannę zimną wodą. Trzymam pod kranem pół kostki mydła Ivory, żeby wytworzyć pianę, a potem trę ubrania mydłem i płuczę, aż wydają się czyste. Zwykle piorę tylko jedną–dwie koszulki naraz, ale Cookie albo właściciel

domu mogą się pojawić w każdej chwili, więc jeśli będziemy się musieli wynosić, to może być ostatnia wanna, jaką zobaczymy w ciągu najbliższych miesięcy. Po praniu z ulgą prostuję plecy, które mnie rozboleły od schylania się. Uprałam wszystko z wyjątkiem ubrań, które mamy na sobie.

Wykręcam ciuchy, a następnie biorę mokry kłęb i rozwieszam, gdzie się da: na klamkach, haczykach, na oparciach kanap i krzeseł. Potem otwieram tylne drzwi, okna i wpuszczam do domu powietrze.

Codziennie przez następne dwa tygodnie dzieciaki i ja bierzemy lunch i idziemy do parku albo publicznej biblioteki Middle Country. Dzieciaki narzekają na czterdziestominutowy marsz w upale i oddychają z ulgą, gdy wreszcie sadowimy się w bibliotece, która wita nas miłą klimatyzacją. Nie wiedzą, że przez te trzy kilometry ja wypatruję brązowego chevroleta należącego do Douga albo jakiegokolwiek innego znaku, że Camille wraca do domu.

Przy stole w bibliotece gramy w mad libs i przeglądamy razem magazyn „Highlights”. Kiedy dzieciaki zatapiają się w swoich książeczkach, ja przenoszę się do świata moich ulubionych bohaterów z powieści Judy Blume. Nieważne, że już czytałam *Dennie Forever* i *Are you there God? It's me, Margaret*. Camille krzywi się, kiedy widzi, że to czytam.

– To nie dla dzieci w twoim wieku – mówiła kiedyś. Teraz Camille nie ma. A ja nie jestem dzieckiem w moim wieku. Powiedziałam jej wtedy, że nie interesuje mnie seks. Uwielbiam te historie z powodu wątku romantycznego.

Przeczytałam też każdą biografię Amelii Earhart, jaką tu mają. To moja bohaterka.

Amelia była dzielna i odważna. Nie zgadzała się, żeby inni ograniczali jej marzenia i nie przyjmowała „nie” jako odpowiedzi. Amelia Earhart ustanawiała własne zasady.

W przeciwieństwie do Cookie nie interesowało jej bycie zależną od mężczyzny. Po zerwaniu pierwszych zaręczyn czekała aż do trzydziestego trzeciego roku życia, kiedy wyszła za George'a

Putmana, który musiał się jej oświadczać sześć razy, zanim się w końcu zgodziła. Dla żartu nazywano go „panem Earhartem”, a w dniu ślubu Amelia przesłała mu przez przyjaciela list, w którym napisała:

*Musisz zrozumieć, że nie będę od Ciebie oczekiwała dotrzymania średniowiecznego kodeksu wierności i nie zamierzam też rewanżować się tym samym.*

Jak wspaniale! Ona się niczego nie bała! Kiedy boję się w nocy i szukam pociechy, pytam siebie, co by zrobiła Amelia. Odpowiedź zawsze dodaje mi odwagi.

Pod koniec lipca mamy już ustalony schemat dnia, który wydaje się pewny, ale nigdy nie opuszcza mnie troska o jedzenie. Tylko ja jestem odpowiedzialna za zaopatrzenie, więc postanowienie, żeby jeść więcej, nie udaje się. Jedzenia nigdy nie ma wystarczająco dużo, dlatego często pomijam posiłki. Jak robi mi się słabo i trzęsą mi się nogi, biorę łyk octu. Kiedy podnoszę butelkę do nosa, zapach przypomina mi słonawy w smaku sok spod pikli, który lubię pić prosto ze słoika. Myśl o piklach sprawia, że ocet łatwiej przechodzi mi przez gardło i z jakiegoś powodu zawsze tłumi apetyt. Kiedy nawet to nie pomaga i jestem ledwie żywa, wiem, że muszę sięgnąć po źródło zastępczej energii: yellow jackets, barbiturany Cookie.

Robię co się da, żeby nie zwracać uwagi na oznaki niedożywienia, na purpurowe sińce, które pojawiają mi się na nogach od byle jakich prac domowych ani na pusty wzrok. Nieustannie bolą mnie dżiąsła i nie mogę pić zimnej wody, bo czuję przeszywający ból zębów.

W końcu, któregoś popołudnia, z wizytą wpada Camille. Kiedy wysiada z samochodu matki Kathy, na jej twarzy gości szeroki uśmiech. Kathy macha przez otwarte okno i odjeżdża.

Na bosaka wychodzę przed dom, krzyżuję ramiona i uśmiecham się.

– Z czego się tak cieszysz?

– Z tego! – Camille otwiera plastikową torbę, w której ma całego pieczonego kurczaka.

– Skąd to masz?!

– Zarobiłam dzisiaj dziesięć dolarów na myciu samochodów z bratem Kathy – mówi. – Martwiłam się o was.

– Jasne! – Przytulam ją, ale przelotnie, bo z ust tryska mi fontanna śliny. – Co jeszcze masz?

Wyjmuję kurczaka z torby i znajduję jeszcze słoiczek musztardy i bochenek włoskiego chleba. Pycha!

– Norman! Rosie! – krzyczę. – Chodźcie jeść!

– Teraz? – odkrzykuje z góry Norm.

– Chodźcie natychmiast, nie pożałujecie!

Siadamy we czwórkę na podłodze, a pośrodku stoi plastikowa tacka z kurczakiem.

– Ale szybko jesz! – mówi Camille, śmieje się i daje mi kuksańca pod żebra. – Zwolnij, bo się udławisz.

Wygarniamy musztardę na talerze i maczamy w niej kawałki kurczaka. Kiedy kości są obrane do czysta, podajemy sobie słoiczek i moczymy w musztardzie chleb. Rosie i Norm przysiadają, żeby jedzenie ułożyło im się w brzuchach, a potem biegają się bawić na dworze. Camille uśmiecha się do mnie, bo widzi, że są szczęśliwi. Podkładam ręce pod głowę i też się do niej uśmiecham.

Z pełnymi brzuchami wyciągamy się na kanapach. Opowiadam jej, jak mijają dni i jak zamykam dom na noc.

– Wrócisz, żeby z nami mieszkać?

– Jak się mają dzieci?

Rozumiem, że to odpowiedź.

Norman i Rosie zawsze byli „dziećmi”, bo są „dziećmi” dla naszej matki. Kiedy pyta: „Kto się zajmie dziećmi?”, wiadomo, że chodzi jej o Normana i Rosie. Ja nigdy nie byłam dzieckiem.

Norman zachowuje się jak dziecko, chociaż jest ode mnie młodszy tylko o niecałe dwa lata. Jest małym księciem matki i jest zachwycony, kiedy my, dziewczyny, się o niego troszczymy. Mówię Camille, że ostatnio widzę w nim większą lojalność i chęć pomocy.

– Norm i ja jesteśmy bliżej – mówię jej.

– To świetnie. Jesteśmy sobie za bardzo potrzebni, żeby móc się kłócić jak inne rodzeństwa.

Oczywiście Rosie jest moją pociechą. Dla niej idę dalej, nawet jeśli jestem wyczerpana spacerem do biblioteki, niedostatkiem jedzenia i życiem w permanentnym, nieskończonym strachu przed Cookie i policją. Czasem przytłacza mnie myśl o tym, jakie byłoby ich życie beze mnie. Co by się stało, gdybym pewnego dnia odeszła i zostawiła wszystko na głowie Normana? Jediną ucieczką są książki. Wiem, że pewnego dnia Rosie też będzie potrzebowała tej ucieczki, więc zawsze wypożyczam z biblioteki książki, które jej czytam. Najbardziej lubię te z serii Landmark Books, o założycielach naszej ojczyzny. Przed snem Rosie wtula się we mnie, a ja czytam jej o Betsy Ross, Dolley Madison i Pocahontas. Podnoszę się, żeby włączyć telewizor. Camille mówi, że mycie samochodów ją wyczerpało, więc prześpi się na kanapie. To okazja do wyłudzenia czegoś.

– Wiesz co – mówię – potrzebuję nowych spodni do szkoły. Czy ty i Doug moglibyście mnie podzucić jutro do Billy’ego Blake’a?

Wzdycha niezadowolona.

– Proszę! Zostawiłaś mnie tu samą na całe lato! Nie miałam okazji zdobyć wszystkiego, co będzie mi potrzebne do szkoły.

Przyznaje mi rację.

– W porządku – mówi. – Rano zadzwonię do Douga.

Normalnie mogłabym iść sama, ale jest gorąco, a ja jestem słaba i męczy mnie sama myśl o tej podróży pieszo. Byłam tam dwa razy w lipcu. To długi spacer, centrum handlowe jest kilka miasteczek dalej. Trzeba iść wzdłuż Middle Country Road, która jest odcinkiem Route 25, więc zawsze pełno na niej samochodów. Mija się złomowiska, stacje benzynowe, ogromny gmach centrum handlowego Smith Haven Mall, sklepy meblowe i z dywanami oraz lodziarnię Carvela. Całe kilometry duszących spalin, wyjących klaksonów i rzeczy, które pewnego dnia chciałabym mieć na własność.

Później zamykam dom na noc, ale chociaż są tu cztery

sypialnie i wiele łóżek, Camille i ja zasypiamy we dwie na jednej kanapie, a dzieci śpią razem na drugiej.

Następnego dnia rano oglądamy *Ziemię zaginionych*, *Małpy* i teleturniej *Ile to kosztuje*, śmiejąc się i usiłując zgadnąć cenę detergentów i mebli, które prezentują asystentki Boba Barkera. Po południu Camille i ja uczymy Norma i Rosie grać w Mamo, czy mogą? (choć sami rzadko używamy tych słów). Potem dajemy im sałatkę z kurczakiem, przygotowaną z mięsa, które obrałyśmy z wczorajszych gości, a później Doug parkuje przed domem karmelowego chevroleta sedana ojca. Po krótkiej dyskusji Doug i Camille postanawiają iść do kina na *Horror Amityville* o nawiedzonym domu stojącym kilka miasteczek dalej. Rozprawiają, czy to prawda, a ja zastanawiam się, jakiej firmy wybiorę dzinsy.

Doug parkuje na odległym końcu parkingu, żeby mogli z Camille poszukać gazety z repertuarem kin, a ja idę do Billy'ego Blake'a i kieruję się prosto do działu dla młodzieży, gdzie oglądam dzinsy Glorii Vanderbilt. Znajduję jaskrawopomarańczową parę, którą jestem zachwycona i wyobrażam sobie, jak spodobają się dzieciakom w szkole, które kręcą firmowe ciuchy. Podpinam je pod parę większych spodni. Po drodze do przymierzalni biorę jeszcze kilka koszulek i kiedy pracownica sklepu przelicza moje rzeczy, podaje mi plastikową plakietkę z cyfrą 4. Uśmiecham się i zamykam drzwi do przymierzalni. Zdejmuję swoje spodnie, wkładam te Glorii Vanderbilt i naciągam z powrotem moją parę. Luźny podkoszulek maskuje podwójny pas. Sprawdzam, czy pomarańczowe nogawki nie wystają nad butami. Zwlekam jeszcze chwilę, żeby wyglądało na to, że się zastanawiam, co wybrać spośród ubrań, które mierzyłam. W końcu wychodzę z naręczem ciuchów i oddaję plakietkę z czwórką.

– Niestety – mówię i wzruszam ramionami. – Nic na mnie nie pasuje.

Zresztą to nie jest kłamstwo. Dzinsy też są na mnie za duże, ale nie szkodzi. To, że mają taki sam kolor jak kamizelki robotników drogowych, też nie. Idę spokojnie do wyjścia, ale tak naprawdę mam ochotę puścić się biegiem! Mam dzinsy Glorii

Vanderbilt! Kiedy mijam drzwi, słyszę głos. Odwracanie się kosztowałoby mnie utratę cennych sekund, więc biegnę na parking, a ponieważ słyszę za sobą ochroniarza, robię jedyne, co mogę w tej sytuacji: znikam za którymś samochodem. Szybko!

Próbuję jak najciszej złapać oddech i jestem coraz bardziej pewna, że zgubiłam go w ciemności. Potem widzę światło latarki i słyszę uderzenie twardych podeszew butów, kiedy przeszukuje rzędy aut. Wślizguję się pod samochód, za którym się chowałam, i modlę się, żeby nie pojawił się właściciel. Kilka rzędów dalej widzę buty ochroniarza ze sklepu Billy Blake. Oddala się. Kiedy jestem pewna, że wrócił do sklepu, wyczołguję się spod maski i zgięta wpół biegnę do samochodu Douga. Po chwili leżę bezpiecznie na tylnym siedzeniu i przysięgam sobie, że moja stopa nigdy już nie postanie w tym sklepie.

W połowie sierpnia mija sześć tygodni, odkąd nie widzieliśmy Cookie. Któregoś popołudnia Rosie i Norm bawią się na ulicy i właśnie wtedy do drzwi puka właściciel domu. Co by zrobiła Amelia?

Co by zrobiła Camille?

Od razu chowam się w kuchni, gotowa wybiec tylnymi drzwiami, gdyby podszedł od frontu. Głośne pukanie do drzwi rozbrzmiewa raz, a potem trzy razy. Wstrzymuję oddech i czekam, aż usłyszę przekręcaną klamkę. Kiedy jednak dobiega mnie tylko szum lodówki, wyglądam zza rogu, żeby sprawdzić, czy jeszcze tam jest. Nie ma, ale ciężarówka wciąż stoi na podjeździe. Niestety, wyprostowałam się akurat w chwili, kiedy mijał okno i spojrzeliśmy sobie w oczy. A niech to! Zamieram.

Ma okrągłą, pomarszczoną twarz, a resztki białych włosów opalizują w słońcu. Opieram się plecami o ścianę, oczekując zagniewanej miny, ale widzę troskę. Kiwa, żebym podeszła. Zastanawiam się przez chwilę, a potem przekręcam klamkę.

– Jest mama? – pyta.

– Nie – mówię. – Pracuje.

– Rozumiem. Musi dużo pracować.

– Prawie cały czas.



Marszczy brwi.

– Jest dwutygodniowe opóźnienie w opłacie czynszu – mówi dalej, jakby miało mnie to zdziwić. – Zaglądałem tu parę razy, ale nigdy nikogo nie było. – Przygląda mi się, ale nie próbuje wejść do środka. Blokuję drzwi biodrem, jest tylko wąska szpara. Czuję się prawie naga w skąpej koszulce bez ramiączek i obciętych dzinsach. Widzę, że mu się nie spieszy do odejścia, więc krzyżuję ramiona na piersi, żeby dać do zrozumienia, że nie życzę sobie kontaktu fizycznego.

– W domu wszystko działa? – pyta i zagląda mi przez ramię.

– Tak. – Oglądam się za siebie, a potem kiwam do niego. – Nie ma problemów. – Coś mi mówi, że nie da się łatwo zrobić w konia. Świetnie! Mogę się lada dzień spodziewać opieki społecznej.

– No dobrze – mówi i zaczyna schodzić ze schodków. – Powiedz matce, że tu byłem.

Nic nie odpowiadam, więc odwraca się i odchodzi wzdłuż domu. Zanim zniknie mi z oczu, wołam:

– Mama pracuje do późna!

Znów się odwraca.

– Zauważyłem, że bak jest pusty. Nikt go ostatnio nie napełniał?

– Nie jestem pewna, ale i tak nie trzeba. Jest lato. To nic takiego. – Kiedy znika za rogiem, zamykam drzwi. Opieram się o nie plecami i oddycham z ulgą, gdy słyszę, że jego samochód odjeżdża.

Następnego popołudnia, gdy wracamy z biblioteki, Norman biegnie do nowego kolegi z sąsiedztwa, żeby pobawić się pożyczoną deskorolką.

– Hej, Gi! – krzyczy. – Coś jest na tylnym ganku!

– Co to? – odwrzaskuję, ale on już biegnie ulicą. Wchodzę na ganek i znajduję duży, brązowy karton. Pełno w nim marchewek i ziemniaków z nacią, krzak z kilkoma pomidorami, a na samym dnie wielki arbuz. Tak jak marchewki i pomidory, też wygląda, jakby dopiero co został urwany w ogrodzie.

Taka anonimowa dobroczynność to rzadkie zjawisko. Co więcej, nie znam ani jednej osoby, która miałaby ogród. Cherie nie ma, poza tym ona nie zostawiłaby tego bez słowa, nie poczekawszy ani chwili, żeby się z nami zobaczyć. Myślę też, że nie zrobiłby tego nikt ze znajomych ze szkoły. Oni nawet nie wiedzą, gdzie mieszkamy. Więc kto, sąsiedzi? Nie. Wszyscy sąsiedzi wyglądają równie marnie jak my. Zastanawiając się nad pochodzeniem daru, rozbijam arbuza żelazkiem, które stało się moim ulubionym narzędziem wielofunkcyjnym i wydłubuję trochę miąższu. Pozwalam, żeby sok spływał mi po przedramionach, gdy wdycham zapach słodkiej niespodzianki. Cukier na pusty żołądek daje mi dzikiego kopa i nagle czuję się tak syta, że wydaje mi się, że zwymiotuję. Chowam pozostałą część do lodówki i idę opłukać ręce. Odruchowo odkręcam ciepłą wodę w nadziei, że zdołała nagrzać się na tyle, żeby spłukać lepki sok i czuję na rękach ukrop.

– Cholera! – krzyczę. – Aua, aua! – Zakręcam kran i strząsam wrzątek z palców, wpatrując się w czerwone od ukropu ręce. I wtedy wszystko staje się jasne! Właściciel domu! Musiał nappełnić bak, kiedy nas nie było. Jaki właściciel domu pomaga ludziom, którzy nie płacą mu czynszu?! To nie ma sensu. I to on musiał zostawić warzywa. Szlag by go trafił, myślę cynicznie. Niech pilnuje swojego nosa. Czemu po prostu nie zadzwonił do opieki społecznej, żeby mieć nas z głowy? Czemu chce nas tu zatrzymać, kupuje benzynę i jedzenie? Czego chce? Gdy jest się dzieckiem, o które nikt się nie troszczy, wie się, że wszystko ma swoją cenę.

Z drugiej jednak strony przyzwyczajenie się do codziennego gorącego prysznica nie stanowi problemu. Najlepsze, że gorąca woda leci na tyle długo, że można się naprawdę rozgrzać i pozbyć całodziennego brudu. Tego popołudnia, pod koniec sierpnia, po wyjściu spod prysznica wkładam spodenki i bluzkę bez ramiączek. Wychodzę z łazienki, trzymając majtki za postrzępioną gumkę i zerkam w lustro. Na widok swojego odbicia aż przystaję i tracę oddech.

Stoję jak wmurowana. Próbuję dociec, na co albo na kogo patrzę. Znikam w oczach. Mieszanka barbituranów i octu zebrała

źniwo. Stoję całkiem bez ruchu i obserwuję zapadnięty brzuch i sterczące pod skórą kości bioder. Moje nogi to dwie linie proste, zachwiane jedną wypukłością, kolanem, poza tym nie mają żadnego kształtu. Mam całkowicie płaską klatkę piersiową, a pod bluzką w niebieskie paski wyraźnie widać zebra. Muszę się uważnie przypatrzeć, żeby zobaczyć to, co widywałam zawsze; nie ma już ładnej dziewczyny, którą mijałam w lustrze. We włosach, z przodu i z tyłu, mam pasma siwizny, a kiedy sięgam ręką do miejsca, gdzie czaszka zbiega się z szyją, czuję miękkie placki łysiny, którą zakrywa to, co zostało z moich włosów. Gapię się na swoje odbicie. Jak zawsze mam zamknięte usta, żeby nie było widać przerwy między przednimi zębami.

Nie poznaję tej dziewczyny! To nie ja! W ten sposób zacznę dziewiątą klasę. To już szkoła średnia! Nawet gdybym wróciła do Billy'ego Blake'a, w całym dziale dziewczęcym nie znalazłabym dość ubrań modnych firm, żeby wtopić się w tłum. Po raz pierwszy widzę to, co Cookie, która mówi, że kiedy na mnie patrzy, widzi szmacianą lalkę.

Cookie wraca przed Świętem Pracy. Norman, Rosie i ja siedzimy w salonie i oglądamy telewizję, kiedy wchodzi frontowymi drzwiami, jakby wyszła przed godziną. Niesie pudełko płatków owsianych, mleko w proszku i sześciopak piwa. Ma na sobie te same džinsy, w których wyszła i wciąż koński ogon, tylko że teraz jest do połowy rudy, a od połowy czarny. Kiedyś Norman podbiegłby do niej i krzyczałby: „Mama, mama!”, ale dzisiaj tylko zerka na mnie spod uniesionych brwi i wraca do oglądania *The Electric Company*. W milczeniu podliczam bilans zysków i strat: w ciągu tych dwóch miesięcy Norman oficjalnie przeszedł na moją stronę. Jego zaufanie jest najlepszym, co mogło mnie spotkać w relacji z nim i... najgorszym w relacji z Cookie.

– Tu macie obiad – mówi. Mimo nonszalancji czuję niepokój, jaki wywołała jej obecność i ciężar w piersi. Mija wejście na schody, idzie do kuchni, gdzie, jak słyszę, rzuca na stół piwo i płatki, a potem wyciąga jedną puszkę z plastikowego opakowania i otwiera. – Wyglądacie jak kupa gówna! – woła z kuchni. Następnie

idzie do swojego pokoju i zatrzaskuje drzwi. Jestem zdumiona, że jeszcze kilka sekund temu ten dom wydawał się czysty i bezpieczny. Jej obecność jest zanieczyszczeniem, którego osad czuję na skórze.

– Dzieciaki, na dół!

Następnego ranka budzi nas wrzask Cookie. Poganiam Rosie i Normana, żeby się ubrali i wysyłam ich do samochodu, przed którym Cookie stoi z rękami na biodrach i gdera:

– Jaką mamy porę roku? Znacie zasady! – Dociera do nas, że jedziemy zapisać się do szkoły.

Nie mam problemu ze znalezieniem ubrań na tyle luźnych, żeby ukryły moją szczupłość, bo obecnie wszystkie ciuchy, jakie mam, na mnie wiszą. Włosy spinam w koński ogon, żeby zamaskować łysy placek, a siwe pasma wtykam pod czarne, żeby ukryć je przed wzrokiem pracowników szkoły.

Cookie włącza silnik i samochód wytacza się na boczną drogę.

Zapisanie mnie na pierwszy rok nauki w liceum w Centereach zajmuje tylko pięć minut. Sekretarka mówi, że przyszłyśmy za późno i uczniowie przeszli już badania. Każe mi się zgłosić do szkolnej pielęgniarki pierwszego dnia szkoły. Obiecuję sobie o tym zapomnieć, bo inaczej będę musiała odpowiedzieć na pytania o moją chudość. Kiedy Cookie i ja wychodzimy, mimo że nie ma jeszcze uczniów, pochylam głowę, żeby nikt mnie nie zobaczył z nią ani w jej samochodzie. Od jej powrotu jeszcze się do niej nie odezwałam.

Cookie idzie z Normanem zapisać go do jego szkoły, a Rosie i ja siedzimy w samochodzie.

– Nie będziemy już jeździć jednym autobusem, prawda?

– Nie, ale będziesz zachwycona trzecią klasą. Nauczysz się dzielenia i mnożenia i pisać swoje imię pięknym pismem. Czy to nie super? – A kiedy widzę, że lęk separacyjny nie osłabł, obiecuję jej pomoc przy wszystkich projektach naukowych. – Może nawet zrobimy wulkan z błota!

– Super! – rozpromienia się, a potem milknie i patrzy na

mnie. – Za błoto nie trzeba płacić, prawda?

– Nie skarbie, nie trzeba. – Kiwa głową i patrzy przez okno, czekając na Cookie i Normana. A ja mam oczy pełne łez. W wieku siedmiu lat Rosie już wie, że jesteśmy biedni.

Wracamy do domu i odczekujemy kilka godzin, zanim wyruszymy na szkolne zakupy. Kiedy zapada zmierzch, Cookie zagania nas z powrotem do auta i jedziemy na przeszukiwanie kontenerów Armii Zbawienia. Wiemy, że zanim zbierzemy dość ubrań potrzebnych dla nas trojga, będzie kilka nurów w głąb pojemników, znamy też strategię Cookie. Najpierw parkuje przy wlocie do pojemnika drzwiami od strony pasażera. Później ja wychylam się przez okno i zaglądam do wnętrza kontenera. Kiedy wzrok już mi się przyzwyczaja do ciemności i widzę więcej ubrań niż śmieci i gratów, wchodzę na parapet, a następnie wczołguję się do wnętrza kubła i wrzucam ubrania prosto do wnętrza auta.

W świetle lampki w suficie dzieciaki i Cookie przegrzebują stertę ubrań, żeby wybrać te, których któreś z nas może użyć. Znajduję parę dżinsów i plisowaną spódniczkę dla Rosie.

– Gi! – krzyczy. – Zobacz, ta różowa bluzka ma jeszcze metki!

– Całkiem nowa, specjalnie dla ciebie na pierwszy dzień szkoły!

Dla Normana znajduję ładną parę dżinsów i kilka golfów, a dla siebie spodnie w kolorze khaki, które dam radę zmniejszyć, zaszywając je w kilku miejscach. Kiedy już wszystko zostało przejrzone, składam niepotrzebne ubrania na podłodze kontenera i wspinam się po nich, żeby wskoczyć przez okno prosto do auta.

W weekend Cookie opowiada nam o życiu, jakie prowadzi z nowym chłopakiem. Słuchamy tego jak bajki, w której nie ma dla nas miejsca.

– A jakie obiady gotuję! – mówi. – I żebyście tylko widzieli, jak dobrze jest wychowana jego córka. Moglibyście się od niej uczyć! Ma zaledwie trzynaście lat, w zeszłym roku straciła matkę, która chorowała na raka. Traktuje mnie jak ósmy cud świata. A jeśli już mowa o wdzięczności, to co dostaję od was? Gówno!

Chciałabym, żeby ktoś dbał o nas tak, jak o trzynastoletnią córkę jej nowego chłopaka, ale widzę, że jest szczęśliwa, bo przez cały dzień była trzeźwa. Po raz pierwszy odkąd pamiętam, nie boję się jej.

Po wspólnym weekendzie ogłasza, że wraca do chłopaka. Spokojnie zaczynam przeglądać nową garderobę, sortuję ubrania kolorami. Upiorę je przed środowym rozpoczęciem szkoły. Zaczynam przeróbki i włączam telewizor, w którym Ronald Reagan przemawia w New Jersey. To element kampanii prezydenckiej.

„Większość z nas zaczęła już zdawać sobie sprawę, że jeśli u władzy zostanie Carter, następne cztery lata będą tak samo mroczne jak cztery poprzednie. Obiecuję wam, że ja przyniosę Ameryce nową nadzieję”.

„Nowa nadzieja dla Ameryki”. Czyli dla mojej rodziny też. Potrzebuję nowej nadziei równie bardzo jak nowej garderoby na początek dziewiątej klasy. Jeśli moje cztery następne lata będą równie mroczne jak cztery poprzednie, to nie doczekam siedemnastego roku życia. Mam nadzieję, że Reagan albo Carter, albo wszystko jedno kto, wyciągnie mnie z tego bagna, ale nic nie mówię.

Pierwszego dnia szkoły zdaję sobie sprawę, że popełniłam potworny błąd, ubierając się tak, a nie inaczej. Kiedy idę korytarzem, dobiegające mnie ze wszystkich stron okrzyki są głośniejsze niż szelest ocierających się o siebie nogawek moich dzinsów.

– Idzie pomarańczowa Etiopka! – krzyczą. Wiem, że mam więcej ciała niż konające z głodu szkielety, które widuję w telewizji, ale czy naprawdę musiałam podkreślać chudość parą wściekle pomarańczowych dzinsów? Nie ma to jak dobrze zacząć nową szkołę...

Nie licząc pomarańczowej katastrofy, pierwszy dzień jest taki sam, jak wszędzie indziej. Nie przeszkadza mi, że z klasy do klasy idę sama, tak naprawdę to ulga, że nie mam kolegów, bo nie muszę nikomu opowiadać o mojej rodzinie. Lekcje wyznaczają rytm dnia,

a do słuchania mam nauczycieli. Nauczyłam się udzielać zwięzłych odpowiedzi, kiedy zostaję wyrwana, ale to zdarza się zwykle dopiero po trzecim tygodniu, kiedy społeczny rozróżnienie pomiędzy uczniami jest już oczywisty: nauczyciele patrzą na mnie i łagodnieją. Kiedy wychodzę z klasy, zawsze staram się dobrze wypaść. Jeśli nauczyciel stoi przy drzwiach, uśmiecham się, nie otwierając ust. Jak dobrze przystosowane, przyjacielskie dziecko.

To przerwy, pora obiadowa i lekcje WF-u bezdusznie obnażają mój status. Na WF-ie używam wypróbowanej przez Cherie i Camille wymówki o niedyspozycji, choć jeszcze nie miałam okresu.

Większość dzieciaków narzeka na nauczycieli, ale mnie dają poczucie bezpieczeństwa. Praca na lekcjach i słuchanie ich poleceń to dla mnie najprostszy i najbezpieczniejszy sposób życia. Szkoła zawsze była ucieczką i ukojeniem, miejscem, z którego tak samodzielne dziecko jak ja czerpie kojące poczucie przewidywalności. Ponieważ jestem dyskretna, nauczyciele nie wiedzą, jak wygląda mój dom. Jestem pewna, że niektórzy domyślili się, że nie wszystko jest w porządku, ale większość traktuje moją słabość, którą ewentualnie przeczuwają, jako pretekst do dodania mi odwagi.

Zaledwie tydzień po rozpoczęciu szkoły, 17 września 1980 roku, Cherie rodzi pierwsze dziecko, synka. Stoję na ulicy, żeby powitać Normana i Rosie wysiadających ze szkolnego autobusu, kiedy słyszę opony auta Cookie, piszczące na podjeździe i słyszę jej odbijający się echem w całej dzielnicy ryk:

– Regina! – krzyczy. – Twoja siostra urodziła dziecko. Jestem babcią!

Mój pierwszy siostrzeniec.

– Mogę pojechać z tobą, mamó? Chcę zobaczyć dziecko – mówi Rosie. Głaszczę jej ramię i ciągnę ją na kolana, bo przysiadłam na schodkach na ganku.

– Nie wracam tu po wizycie w szpitalu – odpowiada Cookie.  
– Poznacie go, jak Cherie przyjedzie z nim do teściów.

Pewnego popołudnia na początku listopada Cookie wtacza

się do domu przez drzwi frontowe, trzymając w ręce pudełko makaronu z serem i butelkę mleka.

– Co się dzieje? – pytam ją, mając na myśli: Co ty tutaj robisz?

– Cóż, wygląda na to, że znów jestem samotną kobietą – wypala. – Mogłabyś mi podziękować, że przyniosłam kolację. Mam gówniany nastrój, więc trzymaj się ode mnie z daleka. – Nie wystarcza jej zainteresowania ani energii, żeby donieść jedzenie do kuchni. Pada na kanapę i natychmiast zasypia, a jej nowa para butów na koturnie uderza z hukiem o podłogę. Rosie i Norm wybuchają śmiechem, gdy dudniące chrapanie Cookie bombarduje pokój. Uciszam ich, ale sama tłumię śmiech. Patrzę na nią. Myślałam, że mężczyźni lubią słodkie i pociągające kobiety, tymczasem Cookie jest nalana i wściekła.

Jemy makaron z serem w salonie, a nieprzytomne ciało Cookie spoczywa na kanapie. Wstajemy, żeby odnieść do kuchni brudne naczynia, starając się zachowywać jak najciszej. Rosie podnosi się jako ostatnia, a kiedy rusza za Normem i za mną, na jej talerzu balansuje pusta szklanka. Zdążam wejść do kuchni, kiedy szklanka spada z talerza i roztrzaskuje się na podłodze salonu, zaledwie kilka centymetrów od ucha Cookie.

Nie!

Instynkt nakazuje mi wrócić do Cookie, kiedy ta wystrzeliwuje z kanapy jak z procy.

To nie będzie przyjemne.

– Ty głupia mała dziwko! – krzyczy i łapie Rosie za włosy.

Rosie chwieje się i upuszcza talerz, który uderza o podłogę i pęka na pół. Zanim zdołam ją powstrzymać, Cookie popycha Rosie na podłogę, zaledwie kilka centymetrów od potłuczonego szkła. Rosie zaczyna zawodzić, najpierw z przerażenia, że została tak nagle popchnięta, a potem z bólu, który przeszywa jej ciało.

Instynktownie rzucam się Cookie na plecy i drapię ją.

– Nie jesteś jej matką! – krzyczę jej do ucha. – Puść ją! Puść!

Moja ślepa furia wypełnia pokój, cały parter. Jestem dzika i niepomamowana. Na pewno ziemia drży na całej ulicy. Walczę,



żeby rzucić ją na podłogę, bo wtedy Rosie zdoła się odczołgać. Ale nie robi tego, leży oszołomiona pod nami i płacze. Podbiega Norm i odciąga ją w stronę schodów, byle dalej od Cookie. Obydwoje stoją i krzyczą do mnie:

– Przestań, Gi, przestań!

Ale matka nie ma prawa krzywdzić mojego maleństwa, które, pod moją opieką, zaczęło wreszcie rozkwitać. Nie zmusi mnie do uległości, psychiczna suka! Nawet nie mrugam, kiedy zrzuca mnie z pleców na podłogę, prosto w potłuczone szkło.

– Głupia mała szmata – warczy przez zaciśnięte zęby i kopie mnie po raz pierwszy. – Nie powinnaś się nigdy urodzić, suko! Jesteś moją największą pomyłką, głupia mała kurwo!

Jest bosa, ale z całej siły kopie mnie w nerki, potem w żebra, w miednicę i w łokcie. Przewracam się na bok, żeby uniknąć kopniaków, ale kopie mnie w bok, a potem chwytą mnie za włosy i uderza moją twarzą w podłogę. Krew cieknie mi z nosa, a plecy mam pocięte przez odłamki szkła. Przewracam się na bok i zwijam w kłębek, tylko na moment, żeby złapać oddech, a potem całą energię, jaka mi jeszcze została, poświęcam na to, żeby wstać i zmierzyć się z nią twarzą w twarz raz jeszcze. Kiedy się podnoszę, ona z całej siły kopie mnie w brzuch i znów lecę na podłogę.

– Pieprzona mała zdiro! – wrzeszczy, dysząc ciężko, i znajduje w sobie siłę na kolejny cios. Nieporadnie wstaję, chcę się na nią rzucić, ale chwytą mnie za szyję i ciągnie w tył. Najpierw czuję uderzenie głową o podłogę. Nie mam szansy na zamortyzowanie upadku rekami czy nogami. Czuję za to, że odłamki szkła rozcinają mi głowę i wiem, że płynie z niej krew. A jednak szybko się gramolę na nogi, bo wiem, że jeśli będę leżała, na moją głowę i żebra posypie się grad kopniaków.

Mam silniejszą wolę niż ona, ale ona jest pijana i dwa razy cięższa. Silnymi ramionami popycha mnie na barierkę schodów. Po drugiej stronie stoją dzieci. Oszołomiona, osuwam się na podłogę. Kiedy widzę powracającą w moim kierunku nogę, podcinam Cookie. Zaskoczyłam ją, chwieje się. Wykorzystuję tę chwilę, żeby wstać, minąć ją i wybiec frontowymi drzwiami.

Cookie odwraca się, a kiedy jestem na ganku, uderza we mnie jej dudniący krzyk:

– Wracaj tu z powrotem, gówniarzu! Jeszcze z tobą nie skończyłam!

Jakimś cudem udaje mi się przejść przez ogródek. Ona wciąż mnie widzi, ale jeśli sąsiadom chciałoby się podnieść żaluzje, oni też mnie zobaczą. Znikam w mroku i przytulam się do siatki. W zimnym powietrzu unosi się jej głos:

– Wracaj, żebyśmy mogła dokończyć to, co zaczęłam!  
Dostaniesz to, na co zasługujesz, mała kurwo!

Cztery miesiące wcześniej posłuchałabym i wróciła do środka, żeby mogła dokończyć bicie, szczególnie że gniew z niej nie wyparował i może odegrać się na Rosie. Ale tym razem coś mnie powstrzymuje od posłuszeństwa. Krąży kilka metrów ode mnie. Włosy i twarz zalane mam krwią, plecy szczypią mnie od ran, a ciało boli od bicia. Jedyne, co mnie powstrzymuje przed upadkiem, to wola. Nie chcę dać jej się stłamsić. Krzyczy raz jeszcze:

– Wracaj do tego zasranego domu!

Kręcę głową, obolałą od bicia, i szepczę:

– Nie. Nie!

Potem odwracam się od jej głosu i najszybciej jak mogę zmierzam w kierunku Middle Country Road.

Zimna ściana sklepu Shoes’N’Things koi obolałe plecy. Trzymam się z dala od światła latarni, przyciągam nogi do klatki piersiowej i kładę głowę na kolanach. Łapię oddech, żeby nie płakać, w koszach na śmieci szukam kilku kartonów, a potem układam je pomiędzy śmietnikiem a tylną ścianą sklepu. Robię sobie łóżko.

Minęła pewnie godzina, gdy otwieram oczy na dźwięk jej gruchota sunącego ulicą. Wyglądam zza rogu i widzę, że skręca w stronę szlabanu.

Chciałabym nie znać tych uczuć: krzywdy, gniewu, wycofania z powodu emocjonalnego prześladowania. Przeszywającego bólu fizycznego też nie. Ale od czternastu lat,

czyli od kiedy żyję, to jedyna stała, przewidywalna cecha moich relacji z Cookie. Dla mnie poczucie bezpieczeństwa jest czymś dokładnie przeciwnym niż dla większości dzieci. Przecież dla dziecka źródłem największego poczucia bezpieczeństwa powinny być ramiona matki. A to powroty Cookie są dla nas najniebezpieczniejsze. Postrzegamy je jak najstraszliwszą burzę, jaką można sobie wyobrazić. Kiedy wpada do domu, zaciskam pięści i podnoszę gardę. Nie mamy żadnego wpływu na to, co się za chwilę wydarzy, napięcie sięga zenitu, a potem rozpętuje się piekło, bo jej gniew spada na mnie. A kiedy mija, ona też znika, zostawiając zgliszcza jako jedyny dowód, że w ogóle tu była. Myśl, że nie będzie jej dłuższy czas, jest dla nas komfortowa, kojąca i przyjemna jak wyjście słońca po ulewnym deszczu. Szybko dochodzimy do siebie, silna wola i zdecydowanie trzymają nas razem i pozwalają odbudować rodzinę.

Wchodzę do cichego domu. Któreś z dzieci posprzątało szkło, a teraz śpią naprzeciwko siebie na kanapie. Serce mi wzbiera od miłości, kiedy na dobranoc całuję ich w policzki i szepczę Normanowi do ucha:

– Jesteś dobrym starszym bratem.

Wstaję i patrzę na nich, a po twarzy płyną mi łzy. Nie płaczę nad sobą, tylko nad tym, jacy jesteśmy bezbronni wobec tego, co się wydarzy później. Po chwili zabezpieczam drzwi wejściowe i kuchenne i idę do łazienki, żeby spróbować ukoić ból.

## *Złamanie paktu*

*listopad 1980*

Nazajutrz jest 5 listopada, za cztery dni moje czternaste urodziny. Budzę dzieciaki i szykuję je do szkoły, a potem wsadzam do autobusu. Zamykam się w domu i wiem, że wcześniej czy później będę musiała stanąć twarzą w twarz ze swoim odbiciem w dużym lustrze.

Przez lato bardzo schudłam, więc ślady bicia nabrały takiej skali, jakiej wcześniej nie widziałam. Są duże i tak kolorowe, że pokrywają mi całe ciało, jakby wylała się na mnie niebieska, czarna i czerwona farba. Albo jeszcze gorzej, jakby zniknęła zaporą pomiędzy skórą a wnętrznościami.

Późniejszym autobusem dojeżdżam do szkoły. Włosy mam rozpuszczone, żeby opadały na twarz. Wszystkie siły koncentruję na ignorowaniu spojrzeń innych uczniów. Bluzka z długimi rękawami zakrywa ramiona i plecy. Po drugiej przerwie pan Brown, nauczyciel wiedzy o społeczeństwie, odciąga mnie na bok.

– Posłuchaj, Regino – mówi i stara się podtrzymać moje spojrzenie, choć ja uparcie patrzę na czubki swoich butów. – Nie chcę wnikać w twoje życie osobiste, to sprawa twoja i twojej rodziny. Ale nie zaliczyłaś ostatniej klasówki i jeśli w najbliższym czasie, jeszcze przed egzaminem semestralnym, nie wydarzy się żaden cud, nie będę mógł zaliczyć ci przedmiotu. Cokolwiek się dzieje, musi się skończyć.

Nadal patrzę w podłogę.

Mówi dalej, już łagodniej.

– Jeśli powiesz mi, co się stało, możliwe, że będę mógł postawić ci ocenę dopuszczającą.

Pan Brown jest większy od mojej matki, ale w ogóle mnie nie przeraża. Łagodnie trzyma rękę na moim ramieniu, jakby myślał, że mogę w każdej chwili uciec. Ale przecież nie mogę nic powiedzieć. Kiedy wreszcie podnoszę głowę, żeby na niego spojrzeć, szybko mruga, żeby zamaskować grymas.

– Nic mi nie jest – mamroczę. – Spóźnię się na lekcję – dodaję i uciekam.

Kiedy tego popołudnia wracam ze szkoły do domu, na podjeździe stoi jakiś obcy samochód. Drzwi wejściowe są szeroko otwarte. O nie!

W kuchennym szafkach i szufladach myszkuje pracownica opieki społecznej. Jest młoda, ma jasne włosy, ubrana jest w kolor khaki i nie nosi makijażu. Na jej twarzy nie malują się żadne emocje, widzę więc, że ma misję. Kiedy mnie dostrzega, zamiera, otwarcie patrzy na moją posiniaczoną twarz. Widzę, że panuje nad sobą, kiedy się przedstawia.

– Regino – mówi – nazywam się Davis. – Łapie mnie za rękę i aż głośno wzdycha, gdy podciąga długie rękawy mojej bluzki. – Dostałam dziś zgłoszenie z twojej szkoły. Musisz mi powiedzieć, co się stało.

Odruchowo chcę zrobić to, co zupełnie swobodnie przychodzi mi w sytuacjach, gdy ktoś docieka, jak żyjemy: skłamać. Kłamię za nas wszystkich. Mówię: „Za ostro bawiłyśmy się z siostrami. Albo: „Spadłam z drzewa, na które się wspinałam”. Albo „Spadłam z roweru koleżanki na żwir”. Wiem, że jeśli powiem prawdę, zostaniemy rozdzieleni.

– Spadłam ze schodów do piwnicy, niosąc żelazko – mówię jej. Ze wstydu aż podkurczam palce w butach. Wyglądam strasznie, a ona jest taka ładna i zdrowa.

Patrzy na mnie gniewnie, a potem się zbliża i zadziera mi bluzę. Nie bronię się, nie wyrywam, bo bolałoby jeszcze bardziej. Widzę, że kiedy patrzy na moje żebra, pęka jej serce.

– No dalej, Regino – mówi. – Niech to będzie ostatni raz, kiedy spadasz ze schodów, z drzewa albo przewracasz się na kuchenkę. Czytałam twoje akta, kochanie. Masz prawie czternaście

lat! Już wkrótce będziesz mogła samodzielnie podejmować decyzje. Wiesz, co to dla ciebie znaczy?

Wiem. To znaczy, że mogę na zawsze przestać mieszkać z matką. Słyszałam to wcześniej wiele razy od pracowników socjalnych, urzędników, doradców zawodowych i innych dzieciaków żyjących na ulicy. Czternaście lat uważane jest za wiek świadomości. Wtedy można podjąć decyzję, czy chce się mieszkać z biologicznym rodzicem, czy uniezależnić się i przejść pod opiekę państwa. Gdybym się na to zdecydowała, moja matka nie miałaby już wpływu na mnie ani na moje decyzje.

Wszyscy oni – doradcy, urzędnicy i pracownicy socjalni – mieli na początku dobre chęci, pytali, czy matka nas bije, czy nas karmi. Sprawiali wrażenie, że chcą pomóc, ale potem rozmawiali z Cookie, która zdawała się mieć szósty zmysł i zwykle wracała do domu, gdy istniało ryzyko, że zostaniemy zabrani. Bez trudu udawało jej się przekonać wszystkich, że sami zafundowaliśmy sobie te siniaki. Dla opieki społecznej zostawienie dzieci z matką jest wygodniejsze, odpada cała logistyka, papierkowa robota i rozpacz, kiedy dzieci umieszczane są w rodzinie zastępczej. Później wszystko zaczyna się od nowa: Cookie zabiera nas do innego domu, korzysta z innej kombinacji nazwisk, żeby umożliwić służbom wytropienie nas i przez chwilę wszystko jest w porządku.

– Regino, ona cię zabije, jeśli tu zostaniesz. Twoje rodzeństwo też jest w niebezpieczeństwie. – Milknie, patrzy na mnie, potem pochyła się i opiera przedramionami na blacie. – Jeśli powiesz mi wszystko, możemy cię stąd wydostać. Ona zrobi im to samo, co tobie. Chcesz, żeby za kilka lat Rosie wyglądała tak jak ty? Żeby się tak czuła? Musisz powiedzieć prawdę, jesteś im to winna. Przestań kłamać dla ich dobra i powiedz mi, co się tu dzieje.

– A jeśli powiem? – Czubkiem buta przesuwam liść, który przyniosłam do domu. – Co się z nimi stanie?

– Oni też trafią do rodziny zastępczej – odpowiada.

Nie zastanawiam się. Nie ma Camille, która mogłaby mnie

powstrzymać, a teraz, kiedy pani Davis dała mi do zrozumienia, że milcząc, narażam brata i siostrę na niebezpieczeństwo, pokusa wyrwania nas z tego piekła jest zbyt kusząca.

Staram się oddychać spokojnie i mówię jej, że dzieci nie mogą wrócić do matki.

– Musi mi pani obiecać, że będą bezpieczne, bez względu na wszystko.

I zanim zdążę się powstrzymać, mówię. Mówię i nie mogę przestać. Stres i wyczerpanie dwóch ostatnich lat, kiedy sama matkowałam dzieciom, samochody, schroniska, trud... Nie wytrzymałam. Już zmierzcha, kiedy wreszcie kończę wyrzucać z siebie prawdę. Nie zataiłam niczego.

Dzieci wracają, akurat kiedy pani Davis wychodzi. Norman patrzy na nią nerwowo, gdy wkłada mi do ręki monetę, żebym mogła zadzwonić.

– Norm, przejmiesz dowodzenie?

Patrzy, jak pani Davis wychodzi, i niepewnie mówi:

– Tak.

Idę do budki na rogu i dzwonię do Kathy.

– Cookie chciała zabić Rosie. Powstrzymałam ją – mówię Camille.

– Dlaczego chciała ją zabić?!

– Rosie niechcący stłukła szklankę tuż obok śpiącej Cookie. Nie zdołałam ukryć siniaków i mój nauczyciel powiadomił opiekę społeczną.

– Przyjechali?

– Babka stała w kuchni, kiedy wróciłam do domu.

– Nic nie powiedziałaś, prawda?

– Camille, ja...

– Gi, powiedziałaś?!

– Nie było cię. Nie mogłam pozwolić, żeby Cookie zrobiła im krzywdę.

– Będę za dziesięć minut.

Nie płakałam, kiedy Cookie mnie pobiła, ale rozplakałam się, bo Camille straciła wiarę we mnie. Wracam do domu i wszystko

do mnie dociera. Wcale nie uratowałam rodziny. Wręcz przeciwnie, mówiąc prawdę, złamałam łączący nas pakt milczenia. Znowu nas rozdzieliłam, a co więcej, naraziłam Normana i Rosie nie tylko na atak matki, ale i na to, że wróca do rodziny zastępczej, czy gdziekolwiek indziej, dokąd zostaną odesłani.

Poczucie winy przygniata mnie do ziemi. Kiedy przyjeżdża Camille, stoimy naprzeciwko siebie na ganku. Łzy mi płyną i zaczynam się trząść. Ani ja, ani żadne z nas nie jest bezpieczne. Rosie nie przeżyje, jeśli nie będzie mnie obok. Będzie tylko „małą dziwką” i „zdzirą”. Nie ma szans.

Na tę myśl płaczę jeszcze mocniej i nienawidzę siebie za egoizm, który doprowadził do tego, że moja siostrzyczka będzie całkiem bezbronna. Camille i ja obejmujemy się i obie szlochamy.

– Jest jakiś sposób, żeby to odkręcić?

Camille kręci głową. Nic nie mówi. Obydwie wiemy, że nie ma powrotu. Powiedziałam za dużo.

Tej nocy nie mogę spać. Kucam przy kanapie, na której śpi Rosie i patrzę, jak oddycha. Przytulam ją, całuję, modłę się za nią całą noc, wiedząc, że gdy tylko do pokoju wpadną pierwsze promienie słońca, pryśnie czar i nie będziemy już pod ochroną.

Camille i ja wyprawiamy dzieci do szkoły wczesnym autobusem, żeby załapały się na darmowe śniadanie. Ja jadę późniejszym. Camille zostaje w domu, czeka na nieuchronne.

Całą uwagę koncentruję na przetrwaniu dnia szkoły. Nie zjadam darmowego lunchu, nie pamiętam, obok kogo siedziałam w stołówce. Nie wiem, co się dzieje na lekcjach, szczególnie na lekcji pana Browna. Siedzę ze spuszczoną głową i udaję, że robię notatki. Zastanawiam się, czy to on zawiadomił opiekę społeczną i czy powiedzieli mu, czego się dowiedzieli.

Kiedy docieram do domu, na podjeździe stoją trzy auta. Dwa szare sedany, które jak wiem, należą do pracowników opieki społecznej. W każdym za kierownicą siedzi jakiś mężczyzna. Z jednym nawet wymieniamy spojrzenia, kiedy zmierzam do domu. Trzecie auto to dobrze mi znany pomarańczowy gruchot.

Drzwi wejściowe są otwarte, a z góry słyszę skrzypiące



drzwi szafy i wysuwaną szufladę.

Pakują się.

W kuchni zastaję panią Davis i inną kobietę z moją matką. Cookie nawet nie patrzy w moją stronę.

– Idź na górę i spakuj się – świergoce głosem, który wywołuje u mnie mdłości. To przedstawienie daje zawsze przed pracownikami społecznymi. Biegnę na górę, już wiem, co będzie dalej.

Camille jest w moim pokoju. Kiedy na siebie spoglądamy, znów płaczę, tym razem ze złości. Szybko wrzucam do zielonego worka na śmieci, który trzymam pod łóżkiem, ubrania i dwie figurki Jezusa. Potem siadam na łóżku z rodzeństwem. Przytulam Rosie, która też płacze.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie, obiecuję. Zajmiemy się tobą.

Camille pociesza zapłakanego Normana.

We czworo schodzimy na dół z naszymi rzeczami i pracownicy społeczni prowadzą nas na dwór. Normana i Rosie wsadzają do jednego samochodu, Camille i mnie do drugiego. Niewiele warta obietnica wystarczyła, żebym zaryzykowała stratę mia bambiny, mojego maleństwa. Co ze mnie za starsza siostra, jeśli poddałam się tak łatwo?

Gdy uruchamiają samochody i przygotowują się do odjazdu, ze schodów stacza się Cookie i odgarnia włosy z twarzy. Brak jej tchu i jest blada. Stara się podtrzymać wizerunek opanowanej matki. Z dolnych schodków chrapliwie krzyczy za nami:

– Nie martwcie się, dzieciaki, wróćcie do mnie!

Inne matki, którym zostają odebrane dzieci, mogą składać takie deklaracje z miłości, ale wiem, że Cookie to nie dotyczy.

– Wróćcie do mnie! – krzyczy przez okno samochodu nie dlatego, że martwi ją nasza utrata. Robi to, bo właśnie straciła kartki na jedzenie.

Auto z Normanem i Rosie odjeżdża pierwsze. Cookie podbiega do naszego samochodu i patrzy przez boczną szybę po stronie kierowcy na fotel, na którym siedzimy z Camille. Chronią

nas przed nią tylko zamknięte drzwi. Patrzy wprost na mnie i krzyczy:

– Wrócisz do mnie!

– Nie – mówię mimo szyby. – Nie, nie wrócę.

I znikamy.

## *Niedostateczny przyrost masy ciała*

*listopad 1980; 1971–1974*

Pani Davis i kierowca siedzą z przodu i nie odzywają się słowem. Szybki rzut oka na Camille mnie uspokaja, ale gdy odwracam się, żeby znów wyrzeć przez okno, drzewa i domy rozmazują się, bo pod powiekami zbierają mi się łzy. Potem spływają na policzki. Pracownicy społeczni zwykle mają szósty zmysł, niemal nadludzką zdolność słyszenia kapiących łez, ale widzę, że pani Davis nie odrywa wzroku od drogi przed nami i domyślałam się, że ona wie, że jesteśmy za duże na gadkę pod tytułem: „To wszystko dla waszego dobra”. Na tym etapie znajomości z opieką społeczną wiemy, że wcale tak nie jest.

Znów zostaliśmy rozdzieleni, tym razem przeze mnie.

Bo powiedziałam prawdę.

Do tej pory trafialiśmy w ich ręce za drobne przewinienia, za błędy, które obnażały naszą sytuację. Z czasem Norm, Rosie i ja zrozumieliśmy, że razem jesteśmy silniejsi niż osobno.

Wyostrzyliśmy zmysły i to trzymało nas razem przez sześć lat, od mojej trzeciej klasy. Wycieram rękawem oczy i nos, szybko i w milczeniu, a Camille wyciąga rękę i kładzie ją na moim ramieniu. Obydwie rozumiemy, że prawdopodobnie nasz czas jako rodziny się dzisiaj skończył.

Kiedy kierowca skręca z Middle Country Road, pani Davis w końcu się do nas odwraca.

– Tam, dokąd jedziemy, zostaniecie dwa tygodnie – mówi. – Musimy znaleźć docelowy dom dla was dwóch.

Dla nas dwóch. Czy to znaczy, że Camille i ja nie zostaniemy rozdzielone? Pani Davis wyjaśniła, że jedziemy do tymczasowej

rodziny zastępczej, która od ponad dwudziestu lat opiekuje się dziećmi przez krótkie okresy. Postanowili nie przyjmować już nikogo na stałe, ale kiedy usłyszeli, że jesteśmy nastolatkami i uczymy się w szkole niedaleko, zgodzili się zrobić wyjątek i wziąć nas do czasu znalezienia stałego domu. Opieram głowę na dłoni, częściowo po to, żeby zatkać ucho i nie słyszeć tego, co za chwilę powie pani Davis. A jednak słyszę:

– Ta rodzina nie zgodziła się na przyjęcie mniejszych dzieci.

Po co to powiedziała? Tak jakby nie wystarczyła myśl o Rosie i Normie, samotnych, zdanych na siebie, nieutulonych w płaczu, z przerażeniem patrzących na krajobraz za oknami samochodu i niemających nawet pojęcia, o co spytać.

Co ja narobiłam?

Po dziesięciu minutach wjeżdżamy na podjazd ładnego czerwonego domu w stylu rancza, stojącego na wypielęgnowanej narożnej działce. Camille trąca mnie łokciem, więc wysiadamy z auta, a potem podchodzimy do bagażnika, żeby wyjąć nasze worki na śmieci. Idziemy za panią Davis na ganek, przez całą drogę wbijając wzrok w ziemię. Kiedy wreszcie podnoszę głowę, napotykam niebieskie oczy jasnowłosej kobiety, eleganckiej i drobnej. Wydaje się, że ma około pięćdziesięciu lat. Jej wymuszony uśmiech zmienia się w szok, któremu towarzyszy stłumione westchnienie. Pewnie po raz pierwszy widzi białą Etiopkę z pociętą i posiniaczoną twarzą.

Pani Davis kiwa na mnie i Camille, żebyśmy stanęły obok.

– Dziewczęta, to jest Addie Peterman. Możecie śmiało mówić do niej „ciociu Addie”. – Patrzę na czysty mankiet spodni Addie i jej szokująco białe tenisówki Kedsa. Muszę się powstrzymać, żeby nie krzyknąć: A może będziemy mówić do niej Ciociu-Dzieci-Do-Wynajęcia? – Nienawidzę tych bzdur o słodkich i dobrych mamach zastępczych.

Addie otwiera drzwi wejściowe. Mają szybką zasłoniętą koronkową firanką. Prowadzi nas do środka i wtedy rozglądam się po salonie.

– Niczego nie dotykaj – szepcze Camille. To najładniejszy

dom zastępczy, w jakim byliśmy.

Addie patrzy na nasze buty i rozumiem, że to uprzejma forma prośby o zdjęcie ich. Zostawiam ślady stóp na świeżo odkurzonym dywanie. Wystrój domu jest typowy dla wzorowej pani domu z lat 70.: bawełna w kratkę, koronki, ząbkowane krawędzie, pająkowate nogi, dywaniki z frędzlami i bukiety jedwabnych kwiatów. Addie prowadzi nas korytarzem i sugeruje Camille, żeby zostawiła bagaż, kiedy będziemy oglądać mój pokój.

Stawiam swój worek przy łydkach i rozglądam się. Addie hojnie obdarza nas przestrzenią, ale to nie wpływa na moją obojętność dla jej domu i perfekcyjnej atmosfery. Po co? Będę tu tylko dwa tygodnie. Ściany pokrywa tapeta w kwiaty. Na niej wiszą półki z książkami. W pokoju jest jedno łóżko (ze stelażem ze sprężynami i materacem), komoda i szafa. Obok łóżka stoi białe biurczko i wyobrażam sobie, jak przy nim siedzę, otoczona książkami i odrabiam lekcje. Potem mój wzrok pada na wielkie lustro nad biurkiem.

Po zastanowieniu stwierdzam, że chwilowo będę unikać luster.

Jest też okno. Z zamkiem i żaluzjami w formie harmonijki, zapewniającymi prywatność. Kiedy Addie prowadzi nas do pokoju Camille, okazuje się, że jest utrzymany w takim samym bukolicznym stylu jak mój, tylko większy. Podnoszę brwi i patrzę na siostrę.

Przyjemnie, ale nie ma sensu się przywiązywać.

Później pani Davis mówi nam, że przypięła swój numer do żółtej ściany przy kuchennym telefonie, a Addie poleca, żebyśmy czuły się jak w domu, a ona zejdzie przygotować kolację. Wracam do swojego pokoju i kładę worek na kwiecistej narzucie, ale zaraz dociera do mnie, że ją wybrudzi. Przyglądam się subtelnemu patchworkowi i pasującym do niego poszewkom na miękkich poduszkach.

Jeśli Addie jest dumna z powierzchni, jaką zapewniła nam tymi wszystkimi szufladami i miejscem w szafie, chciałabym pokazać jej, jak śmiesznie to wygląda wobec mojego dobytku. Na

dnie torby znajduję trzy rzeczy, które należą do mnie. Jedna to zdjęcie naszej piątki, kiedy Rosie była zupełnie malutka, a my wszyscy mamy na sobie takie same podkoszulki z Lake Havasu w Arizonie. Dwie pozostałe rzeczy to figurki Chrystusa. Jedna to plastikowy Jezusek z szopki bożonarodzeniowej, a druga – przezroczysta głowa dorosłego Jezusa na krzyżu. Trzymam je i klepię w nie palcem, zastanawiając się, gdzie je wyeksponować. Odwracam się, gdy Addie wchodzi do pokoju i kiwa głową w kierunku mojej dłoni.

– Niedaleko jest kościół, gdybyś chciała pójść i doświadczyć.

– Doświadczyć czego?

– Twojej religii – odpowiada. – Jesteś katoliczką, tak?

Spoglądam na moich Jezusów.

– Nie jestem pewna. Nie chodzę do kościoła.

Patrzy na moje figurki, potem na mnie i widzę, że nie rozumie. Postanawiam wyjaśnić mój stosunek do Boga tej niezorientowanej kobiecie.

– Gdyby Bóg istniał, nie pozwalałby, żeby małym dzieciom przydarzały się złe rzeczy.

Jej twarz znów zmienia wyraz z łagodnego na pełen przerażenia.

– Regino, Bóg nie robi krzywdy małym dzieciom, robią ją źli ludzie!

Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu, a ja unoszę brwi, bo czekam, aż ośmieli się powiedzieć więcej, ale ona odwraca się na pięcie i idzie dalej korytarzem.

Obmyślam moment, kiedy będę mogła jej dogadać, ale zaczyna mi burczeć w brzuchu od zapachu roztopionego sera i tostów smażonych na maśle. Camille przychodzi do mnie i mówi, że musimy iść.

– Myślisz, że mogę przynieść jedzenie tutaj?

– Już o to pytałam – odpowiada Camille. – Ona chce, żebyśmy jadły w kuchni.

Pete, mąż Addie, siedzi plecami do ściany i obserwuje kuchnię, podczas gdy Addie krąży przy kuchence i nakłada

jedzenie na talerze. Dołączamy do niej, Pete'a i ich przybranego syna, Danny'ego, który ewidentnie nie jest zachwycony naszą obecnością. Nie przez przypadek wybieram miejsce najbliżej drzwi wejściowych. Jeśli ktoś zagra mi na nerwach – spadam stąd! Addie puszcza w obieg miskę z brokułami na parze i jednocześnie wygłasza zasady panujące w domu.

– Regino, twoja godzina policyjna wybija o wpół do ósmej, co wieczór – ogłasza. Dla mnie bomba, niby dokąd miałabym iść poza biblioteką? Następnie dodaje: – Nie przyjmujemy w domu chłopców.

– Chłopców? – parskam śmiechem. – Proszę na mnie spojrzeć, chętniej umówiliby się z workiem treningowym niż ze mną – mamroczę. – Poza tym mam dopiero trzynaście lat.

Addie zamiera i patrzy na mnie. Pete w milczeniu opiera nadgarstki na stole.

– To nie ma znaczenia – odpowiada Addie. – Za trzy dni skończysz czternaście, a nasza zasada mówi, że nie ma żadnych randek aż do szesnastego roku życia. Stosowaliśmy ją wobec wszystkich naszych wychowanków oraz naszych trzech córek i sprawdzała się bardzo dobrze. – Następnie spogląda na Camille. – Wiemy, że masz chłopaka.

Camille cicho odkłada widelec na talerz, tak jakby przyłapano ją na wsuwaniu do kieszeni rodowych sreber.

– Przekaż mu, że twoja godzina policyjna wypada o dwudziestej pierwszej oraz że musi przyjść po ciebie do drzwi i pod drzwi cię odprowadzić. Nie życzymy sobie trąbienia przed domem.

Auć. Punkt dla Addie.

Później przechodzimy do kwestii jedzenia.

– Ja się odchudzam z Weight Watchers – ogłasza Addie – więc proszę nie podjadać mojego dietetycznego jedzenia.

Camille i ja patrzymy na nią zdumione. Czy ona widziała, ile mamy w pasie?! Kiwamy głowami. Nie ma sprawy. Jesteśmy pewnie jedynymi nastolatkami na Long Island, które nie próbują schudnąć.

– Zawsze ktoś będzie w domu, więc nie potrzebujecie własnych kluczy. – Pod stołem trącam Camille kolanem, a ona odpowiada mocnym szturchnięciem. Jest! Gadka o kluczach. Przybrane dzieci nigdy nie dostają kluczy. Zdanie „Zawsze ktoś będzie w domu” należy rozumieć jako: „Dzieci do Wynajęcia są podejrzane o najgorsze, dopóki ktoś nie udowodni ich niewinności, chwilowo jesteśmy zatem pewni, że jesteście niegodnymi zaufania złodziejami”. Addie dodaje, że jeśli akurat nie będzie nikogo, możemy poczekać na werandzie, to bezpieczne miejsce. „Meble ogrodowe też są łakomym kąskiem”, mam ochotę warknąć niewdzięcznie, ale tylko wpycham do ust porcję sera.

Addie opowiada nam, że ma trzy dorosłe córki, Paulę, Paulette i Penny. Dopycham się serem, żeby nie wybuchnąć śmiechem, bo wszechobecne inicjały P.P. szalenie mnie bawią. Dwie z nich codziennie rano sprzątają domy razem z Addie, a trzecia jest pielęgniarką. Wszystkie są mężatkami i wszystkie urządziły domy tak jak matka. Kiedy to mówi, bijąca od niej duma niemal nas oślepia.

Ona i Pete poznali się jako nastolatki i wzięli ślub zaraz po maturze. Pete jest niski i krępy, pracuje jako stolarz i dostawca, a poza tym zbudował ten dom. To jej przypomina o pozostałych zasadach. Musimy oglądać to, co wybierze Pete. I co z tego? – mam ochotę zapytać, obejrzę wszystko, co dają na kablówce. Mamy sprzątać swoje pokoje i same robić pranie, co w ogóle mnie nie martwi.

– To znaczy, że macie pralkę? – pytam.

Addie patrzy na Pete’a i składa ręce na kolanach.

– Tak, moja droga, suszarkę także.

– Więc może w czasie naszego pobytu będziemy robiły też wasze pranie? – Patrzą to na jedno, to na drugie. – To żaden problem.

Addie ociera kąciki ust papierową serwetką.

– Nie przejmujcie się naszym praniem. Pamiętajcie tylko, że pralka i suszarka są do waszej dyspozycji zawsze, jeśli nie korzysta z nich ktoś inny.



Addie mówi też, że razem z Pete'em poprosili o nasze akta, zanim nas przyjęli. Camille i ja jesteśmy zdumione. Jeśli nasze oceny uznali za akceptowalne, to jakie dzieciaki odrzucali?! Później Camille pomaga zmywać, a ja odnoszę pozostałości brokułów do zlewu. Stajemy w drzwiach kuchni i dziękujemy im, że pozwolili nam tu spędzić kilka nocy, a następnie idziemy do pokoju Camille, zamykamy za sobą drzwi i siadamy obok siebie na łóżku, żeby porozmawiać.

– Chcesz dziś ze mną spać? – pyta Camille.

Kiwam głową i jestem gotowa, żeby znów się rozplakać.

– Tak.

Gapimy się w sufit i myślimy o tym, że gdzieś na tej samej wyspie Norman i Rosie pewnie robią dokładnie to samo.

Nazajutrz budzimy się wcześnie i razem idziemy do łazienki, pamiętając o tym, że nie powinnyśmy zbyt długo jej blokować przed Dannym i Petermanami. Addie zostawiła dla każdej z nas szczoteczkę do zębów.

– Weź purpurową – mówię do Camille – a moja będzie pomarańczowa. – Wyciskam z tubki długi pasek pasty. Co za rozpusta!

– Nie za dużo, bo nam zabiorą – mówi Camille. Uśmiecham się do niej z ustami pełnymi miętowej piany.

Potem idziemy do kuchni poszukać kawy. Nauczyłam się ją pić, żeby w szkolne poranki dodać sobie energii. Z wczorajszych reguł wynika, że kawa nie jest zakazana. Zastajemy Addie w kuchni. Miesza łyżeczką w kubku.

– Częstujcie się kawą, dziewczyny – mówi i wskazuje na kredens.

– Wow! – Widzę, że całe półki zastawione są kubkami z Myszka Miki. – Chyba lubicie Myszka, prawda?

– No oczywiście, przecież nie jeździmy co roku do Disneylandu, żeby oglądać widoki!

Bierze łyk kawy i znów poważnieje.

– Muszę wam powiedzieć, że dziś nie pójdziecie do szkoły. – Natychmiast kurczy mi się żołądek. Widocznie moja twarz jest

zbyt przerażająca dla małych, z którymi jechałabym jednym autobusem. Ale Addie wyjaśnia przyczynę: jest piątek, więc postanowili ruszyć z naszymi sprawami od przyszłego tygodnia. Jedzie tu pani Davis, która ma nam pomóc napisać oświadczenie o wyjściu spod opieki matki.

– Czy możemy zadzwonić do naszej siostry? – pytam.

– W tej chwili?

– Tak. Ona pamięta wiele rzeczy, które nas spotkały. Jeśli pracownica socjalna chce poznać naszą historię, potrzebujemy naszej siostry Cherie.

Addie opiera się ramieniem o framugę drzwi kuchennych i mówi, że nie ma nic przeciwko, jeśli tylko to miejscowa rozmowa. Dla nas wiszący na ścianie telefon był dotychczas co najwyżej narzędziem do zgniatania karaluchów czy innego robactwa urzędującego w kuchni.

– Proszę tylko, żebyście informowały nas przed skorzystaniem z telefonu – mówi. – Może się zdarzyć, że oczekujemy ważnej rozmowy i linia musi być wolna.

Addie przekazuje mi słuchawkę, a ja wkładam palec w dziurki w tarczy z numerami. Każdy obrót stresuje mnie jeszcze bardziej, bo wiem, że muszę powiedzieć Cherie, co zrobiłam. Kiedy opowiadam, co się działo w ostatnich dniach, słyszę posapywanie przytulonego do niej dziecka.

– Pracownica socjalna mówi, że im więcej podamy szczegółów, tym większa szansa, że sędzia mnie uniezależni od Cookie i odbierze jej dzieci. Możesz przyjechać?

Zaniepokojona czekam, że powie mi, że ma na głowie dwumiesięczne dziecko i że jej teściowie będą marudzić, jeśli go z nimi zostawi, ale ona mówi tylko:

– Jasne. Podaj mi adres.

O dziewiątej trzydzieści jest już na ganku i przedstawia się Addie.

Widzisz, jaką mam udaną starszą siostrę? – mam ochotę zapytać Addie. Czy nie jest wspaniała? Addie robi kolejną kawę i wysypuje na talerz ciasteczka Oreo. Ja szprycuję się cukrem i

kofeiną, a Cherie i Addie nawiązują więź, jaka łączy tylko matkę z drugą matką. Gdybyśmy były tu w innym celu niż złożenie oświadczenia, byłabym rozczarowana z powodu przyjazdu pani Davis.

Na stole, między moimi łokciami, kładzie gruby plik kartek papieru w linie, a każde dwie przełożone są kalką. Wyjaśnia, że moje oświadczenie musi mieć kopię: jeden egzemplarz pójdzie do moich akt, drugi jest dla sędziego. Zachęca nas, żebyśmy zaczęły od samego początku, jak daleko sięgniemy pamięcią. Mówi też, co napisać w pierwszym akapicie:

*Ja, Regina Marie Calcaterra, przysięgam, że informacje zawarte w niniejszym oświadczeniu są prawdziwym opisem czasu spędzonego z moją matką, Camille Deanną Calcaterrą. Autentyczność tego oświadczenia potwierdzają moje starsze siostry, Cherie i Camille.*

*listopad 1980 r.*

Następnie pani Davis mówi, że pozostała część oświadczenia ma być spisana naszymi słowami. Początkowo patrzymy na siebie, usiłując przypomnieć sobie szczegóły, ale wkrótce zaczynam pisać tak szybko, że długopis ledwo nadąża z utrwaleniem moich słów.

*4 lipca 1971;  
mam cztery lata*

Mama dała każdej z nas po plasterku arbuza i wysłała nas do stołu piknikowego, obiecując, że na paradę z okazji 4 Lipca zabierzemy zimne ognie. Idę z moim arbuzem pod stół piknikowy z czerwonego drewna, bo jestem ciekawa, ile mrówek namówię na ucztę. Mama zawsze droczy się ze mną i mówi, że wolałabym mieszkać na górze błota z mrówkami, żukami, świerszczami i świetlikami zamiast mieć zawsze czyste kolana i ręce. Spod stołu widzę dyndające w powietrzu cztery obute w sandały nogi. Należą do Cherie i Camille. Siedzą na ławce nade mną. Ich rozmowa o nowej mamie i nowym domu odwraca moją uwagę od zbierania mrówek.

– Jeśli ją adoptują, więcej jej nie zobaczymy – mówi Camille.

– Nie mogą jej adoptować – protestuje Cherie – bo mama się na to nie zgodzi. Tak czy siak, to się nie skończy dobrze.

– Jak mama może decydować o tym, co się stanie z Reginą. Regina nawet nie zna mamy.

– Wiem, Camille.

– Pani G. jest jej mamą. Jak można zabrać dziecko komuś, kto uważa, że jest jego matką? Regina nawet mówi do niej „mamo”.

– Camille, daj spokój. Pani G. nie jest jej mamą. A Regina nie jest małym dzieckiem, w tym roku idzie do przedszkola.

– Jeszcze nie powinna, ma dopiero cztery lata!

– Albo pójdzie do przedszkola, albo będzie całe dni spędzała z mamą – mówi Cherie. – W szkole będzie bezpieczniejsza! Nie kłóć się ze mną, dobrze? Regina należy do nas. – Cherie milknie i głęboko wzdycha. – Chciałabym, żeby pani G. adoptowała nas wszystkie. Chciałabym zostać.

– Ja też – odpowiada Camille.

– Ja też, ja też!

Słyszę, że dziewczyny się śmieją, bo włączyłam się do rozmowy. Cherie przeżywa Camille i mnie „Ja też”, bo cokolwiek powie starsza siostra, młodsza też to chce.

– Mówić „ja też” nauczyłaś się w Szczęśliwym Domu – mówi Cherie, a potem schyla się i ściera mi brud z twarzy. – Pamiętasz Szczęśliwy Dom?

Kręcę głową.

– Co to jest Szczęśliwy Dom?

Odkąd pamiętam, mieszkałam z mamą, tatą i ich nastoletnią córką, Susan. Kocham mamę i tatę, ale każdą chwilę spędzam z Susan. Nosi długą sukienkę w kwiaty i przypomina mi księżniczkę z bajki. Uwielbiam się do niej przytulać, bawić się jej aksamitnymi włosami w kolorze kasztanowym albo wplatać palce w jej długie naszyjniki ze skóry i drewna.

Cherie wyciąga mnie spod stołu. Ona i Camille biorą mnie za

ręce i prowadzą do domu, do mamy.

– To jest Szczęśliwy Dom – mówię do Cherie.

– Nie, Gi, to jest Bąbelkowy Dom.

– Co?

Kiedy wchodzimy do domu, mama i Susan płaczą w kuchni.

– Czemu płaczecie?

– Będziesz mieszkać z nową mamą – mówi Susan przez łzy.

Zdziwiona przekrzywiam głowę.

– Ja już mam mamę. Można mieć dwie?

– Ty masz dwie mamy. I małego braciszka! – dodaje mama.

Cherie włącza się do rozmowy.

– Ma na imię Norman.

Jak przez mgłę pamiętam, że mówiłam „mamusiu” do kogoś innego, bo tamta pani chciała, żeby ją tak nazywać. Byłam u niej w ostatnie Boże Narodzenie. Mama ubrała mnie jak księżniczkę w szkarłatną aksamitną sukienkę, skórzane lakierowane buciki i czyste białe podkolanówki. Susan zaczęła nazywać tamtą mamę Gwiazdkową Mamą, bo chciała dać nam prezenty świąteczne. Ale nie rozumiem, czemu chce nas widzieć teraz, przecież na 4 Lipca nie dostaje się prezentów.

– Czy to Gwiazdkowa Mama?

Śmieją się, ale w końcu mama zaczyna znowu płakać.

– Tak, skarbie – mówi. – To twoja Gwiazdkowa Mama.

Uśmiecham się do wszystkich.

– Dostanę gwiazdkowe prezenty?

Susan i mama pakują mnie na drogę do Gwiazdkowej Mamy. Zastanawiam się, po co mi tyle ubrań? Mama układa poskładane w kostkę pranie w walizce i wyjaśnia, że chociaż jest lato, musimy spakować też ubrania zimowe.

– Dlaczego?

– Na wypadek gdybyś została ze swoją Gwiazdkową Mamą.

– Aż do Gwiazdki?

Mama przez chwilę nic nie mówi.

– Tak.

Pomagam pakować ubrania, lalki i pluszowe zwierzątka, a

także zabawkowego Jezuska, który leży na plastikowym sianku.

W samochodzie Cherie i Camille nic nie mówią. Za to ja mówię, paplę coś o Gwiazdkowej Mamie i o tym, że liczę na nowe zabawki, nowe lalki, a może nawet kuchnię, żeby mama i Susan mogły pokazać mi, jak się piecze ciasto, kiedy tata przyjedzie zabrać mnie z domu Gwiazdkowej Mamy.

Tata zwalnia, a potem zatrzymuje się przy samotnym budynku stojącym pośrodku skrzyżowania trzech ulic.

– To tu? – wybucha. – Tutaj będą mieszkać?!

Susan szepcze do niego coś, co zdumiewa mnie jeszcze bardziej:

– To tylko wizyta na święta, tato, pamiętasz?

Tata odwarkuje:

– Dosyć tych bajeczek, Susan. – Mówi takim głosem, jakby się dławił, trochę jak żaba. – Ona zorientuje się, co się dzieje, jak tylko odjedziemy.

– Nie odjeżdżajcie – proszę.

Wysiadają z samochodu, tylko ja, Camille i Cherie czekamy na tylnym siedzeniu, aż wypakują bagażnik. Przyglądam się, jak tata idzie do drzwi wejściowych i wraca cały czerwony. Żyły na szyi mu pulsują. Wygląda przerażająco. Później wrzeszczy:

– To jest jakaś przeklęta fabryka kleju! – Nigdy nie widziałam go takiego rozwścieczonego. – Ich mieszkanie... znajduje się nad fabryką kleju!

– Tato, ćśśś...

– Nie mogła znaleźć domu w jakimś normalnym miejscu? Musiała wybrać pieprzoną fabrykę kleju na środku skrzyżowania?!

Szarpie za koszulę, jakby próbował się uspokoić, a potem kieruje mamę i Susan z naszymi bagażami na schody. Prowadzi nas do bocznych drzwi. Zatrzymuje się i obejmuje Cherie i Camille ramionami. Przytula je z całej siły i zbiera się w sobie, żeby się nie rozkleić.

– Bądźcie dzielne i dbajcie o siebie – mówi. – Szczególnie o Reginę. Będzie potrzebowała starszych siostr bardziej niż kiedykolwiek.

Potem odwraca się do mnie, porywa mnie z ziemi i pozwala położyć głowę na jego ramieniu.

– Tato, czemu jesteś taki smutny?

– Wiesz, że zawsze będziesz moją księżniczką, prawda?

– Wiem, tato – mówię i obejmuję go za szyję. – A ty będziesz moim królem.

On mnie przytula, a mama i Susan odwracają głowy. Potem tata lekko stawia mnie na ziemi obok sióstr i tym samym żabim głosem mówi do mamy i Susan, że nie da rady iść na górę i że będzie czekał w samochodzie.

Mama chrząka i bierze za rękę najpierw Cherie, a potem Camille. Wszystkie trzy idą wąskimi schodami. Nie słychać nic oprócz odgłosu ich butów na pustych stopniach. Susan trzyma mnie za prawą rękę, a lewą trzymam się poręczy.

– Hej, Susan, spójrz! – Robię to, czego ona, Cherie i Camille uczyły mnie na wypadek, gdybym się bała albo była smutna: liczę. – Jeden schodek, dwa schodki...

Kiedy docieramy do półpiętra, patrzę na Susan. Czemu nikt się nie śmieje ani nie podskakuje? Nikt się nie cieszy. Otwierają się drzwi i staje w nich Gwiazdkowa Mama.

Jest chuda, a kruczoczarne włosy ma spięte w ciasny kucyk. Oczy mocno wymalowała jak jedna pani w telewizji. Ubrana jest w długą czarną suknię bez rękawów, która w talii związana jest paskiem. Na nogach ma sandały na małych obcasach. Wydaje się ładna, ale jednocześnie przerażająca. Za nią stoi wysoki, chudy mężczyzna. Zza niego wychodzi duży pies z kudłatą sierścią. Chowam się za Cherie. Pies siada przy mężczyźnie.

Cherie i Camille pozwalają Gwiazdkowej Mamie się objąć.

– Witajcie w domu, dziewczynki – mówi Gwiazdkowa Mama. Potem patrzy na mnie i pokazuje na kuchnię, w której stoi żółty stolik z aluminiowymi nogami. – Regina, jestem twoją matką. Kocham cię, a to twój trójkołowiec.

Trójkołowiec?

Moja matka?

Mocniej ściskam dłoń Susan. Nikt się nie cieszy i wszyscy na

mnie patrzą. Gwiazdkowa Mama stoi jak robot z kreskówki, uśmiecha się, mruga i czeka, aż coś powiem. Susan pochyla się i szepcze:

– Powiedz „dziękuję”, Myszko. Obejrzyj swój prezent.

Patrzę na rower, a potem na podłogę. Zaczynam chlipać, a później płaczę na całego, w luźną spódnicę Susan.

– Ja go nie chcę – mówię. – Jeszcze nie ma Gwiazdki. – Płaczę, aż Susan przytula mnie mocniej. W końcu odwracam się w stronę Gwiazdkowej Mamy. Boję się na nią patrzeć, więc nie patrzę, ale przez łzy mówię: – Dziękuję za trójkołowca.

Mama mówi, że muszą już iść. Ściska Gwiazdkowej Mamie rękę i mówi jej, żeby dbała o swoje skarby. Potem mama i Susan mocno, ale szybko przytulają nas wszystkie, zbiegają po schodach i znikają.

Ta wizyta jest inna niż na święta. Chcę, żeby mama i Susan wróciły i krzyczę za nimi. Gwiazdkowa Mama mnie ucisza i prowadzi nas do pokoju z dwoma małymi łózkami. Mój płacz przeradza się w świdrujący w uszach pisk:

– Mamo! Mamo! Mamo!

Wtedy czuję uderzenie w policzek. Mocne plaśnięcie otwartą dłonią. Głowa odskakuje mi aż na lewe ramię, ale zaraz potem leci z powrotem, bo obrywam w lewy policzek i upadam na podłogę.

– Przestań płakać albo dam ci powód, mała szmato! – wrzeszczy Gwiazdkowa Mama. – Ja jestem mamą. Zrozumiałaś? Ja jestem mamą.

Nie. Nie, nie! Patrzę na Cherie i Camille.

– To jest twoja mama – mówi Cherie. Jest smutna.

– Posłuchaj starszej siostry, mała zdziro. Ona ma rację.

Wzięłaś się ze mnie. Z tego brzucha. Jestem twoją mamą.

Nie.

Nie. Nie chcę, żeby była moją mamą.

– Chcę do taty.

– Ach, tak? Chcesz do taty? – pyta Gwiazdkowa Mama. – To masz problem, bo on cię nie chciał. Zresztą nic dziwnego, jesteś bezwartościowa. Mnie też nie chciał, więc zamknij się i nie pieprz



o żadnym tacie. Zrozumiałaś? Nie chcesz, żebym zaczęła mówić o tym aroganckim, egoistycznym worze gówna.

Prawie zaczynam znów płakać, ale podbiega Camille i mnie obejmuje. Gwiazdkowa Mama poleca jej i Cherie zejść po nasze rzeczy.

– Sama się zajmę tym gównem – mówi. Patrzy na mnie z szaleństwem w oczach i mam ochotę znów się rozpłakać. Przecież nie zrobiłam nic złego. Mama i Susan nigdy tak na mnie nie krzyczały.

Cherie i Camille stoją w drzwiach i patrzą z przerażeniem.

– Idźcie, do jasnej cholery! – krzyczy ona.

Kiedy biegną po schodach, Gwiazdkowa Mama mówi, że chciałaby, żebym umarła, bo nigdy nie powinnam się była urodzić. Potem pochyla się i prawą ręką ciągnie mnie na nogi. Bije mnie w oba policzki, a potem zatrzaskuje drzwi i zamyka na klucz.

Całymi dniami siedzę zamknięta w tym pokoju. Wypuszczają mnie tylko do toalety, na kąpiel i żebym coś zjadła. Kiedy zaczynam płakać, przybiegają starsze siostry i błagają, żebym przestała. Przypominają mi o liczeniu. Więc liczymy. One wychodzą. Ja śpię. Budzę się i siedzę, znudzona. Liczę. Liczę. Płacę. One przychodzą. Liczę.

W pokoju jest gorąco, więc zdejmuję ubranie, żeby się ochłodzić. Wspinam się na jedno z łóżeczek i otwieram okno na drugim piętrze, żeby wpuścić trochę powietrza. Za oknem widzę wielki budynek, z którego wyjeżdżają czerwone ciężarówki. Każdego popołudnia z żółtej syreny na dachu budynku dobiega głośny, przerażający alarm. Wychylam się z okna i wypatruję kogoś, kto mnie uratuje. Kiedy dociera do mnie, że nikt nie przyjdzie, opieram brodę na rękach i rozglądam się po okolicy. Widzę mnóstwo samochodów zaparkowanych wzdłuż asfaltowego podjazdu na dole, las po drugiej stronie ulicy, światła drogowe i wiele samochodów, którymi jeżdżą rodziny. Liczę auta na parkingu i te przejeżdżające ulicą, liczę lśniące czerwone strażakowozy. Tego słowa nauczyły mnie Cherie i Camille. Często je powtarzam, bo śmieją się wtedy tak, że się przewracają, a to z kolei śmieszny

mnie.

Gwiazdkowa Mama w końcu mówi, że mogę wyjść na dwór i pojeździć na trójkołowcu, pod warunkiem że przestanę mówić do niej „Gwiazdkowa Mama”.

– Na litość boską, ile razy mam powtarzać! Mów po prostu „mama”!

Kiwam głową.

Razem z siostrami znosimy po schodach mojego trójkołowca, a potem bawię się na chodniku. Obok mnie śmigają samochody. Staram się być cicho i tylko liczyć, dzięki czemu mogę być na dworze prawie cały czas. Kiedy robi się naprawdę gorąco, rozbieram się do naga i zataczam na rowerze wielkie koła, żeby ochłodzić się w pędzie powietrza Pracownicy fabryki kleju wybiegają na zewnątrz, grożą mi palcami, wypatrują mojej matki i mówią, że jestem za mała na bawienie się w Lady Godivę. Siostry zbiegają po schodach i gonią mnie z moim ubraniem.

Chyba pokazałam mamie, że umiem o sobie zadbać, bo któregoś dnia oznajmia, że będę mieszkać w pokoju z Małym Normanem. Twierdzi, że jest zmęczona opiekowaniem się trzema bałaganiarami i ktoś musi jej pomóc w opiece nad małym księciem. Mówi, że będę musiała pracować pieluchy Normana, kąpać go i nauczyć go załatwiać się na nocnik, tak jak sama się nauczyłam. Jeśli zabrudzi pieluchę, to moja wina, więc pod moją opieką w ogóle nie wstaje z nocnika. Jeśli wstaje i próbuje uciekać bez majtek, biegnę za nim po korytarzu i kuszę z powrotem zabawkami, które mama kupuje mu w lumpeksie. Mama uczy mnie pracować tetrowe pieluchy w wannie.

– Nigdy nic nie wiadomo, jeszcze mogą się przydać – mówi.

Wszystkie mamy obowiązki. Cherie i Camille gotują i zmywają naczynia. Ja ścieram kurze i sprzątam łazienkę. Wszystkie na zmianę zajmujemy się Małym Normanem.

W nocy wraca do domu mąż mamy, który też ma na imię Norman. W ciemności potyka się na schodach. Jeśli jest z mamą i są w dobrych humorach, idą spać i w domu zapada cisza. Ale gdy Norman wpada w szal, to bije mamę, a my musimy być naprawdę

bardzo grzeczne. Jeśli dom jest nieposprzątany albo źle zmienimy Małemu Normanowi pieluchę, mama bije nas tak samo, jak Norman zbił ją.

Po kilku tygodniach moje siostry przestają się ze sobą bawić. Już nawet nie rozmawiają, nikt się nie śmieje. Jeśli obiad nie jest gotowy albo naczynia są mokre, mama chce wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny i kto ma dostać lanie. Moje siostry wskazują palcami na siebie wzajemnie, a mama stoi z rękami na biodrach i zastanawia się, której z nich chciałaby zrobić krzywdę. Cherie i Camille już nie starają się mnie pocieszać, a kiedy płaczę, krzyczą, że mam się zamknąć.

– Chcesz znowu oberwać?

Wszystkie walczymy o siebie. Mama kocha tylko Małego Normana.

To już nie jest moja rodzina. Są jak dziwne, złowrogie duchy. Kiedyś kochałam Cherie i Camille najbardziej na świecie, ale w domu mamy stały się innymi ludźmi. Wolałabym być sama niż z nimi, więc kiedy któregoś wieczoru mama i Duży Norman wychodzą, wymykam się z mieszkania i schodzę trzydzieści sześć stopni w dół. Przebiegam przez ulicę i idę do lasu. Chowam się. Pozostaję w ukryciu nawet, gdy słyszę, że Cherie i Camille mnie wołają. Później dołączają do nich mama i Duży Norman, ale ja zamykam oczy. Już nigdy nie wyjdę. Wciąż wołają, ale wiem, że mnie nie znajdują. Układałam się do snu pod stertą liści, ale... Czy to Susan mnie woła?

– Mała myszko! Księżniczko elfów!

Słyszę ją, raz za razem. Podrywam się. Susan przyjechała, żeby zabrać mnie do domu. Wiem to! Wybiegam z krzaków i pędzę w stronę jej głosu, prosto w jej ramiona. Słyszę krzyki Cherie i Camille.

– Była w lesie, znaleźliśmy ją! – Susan niesie mnie na ulicę, gdzie widzę samochód taty. Wiedziałam, że po mnie wróca! Ale Susan nie zatrzymuje się przy samochodzie, żebym mogła wsiąść. Mija auto i niesie mnie w stronę fabryki kleju.

– Nie! – wrzeszczę.

Wnosi mnie po schodach aż na półpiętro, gdzie stoi mama.

– Tak się cieszę, że nic ci nie jest! – Mama uśmiecha się do Susan. – Po kąpeli dam jej owsiankę i położę ją do łóżka. – Patrzy na mnie z uwielbieniem i dodaje: – Mógł cię zaatakować jakiś pies, albo co gorsza, mogłaś wpaść pod samochód, głuptasku! Wszystkich nas porządnie wystraszyłaś.

Susan znów całuje mnie na do widzenia i schodzi po schodach. Ja płaczę, a mama zamyka drzwi.

Stoi nade mną z fałszywym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Później zaczyna wyglądać groźnie.

– Pojechali już, Cherie?

Cherie stoi przy oknie i kiwa głową.

– Nie! – błagam. Czy ona nie wie, co się teraz stanie?

W jednej chwili mama całą energię skupia na mnie, łapie mnie za włosy i rzuca mną o ziemię. Wydaje mi się, że wyrwała mi te włosy, a skóra na czaszce została rozerwana. Próbuję zasłonić twarz rękami, ale odtrąca je i łapie mnie w pasie. Podnosi mnie i ciska mną o ścianę, aż dudni. Kiedy zsuwam się na podłogę i ląduję na plecach, chwytą mnie za prawą rękę i za nogę i przewraca na brzuch. Następnie kopie mnie po nogach, w brzuch i w plecy, aż jestem całkiem słaba i głowa zaczyna mi ciążyć. Słyszę dzwonięcie w mózgu. Widzę tylko biel i już nie mam siły się poruszać.

Kiedy się budzę, jestem naga. Próbuję usiąść, ale ręce odmawiają mi posłuszeństwa. Chcę podnieść głowę, żeby sprawdzić, dlaczego nie mogę się ruszyć i okazuje się, że ręce mam przywiązane ciasno do boków, a następnie do kaloryfera. Nogi są związane w kostkach i przywiązane do łóżka. Kiedy się o tym przekonuję, muszę opuścić głowę. Wydaje mi się, że mam opuchnięty mózg. Zamykam oczy.

Czuję zimno. Kiedy znów otwieram oczy, widzę Camille z mokrą szmatką, która chyba ma w środku lód.

– Gdzie jest Susan?

– Gi, Susan jest tylko naszą przybraną siostrą. Już z nią nie mieszkamy.

– A nie możemy tam wrócić?

– Nie – szepcze. – Przynajmniej dopóki policja nie dowie się, że mama nas bije. – Camille, wciąż szepcząc, opowiada mi, że kiedy mama mnie związała, kazała im zabrać z pokoju wszystkie ubrania, żeby nie mogła znów uciec. – Tak to się kończy, jak nie słuchasz mamy – mówi na koniec. Chciałabym splunąć jej w twarz, ale nie mam siły podnieść głowy.

Jakiś czas potem Duży Norman mówi mamie, że jeden dzieciak mu wystarczy i nie ma zamiaru harować na trzy dziewczuchy i ich głupie zachcianki. Zaczynam coraz więcej czasu spędzać poza domem, a któregoś ranka mama płacze przy kuchennym stole, pali papierosa i mówi, że Norman oszedł na zawsze.

Twierdzi, że potrzebuje czasu dla siebie, więc za kilka dni pójdę do przedszkola, chociaż mam tylko cztery lata. Urodziny mam w listopadzie, więc pewnie będę najmłodsza w grupie. Mówi mi też, że muszę używać jej nazwiska, bo nie mam taty jak Norman.

– Jesteś bękartem, pamiętasz o tym? – pyta. – Twój tatuś cię nie chciał. Trudno go winić. Jesteś małym zarozumiałym gównem, tak jak on. – Cherie słyszy te słowa i mówi mi potem, żeby nie martwiła, że mam na nazwisko tak samo jak mama, bo ona też się tak nazywa. To poprawia mi humor. Fajnie jest nazywać się tak jak Cherie.

– Gdzie jest mój tatuś? – pytam ją.

Mówi tylko:

– Myślę, że jest w Szczęśliwym Domu.

Gdzie jest ten Szczęśliwy Dom?!

– Możemy tam pojechać?

– Może któregoś dnia, jak będziesz starsza, uda nam się znów go znaleźć.

Ale ja chcę go znaleźć teraz.

Moje zajęcia kończą się wcześniej niż lekcje Cherie i Camille, więc muszę czekać w szkolnej bibliotece, aż będą mogły odprowadzić mnie do domu. To przyjemne, cały czas oglądam

sobie książki, ale moje siostry często za karę zostają po lekcjach. Opuszczają szkołę, żeby zajmować się Normanem, nie odrabiają prac domowych i mówią, że ich sytuacji wcale nie ułatwia fakt, że mężczyzna, który w nocy zakrada się do naszego domu, woli mamę od swojej żony, która jest ich nauczycielką. Kiedy mają karę, ja za długo siedzę w bibliotece i nie mogę pilnować Normana. Moje siostry wiedzą, że możemy za to dostać lanie. Mówią, że muszę sama wracać do domu, ale mam przechodzić przez ulicę tylko z kimś i iść wzdłuż wystaw sklepowych.

Następnej jesieni mama poznaje mężczyznę o imieniu Vito, który zawsze jest ubrany na czarno i opasany czarnym grubym pasem, którego nie wolno nam dotykać. Vito jest dla nas miły, nie tak jak Norman, ale dwaj przyjaciele, którzy zawsze z nim przychodzą, są dziwni. Bardzo cisi i zawsze mają ciemne okulary, nawet w nocy. Wiem to, bo kiedy Vito śpi w pokoju mamy, jego przyjaciele siedzą na dole w samochodzie i na niego czekają, bo zawsze musi dokądś jechać.

Mama prawie cały czas spędza u Vito, ale my uwielbiamy być w domu bez niej. Kiedy topnieje śnieg, zabieramy nasze drobne pieniądze, ubieramy Normana i idziemy na długi spacer do sklepu i kupujemy sobie jabłkowe, winogronowe i arbuzowe kręcone lizaki i naszyjniki z cukierków.

Później, po drodze do supermarketu King Kullen, zostawiamy Normana w domu. Zamykamy go dla bezpieczeństwa samego w pokoju i idziemy zrobić zakupy za kartki żywnościowe mamy. Camille i Cherie biorą dwa wózki, a ja stoję na półce wózka Cherie i moim zadaniem jest sumowanie cen produktów, które ona wybiera, żeby na pewno starczyło nam kartek. Kiedy wykładamy zakupy na kasie, mam schować kilka pustych worków. Później Cherie mówi kasjerce, że musimy znaleźć siostrę i wjeżdża z powrotem do sklepu, żeby znaleźć Camille, która przekłada zawartość swojego wózka do moich toreb, kiedy nikt nie widzi. W wózku Camille są zawsze lepsze rzeczy: czekoladowa pasta do chleba, masło orzechowe, mrożone pączki i dużo ciast w proszku. Następnie wychodzimy z naszym ładunkiem.

Wolimy być sami. Oglądamy *Ulicę Sezamkową*, *The Electric Company* i *Flintstone'ów*, a mama nie każe nam włączać nudnych programów jak *Guiding Light* czy *As the world turns*. Kiedy na dworze jest zimno albo pada, sięgamy po gry, które mama dostaje z Armii Zbawienia dla Cherie i Camille. Gramy w remika 500, w szachy i warcaby, w connect 4 i okręty. Na zmianę karmimy Normana i uczymy go nazw przedmiotów. „Kanapa”, mówimy mu. „Telewizor”. „Żarówka”. Uczymy go też oczywiście siusiać na nocnik

Zaczyna się wiosna i mamy nie ma jeszcze częściej, więc chodzę do ogródka i robię babki z błota i łapać robaki i mrówki. Raczej opuszczamy szkołę, niż do niej chodzimy, co w końcu sprowadza do nas inspektora, więc chwilowo znów uczęszczamy na lekcje.

Kiedy robi się cieplej, mama wraca do domu. Zawsze narzeka, że bolą ją plecy.

– Przygotujcie się – mówi – bo na Halloween dostaniecie nowego braciszka albo siostrzyczkę.

Mama i Vito planują wakacje, więc ona zaczyna pracę w delikatesach po drugiej stronie ulicy. W weekendy zabiera mnie, żebym ładowała zamrażarki. Ma za duży brzuch, żeby się gimnastykować, a ja jestem na tyle drobna, żeby czołgać się po podłodze i ustawiać soki, mleko i puszki z napojami na najniższych półkach. Następnie myję blaty i podłogę przed otwarciem sklepu.

Szkoła kończy się w czerwcu, a wtedy Cherie, Camille i ja pakujemy Normana do wózka i idziemy trzy kilometry w nasze ulubione miejsce: na plażę Cordwood. Mijamy domy, które wyglądają jak pałace za ciężkimi, kutymi z żelaza bramami, aż docieramy na miejsce. W słoneczne dni pełno tam dzieci, które chlapią się w wodzie, budują zamki i krzyczą, kiedy znajdą kraba albo meduzę. Bawimy się z nimi w piasku i w wodzie, a w przerwach wspinamy się do ruin starego ceglanego domu, który wygląda jak zamek i skaczemy z pływającego doku. Nawet w szare dni wolimy dać się wysmagać wiatrowi i deszczowi niż

nudzić się w domu w fabryce kleju. Piszcząc, kopujemy rękami i nogami w wilgotnym piasku w poszukiwaniu małży, polujemy na ławice omulek i pakujemy je do kieszeni. Po drodze zrywamy też trawę cebulową. Będzie pyszna kolacja.

Zaraz po rozpoczęciu przeze mnie pierwszej klasy przychodzi na świat nasza siostra. Jesteśmy zachwyceni tą małą dziewczynką. Nie jest podobna do żadnego z nas, bo ma jasną skórę i blond włosy tak jak Vito.

Czasem lubię wyobrazić sobie, że mój tata miał brązowe włosy, takie jak ja.

Na chrzest Rosie w kościele pod wezwaniem św. św. Filipa i Jakuba ubieramy ją w długą białą szatkę. Vito przez całą ceremonię śmiesznie wygląda w ciemnych okularach i obstawie dwóch przyjaciół, nawet na pamiątkowych zdjęciach. Po chrzcie musimy zająć się sami sobą, bo Vito zabiera mamę na wycieczkę, która ma uczcić narodziny dziecka. Lecą do Lake Havasu w Arizonie i jest to pierwsza podróż lotnicza mamy. Po powrocie mówi, że świetnie się z Vitem bawili, ale on już nie będzie się z nami widywał, bo „przez jakiś czas zamieszka gdzie indziej”.

Wkrótce potem mama też znika. Coraz więcej nocy spędza poza domem, a kiedy wraca z popijaw, przyprowadza albo jakiegoś mężczyznę, albo kaca, a najczęściej jedno i drugie. Nauczyliśmy się schodzić jej z drogi, bo kiedy jest smutna albo źle się czuje, nieźle za to obrywamy. Kiedy przychodzą mężczyźni, zawsze mówią, że jesteśmy ślicznymi dziewczynkami. Patrzymy pod nogi i odchodzimy. Gdyby tylko wiedzieli, jaki problemy mamy z powodu ich komplementów. Gdy wychodzą, mama upewnia się, że wiemy, że jesteśmy dziwkami i szmatami, a tylko Norman jest jej małym księciem.

– Myślicie, że takie jesteście ładne? – pyta po wyjściu gościa.  
– To chodźcie tu. Zmienicie zdanie, jak z wami skończę.

Kilka miesięcy po urodzeniu Rosie mama nie wygląda już jak nasza mama. Zamyka nas w swoim pokoju i płacze, że w wieku trzydziestu lat straciła ciało tancerki go-go i z powodu nerwów, jakie kosztuje ją wychowanie dzieci, ma pomarszczoną i



opuchniętą twarz.

– Moje życie nie ma sensu, to wszystko przez was, gówniarze! – krzyczy.

Im jest nieszczęśliwsza, tym więcej pije, a im więcej pije, tym jest grubsza. W czasie tych jej tyrad obrywamy ja, Cherie i Camille. Nie pozwalamy jej się zbliżyć do Norma i Rosie, ale zwykle i tak jest zbyt zmęczona, żeby zawracać sobie głowę maluchami.

Uczymy Rosie mówić, siusiać na nocnik, chodzić i bawić się. Dbamy, żeby opływała w piękne słowa miłości, takie jak „mia bambina amore” i „je t’aime”. Nie wiemy, skąd je znamy, ale powtarzamy je po sto razy dziennie.

Nasze zachwyty nad Rosie drażnią mamę jeszcze bardziej, ale teraz zamiast sprowadzać do domu mężczyzn, zaczyna ściągać zwierzęta, żeby poprawić sobie nastrój. Chodzimy po domu na palcach i uczymy Rosie, żeby nie zbliżała się do małpek, żółwi i kur, które mama usiłuje ukrywać przed właścicielem budynku. Trzy sajmiri wiewiórcze siedzą w klatce, a mama przypomina nam, żebyśmy do karmienia ich wkładali rękawiczki, bo małpki zjedzą nasze palce na przystawkę. Niestety, żółte rękawiczki do zmywania naczyń nie nadają się do opieki nad przedstawicielami naczelnymi: jedna z małpek ogryza czubek palca z rękawiczki i dławi się na śmierć. Mama zmusza nas do uczestnictwa w poruszającej ceremonii pogrzebowej w ogródku. Sprzątamy kupy osła, który mieszka na dachu krytym papą, gdzie czasem bierzemy prysznic przy użyciu szlauchu, bo nie możemy korzystać z wanny – mieszkają w niej żółwie. To nasi ulubieńcy. Kiedy zostajemy uziemieni w naszych pokojach, bierzemy z wanny kilka żółwi i układamy im trasę z kawałków jedzenia, żeby sprawdzić, który pokona ją pierwszy. Ale ponieważ wanna jest tylko jedna, a musi się w niej kąpać nasza piątka plus pranie, pewnej nocy żółwie znikają w tajemniczych okolicznościach.

Kury zostają tylko do momentu, kiedy dowiaduje się o nich właściciel budynku. Zazdroszczę tym zwierzętom łatwości, z jaką opuszczają dom mamy. Jedyną szczęśliwą i pełną miłości istotą,

jest Pepper, mieszaniec owczarka niemieckiego. Zabieramy go na szkolne boisko, żeby z nim biegać albo chodzimy na długie spacery na pobliskie farmy. Czasem symulujemy katastrofę: on biegnie na pola, a my, pod pretekstem ścigania go, zbieramy kukurydzę i ziemniaki na obiad.

W grudniu, gdy jestem w drugiej klasie, mama znów znika. Pracownicy fabryki kleju, pilnujący przejścia dla pieszych i strażacy są pełni podejrzeń. Czasem widzimy zaparkowany na zewnątrz radiowóz i Cherie mówi, że musimy być ostrożni, bo nas obserwują.

Jesteśmy gotowe na przybycie policji, gdy oni dopiero idą po schodach. Zorientowałyśmy się, że złapali Normana wałęsającego się w ciemności na zewnątrz i odprowadzą go do domu. Wiemy, że nas obserwowali i czekali na jakieś potknięcie, a Norman niechcący ułatwił im zadanie. Wchodzi dwóch policjantów i wyprowadzają nas, choć jesteśmy w piżamach. Normana sadzają na przednim siedzeniu, pomiędzy nimi, a my, dziewczyny, siadamy z tyłu, przy czym Rosie na kolanach Cherie. Każą nam być cicho, ale jesteśmy pięciorgiem dzieci, które znalazły się bez mamy w radiowozie. Nie jesteśmy cicho. Jesteśmy dziećmi.

Jest połowa grudnia. Zapada decyzja, że czworo starszych zostanie umieszczonych w domu zastępczym razem, żeby nas nie rozdzielać na święta, ale Rosie, która ma dopiero rok, zostaje zabrana gdzie indziej.

Zastępcza rodzina układa nas w śpiworach na podłodze salonu. Rodzice i ich dwóch nastoletnich synów zmuszają nas do leżenia w śpiworach dzień i noc. Nie wolno nam się ruszać ani narzekać. Jeśli nie słuchamy, zapinają śpiwory do końca i biją nas, gdy jesteśmy uwięzieni w środku. Jeśli za głośno płaczemy, kara jest jeszcze gorsza. Któregoś dnia zastępcza mama łapie mnie za głowę i gigantycznymi nożyczkami obcina moje długie loki. Kiedy pracownik opieki społecznej zagląda do nas i pyta, co się stało, tłumaczy, że posklejałam włosy gumą do żucia i musiała ją wyciąć. A przecież nie żułam gumy, odkąd ostatni raz byłyśmy z siostrami na zakupach w sklepie Saint James.

Któregoś dnia znika cała paczka batoników lodowych. Chłopcy siłą otwierają mi usta, żeby powąchać mój oddech i stwierdzają, że to ja ukradłam batony. Znow zostaję zbita, tym razem przez nich i ich mamę, a Cherie, Camille i Norman muszą na to patrzeć bez słowa. Jeśli próbujemy bronić się wzajemnie, ofiara dostaje jeszcze gorsze lanie.

Którejś nocy czuję przez sen, że mi zimno. Jakimś cudem wypadłam ze śpiwora? Budzę się i wtedy się okazuje, że nie mam na sobie dołu od piżamy, a dwóch chłopaków patrzy na moje intymne części ciała. Zaczynam krzyczeć, ale Cherie ani Camille nie ma w zasięgu wzroku. Norman, mimo grózb chłopaków, zaczyna ich kopać i krzyczeć, żeby mnie zostawili w spokoju. Kiedy ciągną mnie do siebie, każą Normanowi się uciszyć i mówią, że zamkną go na zewnątrz, na zimnie, tak jak siostry. Jestem sama i nikt mi nie pomoże. Kiedy zamykają drzwi do swojego pokoju, zaczynam liczyć.

Rozumiem już, co oznacza opieka państwowa. Susan, mama i tata nie byli moją prawdziwą rodziną, tylko ludźmi, którzy chcieli dać nam dobry dom po tym, jak policjanci odkryli, że mama źle się nami opiekuje. Teraz, po pobycie w złym domu, nasza piątka trafia do trzech różnych miejsc. Dla mnie bycie takim dzieckiem to jak bycie psem: nie masz żadnego wpływu na to, jaka rodzina cię przygarnie. Nawet jeśli jesteś źle traktowany, bardzo możliwe, że nikt nigdy nie dowie się prawdy i nie przyjdzie na ratunek.

Rosie zostaje tam, dokąd trafiła na początku, Camille i Cherie zostają odwiedzone do rodziny O'Malleyów, a ja i Norm do Tenleyów w mieście o nazwie Dix Hills, w którym małe domki stoją na jeszcze mniejszych trawniczkach, pół godziny drogi od poprzedniego domu. Dom jest drewniany, a włosy pana Tenleya pasują do szarej koszuli, którą codziennie wkłada do pracy. Pani Tenley kłóci się z pracownikiem opieki społecznej:

– Ktoś musi kupić tym dzieciom ubrania. – Twierdzi, że może to zrobić, ale zachowa paragony i zażąda zwrotu pieniędzy za poniesione wydatki.

Opiekun społeczny informuje Tenleyów, że ja sprawiam

kłopoty, a Norm jest aniołkiem i że muszą mieć na mnie oko. Tenleyowie przekazują te informacje mojej nauczycielce, która pierwszego dnia po przerwie świątecznej przedstawia mnie pozostałym uczniom drugiej klasy, mówiąc:

– Dzieci, to jest nowa uczennica. Ma na imię Regina, ale nie zostanie z nami długo, bo mieszka w rodzinie zastępczej.

Patrzę na nią i kręcę głową. Właśnie pogrzebała jakiegokolwiek szanse na bycie zaproszaną na przyjęcia urodzinowe nowych kolegów.

– Ciepło przyjmijmy ją na czas, który z nami spędzi. Zacznie od najniższej grupy czytania i liczenia.

Wtedy jej przerywam.

– Nie powinnam być w najniższej grupie – protestuję. – W poprzedniej szkole byłam w najwyższej.

Po tygodniu orientuje się, że miałam rację, i przenosi mnie do bardziej zaawansowanej grupy. Dzieci w szkole nie wiedzą, o czym rozmawiać z dzieckiem z biduła, więc większość wolnego czasu spędzam w pokoju na czytaniu mojej ulubionej książki *Judy Bloom Are you there, God? It's me, Margaret*. Wypożyczam też z biblioteki każdą książkę, w której jest mowa o Amelii Earhart.

W czasie pobytu u Tenleyów kończę drugą klasę, a moje siostry widuję raz w miesiącu, kiedy opieka społeczna ustali z obydwoma rodzinami termin odwiedzin. Kiedy spotykamy się pod koniec sierpnia, jest już z nimi Rosie. Bardzo schudła i była ciężko chora, bo odmówiła jedzenia. Była w szpitalu z powodu odwodnienia. Podśluchałam, jak jej matka zastępcza opowiadała pani Tenley, że lekarze zdiagnozowali u niej niedostateczny przyrost masy ciała. Nie przyjmowała wartości odżywczych z pożywienia, bo była zbyt przygnębiona rozdzieleniem z rodziną. Opiekunowie społeczni wierzą, że obecność Cherie i Camille uspokoi ją na tyle, że wróci do zdrowia. Wyrazili nadzieję, że otoczona miłością starszych sióstr zacznie nabierać ciała.

Pan Tenley ciągle mówi o Walterze Conkrite, ulubionym dziennikarzu, którego nazywa „najbardziej godnym zaufania człowiekiem w Ameryce”. Nie pozwala Normowi ani mnie

oglądać w telewizji niczego poza wieczornymi wiadomościami, więc siedzę na krawędzi kanapy, zajmuję się utrzymaniem równowagi i bezmyślnie gapię się w ekran.

Któregoś wieczoru, kiedy już zaczęłam naukę w trzeciej klasie, pan Tenley woła mnie do salonu.

– Nie chcę – odkrzykuję. – Mogę nie oglądać, odrabiam lekcje.

Po chwili pan Tenley wchodzi do mojego pokoju, bierze mnie na rękę i niesie na dół, a potem sadza na kanapie o drewnianym stelażu.

– To historyczny moment – mówi. – Prezydent Ford ułaskawi Richarda Nixona. Słuchaj uważnie. Zapamiętaj to na zawsze.

Widzę siedzącego za biurkiem prezydenta, który wygląda przyjaźnie, ale poważnie, ma na sobie czarny garnitur, a za nim jest wielkie okno. Mówi:

„Podjąłem decyzję, o której chcę poinformować was i wszystkich amerykańskich obywateli... Przysięgałem działać w zgodzie z konstytucją, walczyć o sprawiedliwość, jako że Bóg daje mi możliwość widzenia tego, co dobre, oraz robić wszystko co w mojej mocy dla dobra Ameryki.

Uważam, że Richard Nixon i jego najbliżsi wycierpieli już dość... Niniejszym zatem ja, Gerald R. Ford, udzielam Richardowi Nixonowi całkowitego i absolutnego ułaskawienia”.

W to Święto Dziękczynienia zobaczę się z mamą pierwszy raz od ubiegłego grudnia, kiedy policjanci złapali na ulicy Normana. Pan Tenley zawozi nas do Saint James, a ja wymagam na nim obietnicę, przypieczętowaną spleceniem małych palców, że przyjedzie po nas zaraz po obiedzie.

Mama mówi, że odwiedziny moje i Normana przyznał jej sąd. Opowiada o nowym facecie, który ma na imię Karl i że planuje kupić dom w Smithtown, żebyśmy znów mogli zamieszkać razem.

Cały czas wyobrażam sobie, że mam w uszach zatyczki, aż muszę pomóc jej przygotować obiad, a ona zaczyna mnie wypytywać o jakąś dziewczynkę.

– Jaka ona? – Nie znam żadnej „nistki”. Nie mam takiej koleżanki, żadna z moich nauczycielek się tak nie nazywa. Ale mama twierdzi, że jest jakaś ona, która się nazywa Nistka i że ja jej dotykałam i swoich intymnych części w nocy. Patrząc na nią zdumiona, a mama mówi, że nie wolno mi być nistką, tak jak ona.

– Pani Tenley powiedziała pracownicy socjalnej, Regina, a ona mnie. Masz dopiero dziewięć lat, nie wolno ci się tam dotykać. To brzydka rzecz, dziewczynki tak nie robią.

Kiwam głową, ale jestem zagubiona. Dotykam się tam, na dole, tylko wtedy, kiedy chcę bronić przed taką krzywdą, jaka mnie spotkała w ostatnim domu zastępczym.

## *Domki z piasku*

*marzec 1974–1976*

Wygląda na to, że co kilka miesięcy do naszej sprawy zostaje przydzielony inny pracownik socjalny, więc nie jestem zdziwiona, kiedy po mnie i Normana przyjeżdża nowa pani. Pomagam jej pakować nasze rzeczy do bagażnika, a pani Tenley stoi w drzwiach wejściowych. Woła do mnie:

– Regino, wiosna się jeszcze nie zaczęła! Włóż kurtkę. –  
Mówi mi też, że w nowym domu będę razem z siostrami, więc nie mogę się doczekać tak bardzo, że chłód mi niestraszny. W zasadzie nic mi niestraszne.

Przebiegam obok pani Tenley z ostatnim workiem, a ona mówi:

– Zachowujesz się, jakbyś nie mogła się doczekać wyjazdu stąd.

Patrzę na nią.

– Nie – odpowiadam. – Ale nie mogę się doczekać, aż zobaczę siostry.

Siedząc na tylnym siedzeniu, trzymam najnowszą plastikową figurkę Jezusa, a Norman bawi się G.I. Joe. W milczeniu wjeżdżamy na zadbany podjazd z równo przyciętą trawą przed pięknym domem w stylu kolonialnym, z podwójnymi drzwiami, dużymi mosiężnymi kołatkami i kolumnami sięgającymi pierwszego piętra.

– Co tu robimy? – pytam z tylnego siedzenia.

– Ten adres podała mi wasza matka.

Norm i ja patrzymy na siebie pytająco.

– Może powinna pani jeszcze raz sprawdzić.

– Pomożecie mi wyjąć rzeczy z bagażnika?

Nie ruszam się z miejsca. Wstyd przed pokazaniem się przed takim wspaniałym domem z workami na śmieci wywołuje kolejną prośbę.

– Proszę jeszcze raz sprawdzić adres. Powiedzą, że źle trafiliśmy. – Ale w tym momencie otwierają się drzwi.

Stoi w nich moja matka.

Patrzę na jej twarz, potem na ubranie. Ma na sobie koszulę w kwiaty i rozszerzane spodnie do pół łydki. Plisowane! Brak tego co zawsze niedbale związanego kucyka. Włosy pofarbowała na jednolity rudy kolor, a na wysokości podbródka starannie wywinęła. Żeby zrobić taką falę, potrzeba prawdziwej szczotki do włosów. Pamiętam, że kiedy mieszkaliśmy nad fabryką kleju, powiedziała mi, że jedyna dobra rzecz, jaką odziedziczyłam po ojcu, to włosy. Ale dzisiaj, po raz pierwszy, ona też ma ładne włosy. I jest szczuplejsza, niż pamiętałam. Czy to naprawdę ten sam potwór z Saint James?

Jestem jeszcze bardziej zaniepokojona, kiedy za nią pojawia się bezpretensjonalny, wysoki mężczyzna. Od razu wiem, że jest łagodny. Nosi zaczeskę, chude ramiona wystają mu z krótkich rękawów koszuli zapinanej na guziki, a spodnie ma podciągnięte aż do pępka i spięte skórzanym paskiem. Twarz dominują okulary w czarnej oprawie. Biorąc pod uwagę życie miłosne mojej matki, nie pozwalałam sobie na wielkie nadzieje. Zsuwam się w dół fotela i mamrocę do Normana:

– To pewnie nowy chłopak.

Wymieniają kilka grzecznościowych słów z pracownicą socjalną, a Norm i ja cicho wysiadamy z auta. Matka patrzy na nas i przywołuje na twarz uśmiech matki z reklamy telewizyjnej. „Moje słodkie, głupiutkie dzieciaczki!” Kiedy podchodzimy do drzwi, mężczyzna wyciąga do mnie rękę i mówi:

– Jestem Karl. Miło cię poznać.

– Pana też – odpowiadam. – Ładny dom.

– Po tym, jak zdałam egzamin na pośrednika handlu nieruchomościami – wtrąca mama – uwijałam się, żeby



sfinalizować ten zakup. Gdybyś widziała ten zastęp żon ze Stepford, przebierających nogami, kiedy wyciągałam z trawnika tablicę z napisem „Na sprzedaż”! Widzisz, to była transakcja wewnętrzna. Grunt to mieć znajomości.

Kiedy pokazuje mnie i Normowi dom, zachowuje się, jakbyśmy przez ostatnie półtora roku nie robili nic innego, tylko jadali w radosnej rodzinnej atmosferze wspólnie przygotowane śniadania. Nie mogę się doczekać, aż zapytam Norma, co myśli o narzeczoną, ale zadaję pilniejsze pytanie:

– Gdzie Cherie i Camille?

– Lada chwila powinny przyjechać szkolnym autobusem.

Uprzedzając pytania: tak, zapisałam cię do trzeciej klasy szkoły podstawowej Branch Brook Elementary. O wszystkim pomyślałam. – Jej głos odbija się echem w eleganckim holu: – A tak w ogóle, to możecie podziękować Camille za swoje pokoje. Pomogła zapłacić za dom.

– Camille? – Nie dowierzam. – Jak?

– Swoimi połamanymi nogami. Nie pamiętasz tej historii? Jak miała dwa lata, wpadła pod samochód. Kierowca założył dla niej fundusz, żeby mogła skorzystać z pieniędzy, kiedy dorośnie.

Idziemy za matką po imponujących drewnianych schodach.

– Więc gdzie są teraz te pieniądze?

– Stoisz na nich, skarbie.

Skarbie?! Trzeźwość zmieniła ją w innego człowieka!

– Rozmawiałam z prawnikiem o wyjęciu gotówki z lokaty.

Przekonałam go, mówiąc, wyobraź sobie, że kupuję ten dom tylko po to, żeby Camille i jej rodzeństwo wychowywali się w bezpiecznej okolicy. Sprytna Cookie, przyznaj! Chodźcie na dwór, zobaczcie basen!

A jednak dawna Cookie Calcaterra wygląda zza maski matki idealnej.

Norm i ja idziemy za nią w milczeniu, z mieszaną ekscytacją i wahaniem wpatrujemy się w prawdziwy, wkopany w ziemię basen. Nie wiem, jakie są szanse, że latem, w porze basenowej, będziemy tu jeszcze mieszkać.

– Powiedzieć wam najlepsze?

Spoglądamy na nią.

– Ten dom należy do mnie. Mam kredyt, nie muszę płacić czynszu!

Ta zachwycona domem część mnie łatwo włącza się w grę matki pt. „Szczęśliwa rodzina”. Gdy ona pracuje popołudniami, Cherie, Camille i ja coś gotujemy, a potem pomagamy Normowi w lekcjach. W porze kolacji Karl zasiada na honorowym miejscu przy kuchennym prostokątnym stole i uczy nas, żebyśmy mówili „proszę” i „dziękuję”, a także zaspokajają nasze prośby o opowieści z pracy. Jest inżynierem w fabryce samolotów Grumman Aerospace.

– Nie zadawajcie Karlowi zbyt wielu pytań – beszta nas mama. – Jego praca jest ściśle tajna.

– To żadna tajemnica, Cookie – mówi. – Dobrze, żeby wiedzieli o tych sprawach. – Potem zwraca się do nas i tłumaczy: – Aktualnie budujemy wojskowy samolot, którego Ameryka potrzebuje, żeby nas bronić przed komunistami z Rosji. Trwa zimna wojna. W każdej chwili mogą rzucić na nas bombę nuklearną, więc musimy być przygotowani.

Karl sądzi, że słucham go z takim zachwytem, bo jego historie są ciekawe, ale tak naprawdę nie mogę się nacieszyć tym, że zwraca na mnie uwagę. Czasem chciałabym zapytać mamę i Karla, jak się poznali, ale wszyscy wolimy żyć w złudzeniu, że zawsze byli razem. Mama jest znacznie spokojniejsza niż kiedyś. Twierdzi, że to dlatego, że Karl jest takim dobrym ojcem dla jej dzieci, ale Cherie i Camille mówią, że jej przyływ uczuć macierzyńskich wynika z faktu, że nie pije, a lekarz ustawił jej dobrze leki.

– Lekarz? – dziwię się. – Mama jest chora?

Cherie i Camille wymieniają sarkastyczne spojrzenia.

– I to jak – odpowiada Camille. – Chora na głowę.

Myśl, że zachowanie Cookie to tylko pozory, wywołuje mdłości, jak tamtego dnia, gdy pokazywała mi basen w ogrodzie.

– Wiesz, co mówią – kwituje Camille – jeśli coś wygląda na

zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, prawdopodobnie takie właśnie jest.

Nocą mama i Karl oglądają telewizję w salonie albo mama dzwoni w sprawach służbowych z kuchennego telefonu, a Karl czyta gazetę na rozkładanym fotelu z podnóżkiem. W tym czasie Cherie, Camille i ja usypiamy Rosie, która ma już dwa lata. Kładziemy ją w łóżeczku ze szczebelkami, które stoi przy ścianie w moim pokoju. Potem długo gadamy w pokoju Cherie i Camille, a ja pomagam im przyklejać do ścian zdjęcia Davida Cassidy'ego i Leifa Garretta. Czasem zapraszamy Normana, ale pod warunkiem że włoży purpurowe skarpetki i będzie udawał mojego Danny'ego Osmonda, podczas gdy ja będę Marie. Cherie i Camille przyłączają się do naszego tańca i śpiewu i czujemy się, jakbyśmy przenieśli się w te dawne dni na plaży Corwood.

Zauważam, że ponieważ podczas pobytu u Tenleyów nie mogłam zdawać się na Cherie i Camille, wydoślałam i wciąż łapię się na tym, że matkuję Normanowi. A chociaż on jest jedyną osobą w całym domu, która nie musi dzielić z nikim pokoju, wciąż pamięta, że to siostry nauczyły go sztuki przetrwania. Żeby nadrobić stracone lata, nasza piątka wszędzie chodzi razem. Po szkole idziemy na plac zabaw przy szkole podstawowej Branch Brook i spędzamy całe godziny, bujając się powoli na huśtawkach i rozmawiając albo piszcząc, gdy usiłujemy w pięcioro utrzymać równowagę na huśtawce równoważni. W zimne czy deszczowe dni korzystamy z faktu, że mama nie znalazła jeszcze wystarczającej liczby porzuconych mebli, żeby urządzić cały dom. Zabieramy radio do pokoju, który mama nazywa „wielkim”. Jest to ogromny salon, do którego schodzi się po schodku, a od podłogi do sufitu wypełniają go lustra, i jak wariaci tańczymy do piosenek z listy przebojów Top 40 Casey'ego Kasema. Tupanie na drewnianej podłodze niesie się echem. Kiedy leci *Swearin' to God* Frankiego Valli, gromadzimy się przy radiu, żeby wysłuchać wszystkich słów, które skwapliwie notujemy. Mama zawsze chce jako pierwsza nauczyć się na pamięć słów do najnowszej piosenki Four Seasons. Twierdzi, że łączy ją z nimi szczególna więź z

przeszłości, kiedy ona była tancerką go-go, a oni wschodzącą grupą z New Jersey, grającą w nocnych klubach na Long Island.

Któregoś dnia wraca do domu z pracy i nonszalancko prosi nas, żebyśmy pomogli jej wyładować zakupy z samochodu, a kiedy wychodzimy, przed domem zastajemy trzy rowery i nowy trójkołowiec dla Normana.

– Wow, mamó! – wykrzykujemy i natychmiast ruszamy do parku na naszych nowych maszynach. Mijamy Karla, który stoi przed domem z rękami w kieszeniach i w milczeniu się uśmiecha.

Przez ramię krzyczę:

– Karl, dzięki!

– Baw się dobrze, mała! – odkrzykuje.

Następnie mama zaczyna planować nową akcję: rodzinny portret – ona z pięciorgiem dzieci. Jakiś czas temu zaczęła w ramach hobby szyć dla nas. Kupiła bawełnę i aksamit w kolorach żółtym, różowym i niebieskim. Skupiona siedzi przy maszynie i szyje sukienki do pół łydki z dekoltem w łódkę i szerokimi rękawami. Jest tak pochłonięta nowym przedsięwzięciem, że kiedy słyszy, jak mijamy jadalnię, w której rozstawiła maszynę, wyłazi z niej dawna Cookie.

– Jazda mi stąd! – krzyczy.

Z tego powodu zaczynam spędzać popołudnia w szkolnej bibliotece. Wróciło dawne, dobrze znane poczucie niepewności.

Nalega, żeby Cherie i Camille nosiły włosy proste, takie jak Marcia z duetu Marcia i Jan Brady, a moje naturalne loki strzyże modnie: z przodu krótko, z tyłu długo. Normana obcina tak, żeby podkreślić ostre kości policzkowe i niesamowite oczy w kształcie migdałów. Rzadkie jasne włoski Rosie zawsze są splecione w dwa mysie ogonki. Ciągłe się zakładamy, kiedy jej pociemniają, ale jak na razie jest blondynką.

– Zawsze będzie blondynką – mówi mama, zniżając głos tak, że trudno się zorientować, czy słychać w nim gorycz, czy nostalgię. – Jak jej tatuś.

Karl jest w pracy, kiedy zjawia się pani fotograf.

– Czekamy na pani męża? – pyta.

Mama mówi tylko:

– On nie jest moim mężem.

To krótkie zdanie przekłują balon i mimochodem przypomina mi, że nie jesteśmy normalną rodziną. Kiedy mama każe nam się usadowić na ławce, ustawionej przed lśniącymi drewnianymi schodami, robi mi się niedobrze.

– Wyglądajcie na szczęśliwych!

Kiedy fotografka wychodzi, mama zachowuje się jak egzaltowana gwiazda opery mydlanej i rozwodzi się nad tym, jakie to dla niej ważne, że będzie miała jeszcze jedno rodzinne zdjęcie, poza tym sprzed trzech lat, na którym wszyscy mamy na sobie koszulki z napisem „Lake Havasu”. Wiem, że to tylko kolejny pretekst, żeby wspomnieć o Vicie.

– Gdzie on w ogóle jest? – pytam.

– W więzieniu – mówi mama. – Wrogowie go wkopali. – Opowiada, że biznes Vita polegający na wywożeniu śmieci szedł tak dobrze, że nie dawał szansy konkurencji i inni śmieciarze wkurzyli się i donieśli na niego do FBI. Wtedy poszedł do więzienia. Mama utrzymuje, że tata Rosie jest sławny, bo był szefem śmieciarzy. – Zanim go zamknęli – mówi – był w każdej gazecie. – Ma iskry w oczach, gdy dodaje: – Zawsze przypominał mi Roberta Redforda.

Pytam, czy policjanci nie chcieli jej wsadzić do więzienia razem z nim, ale przewraca oczami i śmieje się.

– Boże, jasne, że nie! Każdy wie, że dziewczyny i dzieci zostawia się w spokoju, bo chroni ich Międzynarodowa Agencja Federalna i Antykorupcyjna.

Później tego samego wieczoru Camille pyta:

– Wiesz, co to znaczy „Międzynarodowa Agencja Federalna i Antykorupcyjna”?

Kręcę głową.

– Dodaj do siebie pierwsze litery. Wychodzi MAFIA.

– Och!

Następnego dnia z ciekawości pytam mamę:

– Jak długo Vito będzie w więzieniu?

– Chryste, Regina, skąd mam wiedzieć? Przestań zadawać pytania – mówi, a później głęboko zaciąga się papierosem Virginia Slim. – Może jeszcze dwa lata. Ile Rosie będzie wtedy miała? Pięć? Zresztą, co to ma za znaczenie – mówi i serdecznym palcem, na którym nie ma pierścionka, drapie się po policzku. – Teraz tatusiem Rosie jest Karl.

Rodzinne zdjęcia przychodzą pocztą i mama rzuca je na kuchenny stół.

– Spójrzcie na to – mówi. – Cała robota na nic, gromada pieprzonych klaunów.

Kiedy dodaje: „Co za wstyd!”, nie wiem, czy ma na myśli zdjęcia, czy swoje życie.

Na zdjęciach jesteście w dwóch rzędach. Cherie, Camille i Rosie z przodu, a Norm i ja klęczymy na ławce nad nimi. Uśmiecha się tylko Norm. Cherie wyprostowanymi rękami trzyma rozdartą histerycznie Rosie, tak jakby była cuchnąca pieluchą, a Camille patrzy na nie z taką miną, jakby czuła ten smród.

– Popatrzcie na Reginę – mówi mama. – Czy nie mogłabyś chociaż raz udawać, że mnie słuchasz? – Nie starałam się uśmiechać do zdjęcia, nigdy tego nie robię. Byłam ostrzyżona na chłopaka, a moje dwa przednie zęby ze szparą wyglądają, jakby ktoś mi wetknął w dziąsła dwa tic taki. Moja mina wyraża niezadowolenie z powodu bycia fotografowaną. Wiem, że kiedy tylko zgaśnie flesz aparatu, cała sytuacja zniknie.

Mama i Karl pracują po godzinach, żeby utrzymać dom, dzięki czemu spędzamy czas sami i dobrze się bawimy. Na przykład pieczemy. Babeczki, chleb, bułki, ciasta i muffinki. A kiedy któregoś dnia nie możemy piec, bo psuje się zapalnik w piekarniku, Cherie wkłada głowę do piekarnika, trzymając w ręce zapaloną zapałkę, a Camille odkręca gaz. Cherie doznaje spalenia rzęs, brwi i włosów na początku lata, więc możemy spędzać czas na dworze. Nurkujemy w basenie z zieloną wodą i wypisujemy swoje imiona na okrytych glonami ściankach. Ja piszę:

*Regina Marie Calcaterra*

*Regina + Donny Osmond*

*Pani Regina Osmond*

Każda litera „o” ma kształt serca.

Dopływamy aż do dna basenu w poszukiwaniu skarbów, które być może tylko czekają na odkrycie jak wraki statków.

Któregoś czerwcowego popołudnia Norm i ja wracamy ze szkoły i zastajemy na drzwiach wejściowych kłódkę i taśmę. Na trawniku piętrzy się stos naszych rzeczy.

– O nie – mówię do Norma. – Mama i Karl się pokłócili!

Idziemy do tylnego wejścia, żeby dostać się do domu i zastajemy Cherie wyławiającą z basenu nasze dmuchane koła. Widzi nas i odkłada siatkę. To znak, że ma złe wieści.

– Co się dzieje? – pytam.

– Zapomniała zapłacić bankowi.

Zwieszam ramiona i siadam na krawędzi basenu. Przecież wiedziałam, że tak się to skończy. A jednak przez rok udawało mi się wierzyć, że to naprawdę będzie nasze życie. Dzisiaj rozwiało się jak dym. Powinnam była wiedzieć, że nie można liczyć na Cookie Calcaterę.

Mama znajduje nowy dom kilka ulic dalej, przy Terry Road, więc możemy zostać w tej samej szkole, ale Karl już się nie pojawia.

– Nie wyglądajcie jak zbite suki, małe zdiury – mówi matka i popija budweisera z puszki, kiedy z trudem wnosimy do nowego domu torby na śmieci z naszymi rzeczami. – Wszystko, co dobre, musi się skończyć.

Wkrótce zostaje zwolniona z agencji nieruchomości Century 21 i znów spędza dni w barach. Jeśli wraca do domu, a Rosie płacze, na stole jest zimna kolacja albo trawnik nie został przystrzyżony tępymi nożyczkami, już nie tylko pije, ale zaczyna znów bić. Kartonowe ściany nowego domu są podziurawione od mojego ciała, którym ciska. Unikam jej, bo nigdy nie wiem, kiedy zapagnie złapać mnie od tyłu za włosy i uderzyć moją twarzą w stół, żeby wywołać koszmarny krwotok z nosa. Znów zaczynam uciekać, chowam się w lasach niedaleko szkoły albo wchodzę na drzewa, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Czasem nie wracam na noc,

a w czasie przerwy śniadaniowej mówię nauczycielce, że idę do domu na lunch i biegnę prosto do lasu znaleźć nową kryjówkę. Kiedy znajduję, ukrywam w niej plastikową torbę z książkami, żebym miała co czytać, jak tu później wrócę.

Jeśli kończę książkę szybciej, niż zakładałam, spędzam czas, literując na głos najdłuższe angielskie słowo, jakie znalazłam w słowniku: *antidisestablishmentarianism*. Staram się uwinąć w czasie krótszym niż siedem sekund. Potem schodzę do sześciu, następnie do pięciu, a kiedy wreszcie mi się to udaje, zaczynam się zastanawiać nad innym sposobem zajęcia myśli.

Co kilka tygodni mama zabiera nas do swojego psychiatry. Kiedy byliśmy w domu zastępczym, ona przebywała w Pilgrim State Hospital, który nazywała wariatkowem. Zwolnili ją dlatego, że obowiązkowo brała swoje „pigułki szczęścia” i zgodziła się na regularne wizyty u psychiatry, w tym kilka w naszym towarzystwie. Zanim wchodzimy do gabinetu po raz pierwszy, mama pochyla się i zaciska rękę na moim ramieniu tak mocno, że jej paznokcie zostawiają mi w skórze różowe półksiężyce.

– Boże dopomóż, jeśli coś spieprzysz, Regino... Ten człowiek żyje z odczytywania mowy ciała. Kłam porządnie.

– Na jaki temat?

– Dobrze wiesz na jaki. Na temat tych drobnych kłótni, które przydarzają się tobie i mnie od czasu do czasu. – Przysuwa się tak blisko, że czuję jej oddech śmierdzący dymem papierosowym. – Bo jeśli nie, dobrze wiesz, co się stanie.

Wiem. Znów nas zabiorą. Siedzę cicho w gabinecie psychiatry, patrzę na swoje dłonie, oparte na niebieskich poduszkach kanapy i za pomocą uśmiechów i skinień głowy potwierdzam, że życie z Cookie Calcaterrą jest jak dzień na plaży. Lekarz przygląda mi się znacznie uważniej niż mojemu rodzeństwu i wiem, że wie, że kłamię.

Ludzie patrzą, ale nie widzą. Dlaczego?

Ludzie słuchają, ale nie słyszą. Dlaczego?

Ludzie dotykają, ale nie czują. Dlaczego?

Napisałam wiersz pod tytułem *Dlaczego?*, a wtedy moja



nauczycielka z czwartej klasy, pani Muse, obdarzyła mnie sympatią. Poprosiła, żebym odczytała go przed całą klasą, a potem zawołała z korytarza innych nauczycieli, żeby posłuchali, jak recytuję go po raz drugi, trzeci i czwarty. Kiedy inne dzieci są zajęte, podpytuje mnie:

– W domu wszystko w porządku, Regino?

W dniu, w którym mówię jej, że się przeprowadzamy, jej oczy wypełniają się łzami.

– Obiecuj mi, że nigdy nie zapomnisz, jaka jesteś wyjątkowa.

Wyjątkowa?! Zwykle słyszę, że jestem „brudna”, „brzydka”, „wstrętna”, „obleśna” oraz że jestem „bękartem”, „zdzirą” i „szmata”. Ale wyjątkowa? Nigdy! Pani Muse prosi, żebym zawsze dbała o dostęp do biblioteki, bo bez względu na wszystko, książki zawsze mi pomogą.

– Bądź nadal mądra, bystra i nigdy, przenigdy nie przestań czytać – szepcze mi do ucha, a potem przytula mnie tak mocno, że i mnie zbiera się na płacz.

– Im dalej się w zimowe miesiące pojedzie na wschód – oznajmia mama – tym niższy czynsz. – Przenosimy się zatem bliżej wybrzeża, gdzie widzę robotników umacniających plaże przed kolejną ostrą zimą. Myślę o mijanych domkach wzdłuż Sound Beach, które latem pełne są rodzin, przyjęć i grillów. Kiedy jednak mama wprowadza nas wreszcie do takiego bungalowu w Rocky Point, przypomina on raczej ciemny obozowy barak. Kuchnia to klatka z dwoma palnikami, a meble są połamane i zniszczone. Przez wypaczone deski w podłodze widzę piasek i rośliny.

Mama zostawia nas na kilka tygodni, mówiąc, że „jedzie się rozgrzać przy Rudym Diablu”. Znamy go, bo spędził u nas poprzednią noc. To blady, piegowaty, wymoczkowaty facet z długą rudą kosią bródką zakończoną szpicem.

– I dobrze, idź – mówi cicho Cherie, kiedy drzwi zatraskują się za Cookie. – Wolimy naszą wolność bez ciebie.

– Właśnie! – dodaję. – I nie przyprowadzaj tu więcej tego zrzędlivego dupka!

Cherie i Camille się śmieją.

Jedynym źródłem jako takiego ciepła jest w tym domku kratka w podłodze korytarza między łazienką a sypialnią. Z okien z przodu domu obserwujemy, jak drogę pokrywa marznący śnieg i zastanawiamy się, jak się dostaniemy do szkoły, która jest naszym jedynym źródłem posiłków i ciepła, bo kierowca szkolnego autobusu na pewno wkrótce przestanie się zapuszczać na nasze wzgórze.

Dzielimy się opieką nad Rosie, która ma już cztery lata, i w wolnym czasie przeszukujemy metalowe kontenery przed siedzibą Armii Zbawienia i fundacji dobroczynnych St. Vincenta de Paul. Chcemy znaleźć coś, czym moglibyśmy zaizolować szpary między deskami podłogowymi oraz wszystko, co przypomina ręczniki i koce, pod którymi moglibyśmy spać.

– Pianki! – krzyczy Camille z wnętrza jednego z koszy.

Cherie parska.

– Daj spokój, co zrobimy zimą z piankami?

– Nie, spójrzcie! – mówi Camille i wyłania się z pojemnika z naręczem czegoś. – To ciepłe płaszcze z kapturami, które zasłaniają wszystko z wyjątkiem oczu. – Camille jest naszą stylistką, więc zgadzamy się, że te idiotyczne stroje można od biedy nazwać na cześć strojów do nurkowania.

Zabieramy te „pianki” do domu wraz z nowo znalezionymi rękawiczkami nie do pary, czapkami i szalikami, a w kieszenie i powłoczki wpychamy podkoszulki, ręczniki, prześcieradła, ścierki, skarpetki.

Gdy zaspasy śnieżne stają się wyższe od nas, kopujemy tunel od drzwi aż do ulicy, a potem dwadzieścia minut brniemy przez śnieg do Route 25, skąd ma nas zabierać kierowca szkolnego autobusu. Bywa jednak, że pogoda jest tak fatalna, że nie zawracamy sobie tym głowy. W domu przez cały dzień nosimy pianki i okrywamy się wszystkimi innymi znaleźskami. W nocy otwieram wylot rury wydechowej z tyłu suszarki do ubrań, która stoi w łazience, a potem ustawiam ją tak, żeby wywiewała powietrze akurat na środek pokoju. Upewniam się, że drzwiczki są zamknięte i Rosie

na pewno tam nie wejdzie, a potem włączam suszarkę. Ciepłe powietrze wypełnia pokój, a my wzmagamy doznanie ciepła, obejmując się ramionami i wpychając pod pianki mnóstwo rzeczy. Kiedy mamy już dość wody z cukrem, którą podgrzewamy na kuchence, żeby zabić uczucie głodu, Cherie, Camille i ja budzimy się o czwartej rano i otulamy śpiących Norma i Rosie, czym się da. Potem wychodzimy na poszukiwanie jedzenia.

W piankach łatwo ukryć skradzione cukierki i ciastka, ale odkrywamy, o ile więcej możemy przenieść, wycinając w kieszeni dziurę i wykorzystując podszewkę jako jedną wielką kieszeń. Wiemy, że dostawca przyjeżdża do piekarni w centrum zaraz po piątej rano. Kiedy tylko jego samochód znika, napychamy podszewkę płaszczy ciepłymi bułeczkami, pączkami, drożdżówkami i miękkimi preclami. Potem idziemy do delikatesów przy drodze do domu, żeby sprawdzić, czy mleczarz już przyjechał i czy będziemy mogli nakarmić Rosie. Po jednej takiej wyprawie mamy co jeść przez kilka dni. Po drodze do domu zajadamy łupy i śpiewamy *Ain't No Mountain High Enough*, na zmianę odgrywając role Marvinina Gaye'a i Tammi Terrell. Ta piosenka symbolizuje to, czym dla siebie jesteśmy.

Każda z nas musi tygodniowo opuścić co najmniej jeden dzień w szkole, bo zawsze ktoś musi być w domu i pilnować Rosie. Pójdzie do przedszkola dopiero w przyszłym roku. Będzie najmądrzejsza w grupie, bo z nudów uczymy ją rysować, nazywać kolory i liczyć. Kiedy opanowuje liczenie do dwudziestu, traktujemy to jako sukces.

Kiedy ja z nią zostaję, przez cały dzień śpiewamy wesołe piosenki. Uczę ją słów piosenki *Tomorrow* śpiewanej przez Annie i mojej ulubionej: *Ooh, Child*.

*Och, dziecko, wszystko będzie prostsze,*

*Och, dziecko, wszystko będzie jaśniejsze.*

Rozmyślamy o złożonej w piosence obietnicy spaceru w promieniach pięknego słońca i nowego, jasnego świata.

Nie bardzo obchodzi mnie moja nowa nauczycielka, bo nie jest taka jak pani Muse. Nie słucham jej, tylko marzę, a nawet jeśli

jestem obecna na lekcjach, ona i moi koledzy zachowują się tak, jakby mnie nie było. Rosie nie jest jedynym powodem, dla którego nie chodzę do szkoły. Dotknęła nas epidemia wszy, po której nastąpiła zbiorowa decyzja, że lepiej zostać w domu, ulepić bałwana, robić orły na śniegu i zjeżdżać z nasypu przy drodze na kawałkach tektury. Gdyby biblioteka była bliżej, wypożyczalibyśmy dla Rosie książeczki z gramami i uczylibyśmy ją nowych kolorów, dłuższych słów i jak nie wychodzić za linię, kolorując. W domu jest to bardzo trudne, bo ręce mamy zgrabiałe mimo rękawiczek i nie dajemy rady przewracać stron ani utrzymać kredki.

Spędzamy dni, oglądając w czarno-białym, jedenastocalowym telewizorze *The Six Million Dollar Man*, *The Waltons* i *Happy Days*. Ponieważ mamy zgrabiałe palce, gry takie jak remik 500 trwają znacznie dłużej. Naszą nową ulubioną grą, Grę w życie, zachowujemy na sam koniec i gramy aż zmęczenie całodniowymi staraniami o utrzymanie ciepła wreszcie nas uspi.

Któregoś ranka Cherie poleca Camille i mnie, żebyśmy same wyruszyły po jedzenie.

– Boli mnie, jak oddycham – mówi, a jeszcze bardziej się martwimy, gdy dodaje: – Nieważne, ile bym spała, i tak nie mogę się dobudzić.

Kasze głęboko i przeciągle i chyba ma gorączkę, bo pot przesiąka przez ubranie i prześcieradła, w które ją owijamy. A jednak nie może zapanować nad dreszczami.

Kiedy wychodzimy na dwór w naszym ekwipunku, pytam Camille:

– Myślisz, że to grypa?

– Nie sędzę – odpowiada. – Przy grypie się tak nie kasze.

W ciągu następnych kilku dni, a nawet tygodni kaszel Cherie jest coraz mocniejszy, a ona coraz bardziej słabnie.

– Norm, bądź mężczyzną – mówimy mu i opatulamy się w pianki, ale tym razem nie idziemy szukać jedzenia. Nasz młodszy brat musi zająć się Rosie oraz najstarszą siostrą, która nie ma już siły podnieść głowy z kanapy. My wychodzimy, a on siada przy

niej, żeby pilnować, czy oddycha.

Camille i ja idziemy do miasta i cieszymy się, że odkąd wcześniej robi się ciemno, wszystkie bary mają jasne neony. Znajdujemy bar o nazwie Cornerstone, o którym mówiła kiedyś mama.

– Proszę pana – mówię do barmana – widział tu pan Cookie Calcaterre albo Rudego Diabła?

Barman o nich nie słyszał. Wchodzimy do każdego pubu, na jaki trafiamy, i mówimy właścicielom albo barmanom, że Rudy Diabeł twierdził, że zna każdego we wszystkich barach w Rocky Point. W końcu jeden z nich wpuszcza nas za kontuar i staje z nami przy książce telefonicznej, wskazując numery pozostałych pubów i wybierając ich numery.

– Nasza siostra jest chora – mówimy każdemu, z kim rozmawiamy. – Czy mógłby pan sprawdzić, czy jest tam Cookie Calcatera?

Po kilku godzinach poddajemy się, ale kiedy wracamy do domu, zaczyna padać śnieg i z jakiegoś powodu Camille zaczyna się niepokoić, czy Cherie z tego wyjdzie.

– Myślisz, że umiera? – pytam.

Jej mina wystarcza za odpowiedź.

Wracamy do miasta i idziemy do jednego z barów, w którym widziałyśmy na ścianie automat telefoniczny. Czuję nerwowe łaskotanie w brzuchu, kiedy Camille wybiera numer pogotowia i mówi szokująco spokojnym głosem:

– Nasza siostra jest bardzo, bardzo chora. Jest słaba i nie może oddychać. – Zaciskam usta, kiedy słucha odpowiedzi. – Tak, potrzebna będzie karetka. Nasza matka pracuje.

Biegniemy do domu i zjawiamy się w samą porę, żeby Camille mogła wsiąść do karetki z Cherie. Wtedy przyjeżdża policja. Wypytują mnie o mamę.

– Powiedz jeszcze raz, gdzie ona pracuje?

– W jakiejś agencji nieruchomości – mówię i wzruszam ramionami. – Nie pamiętam nazwy.

Sanitariusze odjeżdżają do szpitala, gdzie u Cherie zostaje

zdiagnozowane ciężkie zapalenie płuc. Camille wraca późno w nocy. Podrzucił ją pracownik socjalny. Opowiada mi, jak prawie zemdląca, gdy lekarz powiedział, że zwlekaliśmy tak długo, że Cherie mogła umrzeć.

– Nigdy nie widziałem tak zniszczonych płuc – powiedział Camille. – Jeśli w ogóle odzyskają sprawność, zajmie to całe miesiące.

Wiemy już, co będzie, gdy pod dom podjeżdżają pracownicy socjalni w dwóch samochodach. Mnie i Camille odwożą do jednego domu zastępczego, a Norma i Rosie do innego. Znowu zostaliśmy rozdzieleni... Co gorsza tym razem bez najstarszej siostry, która zwykle wie, co robić, kiedy my nie wiemy. Co gorsza, jest w szpitalu sama, nie ma nikogo, kto mógłby trzymać ją za rękę w czasie walki o życie.

– Czy jak się ma trzynaście lat, można mieć niedostateczny przyrost masy ciała? – pytam Camille. Wzrusza ramionami, a jej twarz nic nie wyraża. – Mam nadzieję, że nie – mówi. Za miesiąc ja będę miała trzynaście. – Potem odwraca się i ściera szron ze swojego okna.

Camille i ja obsesyjnie rozmyślamy o tym, co będzie z Cherie, kiedy wreszcie wypiszą ją ze szpitala.

– To chora kobieta – mówią moje siostry o matce, a ja zaczynam rozumieć, że to jedyne wytłumaczenie jej metod wychowawczych. Oprócz nałogowego picia są jeszcze niebezpieczne huśtawki nastrojów i nieprzewidywalne wybuchy, które przez lata staraliśmy się akceptować jako część niej. Wcześniej czy później zawsze znajduje sposób na odpokutowanie, na przykład zabiera moje rodzeństwo do kina albo bierze nas wszystkich do baru i daje pieniądze na szafę grającą i napoje Shirley Temple. Ale bezduszne porzucenie nas w środku zimy w opuszczonej okolicy, w domu bez ogrzewania, bez jedzenia i z ograniczonym kontaktem ze światem zewnętrznym – odcisnęło na Camille piętno.

Pierwszym sygnałem jej niechęci do naszej matki jest zmiana imienia wkrótce po tym, jak zostałyśmy umieszczone w nowym

domu zastępczym w Brentwood.

– Nie chcę się dłużej nazywać Camille – mówi mi.

– Jak to? Dlaczego?

– Nie chcę mieć na imię tak samo jak Cookie.

Po kilku dniach oznajmia mnie i wszystkim, że prosi o używanie jej drugiego imienia, Deanna.

Konieczność nazywania tak mojej siostry, którą od dziesięciu lat znam jako Camille, utrudnia fakt, że nasi nowi rodzice zastępczy, Nancy i Frank, nazwali swojego syna i córkę Nancy i Frank. Nancy i Frank, Nancy i Frank, Deanna i Regina.

Deannie, jak większości dwunastolatków, wolno po lekcjach bawić się z kolegami z nowej szkoły, chodzić na tańce, układać włosy i jeść, na co ma ochotę, pod warunkiem że nie opuszcza lekcji i odrabia prace domowe.

Frank traktuje mnie jak drugiego syna. Dzieli się ze mną miłością do boksu i Sugar Raya Leonarda, a ja zaczynam lubić dziecięcą buzię Sugar Raya. Poza tym mam kogoś, kto zachowuje się jak tata. Ciągłe oglądamy mecze bokserskie, wypatrujemy wywiadów i wieści o Sugar Rayu, a kiedy przygotowujemy się do meczu, rozmawiamy o nim przez wiele dni, zanim obejrzymy go w telewizji. Potem ostrzegamy Nancy, Nancy i Deannę, na co się narażają, jeśli ośmielą się oglądać walkę z nami. To pierwszy dom zastępczy, z którego wcale nie chcemy wracać.

Za każdym razem gdy Deanna wspomina o mamie, mówi o niej jako o „Cookie”.

– Ona nie zasługuje na bycie nazywaną „matką” – wyjaśnia.

Wtedy ja też zaczynam mówić na nią „Cookie”. Po tylu miesiącach i latach bez niej nie widzę w niej matki. Nancy mówi, że Cherie została wypisana ze szpitala, a sąd pozwolił Cookie przyjąć ją z powrotem pod warunkiem, że będzie mieszkała z Karlem. Deanna i ja przewracamy oczami.

Wkrótce potem Nancy dowiaduje się, że Cookie odzyskała prawo do opieki także nad Normem i Rosie. Wyjaśnia, że sąd oddał jej pod opiekę tylko kilkoro dzieci. Jeśli udowodni, że daje sobie radę, my też będziemy mogły do niej wrócić.

– Nie spieszy nam się – mówię Nancy. – Naprawdę.

Lato upływa w basenach, na gumowych wodnych ślizgawkach i na zabawie z balonami wodnymi. Frank zabiera nas na paradę oraz zdumiewa się razem z nami czternastoletnią gimnastyczką z Rumunii, Nadią, która dostała ocenę 1.00, bo projektant olimpijskiej tablicy wyników nie przewidział miejsca na czwartą cyfrę. Nie spodziewał się, że ktokolwiek zasłuży na doskonałe 10.00.

Dobiega końca wesołe olimpijskie lato, a także nasz pobyt u Nancy, Franka, Nancy i Franka. Zbliża się nowy rok szkolny, a sąd uznał, że to czas na powrót do matki. Czy też, jak postanowiliśmy ją nazywać, do Cookie.

Deanna i ja planujemy napisać do sądu list z prośbą o pozostawienie nas u Nancy i Franków, ale w końcu dochodzimy do wniosku, że dopóki płuca Cherie nie wyzdrowieją ostatecznie, będzie potrzebowała pomocy w opiece nad Normem i Rosie.

*wrzesień 1977*

Miesiąc przed rozpoczęciem piątej klasy Cookie i Karl wracają do siebie. Znajdują ładny piętrowy dom do wynajęcia naprzeciwko episkopalnego kościoła w Saint James.

– Czy to znaczy, że wrócimy do szkoły w Saint James?

– Nie, Regina – mówi Cookie. – Ciebie wyślę do szkoły w Timbuktu.

Dom stoi z dala od hałaśliwej North Country Road, otoczony jest gęstym lasem, a na jednym drzewie jest domek. Zanim Deanna i ja docieramy, Norm i Cherie zostali już rozlokowani w pokojach na piętrze. Cookie prowadzi mnie do pokoju na parterze, który mam dzielić z Rosie, zaraz obok jej sypialni z Karlem.

– Pamiętam, że lubisz uciekać – tłumaczy.

Którejś nocy, bardzo późno, słyszę dziwne odgłosy dobiegające z sypialni Cookie i Karla. Pukam do drzwi i krzyczę:

– Wszystko w porządku? – Hałas gwałtownie ustaje, a następnego dnia Cookie każe Camille – której nowe imię przestało



obowiązywać z chwilą przyjazdu tutaj – żeby pomogła mi przenieść moje rzeczy do wolnego pokoju na górze.

Cieszę się, że wracam do szkoły w Saint James. Uwielbiałam tam chodzić, od przedszkola aż do drugiej klasy. Moja nauczycielka z piątej klasy, pani Van Dover, uważana jest za miłą, a w ławce obok siedzi moja dawna przyjaciółka, Beth Nadasy.

– Przepraszam, że się z tobą nie pożegnałam, kiedy odeszłam z drugiej klasy – mówię pierwszego dnia szkoły.

– Nic nie szkodzi. A co się stało?

Oczywiście nie mogę jej powiedzieć, że w środku nocy zabrała nas policja, bo znaleźli mojego małego braciszka, jak w samej piźamie wałęsał się po ulicach i że przez ostatnie trzy lata mieszkaliśmy u obcych ludzi. Ale to, co jej mówię, jest prawdą:

– Cały czas o tobie myślałam.

Cherie idzie do liceum razem z najdawniejszą przyjaciółką, Kathy, a Camille wraca do dawnych przyjaciół w East Middle School. To jedyna dobra strona tego, że znów mieszkamy z Cookie: nie przeżywamy pierwszego dnia w nowej szkole i nie musimy się bać, czy ktokolwiek usiądzie obok nas w stołówce albo wybierze do drużyny na WF-ie. Dzięki temu chodzenie do szkoły jest dla nas znacznie prostsze, a w domu też jest przyjemniej: Karl powiedział, że zostanie z Cookie, jeśli przestanie pić. Więc nie pije.

Możemy dojść piechotą do naszych ulubionych miejsc, na plażę Cordwood, do sklepu, do Wicks Farm i do kościoła pod wezwaniem św. św. Pawła i Filipa, gdzie była chrzczona Rosie. Uderza mnie, jak szokujące jest normalne życie. A później, któregoś wieczoru w czasie kolacji, mama ogłasza, że Vito, biologiczny ojciec Rosie, poszedł na dno.

– Na dno? – pytam. – To znaczy, że się upił?

– To znaczy – mówi Cookie – że go sprzątnęli.

Wyeliminowali. Zdziugali.

Zamykam oczy i w myślach wyrażam nadzieję, że Międzynarodowa Agencja Federalna i Antykorupcyjna wciąż się nami opiekuje. Potem patrzę na Rosie, która klaszcze w rączki i

śmieje się w swoim wysokim krzeselku, a jej mysie ogonki aż podskakują. Nigdy nie pozna swojego prawdziwego taty. Aż odechciewa mi się jeść. Wydaje mi się, że marzenie o poznaniu mojego ojca to jedyne, na co warto czekać.

Cherie i Camille zaczynają się uczyć języków obcych. Cherie pyta nauczycielkę o wyrażenia, których używamy, odkąd sięgamy pamięcią, i dowiaduje się, że „je t’ aime” znaczy po francusku „kocham cię”, a „mia bambina amore” – „moje kochane maleństwo” po włosku. I jedno, i drugie brzmi znacznie rozkoszniej niż obce słowa, których używa Cookie, jak „vaffamculo” (jestem pewna, że ma to coś wspólnego ze słowem „pieprzyć”) czy „puttana” (które, sądząc z kontekstu, w jakim używa go Cookie, znaczy „dziwka”). Zaczynam wypisywać „je t’ aime” i „mia bambina amore” we wszystkich zeszytach, a potem w listach miłosnych, które codziennie wymieniam z Justinem Jamesem, chłopakiem, z którym rzadko rozmawiam, ale który mi powiedział, że jestem ładna. Dla dziewczynki, która uważa, że wygląda jakby dwa tic taki utknęły jej w dziąsłach, to prawdziwy komplement. Codziennie chowam listy od niego w pudełku po butach pod moim łóżkiem i wciskam w najciemniejszy kąt, żeby Cookie nigdy ich nie znalazła.

Kiedy koledzy z klasy pytają, gdzie mieszkałam przez ostatnie kilka lat, odpowiadam, że z dziadkami, a potem szybko zmieniam temat. I chociaż to moja szkoła, nic nie poradzę na to, że czasem czuję się jak gość. Patrzę na inne dzieci z klasy i chociaż one niewiele się zmieniły, ja bardzo. Zastanawiam się, czy gdyby tamtej nocy nie zabrali nas policjanci, byłabym tak samo pewna siebie i zadowolona jak oni. Czy czułabym się inaczej, czy byłabym ładna, czysta i beztroska jak moi koledzy? Uwielbiam patrzeć na Kathleen Totter w jej sukienkach, podkolanówkach i bucikach zapinanych na pasek, której jedwabiste jasne włosy rozdzielone są na dwa perfekcyjne kucyki i związane pasującymi do sukienki kokardami. Ale nawet gdybym miała ładniejsze ubrania i wypastowane buty, nie zamaskowałyby napięcia, w którym żyłam przez ostatnie lata. Ubieram się zatem tak, jak się

czuję: w poplamione, podarte, pogniecione i niepasujące do siebie ubrania. Kiedy pielęgniarka szkolna domyśla się, że przechodzę coroczne badanie wzroku tylko dlatego, że nauczyłam się na pamięć literek na tablicy, zaczynam nosić duże okulary w srebrnych oprawkach, a włosy mam ostrzyżone tak, że jestem podobna raczej do mojego brata niż do sióstr. Jednak nie martwi mnie to. Chcę, żeby dla wszystkich dzieciaków było jasne, że jestem inna. Czuję się dobrze wyłącznie pogrążona w swoim świecie, gdy wysyłam do innych sygnały ostrzegawcze: nie zbliżajcie się. Nie chcę, żeby znali prawdę o moim życiu.

Zamiast sugerować koleżankom, że chciałabym odwiedzać je w domach, dni spędzam w szkolnej bibliotece albo drzemię w domku na drzewie. Godzinami przesiaduję również w moim pokoju i słucham małych winylowych płyt, bez końca odtwarzając śmieszne piosenki z albumu *Dumb Ditties*, który dostaliśmy od Armii Zbawienia.

Karl zdołał uratować kilka naszych rzeczy z domku w Rocky Point, mam więc z powrotem moje figurki Jezusa. A ponieważ kościół jest dosłownie po drugiej stronie ulicy, postanawiam z ciekawości sprawdzić, dlaczego noszę je przy sobie, odkąd pamiętam. W każdą niedzielę przechodzę sama przez ulicę i idę na wszystkie trzy poranne msze, w przerwach wracając do domku na drzewie, z którego schodzę dopiero, kiedy widzę ludzi gromadzących się na następną. W cotygodniowym biuletynie czytam, że msza jest odprawiana także w sobotę wieczorem i na nią też chodzę. Nie mam pojęcia, o co chodzi ani o czym są piosenki, które śpiewam, ale czuję się tam bezpiecznie. To także jedyne miejsce, w jakim w życiu byłam, gdzie można być kimś zupełnie obcym, a i tak ludzie obdarzają cię uśmiechem. W piątej klasie idzie mi świetnie, bo moja nauczycielka uważa, że jestem niezwykła. Im bardziej się zbliżam do pani Van Dover, tym bardziej chcę ją zadowolić. Nawet zimą pachnie świeżymi kwiatami, a jej rude loki i biała cera sprawiają, że kiedy się uśmiecha, wyraźniej widać brązowe oczy. Chociaż jest bardzo miła dla wszystkich dzieci, jestem przekonana, że zawsze znajduje

chwile, żeby poświęcić mi szczególną uwagę. Co tydzień urządza konkurs literowania i większość wygrywam. W nagrodę mogę wybrać spośród dwóch rodzajów słodczy: twinkie albo ring ding, które zjadam po drodze do domu. Pod koniec roku pani Van Dover urządza głosowanie na najlepsze cechy uczniów i mruga do mnie lekko, gdy dostaję tytuł „najmilszej”.

Niestety, moją budującą się pewnością siebie wstrząsa urządzony na koniec roku konkurs literowania, który zmienia się w pojedynek pomiędzy mną a Susan Kominski, przewodniczącą piątej klasy (którą obwołaliśmy „najpopularniejszą”). Została mistrzynią literowania klasy piątej, bo ja pomyliłam się przy słowie „odkurzacz”. Nie powinno się tak stać, bo koledzy zawsze śpiewają na mój widok piosenkę z reklamy odkurzacza Regina. (A ponieważ po święcie Memorial Day oglądamy wszyscy film pt. *Zrozumieć dojrzewanie*, postanawiam, że w następnej szkole przedstawię się imieniem nieprzypominającym aż tak słowa „wagina”).

Wieczorami Karl wraca wykończony z pracy w fabryce Grummana. Mówi nam, że z powodu komunistów praca jest bardziej stresująca. Cookie też pracuje do późna. Wróciła do pracy za barem. Chociaż Karl ostrzega ją, żeby nie piła, co noc wraca do domu, cuchnąc jak gorzelnia. Kiedy zaczyna jej pilnować, ona wsadza mnie do auta i mówi, że zabiera mnie do centrum handlowego albo w odwiedzinę do dziadków.

– Do dziadków? – dziwię się. – Nawet nie wiedziałam, że mam dziadków!

– Zamknij się i współpracuj.

W końcu, w samym środku gorącego lata, dostaję ospy. Cookie zabiera mnie do lekarza, który zaleca kąpiele w płatkach owsianych, żeby złagodzić swędzenie. Karl mówi, że wcale nie jest przekonany, czy byliśmy u lekarza, a potem obydwójce, wściekli, rozjeżdżają się.

Karl wraca pierwszy. Wyłącza *Donny & Marie Show* i wysyła nas do ogrodu, bo chce się pakować w salonie. Cookie wraca pijana, a gdy zastaje w korytarzu pudła, zaczyna wrzeszczeć

i lamentować. Ich awantura przenosi się do ogródka, gdzie próbuje zabrać jej kluczyki do samochodu, żeby taka pijana nigdzie nie jechała. Chce ją uspokoić, więc powala ją na ziemię, a ona zaczyna krzyczeć:

– Gwałcą! Ratunku, on mnie gwałci!

Zatrzymuje się jakiś samochód i otwiera drzwi, Cookie rzuca się do środka i przez szybę wykrzykuje w naszym kierunku jakiś bezeceństwo. Gdy auto odjeżdża, Karl zanoszą rzeczy do swojego samochodu.

– Trzymajcie się – mówi do nas zrezygnowany. – Próbowałem to jakoś ułożyć, ale wasza matka to beznadziejny przypadek.

Całą piątką stoimy na trawniku i wiemy, że jedyną pewną rzeczą będzie teraz niepewność.

Cookie przechodzi załamanie, ale nie jesteśmy pewni, czy to z powodu odejścia Karla, czy śmierci Elvisa Presleya. Kiedy dowiaduje się, że Król zmarł w swojej łazience, zamyka się w naszej. Przez tydzień żywi się wyłącznie masłem orzechowym, znanym jako przysmak Elvisa, i wysyła nas do sklepów, żebyśmy kupowali wszystkie jego płyty, których słucha na cały regulator.

Wkrótce po tym, jak zaczynam szóstą klasę w East Middle School, Cookie przestaje płacić czynsz. Razem z Rosie idę do klasy pani Van Dover.

– Znow się przeprowadzamy – informuję ją.

– Uważaj na siebie – mówi i przykuca, żeby odgarnąć mi z oczu za długą grzywkę. – A jeśli kiedyś będziesz się bała, przypomnij sobie, co napisałam ci w zeszłorocznym albumie. Jesteś bystrą dziewczynką obdarzoną wieloma talentami i nigdy nie powinnaś przestać dążyć do wiedzy. Podtrzymuję każde słowo.

Pani Van Dover mówi mi też, jaka wyjątkowa dla niej jestem. Tak jak myślałam.

– Jedyne, co może cię uratować w twojej sytuacji, to szkoła, Regino – stwierdza. Następnie patrzy na rączkę Rosie, którą zaciskam w dłoni, i dodaje: – Naucz Rosie wszystkiego, co sama umiesz. Ona potrzebuje nauczycielki, której będzie na niej zależało

tak samo, jak mnie zależy na tobie.

Tym razem tylko się uśmiecham.

Potem Rosie wyciąga rękę, żeby ją podnieść, i po raz kolejny znikamy.

## *Pakt wiążący*

*1977 – lato 1980*

W piątym tygodniu szóstej klasy temperatura sięga trzydziestu sześciu stopni, a na tylnym siedzeniu kombi Cookie jest jeszcze duszniej niż na dworze. Ale chciałabym, żeby babie lato na Long Island było naszym jedynym problemem. Za kierownicą siedzi Cookie, między nogami trzyma puszkę piwa i nie mówi ani słowa na temat celu naszej podróży. Każe nam tylko zapakować siebie i rzeczy do samochodu. Worki na śmieci pełne ubrań, czarne radio tranzystorowe, ręczniki, prześcieradła, filiżanki, spodeczki, sztucce, kawa, piwo, cukier, wódka, masło orzechowe, whisky, galaretka, mąka, pięcioro dzieci i jedna Cookie. Znamy zasady.

Z pościelą, akcesoriami kuchennymi i jedzeniem, nasz samochód jest wypchany jak nigdy wcześniej. Przychodzi mi wtedy do głowy, czy Cookie kiedykolwiek podziękowała Karlowi za to, jak dobrze o nas dbał. Kazała mi zostawić gramofon, płyty i książki, ale pod koszulą mam dwie figurki Jezusa, album z piątej klasy i kilka książeczek dla Rosie. Wzięłam też talię kart, żebyśmy mogli grać z Cherie, Camille i Normem.

Cookie zjeżdża na stację benzynową i parkuje przy koszu na śmieci.

– Co za upokorzenie – mówi Cherie. Patrzymy, jak nasza matka podchodzi do tankujących kierowców. Szybko orientujemy się, o co jej chodzi. Kiedy wskazuje na nas, wachlujących się kartami do gry, machamy i przybieramy miny żałosne i zdesperowane. Co zresztą nie jest wcale takie trudne, biorąc pod uwagę okoliczności. Jej bezwstydną strategią zapewnia nam

wkrótce pełny bak.

Kiedy wjeżdżamy na autostradę, Cookie ogłasza:

– Jedziecie poznać swoich dziadków.

– Dziadków? – pytam. – Tych, o których kłamałaś Karlowi?

– To ja mam dziadków? – dziwi się Norm.

– Myślałam, że mieszkają w innym stanie – oznajmia

Camille.

– A co ty myślisz? – pyta Cookie. – Że mnie mały urodziły?

Widzę, jak Camille mocno wbija kolano w udo Cherie i wszystkie trzy z całych sił staramy się nie parsknąć śmiechem.

Czterdzieści pięć minut później zatrzymujemy się na podjeździe niebieskiego domu z dobudowanym garażem i starannie przyszyżonymi wiecznie zielonymi krzewami wokół okna w wykuszu. Cookie parkuje, a potem patrzy na dom ze zdecydowaniem, jakiego nie widziałam u niej nigdy wcześniej.

– Wsiadajcie – mówi wreszcie, ale oczy wciąż ma utkwione w budynku.

Siedzimy w milczeniu.

– Wsiadka, powiedziałam! – warczy przez zęby. – Jak was zobaczą, będzie znacznie prościej.

Czworo drzwi otwiera się powoli i jednocześnie stają otworem także drzwi wejściowe do domu. Na ganek wychodzi oparta o chodzik chuda kobieta w kwiecistej hawajskiej sukni. Patrzy na nas ciemnymi skośnymi oczami, a u jej boku pojawia się opalony pomarszczony mężczyzna w błękitnych bermudach i czarnych podkolanówkach. Nie mogę oderwać oczu od jego brzucha, okrągłego i nagiego jak u nowo narodzonego słońiatka. Następuje bitwa na spojrzenia, a potem Słoniobrzuszek odzywa się:

– Zjeżdżajcie stąd – mówi.

Patrzemy na Cookie, sparaliżowani.

– Nie ważcie się drgnąć – mówi ona. – Zrobimy to po mojemu. Dzieciaki, to wasi dziadkowie. Dziadkowie, którzy odwrócili się od was, kiedy potrzebowaliście ich najbardziej. – Patrzy w stronę dwojga starszych ludzi stojących na ganku. –



Mamo, tato, poznajcie Cherie. Ma czternaście lat. Camille trzynaście, Regina dziesięć, Norman dziewięć, a Rosie cztery. To wasze wnuki, rozumiecie to? Nie mają gdzie mieszkać, więc jeśli nie przestaniecie się zachowywać jak bezduszne złamasy, dziś wieczorem będą spali na ulicy. Chcecie tego?

Przez chwilę patrzą na nas z ganku, a następnie kobieta w hawajskim muumuu mówi:

– Na litość boską, Camille, wsadź dzieci do samochodu. Nie muszą na to patrzeć.

Kiedy słyszę, że Cookie zostaje nazwana pełnym imieniem, pojawia się we mnie ciekawość, jak została wychowana. Widzę, że ona i jej matka mają takie same mocne kości policzkowe i szerokie biodra, ale babcia wydaje się znacznie mniej waleczna. Chciałabym mówić do niej „babciu” i spytać, dlaczego jej zdaniem Cookie jest takim złym człowiekiem.

– Muszę siusiu! – płacze Rosie, a kiedy wszyscy na nią spoglądają, szepczą do Cookie, że ja też. Kobieta w muumuu patrzy na męża i niechętnie otwiera szerzej drzwi.

Wpadamy do środka.

Kiedy Camille zmierza z Rosie w stronę łazienki, Słoniobrzuszek łapie ją za ramię i pyta:

– Co ty do diabła robisz? To dziecko ma cztery lata, może się wysikać samo. – Rosie biegnie do łazienki, a Słoniobrzuszek zwraca się do mnie: – A ty – świdrującym wzrokiem wpatruje mi się w oczy – lepiej niczego nie święnij.

– Dobra – odpowiadam, zdumiona swoją złością. Nie wiem, co ten człowiek zrobił, że Cookie wyrosła na tak wstrętą osobę, ale nie pozwolę, żeby pomiatał mną. – Mam oddać też papier toaletowy po tym, jak go użyję?

– Nie – mówi stanowczo. Potem się prostuje. – Wrzuć go tam, gdzie jego miejsce.

Ich salon to muzeum. W kredensach z drewna i szkła stoją na półkach figurki z twarzami cherubinków. Na ścianie zauważam zdjęcie mężczyzny, pewnie brata mamy, Nicka, który zaprosił nas kiedyś na świąteczną zabawę dla biednych dzieci w jego Lions

Club. Wskazuję brodą zdjęcie:

– Czy to Nick?

– Tak – odpowiada tata Cookie.

Spoglądam z powrotem na fotografię.

– Ma dzieci?

– Nie.

Cholera. Liczyłam na kuzynów.

– Starał się – dodaje dziadek – ale jak na razie nic z tego.

Gdyby mnie ktoś pytał, to nawet lepiej. Mają stado dobermanów. Straszne skurczybyki.

Szybko robię siusiu, bo nie mogę się doczekać wyjścia z brzydkiej, brudnej łazienki. Wiem już, skąd się wziął zły gust Cookie. Łazienka jej rodziców jest od podłogi do sufitu brązowa, a przesuwane drzwi do kabiny prysznicowej są tak zapuszczone, że nic przez nie nie widać.

Nagle przypominam sobie twarz mojego wujka i przeszywa mnie dreszcz. Dociera do mnie, że z jego ostrą brodą, czarnymi oczami i przystrzyżonym, ale sięgającym od ucha do ucha zarostem mógłby śmiało być ojcem dobermana.

Matka Cookie nerwowo stoi przy drzwiach wejściowych.

– Dzięki, że mogłam skorzystać z łazienki – mówię.

Chciałabym się do niej przytulić, ale boję się, że nie odwzajemni uścisku.

Słoniobrzuszek patrzy z ganku, jak przedzieramy się przez gąszcz bagażu i ładujemy się z powrotem do auta. Cookie zaciska w ręce dwudziestaka, którego matka wcisnęła jej do kieszeni, najwidoczniej zadowolona, że nasza obecność pomogła osiągnąć cel. Wyjeżdża z podjazdu i przejeżdża kilka ulic, żeby zatrzymać się na tyłach parkingu przed supermarketem Waldbaum's. Idzie do sklepu, a kilka minut później wychodzi z sześciopakim zimnego budweisera, dwoma kartonami virginia slim lightów, bochenkiem chleba, słoikiem masła orzechowo i drugim, z galaretką, oraz z rolką papieru toaletowego.

– Dzisiaj śpimy tutaj, dzieciaki. Nie martwcie się. Jutro uderzę do ich znajomych. Trochę podgrzeję atmosferę. Nie ujdzie

im na sucho olewanie mnie.

Cherie, Camille, Norm i ja wypakowujemy kilka pakunków, żeby zrobić miejsce do spania.

– Najważniejsze rzeczy zostawcie w środku – upomina Cookie z przedniego siedzenia. – Na wypadek gdybyśmy musieli szybko stąd spadać.

Rosie układa się w miejscu na nogi za jednym przednim siedzeniem, a Norm za drugim. Cookie opiera się o zagłówek fotela kierowcy i z trzaskiem otwiera piwo, a ja cicho marudzę, gdy moje siostry postanawiają, że mam spać na tylnym siedzeniu.

– Wolę spać w bagażniku – szepczę do Camille, a ona wskazuje oczami, żebym tam przelazła. Następnie ona i Cherie rozkładają się na tylnym siedzeniu i z zamkniętymi oczami opierają się o siebie.

Budzimy się w samochodzie cuchnącym potem i papierosami. Cookie przeciera oczy i ogłasza:

– Muszę się odlać.

Kiedy ładujemy torby z powrotem do auta, Cookie rusza autostradą i zjeżdża do McDonalda.

– Będziemy tu jedli, mamó? – pyta Norm z oczami wielkimi jak spodki.

– A jak myślisz, Norman, co?

Nic nie mówi.

– Będziemy tu jedli? – przedrzeźnia go. – Chyba żartujesz. Pójdziemy do łazienki i po darmowe serwetki. Przydadzą się, kiedy skończy się srajtaśma. – Przytrzymuje drzwi do toalety, żebyśmy wszyscy weszli. – Postarajcie się wyglądać porządnie. Mamy dziś poważną misję.

Kiedy podjeżdża pod pocztę, wysiadamy i idziemy do budynku.

– Jest Mike? – krzyczy z kolejki do pani w okienku. Ona patrzy na Cookie jak na wariatkę. – Mike Calcaterra?

– Jest w trasie – odpowiada kobieta.

– Więc proszę mu powtórzyć – mówi Cookie groźnie – że były tu dziś jego wnuki i go szukały.

U rzeźnika opiera się łokciami o ladę.

– Czy ktoś z was widział Rose Calcaterre? – Kiedy odwraca się do niej zdziwiony mężczyzna obsługujący kralajnicę, matka mówi dalej: – Jestem Cookie, córka Mike’a i Rose.

To w żaden sposób nie wyjaśnia, co robi w ich sklepie.

– Wiem, że dawno tu nie zaglądałam. Po drodze zatrzymałam się u nich, ale nie było ich w domu, więc chcę ich wytropić. Ach! – wykrzykuje. – A tak w ogóle to są ich wnuki. Chciałam, żeby poznały dziadków.

– Co ona wyrabia, na litość boską? – szepcze Camille do Cherie.

– Patrz uważnie – mówi Cherie i wkrótce dostrzegamy cel. Zaglądamy do każdego sklepu spożywczego, delikatesów i monopolowego w mieście i patrzymy, jak Cookie mydli pracownikom oczy wyssaną z palca historią, a potem rusza pomiędzy półki, kiedy litują się nad nią i mówią, żeby wzięła wszystko, czego potrzebujemy. Wkrótce mamy wielodniowy zapas papierosów, wódki, sałatek, piwa, napojów gazowanych, chleba i papieru toaletowego. W każdym z tych miejsc, gdy dzwoni dzwoneczek, oznaczający, że wychodzimy, Cookie mówi kasjerowi:

– Proszę to dopisać do rachunku Mike’a i Rose.

Dziewiątego listopada wyobrażam sobie, że pewnego dnia, gdy będę dorosła, przyjaciel mojego męża zapyta:

– Opowiedz mi, Regino, jak spędziłaś jedenaste urodziny?

– Och, no wiesz, jak każde dziecko – odpowiem. –

Mieszkałam na parkingu jak Cyganka i kąpałam się w umywalce na stacji benzynowej.

Przez dwa miesiące mieszkamy w samochodzie, a Cookie jeździ po całym hrabstwie Suffolk, żeby uniknąć zainteresowania policji, bo w tym roku nie zapisała nas do szkoły.

Kiedy jednak mijane przez nas domy i sklepy stroją się w świąteczne dekoracje, Cookie znajduje kogoś, kto wynajmuje nam dom na poczet zaświadczenia o zasiłku na czynsz. Problem w tym, że to całkiem niedaleko dziadków, a źródła jedzenia w tej okolicy

zostały już wyczerpane, nie licząc rzeźnika, któremu żal mojej matki. Każę jej przychodzić jako pierwszej rano albo jako ostatniej wieczorem, kiedy nie ma klientów. W czysty biały papier zawija jej wtedy świńskie nóżki, wątróbkę i flaki.

– Co to są flaki? – pyta Norman.

– Bebecchy krowy – odpowiada Cherie.

– Przynajmniej żywimy się zdrowo – mówię do sióstr, ale Norman wygląda, jakby miał zwymiotować. Kiedy jednak jedzenie trafia na stół, jesteśmy tak głodni, że wdychamy zapach flaków w wywarze i wątroby podlanej keczupem i musztardą. Dzięki temu przełykamy ją bez zadławienia.

Najbardziej ekscytująca w nowym domu jest przenośna pralka. Cherie i Camille toczą ją do kuchennego zlewu i mocują rurę do odpływu, a Norman i ja przeszukujemy dom i przynosimy każdą sztukę odzieży, którą mieliśmy na sobie od września. Oczywiście ekscytacja gaśnie, kiedy przekonujemy się, ile razy trzeba wyprać każdą porcję, zanim ubrania zaczną wyglądać na czyste. Wkrótce poznajemy też drugi sekret pralki: woda nigdy nie podgrzewa się do takiej temperatury, żeby wybić wszy, które złapaliśmy, korzystając z toalet na stacjach benzynowych.

Z powodu wszy żadne z nas nie przechodzi pomyślnie badania przy zapisach do szkoły w West Babylon. Spędzamy całe dnie w domu, mocząc głowy w zlewie i nacierając je szamponem przeciwko wszom, który zwędziliśmy z apteki. Potem wydłubujemy sobie wzajemnie z włosów jajeczka wszy. Kiedy sąsiedzi dowiadują się, dlaczego nie chodzimy do szkoły, znów się pakujemy. Zostawiamy ubrania, koce, ręczniki, skarpetki i każdą odrobinę poczucia własnej godności, której nie zniszczyły wszy. Zastanawiam się, jakim cudem właściciel domu wynajmie go jeszcze komukolwiek, kiedy się dowie, w jakich okolicznościach wyjechaliśmy.

W ramach postanowienia noworocznego w sylwestra 1978 roku Cherie i Camille postanawiają, że chcą coś zmienić.

– Chcemy się wyprowadzić – informuje Cookie Camille.

– Niby skąd?

– Z samochodu!

Cherie dolewa oliwy do ognia, dodając:

– A ja chcę wrócić do szkoły.

Ja też chciałabym wrócić do szkoły, ale nie śmiem wypowiedzieć tego i zostać bez sojuszników.

Pod koniec stycznia obydwie wprowadzają się z powrotem do Kathy, a ja widzę, że stracę całą szóstą klasę, bo żeby zapisać się do szkoły, trzeba mieć adres zamieszkania. Cookie spędza popołudnia w barach, a Norman, Rosie i ja chodzimy na krótkie spacerki po śniegu albo przytulamy się do siebie w samochodzie pod stosami rzeczy w workach na śmieci i z wieloma warstwami skarpetek na wszystkich kończynach – pomagają utrzymać ciepło. Czasem właściciele baru zapraszają nas, żebyśmy posiedzieli w środku, pod warunkiem że nie będziemy przeszkadzać. Innym razem dostajemy do podziału hamburgera, jeśli umyjemy naczynia i podłogę. Właścicielka mówi do mnie:

– Jesteś dobrą starszą siostrą. – Na początku nic nie rozumiem, kiedy daje mi banknot pięciodolarowy i przykładą palec do ust, ale zaraz dociera do mnie, że jeśli nie zachowam pieniędzy dla siebie i dzieci, Cookie wyda je sama.

– Lubię pracować – mówię, mile połączona pochwałą. To prawda. Jest mi ciepło, mam co robić i dostajemy jedzenie za darmo.

Czerpiemy też korzyści, kiedy Cookie poznaje w barze jakiegoś faceta: albo śpimy w jego salonie (i korzystamy z szansy umycia zębów pastą wyciśniętą na palec, o czym od dawna marzyliśmy), albo mamy dla siebie cały samochód, gdy matka spędza noc w hotelu.

Cookie dowiaduje się, że delikatesy w Commack szukają kasjerki. Przyjmuje tę pracę za niższą pensję niż zwykle, bo jej szef pozwala nam zająć mieszkanie nad sklepem. Jestem szczęśliwa, bo Cherie i Camille zgadzają się wrócić, skoro znów mieszkamy w normalnym miejscu.

W lutym idziemy odwiedzić szkołę w Hauppauge, ale ponieważ nie mamy zaświadczeń o zaliczeniu pierwszego

semestru, nie mogą nas zapisać.

– I tak będziemy wsiadać do autobusu – mówię Normanowi i Rosie i mój plan szybko odnosi sukces, bo nauczycielka szóstej klasy, pani Young, pozwala mi chodzić do siebie na lekcje. Po miesiącu literuję słowa i zjadam szkolne śniadania.

Któregoś dnia pani Young kuca przy moim stoliku w stołówce.

– Możesz pójść ze mną do gabinetu? – pyta, a ja idę, bo czuję się bezpiecznie; wiem, że myślimy o tym samym. Wspólnie z dyrektorem wypełniamy formularze dla Normana, Rosie i dla mnie i dzięki temu możemy dokończyć rok szkolny.

„Jedyną, co może cię uratować w twojej sytuacji, to szkoła, Regino”.

Przypominam sobie, co mówiła pani Van Dover, więc przystępuję do testów pani Young nie desperacko, jakby zależało od nich moje życie, ale spokojnie, bo wiem, że właśnie od nich zależy. Przerwy spędzam sama, żeby nikt z kolegów nie chciał odwiedzić mnie w domu. Kiedy pani Young dostrzega, że na przerwach czytam książki, daje mi ćwiczenia na dzielenie i zachęca do rozwiązywania zadań matematycznych. Im więcej się uczę, tym bezpieczniejsza się czuję.

Praca wyczerpuje Cookie nerwowo w stopniu wcześniej nam nieznanym. Sytuację pogarsza fakt, że zbliża się lato, a Cherie i Camille, które już zaznały wolności, zaczynają się buntować.

– Mam pięcioro dzieci i dom do utrzymania, muszę walczyć o pensję – mówi Cookie – a wy chcecie mi się stawiać, małe szmaty?

Spędza noce w barach albo zwleka się z łóżka, kiedy my wychodzimy do szkoły. W tych rzadkich chwilach, kiedy jesteśmy w domu razem, bicie jest gwarantowane i brutalniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Wchodzimy w tryb walki o życie i trzymamy się z dala od domu, kiedy ona tam jest.

W szkolnym autobusie Camille dostaje przezwisko Dancing Queen, bo wygina się i tańczy do muzyki z przenośnych boom boxów i urządza spontaniczne imprezki taneczne, żeby

wykorzystać szybko biegnące lata nastoletnie. Kiedy pytam ją, czy jak chodzi na tańce do centrum młodzieżowego, to flirtuje z chłopcami, patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Widziałaś, jak Cookie zachowuje się w towarzystwie mężczyzn? – pyta. – Uwierz mi, nie tańczę po to, żeby poznawać chłopców. Tańczę, żeby być sobą. Tylko wtedy czuję się jak prawdziwa nastolatka.

Któregoś wieczoru modłę się, żeby Camille była pierwsza w domu, bo ja docieram dopiero na siódmą. Kiedy otwieram drzwi, na patelni smażą się kotlety drobiowe, a Cookie z wściekłością patrzy na mnie z kanapy.

– Gdzieś ty była, do ciężkiej cholery? – pyta.

Waham się, ale mówię prawdę.

– Szukałam kurtki. – Jej spojrzenie pali mnie na popiół, więc muszę powiedzieć więcej. – Zniknęła z szafki w szatni.

– Brawo, bezmózgi zasrańcu. Kwiecień ma być zimny i mokry. Co z tobą, Regina? Może byś wyjęła głowę z dupy, co? – Milknie na sekundę, ale nic nie mówię. – Więc gdzie jest ta kurtka?

– Nie wiem. – Kręcę głową. – Chyba ktoś ją ukradł.

Camille wchodzi do domu, akurat kiedy Cookie zamachuje się na mnie patelnią pełną wrzącego tłuszczu. Siostra podbiega w chwili, gdy tłuszcz rozchlapuje mi się na przedramionach, które uniosłam, żeby zasłonić twarz, ale Cookie łapie ją za szyję i ciągnie do drzwi wejściowych, a następnie spycha ze schodów z wysokości pierwszego piętra. Camille leży na ziemi i krzyczy z bólu. Cookie zbiega do niej i zaczyna kopać ją w plecy.

– Może to cię nauczy, żeby się nie wtrącać! – ryczy. – Wspaniale, małe kurwy! – dodaje, idąc do samochodu. – Zepsułyście mi kolację. – Wrzuca wsteczny i odjeżdża.

Wkładam bluzę, żeby zakryć pęcherze na rękach i biegnę do delikatesów, żeby błagać o pomoc siwowłosą współpracownicę Cookie, Helen.

– Niech pani dzwoni po pogotowie, szybko! Camille spadła ze schodów!



– Spadła czy ktoś ją zepchnął...?

– Helen – błagam – dzwoni, szybko!

Później, kiedy Camille zostaje wypisana ze szpitala w kołnierzu ortopedycznym, dzwoniemy do Cherie. Kathy przyjeżdża po nas, ale gdy docieramy do domu, musimy siedzieć na schodach, bo drzwi są zamknięte. Kiedy robi się jasno, Rosie wygląda na zewnątrz.

– Norman i ja baliśmy się wczoraj w nocy – mówi. – Zostaliśmy całkiem sami.

Camille patrzy na mnie szybko.

– Nie byliście sami, skarbie. Byliśmy tu przez cały czas.

Akurat robimy w kuchni kawę, kiedy podjeżdża auto Cookie. Ja i Camille sztywniejmy, gdy słyszymy, jak matka gramoli się po schodach. Biorę głęboki wdech i staram się uspokoić.

– Rozumiem, że powiedziałyście lekarzom, jaką jestem złą matką? – mówi na powitanie, widząc kołnierz Camille i bandaż na moich rękach.

Przez chwilę torturuję ją milczeniem. Camille podchwytuje taktykę.

– No, słucham?

– Nic nie powiedziałyśmy – oznajmiam. – Tylko że ja upuściłam patelnię z tłuszczem, ale potem Camille upadła.

– I mam uwierzyć, że kupili ten stek zaszraných bzdur?

Camille i ja patrzymy na siebie i wzruszamy ramionami.

– Tak – odpowiada Camille. – Kupili.

– Zobaczymy. Posprzątajcie ten syf, który zrobiłyście wczoraj. Camille, zostań dzisiaj w domu i odpoczywaj – mówi Cookie – ale ty, Regina, pomożesz mi w pracy. Nie chcę, żeby wścibscy nauczyciele dociekali, co wam się stało.

Rok szkolny zbliża się ku końcowi i staje się oczywiste, że Cherie i Camille nie zamierzają spędzić z nami lata. Pytam Hankę, szefa Cookie, czy mogłabym pomagać w sklepie. Patrzy na mnie z wahaniem, a potem się zamyśla.

– Twoja matka miewa problemy z wykonywaniem obowiązków – przyznaje. – Ile ty masz lat?

Krzyżuję ręce na płaskiej jak deska piersi, żeby ukryć brak dowodów na zbliżającą się dojrzałość i mówię:

– Trzynaście. I pół.

Zerka podejrzliwie.

– W zeszłym tygodniu nie miałaś przypadkiem jedenastu?

– Dobrze pracuję, Hank. Spytaj kogokolwiek.

– Niech będzie – wzdycha. – Ale na zapleczu. W tym stanie trzeba mieć skończone piętnaście lat, żeby móc pracować.

– Będę się chować – obiecuję. – Jestem mała, widzisz?

– I musisz słuchać matki.

Kiwam głową. Przebywanie z nią w miejscach publicznych jest znacznie bezpieczniejsze niż w domu.

W pierwszym tygodniu przychodzę codziennie po szkole i zaglądam do jego kuchni, w której są długie stalowe blaty, zlew i wielki industrialny wentylator zamontowany na ścianie nad piecem. Wkładam gumowe rękawiczki i podwijam fartuch, żeby był krótszy – tak samo Cookie robi ze spódnicami przed wyjściem do baru. Pracuję do szóstej: siekam kapustę na surówkę Coleslaw, obieram marchewkę i ziemniaki, a potem sprzątam i wynoszę śmieci przed zamknięciem o ósmej. Po pierwszym tygodniu Hank daje mi kopertę, w której jest piętnaście dolarów w gotówce. Gdy wchodzimy na górę, Cookie wyciąga rękę i przebiera palcami.

– Daj mi to – mówi. – Pieszczoszko Hanka. Nie miałybyś tyle szczęścia, gdybym cię nie wprowadziła.

Patrzę na nią z niedowierzaniem, a potem... oddaję jej pieniądze. Otwiera drzwi przed moim rodzeństwem i idą do kina, a ja zostaję w domu sama.

– Na pewno znajdziesz sobie jakieś zajęcie – mówi mi. – W końcu jesteś tak cholernie przedsiębiorcza.

Nazajutrz rano wkładam krótkie spodenki, koszulkę bez ramiączek i schodzę do delikatesów.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – mówię do Hanka – pozbieram zamówienia od kierowców, którzy czekają w kolejce do tankowania.

Patrzy na mnie z zachwytem.

– No co? – pytam. – Chciałam sobie trochę dorobić, nie rozwiązałam kryzysu paliwowego.

– Mój rozwiązałaś – mówi i wskazuje na sznur samochodów za rogiem. Chodzę od auta do auta z ołówkiem i notatnikiem.

– Hej – zaglądam ludziom do okien – nie podrzucić wam czegoś z delikatesów?

Przynoszę im papierosy, chipsy, napoje gazowane i z wdzięcznością przyjmuję napiwki albo resztę, którą pozwalają mi zatrzymać. Wkrótce opracowuję tak dobry system, że zaczynam tankować auta i dostaję za to dodatkowe dwadzieścia pięć centów do kieszeni. Cookie schodzi na dół na swoją zmianę i łypie na mnie podejrzliwie, ale kiedy wychodzi na papierosa, ja szybko wydaję zarobione pieniądze na kanapkę, którą zjadam, a w kuchni ukrywam słodycze, żeby później dać je Rosie i Normanowi.

Praca nie tylko pozwala mi i rodzeństwu lepiej się żywić, ale także odrywa moje myśli od kłopotów rodzinnych. Kiedy nic nie robię, pragnienie, żeby moje starsze siostry mnie chciały, aż boli. Albo żeby matka powiedziała, że mnie kocha. Kiedy Cookie pracuje, a Norm i Rosie oglądają telewizję, zamykam się w pokoju i tnę nożyczkami przedramiona. Patrzą, jak skóra się rozstępuje, a krew wzbiera i na chwilę czuję ulgę od bólu rozsadzającego mnie od środka. Kiedy Cookie i ja pracujemy razem w kuchni, ostentacyjnie odsłaniam te sznyty, żeby sprawdzić, czy się przejmie. Któregoś dnia w końcu dostaję to, czego chciałam.

– Masz jakiś problem z rękami? – pyta mnie.

Widzę, że niedaleko pracuje Hank. Wzruszam ramionami.

Cookie wybucha śmiechem.

– Następnym razem zrób to porządnie – mówi. – Tnij nadgarstki, nie przedramiona,

Kilka dni później, kiedy wracam myślami do tej rozmowy, w drzwiach kuchni, na których wisi tabliczka z napisem „Tylko dla personelu”, staje mężczyzna w czarnym podkoszulku, w džinsach i w traperach. Patrzą na niego. Ciemne loczki okalają jego opaloną, atrakcyjną twarz, a oczy lśnią niczym onyks. Wracam do obierania ziemniaków. Potem zatrzymuję się i czekam, czy coś powie.

Patrzy na mnie.

– Mogę w czymś pomóc?

Patrzy, analizuje mój wygląd. W końcu, bez słowa, kręci głową. Patrzę na ziemniaki, a kiedy podnoszę wzrok, żeby sprawdzić, czy jeszcze tam jest, już go nie ma. Nie przypominam sobie, żebym widziała go kiedykolwiek wcześniej, ale coś w jego oczach wydaje mi się dziwnie znajome. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że już kiedyś je widziałam.

– Nazywa się Paul Accerbi. – Cookie zapala zapalniczkę, a ja dzwonię talerzami, które rozstawiam na stole do obiadu. – Wchodzi niczym król, grzebie w portfelu, a potem patrzy na mnie i zamiera jak jeleń w świetle reflektorów.

Przestaję stawiać talerze i patrzę na nią.

– Boże, co ja bym dała, żeby zrobić zdjęcie jego miny, kiedy mnie zobaczył. „Na zapleczu jest twoja córka”, powiedziałam mu. Wiesz, jak długo czekałam, żeby móc wypowiedzieć to zdanie? – zaciąga się papierosem. – Mogę ci zresztą powiedzieć, jak długo. Jedenaście dłuuuugich lat. – Śmieje się, rechocze, a potem sucho kaszle. – Wyraz twarzy tego skurwysyna... Myślałam, że się posra w spodnie!

Widziałam tego mężczyznę pierwszy raz w życiu pięć godzin temu, a już planuję, jak urządzę swój pokój w jego domu.

– Tato – poproszę go – przybijesz do ściany półeczkę, żebym mogła postawić na niej wszystkie moje figurki Jezusa?

On zamontuje w oknach mojego pokoju rolety i co noc będzie sprawdzał, czy są zaciągnięte. A potem przykryje mnie kołdrą i wetknie brzeg koca między stelaż łóżka a materac, żebym na pewno nie wypadła.

– Widziałaś to? – pyta Cookie. – Jeden rzut oka na twój zawieszony tyłek i zostawił cię drugi raz. Całe szczęście, że masz mnie i ktoś się o ciebie troszczy.

Ale nic, co mogłaby powiedzieć, nie popsuje mi radości z tego, czego właśnie się o nim dowiedziałam: że w ogóle istnieje. Że ktoś jeszcze jest ze mną na świecie... Że już nie jestem sama. Zawsze się zastanawiałam, kim jest ten mężczyzna. Czy w ogóle

żyje? A on nie tylko żyje, ale jeszcze jest przystojny... Wygląda normalnie!

Mój świat się zmienił. Paul Accerbi. Słyszałam już te słowa, ale dopiero teraz nabrały znaczenia. W naszym pierwszym mieszkaniu w Saint James Cookie przywiązywała mnie do kaloryfera i wykrzykiwała jego imię, kiedy mnie biła.

– Paul Accerbi! – krzyczała, ciągnąc mnie za włosy i uderzając moją głową o podłogę albo lejąc po plecach pasem. – On mnie skrzywdził najbardziej – zawodziła – więc ty też oberwiesz najmocniej.

Usłyszałam to pierwszego wieczoru, kiedy poznałam ją w wieku czterech lat i nigdy nie pozwoliła mi zapomnieć.

Cookie opowiadała różne historie na temat naszych ojców. Niektóre musiały być prawdziwe, bo szczegóły na temat Vita, ojca Rosie i mojego nigdy się nie zmieniały. Ale w przypadku ojców pozostałych dzieciaków fakty zamazywały się. Bywali słynnymi piosenkarzami popowymi z czasów jej kariery jako tancerki go-go albo pracownikami stacji benzynowej, których poznała, dopiero co zakończywszy poprzedni związek. Byłam w szoku, kiedy się dowiedziałam, że Paul mieszka na tyle blisko, że zakupy w naszych delikatesach mogą zdarzać się częściej.

Kiedy Cookie wychodzi na drinka, idę po książkę telefoniczną hrabstwa Suffolk. Żołądek mi się ściska, kiedy otwieram ją na pierwszej stronie litery A. Czytam nazwiska jedno po drugim... Aż docieram do jedyne, które pasuje.

„Accerbi, Paul i Joan”

Mój ojciec, razem z żoną, jak sędzę, mieszka w Riverhead, które znajduje się, o ile prawidłowo interpretuję mapkę z książki telefonicznej, czterdzieści minut jazdy na wschód od naszego domu. Wracam z powrotem na stronę z literą A, a potem zamykam książkę i bez sensu gapię się na żółte i czarne litery. Kto by pomyślał, że ze wszystkich książek, jakie w życiu przeczytałam, najwięcej nadziei i odpowiedzi na pytania znajdę w książce telefonicznej.

W październiku, kiedy jestem w siódmej klasie, Cookie

zostaje ponownie aresztowana za jazdę po pijanemu, bez dowodu rejestracyjnego i z zawieszonym prawem jazdy. Kiedy sprawdzają jej nazwisko w aktach, odkrywają, że ciążą na niej niezapłacone rachunki z całego hrabstwa Suffolk.

– Jak myślisz, ile mama jest winna? – pyta mnie Norm.

Wzruszam ramionami.

– Pewnie kilkaset dolarów – odpowiadam, chociaż tak naprawdę to raczej kilka tysięcy.

Przychodzi policja i mówi, że Cookie chce się wydostać z więzienia, bo rozpacza, że jej dzieci są same i potrzebują matki. Cherie i Camille z wprawą odpowiadają na pytania.

– Czy kiedykolwiek wcześniej opiekowałyście się rodzeństwem przez wiele dni z rzędu?

– Raczej nie – mówi Cherie. – Ale ogólnie często się nimi zajmujemy.

Policjanci chcą porozmawiać z Rosie i Normem.

– Czy starsze siostry dobrze się wami zajmują?

Oboje kiwają entuzjastycznie głowami. W ciągu kilku minut przekonałiśmy policjantów, że świetnie sobie poradzimy, dopóki Cookie nie zbierze kaucji. Jednak kiedy tylko odjeżdżają z parkingu przed delikatesami, puka Hank.

– Kiedy wasza matka wróci, powiedzcie jej, że ma tydzień na wyprowadzkę – mówi. Przez następne kilka dni pracuję rano, po południu i wieczorem, żeby zarobić jak najwięcej. Hank dokłada nam kilka słoików masła orzechowego i galaretki oraz dwa bochenki chleba. – Powinno wam to wystarczyć na jakiś czas – mówi. – Prawda?

Kiwam głową.

– Dzięki, Hank.

Wieczorem policjanci przywożą Cookie. Data rozprawy została ustalona na koniec października.

Zawsze unikaliśmy strzeżonych osiedli, bo ich zarządcy sprawdzają wynajmujących w rejestrze dłużników, ale tym razem zgadzają się na przedstawiony przez Cookie zasiłek mieszkaniowy.

Odkąd wyszła z więzienia, wpadła w paranoję z powodu

„psów”, więc całe dnie siedzimy w mieszkaniu z zaciągniętymi roletami i przy zgaszonych światłach. Cookie odmawia zapisania nas do szkoły na wypadek, gdyby poszukiwały jej władze. Przez pierwsze dwa tygodnie co kilka dni wysyła Cherie albo Camille po papierosy i jedzenie, aż pewnego dnia siostry załamują mnie informacją, że postanowiły wrócić do Kathy.

Norm, Rosie i ja znów utknęliśmy z Cookie w zimnym, nieumeblowanym apartamencie. Moim obowiązkiem jest kupowanie jedzenia i papierosów na kartki żywnościowe, ale któregoś dnia spotykam na korytarzu dziewczynkę w moim wieku, której rodzice mają całkowicie umeblowane mieszkanie i dostają za to lanie, bo ryzykowałam zwrócenie na nas uwagi. Siniaków wstydzę się tak bardzo, że czuję ulgę, kiedy pod koniec pierwszego miesiąca ktoś puka do drzwi.

– Kurwa, psy! – syczy Cookie w ciemności. – Regina, ty otwórz.

– Wiemy, że pani tam jest!

Powoli uchylam drzwi, zamknięte na łańcuch i widzę dwóch mężczyzn w koszulach na guziki.

– Wiemy, że ona tu jest – mówi jeden z nich, ten, który ma na kieszeni fontannę, logo naszego osiedla.

– Nie ma jej – odpowiadam. – A mnie nie wolno nikogo wpuszczać, kiedy mamy nie ma w domu.

– Lepiej niech szybko wróci, bo policja już jedzie.

Zamykam drzwi, a spanikowana Cookie zapala papierosa.

– Co mam teraz zrobić, do ciężkiej cholery? Musieli się dowiedzieć i zadzwonili po policję. Skurwysyny.

– Norm, Rosie – mówię do nich – spakujcie swoje ubrania. Ręczniki i koce też.

Cookie zanoszą bagaże do auta.

– Opuściłam przesłuchanie i wydałam kasę na kaucję – wyznaje mi, jakbyśmy nagle zostały przyjaciółkami. – Pewnie mają kolejny nakaz aresztowania.

– Więc pospieszmy się – mówię.

Wyjeżdża z parkingu, śpiewając:

*Trzymajcie się zdrowo,  
było nam tu kijowo!*

Liście zaczynają zmieniać kolor i wygląda na to, że dwunaste urodziny spędzę tak samo jak jedenaste: w samochodzie, podczas gdy Cookie będzie siedziała w barze. Jeśli znajdzie faceta, który ma wystarczającą klasę (albo przynajmniej żonę), żeby zabrać ją na noc do hotelu, prosi, żeby dla nas zarezerwował pokój obok. Wtedy moczę się w kąpieli tak długo, że prawie zasypiam w wannie, a Norm i Rosie leżą rozciągnięci na szerokim łóżku jak książęta i oglądają telewizję. Te noce trzymają nas przy życiu, bo wiemy, że za kilka godzin znajdziemy się z powrotem na parkingu i pójdziemy spać za jakimś supermarketem albo na parkingu centrum handlowego Smith Haven.

W listopadzie Cookie poznaje Garcie, niskiego farmera o miłej twarzy, który często bywa w pubie niedaleko centrum handlowego. Kiedy mówi mu, że jej dzieci mieszkają w samochodzie, on proponuje, żebyśmy z Normem i Rosie spali przez całą zimę w pustej przyczepie na jego farmie. Musimy tylko codziennie rano sprzątać w stajni.

– Powiedział, że nie ma tam ogrzewania – mówię dzieciom – ale to i tak lepsze niż zima na parkingu.

Wczesnym rankiem, kiedy większość dzieci jeszcze smacznie śpi, zanim rodzice zaczną budzić je do szkoły, my wstajemy po nocy spędzonej na szczękaniu zębami i myjemy twarze wodą ze szlauchu w stodole, nalewaną do wiadra. Niedługo po tym, jak damy koniom wodę i siano, zaczyna się najlepsza część poranka: przyjeżdżają pracownicy farmy. Przywożą nam na śniadanie ciepłe bułeczki z pobliskiej piekarni albo ciastka Hostess. Czasem prowadzą nas do pubu na zupę i kanapkę lunchową. Wtedy zawsze śpieszymy się, żeby wyjść, zanim Cookie przyjdzie się zainstalować w barze na cały dzień.

Pracownicy są świetni, ale najbardziej lubię Garcie. Nawet nie zastanawiam się, dlaczego nigdy nie umawia się z Cookie.

Obiecuje, że kiedy tylko konie do nas przywykną, zacznie nam dawać lekcje jazdy. Kilka dni z rzędu uczy mnie siodłać



Dixie, słodką kasztanową klacz. Po pięciu lekcjach w siodle Norman, Rosie i ja na zmianę jeździmy na niej, jakby należała do nas. Aż do popołudnia, kiedy Rosie i klacz spotyka wielkie zaskoczenie. Dixie została wybranką pewnego nadmiernie entuzjastycznego ogiera, który sprawia, że wszyscy pracownicy farmy zlatują się do nas w popłochu. Jeden biegnie ratować Rosie, a w tym czasie dwa konie dają nam taki popis krycia, że mam ochotę opisać to w „National Geographic”.

Garcia mówi, że Cookie mieszka z jakimś facetem poznanym w pubie, więc na Święto Dziękczynienia pracownicy farmy dzwonią do Armii Zbawienia, żeby przywieźli nam ciepły obiad. Jedzenie przybywa, a dzieciaki i ja wkładamy na dłonie skarpetki z wyciętymi dziurami i otwieramy styropianowe pudełka naładowane indykiem, farszem, tłuczonymi ziemniakami i sosem żurawinowym. Szybko zasiadamy przy składanym stole w przyczepie.

– Zmówmy modlitwę – mówię dzieciakom. Schylamy głowy i mówię:

„Pobłogosław, Panie, nas i te dary,  
które dzięki Twojej hojności będziemy spożywali.  
Przez Chrystusa, Pana naszego.  
Amen”.

Kiedy moje siostry nauczyły mnie tej modlitwy, pozwoliły mi się żegnać znakiem krzyża, chociaż żadna z nas nie była pewna, czy zostałam ochrzczona. Patrząc, jak Rosie i Norman rzucają się na swoje porcje i upominam ich, żeby żuli powoli. Po obiedzie zjadamy na deser ciasto dyniowe, też od Armii Zbawienia, i kładziemy się na podłodze, żeby z brzuchami tak pełnymi, że ledwie się ruszamy, pograć w gry planszowe.

– Boli cię brzuch? – pytam Rosie.

– Nie – odpowiada. – Jest cudownie.

Kiedy robi się zimniej, pracownicy przyjeżdżają wcześniej, żebyśmy nie musieli wstawać i wychodzić na mróz. Dnie zaczynamy spędzać w centrum handlowym. Patrzymy, jak zakupowicze ładują pełne wózki prezentów dla dzieci, a maluchy

wdrapują się na kolana Świętego Mikołaja.

– Myślisz, że Mikołaj kiedyś nam też przyniesie prezenty? – pyta Rosie.

– Pewnego dnia tak, skarbie. Kiedy przestaniemy tak krążyć i zamieszkamy gdzieś na stałe.

Cookie pojawia się niemal w samo Boże Narodzenie. Mówi, że opieka społeczna ma dla nas pokój w schronisku dla bezdomnych Los Bianos w Patchogue. Nic nie mówi na temat mojego powrotu do szkoły, a ja chciałabym zostać na farmie, gdzie dbają o nas pracownicy. No ale w schronisku będzie ogrzewanie, trzy posiłki dziennie i bieżąca woda we wspólnej łazience.

Moje ulubione miejsce to pralnia. Jest tam ciepło i łatwo z kimś porozmawiać. Tam wreszcie poznaję przyjaciółkę. Karen ma dwanaście lat jak ja i uwielbia czytać, też tak samo jak ja.

Spędzamy czas razem, przeglądając magazyny, znajdowane na półkach w schronisku. Rodzina Karen często zaprasza Rosie, Normana i mnie, żebyśmy siedli przy ich stole w jadalni. Uwielbiam te chwile, bo mama Karen ma męża. Jej ojczym uczy nas nowych słów, kiedy gramy w wisielca albo w scrabble po tym, jak pomożemy myć naczynia po wspólnej kolacji.

W świetlicy ojczym Karen siada na jednym z foteli z drewnianymi podłokietnikami i pilnuje dziecka, które uczy się chodzić, albo rozmawia z Karen i ze mną na temat tego, co pokazują w wiadomościach. Jest jedynym znanym mi mężczyzną, który kiedykolwiek traktował mnie jak dorosłą, a poza tym jest jedynym porządnym tatą w całym schronisku.

Któregoś dnia, kiedy w pralni jest prawie całkiem pusto, Karen mówi, że ojczym pytał ją, skąd mam siniaki i rany.

– Powiedz, że to przez brata – odpowiadam. – Wiesz, jacy są chłopcy, uwielbiają zapasy.

Później w pralni zaczyna mi się przyglądać prowadzący schronisko. Kiedy jestem sama, widzę kątem oka, że bierze krzesło i siada przy mnie.

– Regino – pyta – czy możesz mi powiedzieć, gdzie spędza czas twoja matka?

– Tu i tam – mówię. – Czasem wychodzi, ale ogólnie dużo śpi. – Udaję, że jestem bardzo skoncentrowana na lekturze programu telewizyjnego, który przeglądałam już dziesięć razy, ale wiem, że on wie, bo moja matka rzuca się w oczy wszystkim w schronisku, a następnie znika na całe dni, szlajając się po barach i cudzych łózkach.

– Musisz mi powiedzieć, skąd masz ślady na ciele.

Zamieram.

– Macie pokój obok biura i niektórzy członkowie personelu zgłaszali krzyki i bardzo często telewizor nastawiony na cały regulator. – To żelazna taktyka Cookie: kiedy nas bije, głośno nastawia telewizor.

– To mój brat – upieram się. – Widział pan, jak się bawi.

– Regino.

Odkładam gazetę i wzdycham.

– Jeśli nie powiesz mi prawdy, nie dopuszczę cię do posiłków.

– To mój brat! – powtarzam. – Gdybym była bita, chybaby pan słyszał, prawda?

Zdarzały mi się gorsze rzeczy niż brak posiłków przez kilka dni, a nie powiedzieć i być głodną to lepsze niż powiedzieć i zostać rozdzieloną z rodzeństwem.

W Wigilię pracownicy schroniska zapraszają dzieci do pomocy w dekorowaniu choinki. Rosie, która ma teraz sześć lat, delikatnie bierze mnie za rękę i z nieśmiałym uśmiechem wita Mikołaja, który przyniósł na ramieniu wielki worek. Kierownik schroniska zachęcił mnie, żebym zrobiła listę prezentów, więc poprosiłam o nowe karty do gry w mad libs i magazyny „Highlights” do podziału z Rosie i Normem. Kiedy prezenty zostają rozdane, kierownik prosi mnie też o listę książek dla uczennicy siódmej klasy, żeby mógł wypożyczyć je dla mnie z biblioteki. Wymieniam kilkanaście książeczek historycznych z serii Landmarks i kilka powieści Judy Blume. Czemu nie skorzystać, myślę sobie. Za bibliotekę się przecież nie płaci.

Kilka miesięcy później, w marcu 1979 roku, Cookie wraca

do schroniska i ogłasza, że zapisała nas do szkoły i wynajęła piętro w bliźniaku w Ronkonkoma. Zawozi nas tam i natychmiast znika, co Rosie, Normowi i mnie bardzo pasuje. Po kilku miesiącach spędzonych w schronisku przyzwyczailiśmy się do towarzystwa znajomych, więc teraz, po szkole zapraszamy do nas dzieciaki z sąsiedztwa. Jednak zabawa kończy się pewnego popołudnia, kiedy Cookie postanawia wrócić do domu, a potem za włosy ciągnie mnie do swojej sypialni. Nasi przyjaciele rozpierzchają się po schodach, a Cookie łapie pasek i zdiera mi koszulę. Raz za razem leje mnie po plecach. Rzucam się do drzwi, ale kończy się na tym, że kulę się w kącie. Gdy jednak robi przerwę, żeby poprawić chwyt na pasku, zaczynam jej oddawać. Z trudem łapie oddech, zaciska pasek i krzyczy:

– Im bardziej się bronisz, tym dłużej to będzie trwało, chuda dziwko! Zapraszasz sobie chłopaków, głupia kurwo? Robię to dla twojego dobra. Chcesz zajść w ciążę? I kto by wtedy niańczył twojego bachora, co? – dopytuje. – Może ja?

Kiedy kończy, zaciąga mnie za rękę do mojego pokoju i wpycha do środka. Szybko wkładam inną bluzkę i zbiegam po schodach. Chcę wybiec z ogrodu i ominąć zgromadzonych na tylnej werandzie sąsiadów, którzy pokazują Cookie, dokąd poszłam. Wszystkie osiemdziesiąt jeden kilogramów Cookie rzuca się za mną, a potem łapie mnie za włosy i ciągnie z powrotem do domu.

– Zdejmij bluzkę i dżinsy – mówi.

Gapię się na nią z wściekłością.

– Zdejmij te pierdolone ubrania, szmato! Rosie, Norman – woła. – Patrzcie, co się stanie, jeśli kiedyś będziecie próbowali uciec.

Podchwytuję spojrzenie Rosie, która z przerażeniem patrzy na Cookie, ale ona odwraca mnie tak, żebym stanęła do niej plecami. Napinam się, bo słyszę, że podnosi rękę. I chłoszcze mnie. Raz i następny Zaciskam powieki i zagryzam wargę, ale w końcu krzyczę z bólu. Wydaje mi się, że całe ciało mam opuchnięte i czerwone. Następnie związuje mi ręce i kostki, a

potem wieszka mnie za nadgarstki w szafie. Kiedy już wiszę, całkiem bezbronna, zatrząskuje drzwiami. Kopię w nie i wrzeszczę, nie mogę się opanować, żeby nie dać jej tej satysfakcji. Popołudniowe światło wpada pod drzwiami szafy, ale szybko znika i mam poczucie, jakbym została pochowana żywcem. Jestem związana i wepchnięta do ciasnego pomieszczenia, jak wtedy, gdy byłam mała. W końcu nie mogę już krzyczeć, a nadgarstki mam starte i powykręcane. Nie ma rady, muszę przestać walczyć. Staram się teraz nie wpaść w panikę, jak wiele razy wcześniej, kiedy byłam związana, bo to wywołało u mnie poważną klaustrofobię. Żeby odpędzić atak paniki, liczę i modłę się o jakieś wyobrażenie, które byłoby w stanie uspokoić rozkołatane serce.

Wreszcie jest: idę z siostrami i innymi dzieciakami plażą. Podnosimy kamienie, żeby znaleźć małże na obiad. Poznaję smak trawy cebulowej, czuję, jak morskie rośliny łapią mnie za nogi, kiedy pędzimy poskakać z pływającego doku.

Rano Norman przychodzi mnie odwiązać, a ja nakazuję jemu i Rosie szykować się do szkoły.

– Nie możecie się spóźnić na autobus – mówię im. – Zjedzcie coś, ja nie mogę iść do szkoły w takim stanie.

Mam poranione nie tylko nadgarstki, ale i twarz. Żołądek mi się ściska, kiedy pomyślę, co powiem kolegom, którzy widzieli, jak traktuje mnie matka.

Kilka dni później mam jeszcze większy problem, bo drzwi otwiera sobie właściciel domu, mija mnie, jakbym była niewidzialna i wnosi nasze rzeczy na trawnik.

– Jeszcze się nie zaczęła wiosna – mówię mu. – Chce pan, żebyśmy spali na dworze?

– Pozwoliłem wam tu mieszkać przez trzy miesiące – mówi.  
– To dokładnie o dwa więcej, niż opłaciła wasza matka.

Odwracam się do dzieci i dla ich dobra staram się zachować spokój.

– Zostańcie tu z naszymi rzeczami. Idę dzwonić do Cherie. Zaraz wrócę.

W sklepie spożywczym kawałek dalej błagam kasjera, żeby

dał mi dziesięć centów na telefon.

Cherie przyjeżdża po nas samochodem chłopaka. Na palcu lewej ręki ma pierścionek z maleńkim okrągłym brylancikiem.

– Chciałam poczekać, żeby powiedzieć wszystkim – mówi – ale będziesz ciocią.

Szukam w sobie radości, ale jestem w zbyt wielkim szoku. Chcę, żeby moje siostry zajęły się wychowywaniem nas! Jak Cherie mogła pomyśleć o zostawieniu nas na dobre?

Umieszcza nas na noc w domu Kathy, a ja boję się jej telefonu do Cookie, która nie ma wyboru, musi przyjechać tu rano i przedstawić matce Kathy jakieś bzdury na swoje usprawiedliwienie.

– Poczekaście, aż zgłosi się do nich mój prawnik! – pokrzykuje. – Pozwę ich o ciężką kasę!

Lato i jesień spędzamy w samochodzie, barach i hotelach, a moje trzynaste urodziny upływają tak samo jak dwunaste. Które obchodziłam tak samo jak jedenaste. Tuż przed świętami Cookie znajduje dla nas miejsce w Smithtown, u właściciela domu, który nocami składa jej wizyty. Traktuje to jak spłatę czynszu.

Wszystko idzie gładko. Zaczynam nawet wierzyć, że uda mi się zapisać w środku roku do ósmej klasy, nie ukończywszy siódmej, a Camille wprowadza się do nas, kiedy namawiam ją w czasie rozmowy telefonicznej z automatu.

– Smithtown jest blisko Hauppauge! – mówię jej. – Będziesz miała blisko do wszystkich przyjaciół.

Wraca do nas i jesteśmy razem przez całą wiosnę. Ale na początku lata do drzwi puka żona właściciela mieszkania, która dowiedziała się, w jakiej formie mąż przyjmował spłatę czynszu.

I wtedy, zanim zobaczę na oczy mój dyplom ukończenia ósmej klasy...

Znikamy.

## *Puste słowa*

*listopad 1980 – lato 1984*

Rozprostowuję palce, bo złapał mnie skurcz i patrzę na panią Davis znad grubego stosu kartek, leżącego na stole Addie.

– Akt uniezależnienia... – pytam ją i Addie – oznacza, że nigdy już nie będę miała nic wspólnego z Cookie, prawda?

Addie patrzy na panią Davis, która mówi:

– Dokładnie to oznacza akt uniezależnienia, Regino.

Jestem tak wyczerpana, że mam ochotę położyć głowę na rękopisie. Podpisanie tego oświadczenia złożonego pod przysięgą zmieni wszystko, ale biorąc pod uwagę to, czego doświadczyliśmy od systemu socjalnego, nie umiem stwierdzić, czy będzie to zmiana na gorsze, czy na lepsze.

Opowieść o naszym dzieciństwie w końcu trafi do władz. Tej listopadowej niedzieli w kuchni Addie, cztery dni po tym, jak moja matka skopała mnie i poraniła potłuczonym szkłem, pani Davies zdobywa nasze podpisy pod oświadczeniem, gwarantując nam, że nikt niepowołany nie ma dostępu do raportów w sprawie dręczenia dziecka, a już z całą pewnością nie oskarżony. Zapewnia nas także, że nasze oświadczenia zostaną użyte jedynie w procesie uniezależnienia.

– I przysięga pani, że zrobicie wszystko, żeby Cookie już nigdy nie dostała prawa do opieki nad dziećmi? – Odwracam się do Camille, bo chcę, żeby pani Davis pojęła wagę oświadczenia, które złożę za chwilę: – Bo choćbym miała znów być cała w czarnych i fioletowych sińcach i spędzić resztę życia, śpiąc samotnie za sklepem spożywczym albo ukrywając się przed Cookie, wolę to niż kiedykolwiek zobaczyć przerażone buzie

mojej siostry i mojego brata, którzy odjeżdżają samochodami opieki społecznej.

– Rozumiem – mówi pani Davis.

– Więc proszę obiecać, że pani i wszyscy inni będziecie walczyć o bezpieczeństwo dzieci od chwili, kiedy przyłożę długopis do tej kartki.

– Obiecuję, Regino.

Patrzę na Cherie i Camille.

– Jestem gotowa.

Przykładam długopis do linii pod słowem „Podpis” i kobiecym, pełnym zakrętasów pismem sygnuję oświadczenie.

Regina M. Calcaterra.

Później podaję długopis Camille.

– Teraz ty.

Delikatnie wyjmuję mi długopis z ręki i z pewnością siebie godną maestra wpisuje swoje imię pod moim. Następnie to samo robi Cherie, a potem wraca do swojej małej rodziny.

– Teraz obie macie pewność, że nie wrócicie pod opiekę matki – mówi pani Davis, patrząc na mnie i Camille. – Musicie już zacząć planować swoje życie po ukończeniu osiemnastego roku życia. Państwo pokryje koszty waszego utrzymania w rodzinie zastępczej tylko do tego momentu. Chyba że pójdziecie do college’u.

– Do college’u? – pytam.

– Oczywiście wiąże się z to z dużymi obciążeniami. Prawda jest taka, że nie znamy przypadku dziecka z rodziny zastępczej, które by poszło do college’u.

– Jak to? Dlaczego?

– Zastanów się: trudno jest utrzymać pracę i zarobić na czynsz, kiedy trzeba myśleć o nauce. W każdym razie nauczymy was, jak sobie radzić. Mam nadzieję, że któregoś dnia poradzicie sobie same.

Zerkam na Camille, której wzrok miota pioruny w kierunku pani Davis.

Po jej wyjściu Addie odsuwa się, żebyśmy mogły wyjść z



kuchni.

– Zjecie z nami kolację?

– Nie, dziękujemy – wołamy przez ramię. Zamykamy się w pokoju Camille, a ja gapię się w sufit.

– Sama nie wiem, co czuję – wyznaję.

Camille pada na łóżko i kładzie głowę na poduszce obok mojej.

– Ja też nie.

A potem, jakby na sygnał, odwracamy się do siebie i parszemy śmiechem. Śmiejemy się tak bardzo, że brak nam tchu, a łzy płyną nam po twarzy i w końcu spadamy z łóżek, turlając się po podłodze jak dwa worki z kośćmi. W końcu udaje mi się opamiętać na tyle, żeby wyśmiać te trzy dni spędzone z pracownikami socjalnymi i ich prawną nowomową.

– Gratulacje! – mówię. – Teraz, kiedy już wypięłaś się na swoją matkę, w wieku osiemnastu lat znów będziesz bezdomna. Jeśli oczywiście dożyjesz osiemnastych urodzin!

Camille ociera łzy i zaplata ramiona na piersi jak pani Davis.

– Posłuchajcie, dziewczynki – mówi ze sztucznym współczuciem. – Nie macie cienia szansy na przetrwanie. Postarajcie się co najwyżej nie zostać ćpunkami ani alkoholiczkami, nie zajdźcie w ciążę, nie puszczajcie się za pieniądze ani nie skończcie w więzieniu.

– Jak wasza matka! – łkam.

Tej nocy Camille delikatnie całuje mnie w policzek i odgarnia mi włosy za ucho.

– O czym myślisz? – pyta.

Wzdycham.

– O Rosie i Normie. Jutro po szkole poproszę Addie, żebyśmy mogły do nich zadzwonić,

– Ja też się o nich martwię – mówi. – Ale jutro twój dzień. Myślisz, że spełni się twoje urodzinowe życzenie?

Uśmiecham się. Przez cały weekend schodziłyśmy z drogi naszym opiekunom zastępczym i pomagałyśmy pani Davis skompletować na czas nasze oświadczenia, a mimo całego tego

chaosu moja siostra pamiętała, że dziś kończę czternaście lat.  
Wkładam ręce pod głowę i opieram się na poduszce.

– Chyba właśnie się spełniło.

W poniedziałek cały szkolny autobus żyje jeszcze ubiegłotygodniowymi wyborami prezydenckimi, w których Ronald Reagan pokonał Jimmy'ego Cartera.

– Czuje się pan lepiej niż cztery lata temu? – To pytanie Reagana, zadane w czasie ostatniej debaty prezydenckiej, tydzień przed wyborami, przeszło do historii. Dochodzę do wniosku, że ja w każdym razie czuję się znacznie lepiej niż cztery dni temu.

Po korytarzach chodzę z włosami opadającymi na twarz i ze spuszczoną głową, licząc, że jeśli będę unikać wzroku moich kolegów, oni też nie będą zwracać na mnie uwagi. Na lekcjach bazgrzę na okładkach zeszytów słowa „je t'aime” i „mia bambina amore”.

Zaczynam więcej jeść i już po tygodniu u Petermanów ubrania leżą na mnie inaczej. Ponieważ jestem dzieckiem objętym opieką społeczną, w szkole przysługuje mi darmowy lunch, a co wieczór w domu zjadam kolację z Camille, Dannym i rodzicami. Im więcej jem, tym bardziej jestem głodna.

– Gromadzisz tłuszczyczek na zimę – mówi Peter, ale Addie wyraźnie zaznacza, że jej dom nie jest miejscem, w którym nadrobię wszystkie niezjedzone posiłki z całego życia. Ona jest wiecznie na diecie, więc podjadanie między posiłkami jest zakazane dla nas wszystkich. Łapię się na tym, że mam dziką ochotę na ho ho'sy albo twinkies, które były tak nieosiągalne, gdy mieszkaliśmy sami. Camille też jest wyraźnie zdenerwowana ograniczeniami. Nagle całe nasze życie opiera się na restrykcyjnych porach posiłków Petermanów, ich zwyczajach telewizyjnych, wyznaczonym czasie odrabiania lekcji i godzinie policyjnej. W nocy, gdy szepczemy do siebie z Camille, ona próbuje mnie na coś przygotować: chociaż Petermanowie zaprosili nas obie do zamieszkania z nimi na stałe, ona nie chce mieszkać w domu, który stawia takie ograniczenia. Mówi, że zostanie ze mną na wakacje, ale do wiosny chce wymyślić jakieś wyjście z tej

sytuacji.

– Do wiosny – powtarzam. – Świetnie. Zostawisz mnie akurat w kwietniu, kiedy będziemy musiały iść do sądu na oficjalne ogłoszenie aktu uniezależnienia.

– Regina, ja mam siedemnaście lat – mówi. – Ty chcesz zawsze tak żyć? Mówić tylko wtedy, kiedy ktoś się do ciebie odezwie i wiecznie mieć paranoiczne poczucie, że kiedy tylko wychodzisz z pokoju, opiekunowie zastępczy zaczynają o tobie rozmawiać? O naszej przyszłości, o naszym zachowaniu albo o sposobie, w jaki trzymamy widelce?! Chcesz?

Nic nie odpowiadam.

– Chcesz, żeby jedyna miłość, jakiej doznajesz, brała się z przytulania plastikowych Jezusków i z patrzenia na zdjęcie, na którym banda dzieciaków ma na sobie podkoszulki z napisem „Lake Havasu”?

Auc. Punkt dla Camille.

– Nieważne, gdzie był nasz dom, zawsze łączyło nas morze miłości. – Wiem, że ma rację. Nawet gdy byliśmy z Normem i Rosie sami w lodowatym wnętrzu końskiej przyczepy na farmie. Przez lata z siostrami nauczyłam się tworzyć atmosferę śmiechu, spokoju i swobody. A kiedy w pobliżu była Cookie, i tak udawało nam się budować ostoję pośród chaosu, w której mogliśmy być razem, rozmawiać albo grać w gry. – Ja już wiem, jakie chcę mieć życie – mówi dalej Camille. – Nie polega ono na uczeniu się zasad panujących w nowym domu. Ja już jestem wychowana.

Znajduje pracę w sklepie ze świecami Wicks’n’Sticks w centrum handlowym Smith Haven Mall. A ja zaczynam nawiązywać przyjaźnie na przystanku autobusowym. Sheryl i Tracey nie ukrywają, że rozmawiają ze mną, bo fascynuje je, co skrywam pod zamkniętą skorupą i wkrótce czas po szkole zaczynam spędzać w ich domach. Obydwie mają rodziców, którzy żyją razem, po dwa auta na podjeździe, baseny w ogródkach na tyłach domu i szafy pełne dobrze dopasowanych ubrań, a co najważniejsze, lodówki i spiżarnie napakowane jedzeniem i napojami gazowanymi. Znacznie swobodniej przychodzi mi rola

gościa w ich domach niż w mojej nowej zastępczej rodzinie.

Fascynuje mnie obserwowanie życia normalnych rodzin. Kiedy w domu są mama i tata, wydaje się, że każdy odgrywa w rodzinie określoną rolę: tata pracuje cały dzień w biurze, a mama na pół etatu albo opiekuje się dziećmi. A my, dzieciaki, zajmujemy się byciem dzieciakami. To dla mnie zupełnie nowe doświadczenie. W tygodniu całe popołudnia oglądamy MTV i odrabiamy lekcje, w weekendy ходzimy do kina, na kręgle i gramy na automatach w Pac-Mana i Centipede. Tracey śmieje się z mojej wymowy. Ja tylko wzruszam ramionami i uśmiecham się.

Oni myślą, że dobrze mnie znają i że mieszkam w domu cioci. Nigdy nie mówię o swojej historii, o tym jak dorastałam, że mam młodsze rodzeństwo, które chcę ocalić, ani że moja matka jest chorą psychicznie, puszczalską pijaczką, która już niedługo nie będzie moją matką.

Camille i ja dostajemy zgodę na jeden telefon w tygodniu do Rosie i Norma, którzy płaczą w słuchawkę i szeptem mówią, że ich zastępcza mama nigdy ich nie przytula, tylko dyscyplinuje biciem i krzykiem. Powtarzają, że próbowali to powiedzieć opiekunce, ale zamiast zaoferować im współczucie i pomoc, napominała tylko, żeby uważniej słuchali. Camille i ja mówimy naszej opiekunce, że dzieciaki, a na pewno Rosie, nigdy nie kłamałyby, że są bite. Błagamy Addie, żeby pozwoliła im zamieszkać z nami, ale ona za każdym razem mówi ze smutkiem, że nie może ich przyjąć. Twierdzi, że już i tak jest na granicy wytrzymałości i zmęczenia, a poza tym opiekunka Rosie i Norma nie jest przekonana, czy nie wymyślają tych historyjek z tęsknoty za nami.

Zbliżają się święta, a ponieważ Petermanowie zaproponowali nam, żebyśmy zamieszkały u nich na stałe, naszą sprawę przejmuje nowa pracownica, pani Harvey. Brak współpracy z jej strony w sprawie spotkania z dziećmi powoduje, że Camille i ja jeszcze bardziej się izolujemy i buntujemy. Przebywamy poza domem aż do godziny policyjnej, a potem od razu zamykamy się w swoich pokojach. Kiedy Addie dostaje miesięczny zasiłek na nas,

daje każdej wyznaczoną przez hrabstwo sumę sześćdziesięciu dwóch dolarów z dwóch czeków po czterysta dwanaście dolarów, żebyśmy miały pieniądze na swoje wydatki: ubrania, kosmetyki, książki, szkołę i wycieczki.

Później, na początku grudnia, pracownica społeczna informuje nas, że przypadła nam gwiazdkowa wizyta u dzieciaków. Zdajemy sobie sprawę, że pieniądze z pierwszego zasiłku wydałyśmy na ciepłe kurtki i buty dla siebie, więc Camille bierze drugą pracę (sprzedaje perfumy w centrum handlowym), a ja pukam do okolicznych sąsiadów i oferuję grabienie liści przed zimą za dziesięć dolarów od ogródka. Addie widzi, jak ciężko pracujemy, i poleca mnie sąsiadom, którzy szukają niani do dziecka, która dodatkowo sprzątałaby w domu. Poza tym zarabiam pięć dolarów tygodniowo za ścieranie kurzu z mebli Addie.

Idziemy z Camille na świąteczne zakupy dla Rosie i Norma. Ja przejmuję dowodzenie w dziale z dziecięcymi ubraniami.

– Znam go jak własną kieszeń – mówię jej. – Dziecięca rozmiarówka na mnie pasuje, a ciuchy są znacznie tańsze niż w dziale młodzieżowym. Myślisz, że gdzie robię zakupy?

– Korzystaj, dopóki możesz – mówi Camille i wskazuje na mnie. – Już zaczynasz nabierać kobiecych kształtów. Będzie tak jak ze mną. Któregoś dnia obudzisz się rano i – tadaaaaam! – będziesz potrzebowała stanika. Prawdziwego! – szepcze. – Możemy się założyć, jak długo jeszcze będą na ciebie pasować dziecięce golfy.

– Po prostu mi pomóż – mówię. Pcha wózek, do którego ładujemy rękawiczki, czapki, szaliki, bieliznę, skarpetki, buty zimowe, dżinsy i tęczowe swetry z warkoczami.

W niedzielę 23 grudnia o trzynastej trzydzieści Cherie zabiera nas od Petermanów i jedziemy pół godziny do nowego domu dzieciaków.

– Nie zdziw się, jeśli nie będą zachwyceni prezentami – ostrzega Camille. – Cookie była u nich od dziewiątej do trzynastej, a jeśli próbowała ich czymś przekupić, głowę dają, że to zabawki.

– Przynajmniej nie ma jej samochodu – mówię, kiedy

stajemy na podjeździe przed brzydkim domem. Opieka społeczna wykazała się rozważą i zostawili godzinną przerwę między naszymi odwiedzinami.

Cherie wyłącza silnik i pomaga nam wyładować prezenty, których stosy są tak wysokie, że musimy sobie podpowiadać, co jest przed nami, gdy idziemy do drzwi wejściowych. Otwiera je kobieta w welurowym dresie i z gigantycznym tapirem, która zamiast nas powitać albo chociaż się przedstawić, mówi, że Cookie jeszcze nie odprowadziła dzieci.

– Oczywiście – odpowiada Cherie. Patrzymy jedna na drugą i zastanawiamy się, kiedy zaprosi nas do środka. W końcu przełamujemy kłopotliwe milczenie i wracamy do samochodu. Cherie zapala silnik i włącza ogrzewanie na full. Potem idzie na róg zadzwonić do męża, że wróci później, niż planowała.

Śpiewamy do wtóru z radiem i na zmianę pukamy do drzwi, żeby zapytać, czy Cookie przypadkiem nie dzwoniła i nie podała pory powrotu. Mijają godziny. Cherie mówi, że kończy jej się benzyna i musi wracać do domu, żeby nakarmić dziecko.

Odwozi Camille i mnie do Petermanów.

Co godzinę dzwoniemy do Rosie i Norma, ale odpowiedź jest zawsze taka sama. Zostawiamy wiadomość ich opiekunce z nadzieją, że oddzwoni w poniedziałek rano. Addie zgodziła się przypiąć jej numer na tablicy korkowej przy telefonie.

Całą noc nie śpimy, a kiedy budzik elektroniczny Camille pokazuje szóstkę ułożoną z czerwonych kropek, idziemy na palcach do kuchni i znów dzwoniemy. Opiekunka zastępcza dzieciaków jest zachrypnięta, wkurzona i mówi, że Rosie i Norma wciąż nie ma.

Pani Harvey wierzy w naszą sugestię, że Cookie uciekła z dziećmi.

– Ale jest Wigilia – mówi – i niewiele możemy zrobić, dopóki ludzie nie wrócą do pracy po świętach. Nie martwiłabym się jednak...

– Nasza matka trzyma naszą ośmioletnią siostrę i dwunastoletniego brata w samochodzie na parkingu za jakimś

sklepem spożywczym albo w domu jakiegoś głupka, z którym sypia w tym tygodniu, a pani by się nie martwiła?! – krzyczy Camille do słuchawki. Obejmuję się ramionami i czuję, że mnie mdli. Kiedy Camille jest załamana, poczucie winy z powodu mojej decyzji przygniatą mnie jeszcze bardziej.

– Władze patrzą waszej matce na ręce, więc nie sądzę, żeby odważyła się zrobić jakąś krzywdę Normanowi i Roseanne.

– Właśnie ich porwała! – przypomina Camille. – A pani uważa, że to nie powód do zawiadomienia policji?

– Żeby uzasadnić telefon na policję, musiałyby ich porwać ktoś obcy.

– Nasza matka jest dla tych dzieci niebezpieczniejsza niż ktoś obcy – mówi Camille. – Jesteście głupi, jeśli nie zamierzacie jej szukać.

– Wesołych świąt, Camille – mówi na koniec pani Harvey. – Przekaż też życzenia Reginie. Cieszcie się odpoczynkiem od szkoły. Kiedy wrócę do pracy, sprawdzę w aktach ostatni adres waszej maki. Odezwę się do was, jeśli się czegoś dowiem.

Dopiero po Nowym Roku opieka społeczna znajduje Cookie, która mieszka w domu obecnego chłopaka.

– Moje dzieci powiedziały mi, że w domu zastępczym są bite. Myśleliście, że oddałabym je z powrotem do tego piekła na ziemi? Idźcie się gonić! Do zobaczenia w kwietniu!

Pani Harvey mówi, że sądząc z raportu, Rosie i Norm mieszkają w ładnym domu, chodzą do tej samej szkoły co wcześniej i wyglądają na zadowolonych z życia z nowym chłopakiem Cookie i jego nastoletnią córką.

– Postanowili tak to zostawić – wyjaśnia. – Ale jeśli w kwietniu sąd przychyli się do podania o uniezależnienie się Reginy, jest niemal pewne, że Cookie zostanie uznana za niezdolną do opieki i prawie na pewno wasze rodzeństwo zostanie jej odebrane.

Camille jest sceptyczna.

– A to niby czemu?

– Sprawa jeszcze nie trafiła do sądu, więc waszą matkę

obejmuje domniemanie niewinności. Kiedy jednak sędzia przeczyta wasze oświadczenie, będzie szaleńcem, jeśli pozwoli jej zatrzymać Normana i Roseanne.

– Jasne, no to zaczekajmy – mówi Camille. – Cookie dobrze wie, co się święci. Zobaczycie w kwietniu. Nie będzie po niej śladu.

Wisi nad nami porwanie dzieci przez Cookie, więc nawet lutowa wycieczka camperem do Disneylandu nie jest przyjemnością. Nauczyciele dali nam listę lektur do przeczytania i prac domowych do odrobienia w czasie trzydniowej podróży na Wschodnie Wybrzeże, ale my gramy w scrabble albo w tablice rejestracyjne. Jednak nawet wówczas wracam wciąż myślami do tego, przez co muszą przechodzić Rosie i Norm. Za każdym razem, kiedy Pete zatrzymuje się na stacji benzynowej, szukam budki telefonicznej. Mam drobne na rozmowy zamiejscowe i nauczyłam się na pamięć numeru pani Harvey, ale biorąc pod uwagę dotychczasowy efekt tych rozmów, stwierdzam, że lepiej przeznaczyć pieniądze na jakieś pamiątki, które dam dzieciom, gdy się zobaczymy.

W marcu do Petermanów przyjeżdża bardzo zdenerwowana Cherie.

– Cookie została aresztowana za włamanie do domu chłopaka – oznajmia. – Zadzwoiła do mnie, żebym zapłaciła kaucję.

– Zapłaciłaś? – pytamy chórem z Camille.

– Tak. Nie miałam innego pomysłu, tak się bałam o Rosie i Normana, którzy byliby sami, gdyby pojawiła się policja. Powiedziałam jej, że jeśli chce, żebym ją wyciągnęła z kicia, ma mi powiedzieć, gdzie są dzieci. Powiedziała, że są w hotelu, do którego poszła po tym, jak Jeff ich wykopał. „Ach, Jeff? – ja na to. – A skąd mam wiedzieć, kto to jest Jeff?” Wtedy zaczęła kpić. „A myślisz, że kto, Cherie, do jasnej cholery? To facet, z którym mieszkałam przez kilka ostatnich miesięcy”. Myślałam, że wyrwę telefon ze ściany. Powiedziała, że Norm zajmuje się Rosie, że ma dwanaście lat, więc to już prawie mężczyzna.



– Bzdura! – mówię. – Byli przy jej aresztowaniu?  
– O to samo spytałam – mówi Cherie. – Ale Cookie powiedziała, że nie, bo rzucili się na nią na parkingu przed pubem. Podobno poszła do Jeffa, żeby się z nim pogodzić, on ją olał, a w następnej chwili miała na rękach kajdanki.

Cherie mówi, że policja i opieka społeczna znaleźli dzieci, którą są w motelu.

Idę do telefonu Addie.

– Dzwonię do pani Harvey.

Kiedy odbiera, tłumaczy mi:

– Policjanci stwierdzili, że Norman jest na tyle duży, żeby zadbać o Roseanne do czasu, kiedy Cookie odpowie za napaść i włamanie.

– Chwileczkę, pani Harevy. Chyba nie wszystko rozumiem. Cookie została aresztowana za próbę pobicia swojego chłopaka i spędzi weekend w więzieniu, a w tym czasie nasz mały brat będzie sam opiekował się Rosie?

– Regino, powtarzam ci to, co sama wiem od policji.

– Kto płaci za pokój w motelu? A jeśli zostaną wyrzuceni? Co wtedy?

– W takim przypadku staną się bezdomnymi i znajdziemy im inny dom. Ale do tej pory są bezpieczni, tak stwierdziły władze. Poza tym teraz, kiedy za waszą matkę wpłacono kaucję, pewnie wróci do nich w ciągu kilku godzin.

Camille i ja obmyślamy plan. Jedyne sposoby, żebyśmy mogły doglądać Rosie i Norma, to przekonać Cookie, że jej wybaczyliśmy i chcemy, żeby uczestniczyła w naszym życiu.

– To wariatka – mówi Cherie. – Na pewno chcecie się w to pakować?

Z czapeczkami z Daisy i Goofym w ozdobnych torebkach czekamy przed hotelem, aż Cookie wyjdzie z papierosem w palcach. Wygląda jak wiedźma.

– Proszę, proszę – mówi i przytrzymuje drzwi, tak jakby się zastanawiała, czy nas wpuścić. – Przyszłyście się płaszczyć jak zwykle?

Camille rozmawia z Rosie i Normem, a ja siadam na łóżku, naprzeciwko Cookie, która zajmuje krzesło przy biurku. Nie patrząc na mnie, mówi:

– Widzę, że dochodzisz do siebie. Aż dziw, że nikt ci jeszcze nie zrobił bachora, z tymi uroczymi cycuszkami...

– Nie przyszedłam tutaj wysłuchiwać oszczerstw – odpowiadam. – Chciałabym jakoś to wszystko naprawić.

– Nie mydl mi oczu słodką gadką. Sprzedałaś mnie wszystkim władzom w hrabstwie Suffolk, a ja tylko ciężko pracowałam, żeby zapewnić wam dobre życie.

– Sprzedałam cię?

Słyszę, że Camille włącza Normowi i Rosie telewizor.

– „Oczekujemy, że stawi się pani na przesłuchanie w sprawie uniezależnienia się Reginy M. Calcaterry...” – recytuje z pamięci.

– Kim ty jesteś, pieprzoną królową Elżbietą?! Mam znajomych, wiem, co to znaczy uniezależnienie się.

Camille siada na łóżku obok mnie. Cookie zapala kolejnego papierosa.

– Było zamieszanie – mówi moja siostra – ale Regina i ja zawsze tęskniłyśmy za byciem rodziną.

– Czego, kurwa, chcecie?

– Widywać się z tobą. Z Normanem i Rosie.

Włączam się:

– Niedługo skończę osiemnaście lat. – Przypominam sobie sugestię pani Harvey, że powinnam zostać z Cookie w dobrych stosunkach na wypadek, gdybym potrzebowała mieszkania po tym, jak przestanie mnie obejmować zasiłek państwowy. – Będę mogła wybrać, z kim chcę mieszkać. Kto wie, może będę chciała, żebyśmy znów byli rodziną. Może wszystko się jakoś ułoży.

– Regino, uciekałaś przede mną, odkąd wyrosły ci nogi – mówi Cookie. – Jeśli choć przez ułamek sekundy myślałaś, że pomogę ci, kiedy będziesz dorosła, lepiej przestań wciągać to, co wciągasz.

– Chcemy, żebyś była częścią naszego życia... mamó. – Te słowa są kwaśne jak ocet.

– Więc trzeba było o tym pomyśleć, zanim hrabstwo Suffolk zaprosiło mnie na paradę z okazji Dnia Niepodległości Reginy Calcaterry. – Zaciąga się papierosem. – Cherie czeka na was w samochodzie? Więc spierdalajcie stąd.

Camille i ja patrzymy na siebie, wstajemy i przytulamy dzieci na pożegnanie. Wychodzę za Camille i tak mocno trzaskam drzwiami do motelowego pokoju Cookie, że szyby drżą w oknach.

W kwietniu Camille przygląda mi się bacznie. Znów nic nie jem, bo nerwy z powodu postępowania uniezależniającego odbierają mi apetyt.

– Nawet nie musisz tam iść – mówi Camille. – Pani Harvey reprezentuje cię w sądzie, ona będzie mówić.

Biorąc pod uwagę, jak marnie troszczyła się o dzieci przez ostatnie miesiące, ta myśl nie daje mi żadnego ukojenia.

W dniu rozprawy, kiedy Camille i ja wracamy ze szkoły, Addie siedzi w kuchni i stuka palcami w filiżankę z kawą.

– Co? – pytam ją. – Złe wieści?

– Dla ciebie dobre – mówi Addie. – Wygrałaś walkowerem.

– Walkowerem?

– Twoja matka nie przyszła na przesłuchanie, więc sędzia z marszu zasądził przeciwko niej.

– Regina! – mówi Camille. – Udało ci się!

– Zaczekaj. – Wykręcam się z objęć Camille i zwracam się do Addie. – Rosie i Norm, czy oni też są od niej wolni?

– To jest ta gorzka część – odpowiada Addie. – Nie masz żadnego wpływu na losy swojego brata i siostry. Sąd pozwolił im zostać z matką.

Patrzę na nią z wściekłością. Nie mam wpływu? Patrzę na Camille, której oczy wzbierają łzami. Jak możemy świętować moją wolność, kiedy istnieje chociaż minimalna szansa, że nasze młodsze rodzeństwo będzie cierpiało z powodu życia z Cookie? Wypadam z kuchni i trzaskam drzwiami do mojego pokoju. Porywam wszystko, co mi wpadnie w ręce i rzucam przed siebie, to jedyny sposób wyładowania się, kiedy wpadam w ślepią furję.

Pewnego majowego poranka schodzę do kuchni z bólem

brzucha tak mocnym, że mam wrażenie, że zwymiotuję, a Addie i Camille wymieniają znaczące spojrzenia.

– Może zostać dziś w domu? – sugeruje Addie.

Camille stuka do drzwi łazienki właśnie w chwili, gdy dostrzegam na nodze plamę krwi.

– Kochanie – woła – pozwól sobie pomóc. – Dyskretnie wślizguje się do łazienki i pokazuje mi, co zrobić z podpaską. – Tutaj Addie trzyma nasze zapasy. Pamiętaj zawsze mieć przy sobie kilka. Szczególnie jeśli odwiedzasz Cookie.

– Czemu?

– Bo ona nie kupuje takich rzeczy. Woli przeznaczyć zasilek na piwo i papierosy. Pamiętasz zakrwawione ścierki, które rozkładała po domu?

Krzywię się.

– Fuj, Camille!

– Wiem. Coś obrzydliwego.

W kuchni Addie patrzy na nas sponad książki telefonicznej.

– Umówię cię na wizytę do lekarza.

– Do lekarza? Nie jestem chora, dostałam okres.

– Są pewne działania, które powinna podjąć młoda kobieta, gdy jej ciało staje się gotowe na przyjęcie dziecka. – Ach, więc o to chodzi. Addie boi się, że jeśli nie zapewni mi pigułek, będzie wychowywać zastępczego wnuka. – Pigułka pomaga wyregulować cykl – dodaje.

Mam ochotę jej powiedzieć, żeby sobie darowała. Mogłabym uczyć edukacji seksualnej skuteczniej niż którykolwiek z nauczycieli, którzy studiowali ten kierunek. W wieku ośmiu lat dowiedziałam się, jak się robi laskę, dzięki demonstracji Cookie na jednym z jej chłopaków, kiedy myślała, że wszyscy śpimy. W wieku dwunastu lat znalazłam w sypialni mojej matki wielkie różowe dildo i magazyn pt. „High Society” otwarty na liście od czytelnika, w którym opisywał ze szczegółami noc z gimnastyczką, która huśtała się na żyrandolu, a kiedy skoczyła, wylądowała prosto na jego wyprężonym członku. Dzięki dosadnemu językowi matki i jej codziennym zachowaniom (np.

łapaniu Karla za krocze na naszych oczach), nie powstała we mnie żadna fascynacja tematem seksu. Co więcej, wygasło jakiekolwiek zainteresowanie.

Ponieważ jednak Addie nalega, jadę na wizytę do ginekologa. System komunikacji miejskiej w tym hrabstwie jest tak dziwny, że przyjeżdżam do gabinetu spóźniona, sama i znacznie bardziej zestresowana, niż się spodziewałam. Kiedy pielęgniarka woła mnie do sterylnej szarego gabinetu, wykonuję jej polecenia i kładę się na fotelu.

– Proszę włożyć nogi w uchwyty – mówi, a ja czuję uderzenie krwi do twarzy, kiedy do gabinetu wchodzi lekarz. Po kilku słowach czuję między nogami ciepło jego lampy i cała zaciskam się pod dotykiem instrumentów medycznych. Nagle cofam się siedem lat wstecz, jestem w domu zastępczym. Moje siostry zostały zamknięte na zewnątrz, na zimnie, a Norm wali do drzwi i krzyczy: „Puśćcie moją siostrę”. Czuję się prawie tak samo jak wtedy: zmuszana do czegoś i odcięta od innych. Nabieram silnego przekonania, że nigdy nie pozwolę żadnemu chłopakowi dotknąć się w ten sposób.

Prawie nikt oprócz Camille nie rozmawia ze mną wprost o kobiecości, ale zdarza się, że niektórym dorosłym zależy na tyle, żeby od czasu do czasu poruszyć temat. Ostatniego dnia szkoły mama mojej przyjaciółki Sheryl zabiera nas do parku w Wood Road School. Widzę, że patrzy na mój pomarańczowy top, a potem mówi:

– Słuchajcie, dziewczynki, to chyba dobry moment. Powiem to tylko raz: nigdy nie siadajcie na jednej huśtawce z chłopakiem.

Sheryl i ja patrzymy na siebie zdumione.

– Ale czemu, mamo?

– Są zawsze dwie huśtawki, jedna dla niego, jedna dla was. Wy się możecie huśtać i on się może huśtać, jednocześnie, ale oddzielnie. Nigdy razem.

Wybuchamy śmiechem.

– Mamo – mówi Sheryl – a co z huśtawką równoważnią?

– Mówię poważnie. Nie ma żadnego potrącania się na

huśtawkach.

– Bardzo dziękuję za cenną rozmowę na temat pszczołek i ptaszków, pani Z. – mówię, a potem biegniemy razem z Sheryl na huśtawki, stajemy tyłem do jej mamy i obejmujemy się własnymi ramionami, tak jakby przytulał nas chłopak.

Tego lata Cherie jest uziemiona przez dziecko, Camille mieszka u Petermanów, ale często pracuje po dwanaście godzin dziennie, a ja spędzam czas, niańcząc dziecko sąsiadów Addie albo umawiam się z Sheryl i Tracey. Rano autobusem o dziewiątej jedziemy na plażę Smith Point, a wracamy o piątej. Gadamy o tym, że zaczniemy ósmą klasę i wystartujemy w przesłuchaniu do drużyny gimnastycznej. Jestem bardzo podekscytowana, choć o tym nie mówię, bo po raz pierwszy w życiu idę do szkoły, mając bliskie przyjaciółki i ubrania, których nie wstydzę się nosić.

W pierwszym tygodniu szkoły nie mogę uwierzyć, kiedy trener sekcji gimnastycznej wyczytuje moje nazwisko z listy dziewczyn, które dostały się do drużyny.

– Trenerze – mówię, kiedy inne dziewczyny zajęte są piszczeniem i rzucaniem się sobie na szyję. – Ja nawet nie umiem zrobić przewrotu na drążku.

– Górne partie trzeba wzmocnić, ale masz świetne nogi i dobrze ci idzie na równoważni. Zaczniiesz od młodzieżowej reprezentacji szkoły.

Dni upływają mi na lekcjach, po których następuje trening gimnastyczny. Później pracuję: pilnuję dzieci i sprzątam w domach. Na korytarzu, kiedy inne dzieciaki malują na okładkach zeszytów logo Van Halen albo AC/DC, ja piszę imiona Rosie i Normana, zamykam je w serduszkach i bańkach mydlanych, a dookoła wypisuję „mia bambina amore” albo „je t’aime”. Jeśli nie odrobie lekcji w szkole, mam wymówkę do pozostania w swoim pokoju, kiedy wieczorem wracam do domu.

Któregoś wieczoru na początku października do moich drzwi puka Addie.

– Masz gościa – mówi. Za nią stoi Cherie, a Camille wygląda ze swojego pokoju.

– Co tu robisz? – pytam. – Nigdy nie przyjeżdżasz bez zapowiedzi.

Cherie patrzy w sufit, jakby modliła się, żeby wystarczyło jej sił.

– Cookie jechała po pijanemu i spowodowała wypadek – oznajmia. – Zbiegła z miejsca zdarzenia, więc policja zaczęła jej szukać, a ona uciekła z miasta z dziećmi.

Camille przerywa:

– Poczekaj, tego nie zrozumiałam. Co znaczy „uciekła z miasta”?

– Zadzwoiła do mnie jej przyjaciółka, Jackie Sones. Pamiętacie ją? Mieszkała niedaleko nas w Saint James.

– Jackie Sones... Ta, która przeniosła się do Idaho?

– Tak – mówi Cherie, ale wyraźnie boi się kontynuować. – Powiedziała, że Cookie jedzie do niej i zamierza mieszkać w jej przyczepie i pracować na farmie ze zwierzętami. Odjechała razem z dziećmi.

Idziemy do kuchni, a Addie pozwala mi zadzwonić do domu pani Harvey.

– Dziewczęta, nie mogę nic zrobić, jeśli wasza matka opuściła granice stanu.

– Niemożliwe! – mówię sarkastycznie. – Biorąc pod uwagę, ile zrobiliście, kiedy jeszcze tu była.

Zbliża się Halloween, kiedy Jackie Sones dzwoni do Cherie i mówi, że Cookie z dziećmi dotarła.

– Mieszkali u niej kilka tygodni, a potem Cookie dorwała jakiegoś staruszka na pałkowatych nogach, który ma na imię Clyde i mieszka na farmie w Oakview – mówi Camille.

– Niech zgadnę: użyła swoich sztuczek, żeby go przekonać, że będzie szczęśliwszy, jeśli wprowadzi się do niego ze swoimi dziećmi?

Dowiadujemy się, że żeby dołożyć się do wydatków, Cookie zaoferowała, że dzieci będą pracować na farmie. Każdego ranka wstają wcześnie, żeby wydoić krowy, wygarnąć gnój ze stajni, zbelować siano i podlać rośliny.

– Wiem, jak to wygląda – mówię Camille. – Jeśli się nie sprawdzą, oberwą.

– Tak – wzdycha. – Tego się obawiałam.

Któregoś popołudnia na przerwie zaglądam do szkolnej biblioteki, żeby poszukać Oakview w atlasie drogowym. Kiedy znajduję, dzwonię do Cherie z automatu wiszącego przy stołówce.

– Tam nawet nie ma skrzyżowania! – mówię. – Przez to miasto biegnie tylko jedna ulica!

– Czyli jeśli uda nam się coś wymyślić, nie będzie kłopotu ze znalezieniem ich.

Podaje mi numer do Clyde'a, który dostała od Jackie. Wrzucam do automatu kolejne monety. Odzywa się burkliwy mężczyzna.

– Tak?

– Czy rozmawiam z Clyde'em?

– Tak?

– Mówi Regina, córka Cookie. Dzwonię z Nowego Jorku. Mógłby pan dać do telefonu Rosie?

Po chwili pomruków i skrzeku Cookie, który dobiega z tła, słyszę delikatny głosik Rosie.

– Gi?

Łzy płyną mi do oczu.

– Bambina? – pytam. – Czy u ciebie i Normana wszystko dobrze?

Milczy.

– Mama jest obok?

Słyszę, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Tak.

– Dobrze. Będę mówiła cicho, ale powiem ci, co zrobimy. Zadam ci różne pytania. Jeśli odpowiedź będzie brzmiała „tak”, udawaj, że mówisz mi o życiu na farmie. Na przykład: „Tak, jest tu dużo zwierząt”. A jeśli będziesz chciała powiedzieć „nie”, zrobisz tak samo: „Nie, jeszcze nie padał śnieg, Głupia jesteś, Regino, przecież dopiero październik!” Jesteś gotowa?

– Tak, jest tu dużo zwierząt.



Śmieję się.

– Brawo, załapałaś!

Dzięki temu szyfrowi dowiaduję się, że ona i Norm regularnie chodzą do szkoły, ale Cookie i Clyde ją biją. Tego samego wieczoru dzwonię do pani Harvey, która mówi to, co zwykle:

– Nic nie możemy zrobić, naprawdę.

Przez następny tydzień kontynuuję zaszyfrowane rozmowy z Rosie i Normanem, którzy zdradzają mi tyle, ile się da przy użyciu kodu. Potem dzwonię do informacji telefonicznej i proszę o numer do szkoły podstawowej w Okaview w Idaho.

– Czy mogę rozmawiać z pedagogiem?

Gdy mnie z nim łączą, opowiadam mu o Cookie i o tym, co się dzieje z Rosie. Następnie Cookie dzwoni do Addie, żeby mnie poinformować, że pedagog wezwał ją, żeby potwierdzić moje słowa.

– Kiedy spytałam dzieci, co się do diabła stało, powiedziały mi wszystko – mówi Cookie. – Wzięłaś ich na spytki i myślisz, że wszystko wiesz. Więc wyobraź sobie, co się stało – zaczyna, warcząc. – Powiedziałam pedagogowi szczerą prawdę: że jesteś młodocianą przestępczynią, pijaczką i patologiczną kłamczuchą, którą wzięto do rodziny zastępczej, żeby uchronić jej tyłek przed więzieniem. Naprawdę, niechętnie powiedziałam mu też, że Rosie jest dziewięcioletnią małą zdzirą, która zalecała się do Clyde'a, a kiedy ją odrzucił, zaczęła wymyślać takie historyjki. Tak to było, Regina. Czułam się upokorzona, mówiąc, na kogo wyrosły moje dzieci. Chociaż, biorąc pod uwagę, kto był twoim ojcem, nie powinnam się dziwić. Aha, a siniaki na jej ciele? To od pracy na farmie. Nie ma nic za darmo, ani w Idaho, ani na Long Island, ani nigdzie.

Z płaczem dzwonię do pani Harvey i błagam ją, żeby porozmawiała z pedagogiem Rosie i Normana w Idaho i powiedziała mu, że Cookie nakłamała mu o mnie i o dzieciach.

– Niech pani posłucha, co ona wygaduje, kompletnie jej odbiło.

Pani Harvey odmawia.

– Twoje rodzeństwo jest teraz w granicach innego stanu.  
Regino. Po raz ostatni mówię ci: nic nie możemy zrobić.

– Obiecaliście mi, że jeśli podpiszę oświadczenie o tym, co robiła moja matka, będziecie chronić mojego brata i moją siostrę. – Rzucam słuchawkę tak mocno, że nawet Pete podnosi się z fotela, a potem biegnę do swojego pokoju. Chciałam pomóc dzieciom, a jest nawet gorzej, niż było. Nie ma mnie tam, żebym mogła wziąć na siebie agresję Cookie, więc to Rosie oberwie za moje próby uratowania ich. Zawiodłam, nie zadbałam o nią tak jak Cherie i Camille dbały o mnie. Chcę powiedzieć Rosie, że tortury, jakich doznaje, to katusze także dla mnie.

Jesienią dziesiątej klasy Addie dostaje aktualną książkę telefoniczną hrabstwa. Szybko otwieram ją i przesuwam palec po liście nazwisk na A.

„Accerbi, Paul i Joan”

Oddycham z ulgą. Mój ojciec wciąż jest niedaleko, jeśli tylko książka jest rzeczywiście aktualna. Wszyscy jego krewni też tam są. Nie zebrałam się jeszcze na odwagę, żeby się z nim skontaktować, ale wystarczy mi świadomość, że mogłabym. W moje piętnaste urodziny, 9 listopada 1981 roku, rozpoczynam odliczanie. Trzydzieści sześć miesięcy, zanim będę mogła poprosić go o pomoc.

Mam nadzieję, że będzie ze mnie dumny. Ze wszystkich przedmiotów mam dobre oceny, ale z historii i angielskiego same piątki i to bez wysiłku. Mówię panu Kelly’emu i panu Maguire’owi, jak ciężko pracuję, i obydwaj zaczynają rozmawiać o moim pójściu do college’u.

– Wiem, że mieszkasz w rodzinie zastępczej – mówi do mnie pan Kelly któregoś dnia po lekcjach – ale nie wierz w to, co ci powiedzą niektórzy. Jest wyjście z twojej sytuacji: po prostu po ukończeniu liceum musisz kontynuować naukę.

Potem obydwaj włączają w sprawę szkolnego doradcę zawodowego.

Jestem rozdarta z powodu Camille. Ona też chce iść na

studia, ale jej doradca już na początku roku powiedział, żeby nawet się nie łudziła, że dostanie się do wymarzonej szkoły, Instytutu Technologii i Designu.

– Skup się na znalezieniu męża i rodzeniu dzieci.

Sprawę komplikuje fakt, że pani Harvey niedawno powiedziała Camille, że dzieciństwo odcisnęło na niej takie piętno, że prawdopodobnie nigdy nie będzie mogła założyć zdrowej rodziny. Przez cały rok szkolny obserwuję przygotowania Camille do wyprowadzki od Petermanów. Latem przeprowadza się do przyjaciół. Zaczyna spotykać się z przystojnym i łagodnym Frankiem o niebieskich oczach, którego poznała na tańcach i mówi mi, że on zaczyna wspominać o ślubie. Widzieliście? – mam ochotę spytać pracowników socjalnych i doradców zawodowych, nie mieliście racji, Camille sobie poradzi! Ja nie dopuszczam do głosu nikogo poza moimi nauczycielami, bo wiem, że jedyną nadzieją na ocalenie Rosie jest lepsze zrozumienie systemu i zdobycie szacunku ludzi, którzy go tworzą. Tysiąc razy dziennie mówię do siebie: skończ studia.

Jeszcze przed szesnastymi urodzinami znajduję pracę w sklepie Rickel Home Center kilka kilometrów od domu Addie i Pete'a. Zanim Sheryl dostaje pracę w kasie obok mnie, jestem tak śmiertelnie znudzona, że żeby jakoś się rozerwać, mówię do klientów z brytyjskim akcentem. Czasem idę do pracy na piechotę, czasem wsiadam do autobusu i tak pokonuję jedną trzecią trasy, resztę idę piechotą. Kiedy Addie i Pete są wolni, podwożą mnie albo robią to moje przyjaciółki, Erin i Tracey, bo obie mają prawo jazdy.

Oczywiście fakt posiadania przyjaciółek z własnym samochodem znacznie ułatwia kontakty z chłopcami, bo możemy teraz spotykać się bez nadzoru dorosłych. Addie upomina mnie, że powinnam skupić się na nauce, ale mówię jej, że nie ma się czym przejmować. Zaczynam się spotykać z chłopakiem o imieniu Eddie, ale mimo pozorów, które stwarzam dla jego dobra, nie jestem wcale zainteresowana zbliżaniem się do niego. Przede wszystkim on interesuje się tylko treningami piłki nożnej i

znalezieniem się ze mną sam na sam, żeby móc zrobić coś więcej, a ja zajmuję się nauką i planuję kolejną rozmowę z Cookie, żeby dowiedzieć się, jak się ma Rosie. Poza tym dobrze wiem, jakie kłopoty mogą spowodować chłopcy – te same, w które zawsze pakowała się Cookie. Tak więc jeśli chodzi o Eddiego, to zachowuję się tak, jakby mi zależało, ale muszę bardzo nad sobą panować, żeby nie zerwać się do ucieczki, kiedy on za bardzo się zbliża. Mam w sercu znacznie ważniejszego mężczyznę: Paula Accerbiego, który tej jesieni nie pojawił się już w książce telefonicznej hrabstwa Suffolk.

Przez kilka miesięcy po tym, jak zauważyłam jego zniknięcie, zastanawiam się, co robić. W końcu wyrywam z książki stronę, na której wcześniej pojawiało się jego nazwisko i zabieram ją ze sobą na coroczną lutową wycieczkę do Disney Worldu. Ukrywam się na górnym łóżku w naszym camperze i obsesyjnie wpatruję się w miejsce, w którym się znajdował. A później coś sobie uświadamiam. W Lindenhurst mieszkają państwo Accerbi, których imiona brzmią znajomo: Frank i Julia. Jak to możliwe, że dopiero teraz to sobie uświadomiłam? Wracam pamięcią do czasów, kiedy Cherie i Camille mówiły o cioci Julii i wujku Franku i o wierzbie, pod którą z nimi siadałyśmy. W camperze nie ma telefonu i nie mogę spytać sióstr o ich wspomnienia.

Cherie i Camille opowiadały mi historie z różnych miejsc, w których mieszkałyśmy, gdy byłam mała. Dla każdego miały inną nazwę. Był Bąbelkowy Dom, Szczęśliwy Dom, Fabryka Kleju i Dom Brady Bunch. Dowiedziałam się, że Bąbelkowy Dom to był nasz pierwszy dom zastępczy. Wszystkie spałyśmy w tym samym pokoju, a nasi rodzice zastępczy i ich córka, Susan, usypiali nas, włączając obracającą się lampę przypominającą globus, która rzucała na niebieskie ściany cienie w kształcie bąbelków. W Fabryce Kleju mieszkaliśmy najdłużej całą rodziną. Nie pamiętałam jednak Szczęśliwego Domu, ale Cherie i Camille wspominały, że byłyśmy tam kochane, dbano o nas i karmiono lepiej niż gdziekolwiek indziej. Kiedy przeprowadzaliśmy się z

jednego miejsca do drugiego, wspominały Szczęśliwy Dom i Bąbelkowy Dom.

– W Szczęśliwym Domu zasłony zawsze były rozsunięte, żeby do pokoju wpadało światło – mówiła na przykład Cherie. Albo: – Kiedy słyszę tę piosenkę, zawsze robię głośniejsze, bo przypomina mi Bąbelkowy Dom.

Ponieważ jednak nigdy nie udało nam się ustalić, gdzie ten Szczęśliwy Dom miałby się znajdować, uznałyśmy w końcu, że musiałyśmy go sobie same wymyślić. Doszłyśmy do wniosku, że bycia rodziną nauczyłyśmy się w Bąbelkowym Domu.

A jednak na którymś etapie byłyśmy u ciotki Julii i wujka Franka. Z jakiegoś powodu nie wierzyłyśmy, że są naszymi prawdziwymi krewnymi, tylko ludźmi, na których trafiłyśmy po drodze.

Jak tylko Pete zatrzymał campera na podjeździe naszego domu w Centereach, pobiegłam do żółtego telefonu kuchennego i zadzwoniłam do Camille.

– Julia i Frank Accerbi, czy to mogą być ci sami ludzie, do których mówiłyśmy „ciociu” i „wujku”?

– Może i tak, Regino. Może byli spokrewnieni z Paulem. Ale nie wiem, jakim cudem ich poznałyśmy i nie uwierzyłabym w ani jedno słowo, gdybyś zapytała Cookie. To się nie trzyma kupy.

Grunt, że nie odrzuciła mojej koncepcji, a ja ponad wszystko chcę się dowiedzieć, czy Paul tylko się wyprowadził, czy nie daj Boże umarł, więc wmawiam sobie, że oni będą wiedzieć. Przez wiele tygodni piszę wersję za wersją listu do nich. W Wielkanoc wybieram na chybił trafił jeden z najlepszych. Adresuję do państwa Julii i Franka Accerbich, ale w adresie nadawcy podaję tylko nazwisko i ulicę z numerem domu. Nie uwzględniam nazwiska Petermanów ani nie podaję ich numeru telefonu. Nie chcę, żeby ktoś z rodziny Accerbich dał Petermanom znać, że skontaktowałam się z mężczyzną, którego uważam za swojego biologicznego ojca.

*3 kwietnia 1983 r.*

*Szanowni Państwo,  
nazywam się Regina Marie Calcaterra. Mam 16 lat i  
podejrzewam, że Paul Accerbi jest moim ojcem. Uważam również,  
że jest możliwość, że jesteście Państwo z nim spokrewnieni. Jeśli  
tak, bardzo proszę o przekazaniu mu mojego listu.*

*Drogi Paulu,  
nazywam się Regina Marie Calcaterra. Mam 16 lat i  
urodziłam się w listopadzie 1966 roku. Sądzę, że możesz być moim  
ojcem. Mieszkam w domu zastępczym, bo moja matka, Camille  
Calcaterra, była złą matką, nie dlatego, że ja byłam złym  
dzieckiem. Odeszłam od niej kilka lat temu, żeby móc pracować i  
samej dbać o siebie. W szkole mam dobre oceny, jestem w drużynie  
gimnastycznej i pracuję w Rickel Home Center wieczorami i w  
weekendy. Po liceum planuję iść do college'u.*

*Matka wiele razy mówiła mi, że jesteś moim ojcem i nigdy  
nie wycofała się z tego przekonania. Niestety ona jest  
alkoholiczką, jest też uzależniona od leków, co sprawiło, że nie  
była zdolna do wychowania mojego rodzeństwa i mnie, więc przez  
większość naszego dzieciństwa radziliśmy sobie sami. Kiedy  
skończyłam czternaście lat, zgłosiłam do sądu wolę  
uniezależnienia się od niej, żebym mogła podejmować własne  
decyzje na temat tego, gdzie będę mieszkać i do jakiej pójde szkoły.  
W obecnym domu zastępczym mieszkam od 2,5 roku, czyli od  
dziewiątej klasy. Teraz chodzę do jedenastej klasy.*

*Utrzymuję z matką ograniczony kontakt, więc mam nadzieję,  
że uda nam się spotkać i ustalić, czy jesteś moim ojcem, o czym  
była przekonana moja matka. Proszę, odpisz na adres zamieszony  
poniżej.*

*Z pozdrowieniami,*

*Regina Marie Calcaterra*

Przez kilka następnych tygodni kiedy tylko mogę, biegnę do skrzynki na listy, zanim dotrą do niej rodzice zastępczy i sprawdzam, czy nie przyszedł list od Accerbich. Na początku maja,

w niedzielę, po powrocie z pracy około dziesiątej wieczorem, zaczynam przygotowywać się do szkoły na jutro. Do drzwi puka Addie.

– Proszę!

Widzę, że jest bardzo poruszona.

– Regina, dziś koło dziewiętnastej Pete odebrał dziwny telefon. Jakiś mężczyzna spytał, czy jesteś w domu. Kiedy Pete powiedział, że nie, dociekał, gdzie jesteś, więc Pete powiedział, że w pracy. Spytał go o nazwisko, ale ten mężczyzna odmówił podania go, a za to zapytał, czy Pete jest twoim ojcem zastępczym.

– Naprawdę? – dziwię się niewinnie. – Bardzo dziwne.

Serce waliło mi jak młotem.

Addie robi jeszcze bardziej zdziwioną minę i mówi dalej, choć coraz wolniej.

– Kiedy Pete powiedział, że tak, ten człowiek chciał wiedzieć, o której wrócisz. Pete ponownie zapytał, kto mówi, ale on nadal nie chciał nic zdradzić, więc Pete powiedział tylko, że wrócisz późno i jeśli chce z tobą porozmawiać, niech zadzwoni nazajutrz, kiedy wrócisz ze szkoły. Masz jakiś pomysł, kto to mógł być i po co tu dzwonił?

– Myślę, że to mógł być mój ojciec, Paul Accerbi.

Chciałabym móc cofnąć te słowa, ale Addie już je usłyszała i przetwarza fakty.

– No dobrze, ale skąd wziął nasz numer i wiedział, jak mamy na nazwisko?

– Nie wiem – kłamię. – No dobrze, może i wiem. – Potem mówię Addie o liście i o tym, jak od wieków wpatrywałam się w nazwisko ojca w książce telefonicznej, modląc się, żeby mnie przyjął, gdy skończę osiemnaście lat.

Ona już tonie we łzach.

– Dlaczego do niego napisałaś? – pyta. – Nie jesteś szczęśliwa z nami? Nie robimy dla ciebie dość? Chcesz nas zostawić?

Stoję bez ruchu i patrzę na wyływające z niej emocje, jakich nie widziałam nigdy wcześniej, w stosunku do mnie ani do nikogo.

– To znaczy, że chcesz, żebym tu została? – pytam.

I nagle nie mogę tego znieść. Zaczynam się trząść.

– Nie wiedziałam, że cię tym zranię – mówię – ale muszę wiedzieć, kto jest moim prawdziwym ojcem. Byłam tego ciekawa, odkąd wszedł na zaplecze delikatesów, gdzie pracowałam, jak miałam dwunastcie lat. Patrzył na mnie tak uważnie, Addie, a teraz zadał sobie dość trudu, żeby znaleźć mój numer telefonu i dowiedzieć się o nazwisko Pete'a. Wiem, że to był on. Po prostu chciałam dać mu znać, że u mnie wszystko w porządku. Że jestem porządnym dzieckiem.

Następnego dnia z trudem udaje mi się skupić na lekcjach i uciekam z dwóch ostatnich, żeby wrócić wcześniej, zasiąść przy telefonie i czekać. Ale choć telefon dzwoni kilka razy, to nigdy nie jest Paul. Poganiam dzwoniącą osobę, żeby się rozłączyła i żeby linia nie była zajęta.

Kiedy Addie wraca do domu, mówi mi, że rozmawiała z opiekunami socjalnymi.

– Powiedzieli, że nie wolno ci się z nim spotkać samej ani nawet rozmawiać z nim przez telefon bez mojej obecności, Pete'a albo pani Harvey. To obcy człowiek, może wcale nie jest twoim ojcem, może to ktoś, kto widuje cię w pracy albo pamięta cię z czasów, gdy spotykał się z twoją matką. Nie chcą, żebyś wpadła w jakieś tarapaty, będąc z tym mężczyzną sam na sam. – Kiedy tylko kończy wypowiadać to zdanie, przez napiętą atmosferę przedziera się dzwonek telefonu. Addie patrzy na mnie. – Ja odbiorę, Regino.

Wymiana zdań jest krótka.

– Tak, nazywam się Addie Peterman, jestem zastępczą matką Reginy Marie. A pan nazywa się...? A pan nazywa się...? Panie Accerbi?

Serce mi staje.

– Chociaż odmawia pan podania swojej tożsamości, muszę panu powiedzieć, że Regina poinformowała nas o tym, że próbuje się z panem skontaktować. – Następnie po cichu odsyła mnie do telefonu w jej sypialni, żebym mogła słyszeć rozmowę. – Tak, panie Accerbi, poproszę ją do telefonu.



Wycieram spocone dłonie w dzinsy i dopiero wtedy sięgam po słuchawkę.

– Mówi Regina. – Serce mi wali. Mam ochotę piszczeć ze szczęścia.

– Młoda damo – mówi on – gdybyś tylko wiedziała, jaki zamęt wprowadziłaś do mojego życia!

– Słucham?!

– Moja żona jest chora, od dwóch dni płacze na kanapie. Ja mam słabe serce, a twoje zachowanie spowodowało u mnie nieomal drugi atak serca. Nie wiem, kim jesteś ani dlaczego wierzysz w to, w co wierzysz. Nie wiem nawet, czemu napisałaś list do członków mojej rodziny. Postawiłaś nas wszystkich w bardzo krępującej sytuacji i jestem pewien, że zmartwiłaś także swoich rodziców zastępczych.

Trafił w czuły punkt. Nie dam sobą tak manipulować.

– Słuchaj, Paul – ośmielam się powiedzieć. – A skąd wzięłaś mój numer i jak poznałaś nazwisko moich opiekunów?

– Nie twoja sprawa, jak to zrobiłem – odpowiada. – Po prostu zdobyłem je.

Wiem, że punkt dla mnie. Ta słowna przepychanka jest jak walka z Cookie.

– Kto tu przyjechał? Ty?

Milczy.

– Zakładam więc, że przyjechałeś pod adres, jaki podałam liście, zobaczyłeś nazwisko Petermanów na skrzynce pocztowej i sprawdziłaś ich numer – szepczę. – Tak było?

Po oddechu upewniam się, że jest moim ojcem. Z jakiego innego powodu zadawałby sobie tyle trudu, żeby dzwonić do mnie i dowiadywać się o nazwisko moich rodziców zastępczych i ich numer telefonu?

Ignoruje pytanie i mówi, że chciałby się ze mną spotkać.

– To dobrze, ja też chcę się z tobą spotkać, ale są pewne zasady. Musi być przy tym któreś z moich rodziców zastępczych albo moja opiekunka socjalna.

– Nie spotkam się z tobą w czyimkolwiek towarzystwie.

– Słuchaj, nie mam wyboru. Mam szesnaście lat i mieszkam pod jednym dachem z rodzicami zastępczymi. Muszę się podporządkować albo wrócę na ulicę. Takie są warunki i to jedyny sposób.

– Pomyślę o tym – mówi – zadzwonię jutro.

Nazajutrz Addie rozmawia z moją opiekunką socjalną, która mówi, że Paul może się ze mną spotkać w domu, w zamkniętym pokoju.

– Jeśli woli spotkanie w jakimś neutralnym miejscu, Pete albo ja będziemy musieli tam być, ale postaramy się zachowywać dyskretnie – relacjonuje Addie.

Następnego dnia nie idę do szkoły, bo Addie i ja planujemy przebieg spotkania. Chcemy je nagrać. Jeśli nikogo ma nie być w pokoju, nasza rozmowa musi zostać jakoś utrwalona na wypadek, gdyby później zmienił zdanie. Wtedy moje słowo byłoby przeciwko jego słowu.

– Mam pomysł! – woła Addie. – Jeśli przyjdzie do nas, postawimy twój magnetofon za jego krzesłem i włożymy pustą kasetę. Kiedy będzie już na ganku, po prostu włączymy przycisk nagrywający! – Addie jest podekscytowana swoim pomysłem szpiegowskim. – Pete i ja zajmiemy się czymś w garażu albo w ogrodzie, nie będziemy się narzucać i będziecie mogli swobodnie porozmawiać.

Plan gotowy, ale... Paul nie dzwoni.

Ani tego wieczoru, ani następnego.

Telefon dzwoni w czwartek. Tym razem odbiera Pete i podaje mi słuchawkę.

Paul powtarza swoje histeryczne wyrzuty w sprawie zamieszania, jakie wywołałam w jego domu, i braku szacunku, jakim wykazałam się, robiąc coś takiego. Po tym wykładzie uspokaja się i mówi:

– Podjąłem decyzję. Chciałbym się z tobą spotkać.

Ale gdy przypominam, jakie są warunki, podnosi głos w gniewie.

– Regino, chciałem ci w czasie spotkania powiedzieć, że

prawdopodobnie nie jesteś moją córką. Twoja matka była rozwiązła, sypiała z kim popadnie w tym samym czasie z kilkoma mężczyznami. Miała reputację... Pewnie wiesz, co chcę powiedzieć. Jesteś dość dorosła, żeby to rozumieć, prawda?

– Co? Że moja matka była zdzirą? – pytam. – Tak, Paul. Jestem tego świadoma. Moje rodzeństwo także. Ale jeśli chodzi o naszych ojców, zawsze wiedzieliśmy, kiedy Cookie kłamie, a kiedy mówi prawdę. Jeśli zawsze opowiadała tę samą historię, a o tobie mówiła zawsze to samo, czy była trzeźwa, czy pijana, wiedzieliśmy, że to prawda. Jeśli jej historie się zmieniały, to znaczy, że kłamała. Opowieści o tobie nigdy się nie zmieniały. I nie zmieniły się do dziś.

– To było jedno spotkanie – oznajmia Paul. Mówi to tak uroczyście, jakby chciał zapewnić świadków rozmowy.

– Jeden numer, tak? Mówisz, że mieliście jednorazowy numer i na tej podstawie ona twierdzi, że jesteś moim ojcem. Serio? Jeśli tak, to jakim cudem wiedziałaby, że brałeś udział w wojnie koreańskiej, że chciałeś być spadochroniarzem, miałeś firmę produkującą ogrodzenia, dorastałeś w Lindenhurst, miałeś byłą żonę o imieniu Carol i córkę Barbarę? Łżesz jak pies, Paul. Bo jeśli to miał być jednorazowy numer, to sporo się nagadałeś jak na jedną noc.

Odkłada słuchawkę.

Ja też z hukiem odwieszam telefon na ścianę.

– On jest moim ojcem – krzyczę do Pete'a, który z ciekawością patrzy, jak wyciągam magnetofon z kryjówki. – Nie będzie potrzebny, dopóki Paul Accerbi tu nie przyjdzie.

Już nigdy nie oddzwania, ale mam to gdzieś. Jest nie lepszy niż moja matka. Powinnam była się tego domyślić już dawno temu. Wybierała takie egzemplarze i on był nie lepszy niż pozostali. Gdy przychodzi lato, zapominam o całym tym wydarzeniu. Poukładałam je sobie w głowie i mentalnie się od niego odcięłam. Nauczyłam się tak robić ze wszystkimi paranojami, które jakimś cudem zawsze sprowadzają się do Cookie. Zajmuję się pracą, żeby mieć pieniądze na college. Aż w

końcu wydarza się coś wesołego: Addie i Pete proponują mi samochód.

– Możesz odkupić naszego pinta za dwieście siedemdziesiąt pięć dolarów – mówi Addie – jeśli wpłacisz depozyt w wysokości siedemdziesięciu pięciu.

Kolejne dobre wiadomości przychodzą, gdy przekazuję depozyt. Postanowili darować mi pozostałe dwieście dolców i dać mi samochód jako przedwczesny prezent z okazji ukończenia szkoły.

Jesienią ostatniego roku nauki zostaję kapitanem drużyny gimnastycznej. Pod kierunkiem pana Kelly’ego i pana Maguire’a składam papiery do dwóch szkół wyższych. Przekonali mnie, że mam szansę dostać się na uniwersytet i nalegają, że jeśli tak się stanie, mam tam iść.

– Stopień licencjata ze Stony Brook będzie wart więcej niż taki sam ze szkoły policealnej – mówi pan Maguire. To ma sens, ale boję się robić sobie nadzieje. Niepokoję się, czy będę miała gdzie mieszkać w czasie studiów, a nawet po nich, i sprawdzam w książce telefonicznej numer do jedynej rodziny, która być może będzie chciała mi pomóc.

„Calcaterra, Michael i Rose”

Babcia Rosie rozluźnia się na drugim końcu linii, kiedy mówię jej, że przez ostatnie trzy lata nie miałam kontaktu z matką. Słyszę, że mówi przez łzy:

– Zawsze chcieliśmy was poznać – mówi. – Pozwolisz mi zabrać się na zakupy przed ceremonią ukończenia szkoły? Jesteśmy z ciebie tacy dumni!

Przed Wielkanocą ona i dziadek Mike towarzyszą mi w sklepie JC Penny, gdzie wybieram suknię na studniówkę, za którą oni płacą. Babcia Rose i kasjerka wymieniają uprzejmości przy kasie, a ja się zastanawiam: dlaczego mnie karali, kiedy byłam dzieckiem, czemu mnie odtrącili? Jak mogli pozwolić, żebyśmy znosili Cookie sami? Ale kiedy babcia podaje mi plastikową torbę, w której jest moja sukienka, patrzy mi w oczy i nagle rozumiem, że ten prezent to prośba o wybaczenie. Wiem, że to decydująca

chwila. Kończę szkołę średnią i wkraczam do świata dorosłych. Mogę się cynicznie odsunąć albo wybaczyć jej i dzięki temu nawiązać więź z kimś, z kim łączą mnie prawdziwe więzy krwi.

W czerwcu 1984 roku, po ukończeniu szkoły, do drzwi mojego pokoju puka Addie.

– Dzwoni twoja matka.

Krzywię się.

– Cookie? Zadzwoiła tutaj?

Widzę po minie Addie, że też jest zdziwiona.

– Tak.

Odbieram w jej sypialni.

– Halo?

Słyszę, że Addie delikatnie odkłada słuchawkę w kuchni.

– Dzwonię, żeby pogratulować ci ukończenia szkoły. – Głos Cookie jest burkliwy i napięty. – Mam coś dla ciebie z tej okazji.

Waham się, zanim pytam:

– Co takiego?

– Kopa w dupę!

Śmieję się razem z nią, zdumiona, że zadzwoniła.

– Coś mi przyszło do głowy. Mam trochę odłożonych pieniędzy. Mogłabym przylecieć do Idaho z wizytą. Przyjmiesz mnie? – mówię słodkim tonem. Jeśli ją rozbroję, może pozwoli mi zobaczyć dzieci. Nieustannie myślę o Rosie, chociaż nie widziałam jej już od czterech lat. Wmawiam sobie, że ona wie, że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby ją uratować.

– Może być – mówi Cookie. – Jeśli zostawisz w Nowym Jorku swój beczelny charakterek.

Kiedy mówię Camille, że lecę, jest zaniepokojona, czy dam radę stawić czoło Cookie.

– Nie widziałyście się od tamtego dnia w motelu – przypomina. – Nie denerwujesz się?

– Nie. Ona wie, że ma mnie odebrać z lotniska, a ja od razu dam jej do zrozumienia, że teraz ja jestem górą.

Cookie i Norman stoją obok auta, gdy ładuję walizkę do bagażnika.

– Proszę, proszę! – mówi Cookie, patrząc na mnie.

Przez ostatnie trzy lata odrosły mi gęste włosy, które czeszę na wałki, żeby lśniły i wyglądały jeszcze obficiej. Mam na sobie różowe szorty w hawajskie wzory i podkoszulek, a nogi i ręce, które z nich wystają, są szczupłe i umięśnione. Na opalonej szyi i nadgarstkach mam złote łańcuszki. Wyrosłam na młodą kobietę, która onieśmiela chłopców, jak mówi Addie, a niedawno dowiedziałam się, że przyjęto mnie do szkoły policealnej. Jestem pewna, że mam przed sobą przyszłość i stoję przed Cookie dumna z tego, kim jestem. Widzę, że u niej nic się nie zmieniło.

Rosie, która wyraźnie boi się mówić cokolwiek przy Cookie, także rozkwitła. Za kilka miesięcy skończy dwanaście lat, ale jest nie do poznania. Cztery lata temu, kiedy widziałam ją ostatnio, wyglądała zupełnie inaczej. Dojrzała znacznie wcześniej niż którekolwiek z nas i już jest o głowę wyższa od piętnastoletniego Normy. Jej ojciec, Vito, był wysoki i barczysty i widać, że Rosie odziedziczyła budowę po nim. Chociaż jeszcze nie zaczęła dojrzewać, bez trudu mogłaby uchodzić za szesnastolatkę. Od pracy na farmie ma wyrobione mięśnie, a jej twarz zdobią ostre kości policzkowe. Włosy zmieniły jej się z blond na lśniący piaskowy brąz. Nie ma wątpliwości, że jest córką Vita, niepotrzebne byłyby testy na ojcostwo.

Spędzamy większość czasu same, nad wodą. Kąpiemy się albo leżymy na skałach przy rzece. Gadamy i gadamy, a ona sugeruje, że jest zawstydzona tym, jak tu żyją. Widzę, że ufa mi i traktuje jak powiernicę, bo mówi o napięciach w domu. Wstąpiła do drużyny cheerleaderek i często nocuje w domu przyjaciółki albo u którejś z nauczycielek. Dzięki temu unika chaosu u Cookie i Clyde'a. Kiedy myślę, że jest cheerleaderką, robi mi się smutno. To ona potrzebuje zagrzewania do walki. Zachowuję te myśli dla siebie, bo wiem, jaki komfort zapewnia zorganizowany tryb dnia i miejsca, w których można znaleźć ukojenie. Dom Cookie jest pełen śmieci, a sądząc po zapachu, bezdomne koty czują się tu jak u siebie.

Kiedy chcę zadzwonić do domu, Cookie żąda ode mnie

dwudziestu dolarów. Kończy się wrzaskami i awanturą, a ona straszy, że mnie zleje i wybije mi to wszystko z głowy.

– Przypomnę ci, jak masz się zachowywać – mówi.

Zaczynam się śmiać.

– Zapomniałaś, że nie wolno ci mnie tknąć? Nie jestem już twoją córką, nie możesz mną pomiatać. – Ale kiedy tylko wypowiadam te słowa, uświadamiam sobie, kto jest ofiarą jej wybuchów gniewu, odkąd mnie nie ma, i zalewa mnie poczucie winy.

Ani jeden dzień podczas mojej tygodniowej wizyty nie mija bez gróźb Cookie, że zaraz odstawi mnie na lotnisko. Pod koniec pobytu już odliczam godziny do powrotu do domu. Kiedy ta chwila w końcu nadchodzi, biorę moją bambinę w ramiona.

– Nieważne, co ci powie. Pamiętaj o naszym szyfrze i trzymaj gdzieś schowany mój numer telefonu – szepczę.

– Znam go na pamięć – odpowiada.

Całuję ją w policzki i przypominam, żeby sprawdzała pocztę u przyjaciółki i u nauczycielki, bo będę jej przysyłać pieniądze, żeby mogła pisać do mnie listy, dzwonić i kupować wszystko, czego będzie potrzebować do szkoły.

Pod koniec sierpnia 1984 roku, kilka tygodni przed rozpoczęciem zajęć w szkole policealnej, odbieram niespodziewany telefon z uniwersytetu Stony Brook. Sekretariat informuje mnie, że zostałam przyjęta z listy rezerwowej.

– Jeśli przyjmie pani naszą propozycję – mówi pracownik sekretariatu – w przyszłym tygodniu będzie się pani musiała stawić na kurs przygotowawczy.

Kiedy się rozłączam, od razu dzwonię do pani Harvey.

– Wyszła – mówi sekretarka.

– Więc proszę mnie połączyć z jej zwierzchnikiem. To pilne! Mówi Regina Calcaterra.

On podnosi słuchawkę.

– McManus, słucham?

– Panie McManus, dostałam się na Stony Brook! – mówię. – Potrzebuję pisma na dowód, że jestem pod opieką stanu, żebym

mogła ubiegać się o kredyt studencki i zapomogę Pella.

Po drugiej stronie zapada cisza.

– Panie McManus?

– Regino – mówi – czy słyszysz, jak się uśmiecham?

Śmieję się.

– Naprawdę?

– Udało ci się, Regino! – krzyczy. – Jesteśmy z ciebie bardzo dumni! Zaraz przygotuję pismo. Będziesz mogła je odebrać jeszcze dzisiaj i dostarczyć na uniwersytet przed siedemnastą. Może tak być?

– Genialnie! – odpowiadam. – Panie McManus, mogę panu powiedzieć coś jeszcze?

– Możesz mi powiedzieć wszystko.

– To najważniejszy dzień mojego życia.

– Jak na razie – koryguje on.

– Jak na razie.

Praca i edukacja idą jak po maśle, ale jestem daleka od beztroski. Tego samego lata, kilka tygodni po spotkaniu, sytuacja Rosie staje się jeszcze bardziej napięta. Kontaktuje się ze mną znacznie częściej. Piszę pod różne adresy, wysyłam jej pieniądze, dzięki którym może spotkać się z przyjaciółmi albo kupić sobie wszystko, co tylko nie wzbudzi podejrzeń Cookie.

Kiedy z trudem znoszę to, co się dzieje, Cherie mówi mi, że rozważa przeprowadzkę do Idaho, żeby zająć się Rosie. Cherie i jej mąż rozstali się jakiś czas temu, a teraz się rozwodzą. Prawo do opieki nad jej synem dostali teściowie.

– Nie chciałam cię martwić, więc nic ci nie mówiłam, Gi, i tak miałaś dość stresów. Ale zabrali mi dziecko, a ja nie mam już siły dłużej z nimi walczyć. Mam szansę pomóc przynajmniej Rosie.

Niedługo później znika.



## *Pożegnanie z Idaho*

*jesień 1982 – wiosna 1986*

Jesienią 1984 roku kończę osiemnaście lat i zaczynam pierwszy rok studiów w Stony Brook. Odchodzę z pracy sprzedawczynie sufitowych wentylatorów i gniazdek elektrycznych w Rickel (gdzie po roku dostałam awans na sprzedawczynię z prawem do prowizji) i teraz sprzedaję buty w sklepie Thom McAn w Smith Haven Mall. To swoisty awans. Wstępuję też do uniwersyteckiej drużyny gimnastycznej, a już na początku semestru mój trener zauważa chyba, jaka jestem zdyscyplinowana, bo proponuje mi, żebym pracowała dla niego następnego lata na obozie sportowym w Southampton. Będę uczyć codziennie od dziewiątej rano do dziewiątej wieczorem – „Oczywiście z przerwami”, mieszkać za darmo, a na koniec lipca zarobię słuszną sumę pieniędzy, w sam raz na następny semestr. Nie mówiąc już o tym, że cały miesiąc spędzę w Hamptons – za friko!

Resztki wolnego czasu spędzam z Camille, która ma teraz dwadzieścia lat. Zeszłej jesieni wyszła za Franka. Spotykali się od roku i bez żadnych wątpliwości rozumieli, że są dla siebie stworzeni. Trochę bałam się, że to małżeństwo mi ją odbierze, ale nasz związek jeszcze na tym zyskał. Camille jest dla mnie inspiracją. Nie ogląda się wstecz. Nie wyprowadza jej z równowagi nasza przeszłość z Cookie, a jej siła przypomina mi, że trzeba patrzeć przed siebie. Obydwie jesteśmy świadome, że kładziemy fundamenty pod następny etap naszego życia. Szczególnie Camille, która wiosną 1983 roku dowiaduje się, że w listopadzie zostanie matką.

Zakładając własną rodzinę, znalazła schronienie przed naszą

przeszłością. Nigdy nie widziałam jej szczęśliwszej, a co więcej, moja siostra, o której kiedyś pracownicy społeczni mówili, że została zbyt skażona naszym dzieciństwem, by kiedykolwiek mieć własną rodzinę, pokazała czarnowidzom, że przyszłość nie musi być straszna. Mówili, to niemożliwe, a obydwie dowodzimy im, jak bardzo się mylili.

Camille rodzi synka, Frankiego, 16 listopada, dokładnie tydzień po moich osiemnastych urodzinach. Siadam obok niej na szpitalnym łóżku, a ona podaje mi dziecko. Od pierwszej chwili, gdy trzymam go w ramionach, czuję, jaki jest silny i jak łagodne będzie miał serce. Zachwygam się nim: rzęsami, policzkami, buzią. Włoski ma ciemnobrązowe, jak ja i jego rodzice. To cud, ile radości i emocji wnosi w nasze życie, po prostu ufnie oddychając przez sen. Spoglądam na Camille i obie mamy łzy w oczach. Składamy sobie milczącą obietnicę, że żadne dziecko, które obdarzymy miłością, nigdy nie doświadczy bólu, jaki my przeżyliśmy. Oraz że Cookie nigdy się do niego nie zbliży.

Camille cieszy się dopiero co narodzonym synkiem, ale Cherie musi wracać do Nowego Jorku, żeby bronić praw do swojego dziecka. Po raz kolejny Rosie i Norman zostają bez opieki którejkolwiek ze starszych sióstr. Usiłujemy utrzymywać z nimi kontakt, a ja staram się prowadzić normalne życie. Uczę się na pierwszym roku, a latem jadę do Hamptons na obóz gimnastyczny.

To moje pierwsze lato z dala od domu i opieki dorosłych. Siedemdziesięciogodzinny tydzień pracy sprawia, że luzacki weekend staje się gratką. Razem z kolegami z pracy kumplujemy się z bramkarzem w Toby's Tavern, który wpuszcza mnie do pubu, mimo że jestem niepełnoletnia. Dlaczego? Zabawiamy ich przewrotami w tył i saltami. Poza tym jestem świadoma, że nigdy w życiu nie byłam tak zdrowa i atrakcyjna. Nogi, kiedyś kościste i posiniaczone, są teraz opalone i umięśnione. Ramiona i tułów, wcześniej zapadnięte z niedożywienia, są silne i wysklepione. W poniedziałkowy poranek koledzy śmieją się z mojej energii do pracy. Nie zamierzam im mówić, że to najprostsza, najbardziej lukratywna i najfajniejsza praca w moim życiu. Pod koniec lipca,

kiedy trener wręcza mi kopertę z wypłatą, trzymam ją w ręce, czuję jej grubość i wagę. Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że może koszmarnie dzieciństwo dało mi fory. Wykształciłam w sobie silną etykę pracy i wiarę w to, że umiem sama o siebie zadbać.

W 1985 roku, w tygodniu, w którym wypada Święto Dziękczynienia, dostaję list ze zgodą na przenosiny na stanowcy Uniwersytet Nowojorski w New Paltz. Będę studiować z Sheryl, moją przyjaciółką z liceum. Teraz, kiedy Frankie ma rok i jest wesołym, zajmującym dzieckiem, bardzo trudno mi zdecydować się na opuszczenie Long Island. Addie powiem w święta, mówię sobie. Chcę mieć własne życie.

Wieczorem przed Wigilią 1985 roku siedzę w pokoju i zastanawiam się, gdzie zapakować figurki Jezusa, kiedy w drzwiach pojawia się Addie.

– Co robisz?

Rozglądam się po pokoju. Zaczęłam pakować zimowe ubrania w czarne worki na śmieci i alfabetycznie układam kasety w pudełku po butach: the Cure, Four Seasons, Genesis, Billy Joel, Diana Ross, van Halen... Nie mogę już dłużej ukrywać tego, co tak odkładałam.

– Od wiosennego semestru postanowiłam się przenieść na Uniwersytet Nowojorski w New Paltz.

Po chwilowym szoku Addie obciąga sweter, żeby jakoś rozluźnić napięte ciało.

– Nie wiedziałam, że złożyłaś podanie o przeniesienie – mówi. – Kiedy wyjeżdżasz?

– W pierwszym tygodniu stycznia. Czyli za trzy tygodnie, tak?

– No cóż – odpowiada. – Gratuluję. Pewnie małżeństwo Camille i jej dziecko zachęciły cię do eksplorowania dorosłości. A czemu już się pakujesz?

– Chyba z emocji.

Addie krótko kiwa głową. Słyszę, jak w jej mózgu przesuwają się kółka zębate.

– Regino, muszę ci coś powiedzieć, ale powiem to tylko raz. Jeśli stąd wyjedziesz, to koniec. Będziesz musiała żyć na własny rachunek.

Potwierdziła moją obawę, która powstrzymywała mnie od powiedzenia jej.

– Jak to?

– Jeśli wyjedziesz, będziesz musiała sama o siebie dbać, rozumiesz? Kiedy stąd wyjedziesz, nie będzie powrotu.

– Nawet na święta, na wakacje...?

– Tak, Regino. Ten dom to nie hotel. Wpadasz i wypadasz, nocujesz u Tracey, u Camille i we wszystkich innych miejscach, w których czujesz się lepiej niż tu. Widzę, że niestety nie udało mi się stworzyć dla ciebie dobrego domu, ale nie możesz tak wpadać, kiedy ci pasuje.

– A co byś wolała, Addie? Żebym żyła jak przybrana córka, bez własnego życia? Bez przyjaciół, bez przyszłości? Odliczała dni do momentu, kiedy mnie stąd wyrzucicie, bo przestaną przychodzić pieniądze? Wolę zrobić to sama, teraz.

Addie zaciska pięści, nadyma się, broda jej drży.

– Albo tu mieszkasz, albo nie. Jeśli wyjedziesz, znaczy, że nie mieszkasz. Czy to jasne? I proszę, żebyś więcej nie mówiła do mnie w ten sposób.

W ciągu dwudziestu sekund Addie Peterman potwierdziła to, co poczułam po raz pierwszy pięć lat temu, postawiwszy stopę na jej dywanie. A może raczej, gdy zrozumiałam, czym jest opieka zastępcza. Jestem tylko Dzieckiem do Wynajęcia. Nagle zaczynam podejrzewać, że powodem, dla którego ona i wszyscy inni rodzice zastępczy dawali mi schronienie, były przychodzące co miesiąc czeki. Gniew kipi we mnie i słowa palą mnie w język, gdy mówię, czego się bałam, odkąd ją poznałam.

– Robiłaś to tylko dla pieniędzy! – krzyczę. – Nie dla dzieci, nie dlatego, że jesteś święta! Teraz, kiedy wyjadę, to ja dostanę rządowy zasiłek, nie ty. I nie możesz tego znieść, tak? Gdybyś robiła to dla mnie, cieszyłabyś się, wspierała mnie i chciałabyś, żebym wracała na święta i wakacje. To całe głupie gadanie... Nie

jesteście moją rodziną! Byliście tylko ludźmi, którym płacono, żeby podtrzymywali pozory! I wiesz co? Pozbyłam się już jednej matki. Nie myśl, że nie zrobię tego raz jeszcze.

– Wyciągasz pochopne wnioski, Regino – mówi spokojnie. – Możemy porozmawiać o jakiejś formie wynajmu pokoju, gdybyś chciała tu wracać.

Ponieważ muszę mieć ostatnie słowo, krzyczę jej w twarz:

– Nic martw się. To ostatnie miejsce, do jakiego chciałabym wrócić!

Przez pół dekady spędzonej w domu Addie byłam jej bardzo wdzięczna, że zapewniła mi wszystko, czego potrzebuje młoda kobieta: własny pokój, pralkę i suszarkę do włosów, okrągłe, elektryczne lustro do makijażu, magnetofon i poczucie posiadania rodziny, dzięki któremu mogłam żyć jak zwyczajne dziecko. Jeśli tylko udawało mi się pozbyć na chwilę poczucia winy z powodu Rosie i Norma. Addie i Pete wypełnili pustkę, witali mnie, gdy wracałam do domu. Zaangażowali się w moje życie inaczej niż biciem czy pełnymi wściekłości telefonami, jak moi nieodpowiedzialni rodzice biologiczni. Addie i Pete uczestniczyli w moim życiu w takim stopniu, że nauczyciele, przyjaciele i ich rodzice pytali, dlaczego mnie nie adoptują.

Ale w głębi duszy zawsze wiedziałam, że jestem tylko jednym z czterdziestu tysięcy innych niczyich dzieci Ameryki, które co roku przekraczają wiek, do którego obowiązuje pomoc państwa i lądują na ulicy, w więzieniu, w ośrodku dla narkomanów albo w trumnie. Przenosimy do New Paltz to krok ku zaznaczeniu swojej obecności w świecie, ku samodzielności i wzięciu życia w swoje ręce.

Dwa tygodnie później nadchodzi czas. Camille i Frank wydają u siebie pożegnalne przyjęcie na moją cześć. Camille obejmuje mnie mocno, kiedy wkładam płaszcz.

– Słyszałam, że wyjazd na studia to zabawa non stop. Obiecasz mi coś?

Odsuwam się i patrzę na nią.

– Co? – Spodziewam się matczynej prośby, żebym była

ostrożna.

– Zapomnij o wszystkim i raz w życiu baw się – szepcze mi do ucha. – Zasłużyłaś.

Frank podaje mi małego Frankiego, który składa mi na policzku całusa otwartą buzią, a w oczach mojego szwagra widzę, jak bardzo we mnie wierzy.

Sheryl, jedyna osoba, która równie bardzo jak ja nie może się doczekać wyjazdu, podjeżdża pod dom Petermanów, a z głośników auta dobiega muzyka.

– Gotowa do drogi? – woła i razem z Pete’em ładuje do bagażnika moje dwie walizki.

Addie i ja stoimy w milczeniu naprzeciwko siebie, stykając się czubkami butów. Nagle ona porywa mnie w objęcia.

– Regino, nie chcę, żebyś wyjeżdżała – mówi.

Jestem wyczerpana emocjami ostatniego miesiąca i całego życia, odwzajemniam uścisk tylko na pół gwizdka.

– Muszę, Addie.

– Będę za tobą tęsknić. – Odsuwa się i patrzy mi w oczy. – Jest coś, czego nigdy ci nie powiedziałam.

– Proszę cię, nie mam teraz siły na kolejną szokującą informację...

– Kocham cię.

Rozluźniam zmarszczone czoło i łagodnieją mi oczy. Patrzę na nią i szukam dowodu fałszu. Dociera do mnie jednak, że mówi szczerze, naprawdę mnie kocha. Obejmuję ją i zaczynam płakać. Wdycham jej zapach – pachnie cytrynowym płynem do czyszczenia mebli i bawełną – słucham jej cichego płaczu przy moim uchu. Pete i Sheryl dają nam chwilę, a potem odjeżdżamy.

Sheryl wrzuca wsteczny bieg i zjeżdża z podjazdu, a ja usiłuję nazwać to, co czuję.

Niepokój?

Strach?

Podniecenie?

Niepewność?

I nagle dostrzegam właściwe słowo.

Wolność.

W czasie czterogodzinnej podróży Sheryl na okrągło puszcza piosenkę Bruce'a Springsteena *Glory Days*.

Na drzwiach mojego pokoju wisi tabliczka z napisem: „Regina & KiKi”.

– KiKi, tak? – mówi Sheryl. – Może być niezłe.

Pomaga mi się rozpakować, a potem wyciąga na miasto.

– Chodźmy na piwo do Prosiaka, wieczorem zjemy po knyszu z musztardą w sklepie z kanapkami.

– Mają tu bar Prosiak?

– Zobaczysz, co jeszcze tu jest!

Po drodze zaglądamy do stowarzyszenia studenckiego, gdzie czeka już na mnie rozkład zajęć. Jest pełen przedmiotów, które wybrałam, a na dodatek zajęcia z polityki międzynarodowej, żeby uzupełnić wiedzę historyczną.

– Profesor Brownstein – mówię do Sheryl. – Co o nim wiemy?

– Pan Brownstein o ósmej rano? Auć – mówi. – Cokolwiek się zdarzy, nie kładź się spać.

Po powrocie do pokoju poznaję nagą klatkę piersiową KiKi, zanim jeszcze widzę jej twarz. Jakiś chłopak porywa z biurka koszulę i pędem wybiega z pokoju.

– To twój chłopak?

KiKi wciąga podkoszulek przez głowę i lśniące czarne włosy, a potem wtyka rękę w rękawy.

– Jeden z.

Dociera do mnie, że zajęcia o ósmej rano mogą nie być moją zmorą, tylko wybawieniem.

Pan Brownstein wygląda bardzo uprzejmie. Pewnie jest tuż po czterdziestce, ma nijakie okulary, gęste ciemne włosy i taką samą brodę.

– Przez ostatnie dziesięć lat analizowałem konflikt izraelsko-palestyński – mówi. – Uczyłem na Hebrajskim Uniwersytecie w Jerozolimie, odbyłem też liczne wyprawy badawcze do Izraela i okolic. – Równie dobrze mógłby mówić po hebrajsku, bo nic z

tego nie rozumiem. – Nie sprawdzam listy obecności – ogłasza. – Chciałbym za to, żeby każdy z państwa się przedstawił. A następnie – dodaje – proszę powiedzieć, czy zarejestrowali państwo swoje prawo do głosowania. Jeśli nie, wyjaśnią państwo dlaczego, potem przeczytają i przedyskutują orędzie noworoczne prezydenta Reagana. Co oczywiście oznacza, że obejrzą państwo to przemówienie czwartego lutego oraz przeczytają je nazajutrz rano w „New York Timesie”.

Rozglądam się bezradnie, a potem podnoszę rękę.

– Panie Brownstein... a skąd weźmiemy „New York Timesa”?

– Pyta pani dlatego, że nie zarejestrowała się jako głosująca, młoda damo?

Stukam długopisem w biurko tak, jakbym go nie słyszała.

– W szkolnej bibliotece „New York Times” jest codziennie od siódmej rano. – Reszta grupy jęczy. Dziwię im się.

Z biegiem semestru dociera do mnie, że na zajęcia pana Brownsteina muszę się uczyć więcej niż na wszystkie pozostałe razem wzięte. A mimo to wciąż dostaję z prac trójki, a nawet gorzej. Zawsze jednak przychodzę na zajęcia. Nie tylko po to, żeby uniknąć strumienia gości KiKi, ale i dlatego, że zaczynam zauważać związek między artykułami, które czytam w „Timesie”, a tematami wykładów.

Pan Brownstein zadaje nam na przykład pracę o ludobójstwie w niektórych miejscach w Afryce, gdzie zabija się mężczyzn, a ich matki, żony, siostry i córki gwałci. Widziałam w telewizji materiały o głodujących dzieciach, ale nie wiedziałam, czemu cierpią ani jak bardzo. Po raz pierwszy jestem w stanie inaczej spojrzeć na swoje dzieciństwo. Pod pewnymi względami nawet z wdzięcznością.

Drzwi w moim umyśle, które otwierają jego zajęcia, nie oferują jednak ucieczki od przeszłości. Tydzień przed rozpoczęciem sesji Cherie co wieczór dzwoni na ogólny numer na moim pięttrze, a jej doniesienia na temat Rosie są tak mroczne, że czasem się od tego odcinam. Słyszę takie słowa:



- Clyde...
- Cookie obwinia ją o...
- ...przewlekła depresja....
- ...zniknęły pastylki. Ona ma tylko trzynaście lat!

Pan Brownstein nie jest zaskoczony, kiedy wpadam do jego gabinetu na dyżur.

– Dalszy ciąg dyskusji o prawie i polityce? – pyta z uśmiechem.

– Nie. Nie do końca. Mam problemy rodzinne. – Czuję, że to jedyny wykładowca, któremu mogę zaufać w sprawie mojej przeszłości.

Zdejmuje okulary i wskazuje na krzesło naprzeciwko.

– Proszę, Regino, usiądź.

– Chodzi o to – mówię – że nie chcę o tym mówić wszystkim wykładowcom. Przyjechałam się tu uczyć, nie wzbudzać współczucie.

– Oczywiście.

– Nie wiem, czy pan wie, dlaczego pana zajęcia są dla mnie tak ważne, ale tajniki naszej polityki... Dzięki nim przetrwałam.

– W życiu prywatnym?

– Tak. – Nerwowo wykręcam palce. Nie ma odwrotu. Bardzo się starałam zrobić na panu Brownsteinie, profesorze, którego podziwiam najbardziej, wrażenie uporządkowanej osoby o spokojnym życiu. – Moja rodzina zawsze miała problemy, ale moja młodsza siostra ma bardzo ciężkie przeżycia. Moja matka... Zawsze była trudną osobą, mówiąc eufemistycznie, ale teraz nie wiem, co będzie dalej. A w przyszłym tygodniu zaczyna się sesja i choć uczę się bardzo pilnie...

– Wiem o tym, Regino.

– ...jeśli nie dostanę piątki, niech pan nie myśli, że to dlatego, że olałam pana przedmiot.

– Ucząc historii i polityki – mówi – nie robię tego po to, żebyście wykuli na pamięć odpowiedzi do testu i zapomnieli po tygodniu. Uczę, żebyście wiedzieli, kim jesteście jako jednostki, i docenili to, co osiągnęli ludzie bardziej wykształceni od was.

Widzę, jak ciężko pracujesz, Regino, widzę w tobie potencjał. Na początku semestru powiedziałem wam, że jeśli nie będę przekonany, że student docenia nasz rząd i naszą rolę w świecie, obleję go. Nie minęło nawet pół semestru, a ja mam silne przekonanie, że ty moje zajęcia zaliczysz.

Wychodzę z jego gabinetu zbyt zmęczona, żeby spotkać się z Sheryl i naszymi przyjaciółmi w stołówce. Kiedy idę do pokoju, żeby położyć się spać, znajduję wiadomość od KiKi, zapisaną na wyrwanej z notatnika kartce: „Zadzwoń do Camille”.

Sytuacja Rosie była trudna, już kiedy Cherie tam mieszkała, ale jest jeszcze gorzej. Cherie powiedziała mi kilka miesięcy wcześniej, że kiedy pojechała tam z wizytą, znalazła Rosie na polu, leżącą obok krowy i zapłakaną.

– Co się stało, Roseanne? – spytała Cherie i strzepnęła z jej ubrania słomę i brud. – Ta krowa coś ci zrobiła?

– Nie, Cherie – odparła Rosie. – Ja jej zrobiłam. Mama mnie zabiła i byłam tak wściekła, że przyszłam tu i pobiłam tę krowę. – Cherie opowiadała, że szlochała z żalu, a ja wyobraziłam sobie ból i niezrozumienie biednej krowy. Płakała nad krową i nad Rosie, niewinnymi, niechronionymi przez nikogo ofiarami niezashuzonego, niepohamowanego gniewu.

– Boże, Camille – mówię do słuchawki. – Czemu to musi się dziać akurat w tygodniu, kiedy staram się zapamiętać nazwiska liderów wszystkich państw afrykańskich? – Zapada między nami pełna rozpaczys cisza, bo zdajemy sobie sprawę, jak głęboko zanurzyliśmy się w naszych nowych obowiazkach. Żadna z nas nie może już rzucić wszystkiego i przemierzyć pięciu tysięcy kilometrów, żeby sprawdzić, jak się ma nasza siostra.

Dzwonię do mojej opiekunki socjalnej i błagam ją, żeby skontaktowała się z opieką społeczną w Idaho i poprosiła, żeby zajęli się Rosie.

– Musimy odebrać ją Cookie raz na zawsze – błagam.

– Regino, twoja siostra podlega pod prawo innego stanu. Nie możemy nic zrobić.

– Nic?

– Mogę jedynie zaoferować, że jeśli opieka społeczna z Idaho do mnie zadzwoni, potwierdzę wszystko, co im powiesz.

Dzwonię do biura numerów w Idaho i proszę o telefon do urzędu zajmującego się prawami dziecka, pod który podlega miasteczko Oakview. Kiedy mężczyzna o cierpliwym głosie odbiera telefon, przedstawiam mu wyczerpujący opis tego, przez co przechodzi Rosie.

– Może pan zweryfikować akta Cookie, dzwoniąc do opieki społecznej hrabstwa Suffolk.

– Natychmiast zajmę się tą sprawą – zapewnia mnie.

Tego samego wieczoru oddzwania na wspólny telefon i mówi, że znalazł moją matkę. Zaciskam wargi w nadziei, że usłyszę informację o przejęciu Rosie przez tamtejszy system opieki zastępczej.

– Rosie była obecna, gdy poinformowałem pani matkę o zgłoszeniu.

– Co pan zrobił?!

– Porozmawiałem najpierw z Cookie, a następnie zczekałem na powrót Rosie ze szkoły. Zadałem jej pytania w obecności pani matki.

– Czy pan oszalał? Oczywiście, że Rosie musiała wszystkiemu zaprzeczyć! Czy ma pan pojęcie, co Cookie by jej zrobiła, gdyby powiedziała prawdę, a pan nie zabrałby jej dość szybko?!

W tym samym tygodniu dzwoni ponownie.

– Dzwonię, żeby poinformować panią, że zamykam tę sprawę.

– Zamyka pan sprawę?! Proszę o wyjaśnienie!

– Rosie zaprzeczyła, jakoby była bita, a pani matka wszystko wyjaśniła. Naprawdę, rozumiem, że ma pani pewnie emocjonalne problemy, które mogą wpływać na nieprawidłowy odbiór pewnych sygnałów...

– Emocjonalne problemy?!

– Chodzi o pani alkoholizm – wyjaśnia. – I skłonność do zmyślania kłamstw w celu zaszkodzenia innym. Muszę też panią

poinformować, że powiadomiłem miejscową policję, szkołę oraz urząd zajmujący się prawami dziecka, że wszelkie zgłoszenia z Nowego Jorku pochodzą od narkomanki, alkoholiczki i młodocianej przestępczyni. Pani matka uświadomiła mi, że została pani na stałe odizolowana od swojego rodzeństwa z powodu ataków agresji i rozwiązłej natury.

Czy to się dzieje naprawdę?

– To wszystko nieprawda! – odpowiadam. Już widzę, że Cookie zmanipulowała tego człowieka. Nie mam szans na wyciągnięcie stamtąd Rosie.

Odkładam słuchawkę, wracam do pokoju, wygrzebuje monety odłożone na pralnię i dzwonię do Cherie. Mówię jej, co się właśnie stało.

– Musisz tam jechać!

– Poczekaj – mówi ona. – Daj mi pomyśleć. Pilnuj, żeby telefon był wolny, oddzwonię wieczorem.

Otwieram drzwi na korytarz i stawiam krzesło przy wyjściu. Nasłuchuję dzwonka telefonu. Zastanawiam się, jakim cudem mam utrzymać wszystkich z mojego piętra z dala od automatu. Jest środek marca, więc większość z nich spędza wolny czas na długich rozmowach z chłopakami i dziewczynami z domu, z którymi nie widzieli się czasem od miesięcy.

– Słyszałaś o nalocie narkotykowym? – pytam niczego niepodejrzewającą sąsiadkę, która kieruje się w stronę automatu, wyjmując z kieszeni monetę. – Podobno mają uruchomić alarm przeciwpożarowy, a w tym czasie policja przeszuka pokoje. – Patrzy zdumiona na telefon, a potem odchodzi.

Okolo północy KiKi przyprowadza do naszego pokoju grupę przyjaciół, więc zamykam za nimi drzwi i siadam na twardej kanapie w korytarzu, niedaleko telefonu. Najpierw leżę i się wściekam, potem zaczynam płakać, a łzy płyną mi po skroniach we włosy. Myślę o wykładach pana Brownsteina na temat roli rządu w naszym życiu, o siatce bezpieczeństwa, jaką pod nami roztacza. Jak na razie siatka uratowała tylko mnie, podczas gdy moja siostrzyczka balansuje na drucie kolczastym bez żadnej

asekuracji. Nie ma sióstr ani opiekunów społecznych, którzy mogliby jej bronić. Wykończona płaczem, zasypiam.

Budzi mnie dzwonek telefonu.

Dzwoni cztery razy, zanim zdążam podbiec.

A potem milknie.

Uderzam pięścią w pomalowaną ścianę z pustaków i opieram czoło o słuchawkę.

– Cholera!

Dzwoni ponownie.

– Halo?

– Cherie leci jutro do Idaho – mówi Camille.

– I?

– Przywiezie Rosie!

– Jak?

– Mamy cały plan. Leci do Boise, wynajmuje samochód, potem zaczają się na przystanku autobusowym na Rosie. Szybko przekonuje ją, żeby wsiadła do samochodu, a kiedy tak się stanie, jadą do kryjówki, gdzie przebierają się i zakładają peruki.

– Czy to nie trochę zbyt ekstremalne?

– To małe miasto, Regino. Jeśli ktoś zobaczy Rosie w aucie z Cherie, zadzwoni do Cookie, a ona na policję i Cherie zostanie aresztowana. Musi się zabezpieczyć. Następnie obydwie jadą na lotnisko w Boise i wracają do Nowego Jorku.

– Myślicie, że to bezpieczny plan?

– Tak samo bezpieczny jak każdy inny.

– No dobrze. Jutro mam egzamin. Zaraz potem jadę autobusem na Manhattan, a stamtąd łapię pociąg i przyjeżdżam do ciebie i Franka. Będziemy czekać razem.

– Regino, nie. Masz szkołę. Nie możesz tego schrzanić.

– Camille, ja już schrzałam najważniejszą dla mnie na świecie sprawę tego dnia, gdy podpisałam oświadczenie! Życie Rosie już nigdy nie było takie samo i nic dla mnie bardziej się nie liczy! – Dwie zaspane osoby wystawiają głowy ze swoich pokojów. – Zobaczmy się jutro – szepczę do słuchawki. – Zadzwoń, jak wysiądę na stacji w Ronkonkoma.

Przyjeżdżam o szesnastej trzydzieści i widzę światła samochodu Camille. Pukam w bagażnik.

– Hej, otwórz!

Wychodzi i otwiera bagażnik kluczykiem.

– Czemu masz całą śmieciową torbę ubrań? Chcesz zrobić pranie?

– Nie. Ale wolałam być przygotowana, na wypadek gdyby to potrwało dłużej.

– Regino, a szkoła?

– Camille – mówię tylko. – Proszę cię.

Kiedy podjeżdżamy pod ich dom, Frank chucha w ręce na ganku.

– Właśnie dzwoniła Cherie – mówi. – Ma Rosie, jadą na lotnisko. Poszło jak z płatka.

– Więc mamy wciąż kilka godzin, zanim Cookie się zorientuje, że Rosie zniknęła. – Przeanalizowałam wcześniej całą logistykę ucieczki, biorąc pod uwagę każdy ewentualny błąd. Udało się najlepiej, jak mogłyśmy sobie wymodlić. Pojawia się we mnie uczucie ulgi. Ale to nie czas na rozkoszowanie się nim.

– Pewnie w tej chwili wsiadają na pokład – mówi Frank. – Cherie powiedziała, że planowo mają być na JFK po dziewiątej. A wy dwie powinniście coś zjeść. Chodźcie, zrobię wam kanapki.

– Nie – mówię mu. On i Camille patrzą na mnie, zdenerwowani. – Chcę od razu jechać na lotnisko. Jeśli samochód wyląduje wcześniej, chcę tam być, kiedy tylko nasza bambina się pojawi.

Frank zerka na Camille.

– Więc opróżnię samochód, żeby było miejsce dla was czterech – mówi. – Hej, a może was zawiozę?

– Nie, skarbie – mówi mu Camille. – Zostań z Frankiem i czekaj przy telefonie. Może zadzwonić Cookie, a ciebie nie zna. Tylko na ciebie się nie wydrze.

Camille i ja docieramy na lotnisko o dziewiętnastej trzydzieści i od razu zajmujemy miejsca w hali przylotów. Camille rozgląda się, żeby się upewnić, że nie jesteśmy obserwowane i nikt

nas nie namierza, a ja co chwilę sprawdzam tablicę przylotów i upewniam się, że lot nie ma opóźnienia.

Kiedy wreszcie lądują, Cherie ma przy sobie tylko torebkę. Ona i Rosie – o kobiecych kształtach, zgrabna, wyższa od nas wszystkich – mają peruki. Peruka Rosie jest wielka i spektakularna. Kuriozalnie kontrastuje z jej zmęczonym, pustym spojrzeniem. Nie umiem stwierdzić, czy jest taka wymęczona z powodu niespodziewanej podróży samolotem, czy przez to, co przeszła z Cookie i Clyde'em.

Szybko idziemy na parking krótkoterminowy, a jak tylko siadamy we trzy na tylnym siedzeniu samochodu Camille, obejmujemy Rosie.

– Moja bambina – szepczę jej do ucha. Samochód zapala, gdy Camille przekręca kluczyk w stacyjce, ale Cherie i ja przytulamy Rosie. Wyobrażam sobie, że im mocniej ją obejmujemy, tym szybciej zacznie zdrowieć, ale Rosie w ogóle nie reaguje. Nie wydaje żadnych dźwięków, twarz ma martwą.

– Jesteś w szoku? – pytam ją.

Kręci głową. Nie.

– Więc o co chodzi? Boisz się, że Cookie po ciebie przyjedzie? – Siedzi w milczeniu, a potem powoli kiwa głową. Czyli tak.

– Nie – mówię Cherie. – Zrobimy co w naszej mocy, żeby cię tu zatrzymać. Zamieszkaś ze mną, dopóki Regina ma szkołę, a latem przyjedzie. Będziemy razem. Regina, Camille, pamiętacie, jak dobrze nam było? Jak w Szczęśliwym Domu, w Bąbelkowym Domu i w Fabryce Kleju.

– I w Brady Bunch – dodaje Rosie.

– Tak! Pamiętasz Braday Bunch! Potrzebujemy tylko siebie – mówi Cherie. – Dawaliśmy radę już wcześniej, kiedy byliśmy znacznie młodsze. Damy i teraz.

W domu Camille pachnie spaghetti i klopsikami.

– Bierzcie talerze, dziewczyny – mówi Frank, kiedy wpadamy do kuchni. – Właśnie wyjmuję zapiekankę makaronową z pieca.

Mały Frankie zaczyna popłakiwać ze swojego pokoju, a Frank szepcze coś do ucha Camille, kładzie jej ręce na ramieniu i uśmiecha się, a potem cicho idzie korytarzem.

W końcu udaje mi się oderwać od niego wzrok, ale zauważam, że Rosie robiła to samo.

– Dokąd on poszedł? – pyta. Nigdy wcześniej nie widziałyśmy tak troskliwego i uczynnego mężczyzny.

– Zająć się małym Frankiem, żebyśmy mogły posiedzieć razem.

Rozsiadamy się na kanapie w salonie, a ja widzę na twarzy Rosie cień uśmiechu, kiedy obejmuję ją ramieniem i bawię się jej włosami. Imię Cookie nie pada ani razu. Tak samo jak słowo „bicie”. Śpimy we cztery w salonie, przytulone do siebie, a rano Camille włącza ekspres do kawy i częstuje nas pączkami oblanymi lukrem, a w tym czasie Frank ubiera Frankiego i idzie zapalić samochód.

– Co ty na to, Rosie, żebyśmy pojechały do centrum handlowego kupić ci trochę nowych, ciepłych ubrań? – pyta Camille.

Oczy Rosie błyszczą. Wygląda przez okno na samochód, a potem patrzy na mnie.

– Mogę ci usiąść na kolanach?

– Oczywiście, robaczku – mówię i wkładam pasmo jej piaskowych włosów za ucho. – Pamiętasz centrum handlowe Smith Haven? Chodziliśmy tam, kiedy pracowaliśmy na farmie.

– Tak. – Uśmiecha się.

Cherie wciska się na fotel koło fotelika Frankiego, a ja zamykam oczy i przez całą drogę przytulam policzki do pleców Rosie.

Ona i Cherie buszują wśród wieszaków, a Frank, Camille i ja siedzimy w samochodzie.

– Myślę, że musimy poczekać kilka tygodni, zanim zarejestrujemy ją w szkole. Nie chcemy, żeby ci z Idaho zbyt łatwo wpadli na jej ślad dzięki pomocy systemu szkolnictwa.

– Zgadza się.



– A kiedy będziemy ją zapisywać, nie powiemy, że przeniosła się z Idaho. Będą przekonani, że przeprowadziła się z innej części Long Island.

– Tak. Popracujemy nad nią, żeby straciła zaśpiew.

– Szybko załapie – mówi Frank. – Wciąż mówi trochę jak dziewczyna z Long Island. Słyszałyście? Ta wyspa wciąż w niej żyje.

Śmiejemy się w trójkę, a mały Frankie gaworzy i wyciąga piąstki ze swojego fotelika. On też chce brać udział w rozmowie. Kiedy Rosie i Cherie wracają z torbami pół godziny później, znów zapada cisza.

– Co kupiłaś, skarbie? – pytam Rosie.

– Dżinsy, płaszcz i sweter... – milknie. Frank powoli zjeżdża z parkingu na autostradę.

Ani razu w ciągu tego weekendu nie pytamy Rosie, co się działo. Nie ma sensu zmuszać jej do przeżywania tego jeszcze raz, a jej milczenie powiedziało nam już dość.

Trzeciego dnia Rosie i ja wprowadzamy się do mieszkania Cherie w Bayshore, ale kiedy tylko Rosie zaczyna się czuć komfortowo w nowym domu, dzwoni Camille. Ma telefony od Nicka, brata Cookie.

– Cholera – mówi Cherie. – Co chce?

Gromadzimy się przy niej. Odchyła słuchawkę, żebyśmy też słyszały, co mówi Camille.

– Za pierwszym razem powiedział, że Rosie zniknęła i władze sądzą, że ukrywa się z Reginą gdzieś w Idaho. – Jak zwykle Cookie w pierwszym odruchu obwiniła mnie. – Powiedziałam mu, że to niemożliwe, bo jesteś w szkole i zdałaś w zeszłym tygodniu wszystkie egzaminy.

– To dobrze.

– Ale cokolwiek robicie, raczej nie przychodźcie do mnie. Nick ma mnie na oku i wygląda, jakby chciał gryźć. Regina, a ty powinnaś wrócić do szkoły.

– Wrócę, kiedy przyjdzie czas.

– Już przyszedł. – Jej stanowczość mnie zdumiewa. – Jeśli

Nick albo gliny dowiedzą się, że nikt cię nie widział na zajęciach ani w akademiku, rozumieją, gdzie jesteś i co zrobiłyśmy.

– A kto zostanie z Rosie, jak Cherie wyjdzie do delikatesów, do pracy? – dopytuję. – To dziecko dość już przeszło, Camille. Nie zostawię jej samej i bez opieki.

– Więc będziecie się gnieździć we trzy w mieszkanku Cherie?

– Mieszkałyśmy już w gorszych warunkach. Może już o tym zapomniałaś?

– Robisz to dla Rosie czy dla siebie? – pyta. – W porządku, Regina, zostań tam, jeśli chcesz, ale bądźcie ostrożne. Nick w końcu dotrze do drzwi Cherie i obawiam się, że nie będzie zbyt miły.

Przez kilka następnych dni żyjemy spokojnie, aż Camille dzwoni znowu.

– Nick przyszedł do mojego domu. Dopytuje o adres Cherie.

– Cholera.

– Otworzył mu Frank. Każe Nickowi odejść i mówi, że Cherie i ja pokłóciłyśmy się, nie rozmawiamy ze sobą. Powiedział, że kiedy kontaktowałyśmy się ostatnio, mieszkała w innym stanie. Ale nie wiem, na jak długo to starczy.

Wiemy, że to kwestia dosłownie minut, zanim byli teściowie Cherie dadzą Nickowi jej numer. Za każdym razem, gdy dzwoni telefon, Rosie i ja podrywamy się z miejsca i kulimy w łóżku Cherie, tak jakby bycie blisko mogło nas ochronić przed oskarżycielskim głosem Nicka na automatycznej sekretarce.

Najpierw mówi: „Cherie, tu wujek Nick. Zadzwoń do mnie”.

Potem: „Cherie, tu wujek Nick. Uważamy, że Regina zabrała Rosie. Zadzwoń jak najszybciej”.

I trzecia wiadomość: „Cherie, tu wujek Nick. Jadę do ciebie i zmuszę cię do rozmowy, jeśli natychmiast nie podniesiesz tego przeklętego telefonu”.

Rosie i ja chowamy nasze rzeczy, wkładamy kurtki i buty, a ja łapię dzinsową torebkę. Wypadamy z mieszkania Cherie i ruszamy boczną uliczką.

– Dokąd idziemy?  
– Do centrum handlowego – mówię. – Musimy wmieszać się w tłum.

Z automatu dzwonię do Camille i zostawiam jej wiadomość na sekretarce:

– Camille, gdzie jesteś? Słuchaj, zabieram Rosie do kina w Sunrise Mall. Dzisiaj Nick dzwonił do Cherie trzy razy. Nie ma nas, więc nie panikuj, jeśli nie będziesz mogła się z nami skontaktować. Cherie jest w pracy, szef nie pozwolił jej rozmawiać.

Facet w kasie kinowej ma grube palce i porusza nimi jak mucha w smole. Rozglądam się wkoło, kiedy wygrzebuje z kasy resztę.

– Nie mógłby się pan pospieszyć? – pytam.

Gapi się na mnie.

– Spóźnimy się na film.

W końcu mijamy stoisko z popcornem i idziemy prosto do sali kinowej, gdzie zajmujemy miejsca daleko po lewej, w samym rogu. Zostajemy na dwóch seansach *Dziewczyny w różowej sukience*, ale jestem gotowa przesiedzieć i trzeci, gdy Rosie podrywa się z miejsca.

– Siadaj! – syczę. – Co ty robisz?

– Chodźmy stąd.

– Nie możemy. Czemu?

– To chociaż chodźmy na inny film.

Rozglądam się.

– No to szybko, wyjdziemy z innymi. Włóż kaptur i opuść głowę.

Bierzemy się za ręce i idziemy kinowym korytarzem, ale gdy wychodzimy na teren centrum handlowego, widzę coś strasznego: Nick biegnie w naszą stronę, a za nim dwóch ochroniarzy. Szarpie Rosie, robimy półobrót w miejscu, ale jeszcze zauważam za nimi Cherie.

Biegniemy z Rosie z powrotem do sali kinowej, przebiegamy przez opustoszałą widownię i wypadamy wyjściem

ewakuacyjnym. Wpycham Rosie pod wielki metalowy kontener na śmieci i wślizguję się za nią.

– Oni zawsze myślą, że chowamy się za czymś, nie pod czymś – szepczę.

– Skąd wiesz?

– Bo już to robiłam.

Leżymy. Myślę, że to będzie cud, jeśli walenie mojego serca nie zwabi Nicka prosto do nas.

Rosie kładzie policzek na zimnym chodniku.

– Nie mamy na nic wpływu, Gi – mówi.

To, że użyła mojego starego przezwiska, uderza mnie i wzrusza.

– Dlatego musimy go zdobyć, skarbie. Nie oddamy jej ciebie. W październiku skończysz czternaście lat, to tylko siedem miesięcy. Wtedy ty też się od niej uniezależnisz.

– Gdzie się schowam?

– U mnie, w New Paltz. Wynajmę gdzieś pokój i będziemy mieszkały poza kampusem.

Nagle z ciemności dobiega głos Cherie:

– Regina! Rosie!

– Zamknij oczy – szepczę cicho, ledwie słyszalnie. – Jest z Nickiem. – To taka sama sytuacja jak wtedy, gdy miałam cztery lata i mieszkaliśmy w Fabryce Kleju. Uciekłam, a Susan wywabiła mnie z kryjówki. Wołała mnie i wołała, więc zerwałam się i pobiegłam prosto w jej ramiona, a ona wyniosła mnie z lasu, przeszła przez ulicę i zabrała mnie prosto do Cookie.

Ignorujemy wołanie Cherie. Pozostajemy w ciszy i bezruchu. Mijają minuty. Przejeżdża samochód. Rosie podaje mi rękę, a ja przeplątam jej palce ze swoimi.

Kiedy zapada wokół nas cisza, wychodzimy na ciemną noc. Idziemy przez nieoświetlone parkingi wzdłuż Sunrise Highway, aż na jakimś ciemnym rogu znajduję budkę telefoniczną. Camille odbiera po pierwszym dzwonku.

– Regino! – krzyczy Camille. – Gdzie jesteście?

– Nic nam nie jest. Wolę nie mówić, gdzie jesteśmy. Ale

wszystko w porządku.

– Już za późno, Gi. On powiedział, że jeśli nie oddamy mu Rosie, zadzwoni na policję i zostaniemy aresztowane za porwanie. Powiedział, że użyje tego argumentu, żeby odebrać Cherie prawo do odwiedzin u syna i nigdy go już nie zobaczy, a sąd zabierze Frankiego ode mnie. Frank i ja jesteśmy przerażeni, nie wiemy, co robić.

– Jutro zadzwonię do mojej opiekunki socjalnej. Może będzie mogła nam pomóc.

– Regino, on chce, żeby Rosie przyszła do jego domu dzisiaj wieczorem albo zawiadomi policję.

– Jezu Chryste, to psychol! – Marszczę czoło i próbuję coś wymyślić. – Porozmawiam z Rosie. Oddzwonię.

Delikatnie odwieszam słuchawkę na srebrny haczyk. Nie mogę się zmusić, żeby popatrzeć na Rosie. Jest 1986 rok. Pięć i pół roku temu zostaliśmy rozdzieleni i umieszczeni w różnych domach zastępczych. Dzisiaj ona jest w tym samym wieku co ja wtedy, gdy podjęłam decyzję, która zrujnowała jej życie. Miałam niezmaconą wiarę w system socjalny i moją opiekunkę. Myślałam, że jeśli opowiem naszą historię, nikt przy zdrowych zmysłach nie pozwoli Cookie dotknąć żadnego z nas. System rządowy mnie otoczył opieką, ale zawiódł Rosie. Co gorsza, ja ją zawiodłam. Jak mogłam obiecać, że ten sam system opieki, który nawalił przed pięciu laty, pomoże jej teraz? Jesteśmy biedne. Nie mamy żadnych znajomości, dysponujemy niewielkimi środkami na utrzymanie i nauczyłyśmy się nie ufać nikomu, kto mówi: „Możesz mi zaufać”. Musiałyśmy zawierzyć ludziom, którzy traktowali nas chłodno, żerowali na naszej bezradności i czerpali z nas korzyści, ale nikt nie uratuje nas przed brutalną rzeczywistością. Każda z nas musiała o własnych siłach podźwignąć się z dzieciństwa i zadbać o siebie. Tak się stało w przypadku Cherie, Camille i w moim też. Dotyczy to również Rosie.

– Nie mogę zrobić nic więcej – mówię jej. Do oczu napływają mi gorące łzy.

Patrzy na mnie jednocześnie bezradnie i oskarżycielsko.

– Zadzwoń do Camille – mówi. – Miejmy to za sobą.  
Kiedy czekamy i czekamy na samochód Camille, wisi między nami pulsująca cisza.

– Zamarzam – mówię. – A ty?

Rosie nic nie mówi. Obejmuję ją, żeby było nam cieplej, ale tylko ja się trzęsę.

Minęło Bóg wie ile czasu, kiedy wreszcie światła samochodu Camille przedzierają się przez mrok. Rosie robi krok w stronę auta.

– Zaczekaj – mówię. – Sprawdź, kto z nią jest.

Wychodzę na parking i zaglądam do okna Camille.

– Wsiadajcie – wzdycha Cherie. – Zostaniemy dziś u Camille.

Macham do Rosie, żeby podeszła do samochodu, a potem czekam, aż Cherie i Camille się na mnie rzucą. Ale słyszę tylko szum silnika i tykanie kierunkowskazu. Wychylam się w stronę przedniego siedzenia.

– Może ktoś włączyć radio?

Ani Cherie, ani Camille się nie ruszają.

Rano Camille wchodzi do kuchni, kiedy wybieram numer telefonu.

– Do kogo dzwonisz?

Zwlekam z odpowiedzią:

– Do opiekunki socjalnej.

Podchodzi do mnie i łapie mnie za ramiona. Patrzy mi w oczy i mówi:

– Gi, skarbie, zrobiłyśmy wszystko, co mogłyśmy. Ona musi wrócić do Idaho.

Słyszę sygnał połączenia.

– Halo?

– Pani Harvey? To ja, Regina.

Camille wzdycha, pociera palcami skronie, a potem podchodzi do kredensu i wyjmuję puszkę z kawą. Mówię pani Harvey wszystko, że chciałyśmy uratować Rosie po tym, jak służby socjalne w Idaho dały Cookie pretekst do dręczenia jej, że Nick nas prześladowuje, że Rosie musi zostać z nami.

– Czy mogłaby pani zadzwonić na policję w Idaho i powiedzieć im, że służby socjalne naraziły Rosie na niebezpieczeństwo?

– Regino! Porwałyście nieletnie dziecko i przewiozłyście przez granicę stanu! To wbrew prawu, a ponieważ opiekunka Rosie mieszka w Idaho, nic nie mogę zrobić.

Zerkam na Camille i reaguję w jedyny sposób, jaki przychodzi mi do głowy. Rzucam słuchawkę na wiszący na ścianie telefon i na bosaka wypadam na zewnątrz, żeby zaczerpnąć powietrza.

Słyszę, że za Camille zamykają się drzwi.

– Nikomu z nas się to nie podoba, skarbie, ale wszyscy mamy wiele do stracenia. Rosie najwięcej. Musimy ją oddać Nickowi.

– Jeszcze czego!

– Gi, nie mamy więcej możliwości.

Rosie wychodzi na ganek i ciasno splata ramiona na piersi. Za nią idzie Cherie.

– Powiemy mu, że zostaniesz pod warunkiem, że Cherie i ja też zostaniemy – mówię Rosie.

– Może być.

– Potem Regina i ja zawieziemy cię na lotnisko – dodaje Cherie.

Dobermany Nicka skaczą na drzwi, kiedy przyciskamy dzwonek, a ja obejmuję Rosie, która się ich boi. Obie z Cherie łapiemy ją za ręce i wprowadzamy do domu Nicka. Widzę brudne ściany, zaplamiony dywan i czuję smród pleśni zmieszany z zapachem mokrego psa i odorem psiego moczu. Rękami umazanymi drukarskim tuszem Nick ściąga skaczące na nas psy, a jego płochliwa żona odbiera mu je. Potem Nick wskazuje palcem na mnie.

– Ty – mówi. – Wszystko przez ciebie. Zawsze myślałaś, że jesteś od nas lepsza, taka doskonała i nienaganna. Gdybym mógł, starłbym ten bezczelny wyraz z twojej twarzy. Przydałoby się nauczyć cię trochę pokory, zarozumiała dziwko, i Bóg mi

świadkiem, że chętnie bym o to zadbał.

Patrzę na Nicka i jego żonę, która kryje się za nim jak zwiędła roślina.

– Dzięki Bogu, że nie mogliście mieć dzieci. Teraz wiadomo, jakbyś je wychował. – Milknę, żeby podtrzymać dramatyczny efekt i po chwili dodaję: – Nick.

– Jestem twoim wujkiem, do diabła! – wrzeszczy. – Wujek Nick! Okazuj szacunek starszym do siebie! – Na jego wypukłe czoło występuje pot.

– Wiesz, Nick – mówię spokojnie – na szacunek trzeba sobie zasłużyć. Nikt ci go nie da odgórnie. Nigdy nie kiwnąłeś palcem, żeby nam pomóc. Tylko pogarszałeś sytuację, biorąc stronę Cookie. Ani ona, ani ty nie zasłużyliście na mój szacunek.

– Wypierdalaj z mojego domu, kłamliwa dziwko!

– Nie – odpowiadam. – Jeśli Rosie ma tu zostać, ja też tu zostanę.

Nick się na mnie gapi. A potem na Cherie. Ona patrzy w podłogę, przypominając nam, że ma przed sobą walkę o prawo do opieki na dzieckiem.

– Możecie tu nocować – mówi w końcu – a rano zawiozę tego dzieciaka na lotnisko.

– My też pojedziemy – informuję go.

Nick zaciska pięści tak mocno, że aż strzelają mu stawy.

– Jennifer, zaprowadź te szmaty do tylnego pokoju – mówi. Ona błaga nas wzrokiem o ratunek. Wskazuje drogę korytarzem i pokój obok ich sypialni.

– Cuchnie tu jakimś śluzem – mówię siostrze. Rosie z niepokojem zerka na łóżko, na którym leżą porozwalane zdjęcia nagich, owłosionych kobiet. – Nie zamierzam na tym spać.

– Myślisz, że podłoga jest czystsza? – pyta Cherie.

– Cherie, pomóż mi rozłożyć prześcieradła na podłodze. Położymy się, weźmiemy Rosie między nas. Przykryjemy się kurtkami.

Nazajutrz rano zostawiamy pościel na podłodze i wychodzimy na podjazd, gdzie Nick opiera się o swojego



zardzewiałego camaro.

– Coście, kurwa, robiły tak długo? Macałyście się?

Mijamy go i idziemy do samochodu Cherie.

– Co do diabła...?! Chyba nie sądzicie, że uwierzę, że zawieziecie dzieciaka na lotnisko?

Cherie otwiera drzwi do auta.

– Rosie jedzie z nami, Nick. Jeśli chcesz być pewien, że wsiadła do samolotu, musisz jechać za nami.

– Pizdy!

Odwracam się do niego.

– Zamknij tę zawszoną gębę, Nick, ty pieprzony, głupi złamasie! – Podchodzę do niego i mówię mu prosto w twarz: – Ona jedzie z nami, dotarło do ciebie? Wy, Calcaterra, to tylko banda prymitywnych dupków.

– A ty jesteś jedną z nas – odpowiada.

Obejmuję Rosie za ramiona.

– Tylko w dowodzie.

Oślaniam Rosie, kiedy wsiada do naszego samochodu i pohamowuję chęć dopadnięcia do Nicka i stłuczenia go do nieprzytomności. Na tylnym siedzeniu przytulam Rosie, tak jakby mogło to jeszcze przynieść coś dobrego.

Zostawiamy na zewnątrz marcowy chłód i zagłębiaamy się w korytarze lotniska, ale dopiero teraz czuję, że Rosie drży. Prowadzimy ją aż do stanowiska odprawy, gdzie patrzy na Nicka, a potem zdejmuje kurtkę. To symboliczny gest. Udało nam się tylko zapewnić jej ciepło dzięki tej kurtce, a teraz musi nam ją oddać, bo tam, dokąd jedzie, przyniosłaby jej więcej bólu niż pożytku. Może się tylko modlić, żeby Cookie udawała, że ta wyprawa do Nowego Jorku nigdy nie miała miejsca.

Cherie i ja wyciągamy ręce po kurtkę, która zdaje się ważyć dwieście kilo. Miałyśmy ocalić Rosie na zawsze, ale znów ja zawiodłam.

Przy naszej bramce zaczynają się tłoczyć podróżni. Cherie robi się nerwowa, ale ja jestem dla Rosie tak samo łagodna i spokojna jak zawsze. Rosie obejmuje Cherie, a jej ramiona zdają

się obciążone ołowiem, tak jakby każda część niej, żywa i zdolna do miłości, umarła. Obejmuję dłońmi jej policzki, wpatruję się w jej ostro rzeźbioną twarz i oczy, które widziały za dużo. Wszystko w niej wydaje się starsze, niż jest.

– *Mia bambina amore* – szepczę.

W jednej chwili zarzuca mi ramiona na szyję i kryje twarz w moich włosach. Czuję, że wstrząsa nią szloch, a potem szepcze:

– *Je t'aime*.

Pozostali podróżni zdają się uskrzydleni bagażami, które niosą, ale Rosie podchodzi do odprawy biletowej bez niczego. Bo bez niczego tu przyleciała. Cherie i ja ściskamy jej kurtkę. Kiedy odwraca się i zmusza do uśmiechu, na ramię opada jej kosmyk pszenicznych włosów.

– Kocham cię, Rosie! – krzyczę przez łzy tak głośno, że ludzie z kolejki się odwracają.

Rosie podaje bilet kobiecie, która wskazuje jej drogę do samolotu.

I Rosie znika.

## *Koniec okresu ochronnego*

*wiosna 1986 – lato 1988*

Czyli oblałam.

Pan Brownstein podnosi mostek okularów palcem wskazującym i kciukiem i pociera nasadę nosa.

– Usiądź, Regino. Wiele dźwigasz ...

– Panie profesorze, zdam poprawkę!

– Nie przejmuj się poprawką. Na koniec wszystko wyjdzie tak, jak powinno.

– Na koniec semestru? Czy w ogóle? – Ostatnio zwierzyłam mu się, że dorastałam głównie w rodzinach zastępczych. Muszę mu przypomnieć, że mnie nic nie wychodzi samo i że moja przyszłość zależy od ocen w większym stopniu niż przyszłość moich kolegów.

– Regino, jestem tu, żeby ci pomóc. Jeśli przyniesie ci ulgę opowiedzenie o tym, co dzieje się w twojej rodzinie, wiedz, że to bezpieczne miejsce.

Cofam się w czasie. Znów mam trzynaście lat, jadę samochodem z pracownikami socjalnymi. Rosie i Norm są w drugim samochodzie, a ponieważ powiedziałam na głos, co się nam przydarza, już nigdy nie będę miała wpływu na życie mojego rodzeństwa.

Pan Brownstein sprowadza mnie z powrotem na ziemię.

– Mam niezachwianą wiarę w to, że robisz, co w twojej mocy. Rób to dalej, do końca semestru. Tak jak ci mówiłem – przyjmuje ton ojcowski, uspokajający – wszystko będzie dobrze. W tej chwili zajmij się sobą i młodszą siostrą.

Tego wieczoru wybieram numer Rosie w Oakview.

– Tak? – Odbiera Cookie. Słyszę ją pierwszy raz od miesiący. Głos ma znacznie bardziej zachrypnięty niż wcześniej. Tak się kończą lata palenia i chlania, mam ochotę jej powiedzieć.

– Daj mi Rosie.

– Jeszcze czego.

– Cookie, pozwól, że ci przypomnę. Wszyscy wiedzą o tobie. Powiedziałam miejscowym władzom i ludziom ze szkoły Rosie. Jeden siniak i nie będzie wątpliwości, skąd się wziął.

– Niech ci będzie, zapytaj, co ją spotkało. Odkąd wróciła, nie tknęłam jej palcem.

– Daj. Mi. Rosie.

Wiem, że zaciąga się papierosem, a potem wydycha dym.

– Chwila.

Słyszę ich stłumioną wymianę zdań, a potem trzaski, co oznacza, że Rosie szuka intymniejszego miejsca. Kiedy zapada cisza, szepczę:

– *Mia bambina amore.*

– *Je t'aime* – odszeptuje.

Dzięki serii odpowiedzi składających się z jednego słowa wnioskuję, że wszystko jest w porządku. Cookie powstrzymuje gniew, w każdym razie chwilowo.

– Rano zadzwonię do twojego opiekuna socjalnego i do pedagoga w szkole, dobrze? Chcę być pewna, że mają cię na oku. Może nam nie wierzą, ale niech przynajmniej będą wyczuleni.

– Dobrze.

Pod koniec semestru wiosennego wyjmuję z koperty z wypłatą za zeszłoroczny obóz gimnastyczny trzysta dolarów, żeby zapłacić czynsz za mieszkanie wynajęte wspólnie z Kim i Tami, dwiema koleżankami Sheryl z naszego hrabstwa.

Po raz pierwszy w życiu mieszkam na swoim. Im jestem starsza, tym większe mam przekonanie, że nie cierpiałam bez powodu. Co prawda jeszcze tego powodu nie znam, ale on krążył wokół mnie od początku, przez całe dwadzieścia lat. Zapowiedź czegoś wielkiego. Nie ma mowy, żeby człowiek urodził się w takim nieszczęściu, walczył o przetrwanie i pomagał przetrwać

swojej rodzinie, a wszystko to bez celu, który nadawałby temu sens. W mroczne i ciągnące się w nieskończoność dni składam sobie prostą obietnicę: rano wstanę z łóżka. Potem pójdę na wzgórze, na zajęcia. Będę stawiać nogę za nogą, dzień za dniem, zbliżając się coraz bardziej do światelka na końcu tego mrocznego tunelu.

Na początku jesiennego semestru biorę dwie prace. Jestem kelnerką w niemodnym już nocnym klubie Catskills. Godziny pracy studenckiej wyrabiam w laboratorium naukowym w kampusie. W czwartki i piątki wieczorem staję przed tym samym lustrem, co moje współlokatorki i wkładam uniform kelnerki. Później inne okoliczności uniemożliwiają mi prowadzenie studenckiego życia towarzyskiego: przed końcem semestru zostaję przyjęta na staż w Albany. Przez cały następny semestr będę pracować dla senatora stanowego.

– Zakocha się w jakimś polityku i już jej nie zobaczymy! – dokucza mi Tami.

W styczniu jadę do Albany i od razu idę na spotkanie organizacyjne prowadzone przez dziennikarza radiowego, Alana Chartocka, sponsora stażu.

– Zrobimy rundkę wokół stołu – zapowiada – i chciałbym, żeby każdy z was powiedział, co tu robi.

Moi koledzy stażyści mówią o członkach rodziny związanych z prawem, o pasji do polityki, ideologii politycznych albo powołaniu do rozwijania konkretnych dziedzin polityki społecznej. W końcu przychodzi moja kolej. Myślę o Rosie, o pieniądzach, które odkładam, żeby wysłać jej co miesiąc i o tym, że nigdy nie porzucę misji uratowania jej. I mówię, czemu wybrałam taką ścieżkę kariery:

– Polityka polega na rozdysponowaniu dóbr – mówię profesorowi Chartockowi. – Chcę się dowiedzieć, kto się tym zajmuje i czemu jedni ludzie dostają więcej niż inni, którzy cierpią.

Patrzy na mnie, a potem ogłasza:

– Muszę powiedzieć wam wprost, czego nie unikniecie w czasie trwania stażu: do pań będą się przystawiać członkowie

zgromadzenia i Senatu. Jeśli dowiem się, że któraś z moich stażystek wdała się w romans z legislatorem, zostanie natychmiast usunięta z tego programu i straci szansę na piętnaście punktów, które możecie zdobyć.

Po spotkaniu stażyści mieszają się ze sobą i śmieją się. Joanne, moja nowa współlokatorka z akademika, też bierze udział w stażu. Podchodzimy do skromnie uśmiechającego się chłopaka z rudymi włosami .

– Ty nie jesteś stażystą z ramienia Senatu, prawda?

– Tak. Jestem na stażu dziennikarskim „Legislative Gazette”. Mam na imię Ed. – Mocno ściska nasze dłonie, a my jesteśmy zachwycone, że mamy jeszcze jednego kandydata do naszego kółka kujonów.

Biorę udział w stażu codziennie od dziewiątej do siedemnastej, a potem, przez cztery wieczory w tygodniu, pracuję jako kelnerka przy Lark Street. W środy wieczorem i przez całą sobotę trenuję dziewczyny z sekcji gimnastycznej w szkole sportowej w Albany. W środę po pracy Joanne, Ed i ja zwykle spotykamy się na piwie, a Ed wyśmiewa się z moich reakcji na zaczepki.

– Jesteś za ostra! – mówi i śmieje się. – Wyluzuj.

Birę łyk piwa.

– Nie przyjechałam tu, żeby wszystko zepsuć. Jestem skupiona na dowiadywaniu się, jak to wszystko działa. Po studiach będę potrzebowała naprawdę dobrych referencji.

Obydwoje przewracają oczami i zamawiają jeszcze jedną kolejkę. Zanim wezmę swojego drinka, lekko się uśmiecham.

W trakcie stażu obserwuję procesy polityczne jak partię szachów. Strategia i stuprocentowe zaangażowanie emocjonalne są konieczne, żeby wygrać. Senator stanowy, Jack Perry, zauważa mój zapał i zatrzymuje mnie jako asystentkę na dłużej niż do końca maja, bo aż do lipca, do końca prac legislacyjnych. To zaproszenie jest kolejnym dowodem, że wszechświat znajdzie sposób, żeby się o mnie zatroszczyć, jeśli tylko będę mu pomagać. W lipcu znów jadę do Southampton, gdzie nie muszę płacić za

mieszkanie i trenuję drużynę gimnastyczną.

Zbliża się jesień, kolejny rok studiów, a ja najlepiej jak potrafię przygotowuję się do tego listopadowego dnia, w którym skończę dwadzieścia jeden lat i nie będę już niczym dzieckiem objętym opieką stanu, a moja karta z ubezpieczeniem medycznym, która zapewniała mi opiekę zdrowotną przez ostatnie siedem lat, straci ważność. W skrzynce nie pojawi się już, jak co miesiąc do tej pory, trzysta sześćdziesiąt dolarów zasiłku.

Mam tylko jedno wyjście: muszę pracować. Na semestr jesienny przeprowadzam się do mieszkania poza kampusem z przyjaciółką z liceum, Jeanine, która przeniosła się do New Paltz w zeszłym roku.

– Taaaak! – mówi ona. – Kelnerowanie, laboratorium, studia... Mam ci załatwić pracę na moim straganie z warzywami z farmy Wallkill, żeby widywać się w weekendy?

– Pracowałam kiedyś na kasie – odpowiadam żartem. – Wchodzę w to.

Wkrótce wpadamy w schemat jesiennych sobót: sprzedajemy ciepły cydr jabłkowy i dynie, a potem jedziemy do jakiegoś pubu w mieście, gdzie urok Jeanine zapewnia nam darmowe piwo. Jeanine przedstawia mnie jako swoją towarzyszkę kujonkę i zwraca się do mnie per „Panno Konstytucjo”, bo umiem wyrecytować z pamięci wszystkie siedem artykułów naszej konstytucji oraz dwadzieścia siedem poprawek.

Przed Świętem Dziękczynienia uczę się na korytarzu niedaleko Wydziału Nauk Politycznych. Podchodzi do mnie przewodniczący grupy debatującej.

– Chciałbym zaproponować pani wstąpienie do mojej grupy, z którą wyjeżdżam na Harvard, na konferencję Modelu ONZ – mówi. – Jesteśmy jedną z nielicznych uczelni spoza Ligi Bluszczowej, którą zaproszono do udziału i potrzebuję silnego mówcy.

– Proszę pana... – Rozglądam się wokół. – Czy na pewno chciał pan rozmawiać ze mną?

– Regina Calcaterra? W takim razie tak. Potrzebuję kogoś z

wyraźnym poglądami, bystrego i asertywnego. Profesor Brownstein polecił panią.

Bystra i asertywna!

Na temat mojej mowy wybieram wojnę globalną. Cała nasza grupa jedzie pociągiem do siedziby głównej ONZ na Manhattanie, gdzie trener wysłał nas na spotkanie z delegatami z Zimbabwe. Zimową przerwę spędzamy na przygotowaniach do ostatecznej debaty na forum w Bostonie. Nie plasujemy się wysoko w rankingach, ale cała drużyna wiwatuje, kiedy ja dostaję nagrodę obok studentów z Columbian i Harvardu.

– Nie waż się przejmować tym, że nie wygramy – mówi trener w autobusie powrotnym. – Jechałem windą z trenerami grup z uczelni Ligowych, którzy rozmawiali o silnej konkurentce z New Paltz. Może nie wygramy, ale dzięki tobie zostaliśmy zauważeni.

W maju robię licencjat z nauk politycznych i odbieram dyplom na oczach setek rodzin moich kolegów, wśród których są też Addie, Pete i ich córki. Pete robi mi zdjęcie z Addie.

– Pokaż dyplom – mówi ona. – Zasłużyłaś na niego.

W tym samym tygodniu pakuję samochód i wracam na Long Island, bo Addie zaproponowała mi, żebym przez dwa miesiące mieszkała za darmo w jej piwnicy, gdy będę szukała pracy. Natychmiast się zgadzam, choć zapowiadam, że to tylko na chwilę, żeby zdobyć trochę czasu, zanim pójdę na swoje. Nie wiem, gdzie się podzięję po wakacjach, więc po raz kolejny zwracam się do jedynych członków rodziny, jakich mam, poza rodzeństwem: do rodziców Cookie, Mike'a i Rose.

– Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała domu albo zechcesz spędzić z nami trochę czasu – mówi babcia Rosie – chcemy, żebyś wiedziała, że u nas zawsze jest twój dom.

– Dzięki, babciu...

– Jako pierwsza w rodzinie skończyłaś studia – mówi dalej babcia. – Czy zechciałabyś zjeść uroczysty obiad ze mną i z dziadkiem?

– Oczywiście – odpowiadam. – Powiedz tylko kiedy.



Następnego wieczoru, w kuchni, babcia Rose na chwilę odrywa się od szykowania makaronu z zapiekanymi małżami i odsuwa kołnierzyk różowej sukni, żeby pokazać siniaki na piersi.

– Lekarze mówią, że mój rak płuc się rozprzestrzenił. Poza tym mam stwardnienie rozsiane. Nie wiem, jak długo pożyję.

W czasie kolacji zerkam na siniaki, które pojawiają się na jej szyi, a babcia odkłada widelec.

– Regina – mówi przez łzy. – Nasze drzwi zawsze były dla was otwarte. Nigdy nie rozumieliśmy, dlaczego wasza matka zachowywała się w ten sposób ani dlaczego wyście musieli tyle wycierpieć.

To moja jedyna szansa na zrozumienie wszystkiego. Nachylam się do babci przez stół.

– Co się stało, kiedy była młoda, że wywołało taką wściekłość?

Babcia Rosie kręci głową. Ona i dziadek wracają do jedzenia.

Kilka tygodni później, na początku lipca, babcia umiera. Przychodzę do dziadka Mike'a z hot dogami i stekami prosto od rzeźnika oraz z dwiema butelkami wina Ernesta i Julia Gallo, jego ulubionego. Na pogrzeb przyjeżdża Cookie z Normanem i ogłasza, że oboje zostaną z dziadkiem, żeby się nim zająć. Norman niesie za Cookie torby.

– Na pewno jesteś zdruzgotany w żałobie – oznajmia dziadkowi, pakuje się do domu i nalewa sobie wina. – Nie przejmuj się mną, będę się czuła jak u siebie.

Szukając zapalniczki, zauważa mnie, tak jakby nie widziała mnie wcześniej.

– No cóż, gratuluję ukończenia studiów – warczy. – Sama widzisz, wcale nieźle was wychowałam.

Patrzę na nią oszołomiona.

Powstrzymuję się, żeby nie naskoczyć na nią tak jak na jej brata, tamtego dnia, kiedy rano staliśmy na podjeździe jego domu, przed odwiezieniem Rosie na lotnisko.

– Cookie – mówię do niej, a mój pozorny spokój zdumiewa mnie samą, bo aż się we mnie gotuje. – Ty nas nie wychowałaś.

Zostawiłaś nas, żebyśmy się wychowali sami. Nie rozumiesz tego? My jesteśmy odpowiedzialne za to, jakimi kobietami się stałyśmy. Nie ty. Ty nas tylko urodziłaś. To twój jedyny wkład w nasze życie. My zrobiłyśmy resztę, z pomocą obcych ludzi. Takich, którym płacono za opiekę nad nami. Ty nie pomogłaś.

Zastanawiam się, co będzie dalej. Uderzy mnie w twarz, złapie mnie za włosy i rzuci na ziemię? Ale nie. Podchodzi do mnie powoli. Oczy ma łagodne i taki też głos.

– Regino – mówi. – Krzywdziłam cię tylko dlatego, że twój ojciec mnie skrzywdził. Ojcowie pozostałych dzieci nie zrobili mi takiej krzywdy jak on. On był najgorszy. Już rozumiesz?

Kiedy tak stoimy twarzą w twarz, czuję alkohol ulatniający się z jej porów i dym papierosowy, którym przesiąknięte są włókna jej ubrań. Cofa się i patrzy na mnie, sprawdza, czy przyjąłem jej wytłumaczenie. Ale ja wiem, że nigdy nie zaakceptuję tego, co zrobiła. Tak samo jak nigdy tego nie zapomnę. Tych lat, kiedy własnymi ciałami osłanialiśmy się od jej ciosów, gdy chowaliśmy siniaki, polowaliśmy na jedzenie i wmawialiśmy nauczycielom i władzom, że jeśli tylko dadzą mnie i mojemu rodzeństwu szansę, może nam się udać.

Patrzę na nią z niemym, pełnym oszołomienia obrzydzeniem. I nagle przypominam sobie rozmowę z Paulem Accerbim sprzed pięciu lat. Nie uwierzyłam, że to był tylko jednorazowy numer. Byłam pierwsza do demaskowania kłamstw Cookie, ale z tego, że ją i Paula łączyło coś więcej, nigdy się nie wycofała.

– Jaką krzywdę ci zrobił? – Patrzy na mnie i zgaduje, czy mówię ze współczuciem, czy oskarżycielsko. – Co wywołało w tobie taką wściekłość, że wyładowywałaś ją na bezbronnym dziecku? Bił cię, tak jak ty biłaś mnie? Dziurawił twoją głowę ścianą i drzwiami? Robił tak, Cookie? Przywiązywał cię do kaloryferów albo do łóżka? Rozbierał cię do naga na oczach innych i bił pasem, aż każdy centymetr twojego ciała był raną? Upokarzał cię, przerażał tak, że się przed nim korzyłaś? Gwałcił cię? Co takiego zrobił, co mogłoby usprawiedliwić to, co ty zrobiłaś mnie albo co pozwoliłaś zrobić innym?

Uśmiecha się. Mój gniew sprawia jej satysfakcję.

– Ależ nie – mówi. – Nic z tego, co wymieniłaś, Regina. Był bardzo delikatnym kochankiem. Byłam w nim zakochana i myślałam, że on jest zakochany we mnie. Myślałam, że zostaniemy razem, kiedy dowiedział się, że jestem z tobą w ciąży. Ale odszedł. – Milknie na moment i zapala papierosa. – A ja zostałam z tobą.

## *Szczęśliwy Dom*

*lato 1988 – styczeń 1998*

Kilka dni po tym jak Cookie wraca do Idaho, dziadek zaczyna zauważać, że z domu poginęły rzeczy. Nie ma garnków, patelni, talerzy, sztućców, koców, ręczników, albumów ze zdjęciami, biżuterii babci, a nawet jej lakierów do paznokci i innych kosmetyków. Podejrzewam, że cierpi na jakieś zaniki pamięci wywołane żalobą.

– Regino, Cookie kilka razy była rano na poczcie i wysyłała paczki do Rosie, która została sama w domu – powiedział mi.

– Ależ dziadku, Rosie wyprowadziła się do swojej nauczycielki już ponad rok temu. Cookie nie ma nawet prawa do opieki nad nią. – I wtedy dociera do mnie, co się stało. W czasie, gdy on opłakiwał babcię, Cookie go okradała.

Kiedy nauczycielka Rosie przejęła opiekę nad nią, moja siostrzyczka mogła zacząć zdrowieć. Jednak Camille i ja zauważyliśmy, że Rosie woli zostawić za sobą przeszłość. Co oznacza także odcięcie się od nas. Nigdy nie powiedziała tego na głos, ale czułyśmy, że nas obwinia. Bez względu na to, jak usilnie walczyliśmy o jej dobro, nigdy nie udało nam się zrobić dość, gdy przeciwnikiem była Cookie. Chociaż byliśmy zdruzgotane, widząc, że Rosie się od nas odsunęła, zrozumialiśmy to. Zawiodłyśmy ją. Nasze dzieciństwo dzieliła zawsze od bezdomności i nędzy tylko jedna zła decyzja. Staraliśmy się wzajemnie wychowywać, kiedy byliśmy dziećmi, dzieliliśmy się wszystkim, ale... nigdy nie mieliśmy dużo. Rosie trzeba było ocalić i próbowałyśmy to zrobić, ale nie dałyśmy rady. Kiedy się żyje na marginesie społeczeństwa, nie mając żadnych dochodów,

nie ma się głosu, a skargi łatwo puścić w niepamięć. Nasza relacja podszyta jest teraz żalem i frustracją. Dla Cherie, Camille i mnie dostosowanie się do świata oznaczało oddalenie się od bólu, jakiego doświadczałyśmy jako dzieci. Rosie zrobiła to samo: oddaliła się od nas, a zbliżyła do ludzi ze swojej społeczności, którzy zdołali jej pomóc.

Moje przyjaciółki zaczynają znajdować pracę, jedna za drugą: w bankach przy Wall Street, w agencjach reklamowych na Manhattanie albo w państwowych organach ochrony porządku publicznego. Poza tym Jeanine i jej chłopak George oraz Sheryl i Thomas zaczynają przebąkiwać o planowanych zaręczynach. Ja znajduję pracę we włoskiej restauracji Bruno's, gdzie biorę wszystkie zmiany. Codziennie w czasie przerwy przeglądam ogłoszenia o pracę w branży, która mnie pasjonuje najbardziej.

Niestety, jedyne wakaty w instytucjach choćby pośrednio zajmujących się polityką społeczną to praca dla maszynistek. Zaliczyłam w liceum i na studiach wiele kursów, maszynopisania się nie uczyłam. Bez względu na to, jak przeliczam, nie ma cudów, żebym sama nauczyła się zapisywać osiemdziesiąt słów na minutę – ze stoperem w ręce – bez błędów. A jednak jeżdżę pociągiem na rozmowy wstępne i z każdą dziewięćdziesięciominutową podróżą z Long Island na Manhattan jestem coraz bardziej urzeczona tym miejscem.

Po kilku nieudanych rozmowach odkrywam sposób na zaliczenie pierwszego etapu rekrutacji, czyli pisania na maszynie. Ponieważ wolno mi ćwiczyć na takiej samej maszynie i na tym samym tekście, który będzie przedmiotem egzaminu, starannie przepisuję go bez żadnych błędów, a potem... wsuwam pod maszynę. Później nawijam na wałek czystą stronicę, a gdy asystentka włącza stoper i wychodzi z pokoju, szybko zamieniam pusty papier na idealnie zapisany tekst. W końcu dostaję zaproszenie na drugi etap rekrutacji na stanowisko maszynistki w New York Junior League, prestiżowej organizacji non profit, zajmującej się sprawami młodych kobiet. To praca idealna dla mnie.

Na rozmowę przychodzę w ciemnym garniturze, białej bluzce i niskich, czarnych butach – konserwatywnych i wygodnych do przemieszczania się po Manhattanie. Do wyłożonego ładnym, wiśniowym dywanem holu wkraczam gotowa do olśnienia moich przyszłych szefów zdobytą w czasie stażu w Senacie wiedzą o stanowej sytuacji politycznej, i poważnymi rekomendacjami. Ale kiedy od razu każą mi przystąpić do testu z pisania na maszynie, tym razem pod okiem nadzorczyńi, wiem, że to koniec.

W ciągu minuty zapisuję trzydzieści dwa słowa z dwunastoma błędami. Następnie dziękuję za poświęcony czas, łapię torbę, kiwam głową i szybko wychodzę.

W sierpniu zostaję zaproszona na rozmowę na stanowisko reprezentantki Eastern Paralyzed Veterans Association – Stowarzyszenia Sparaliżowanych Weteranów Wojen Wschodnich. Ich siedziba mieści się w Jackson Heights w Queens, w lśniących nowością biurach dawnej fabryki zegarków Bulova. Kolejną jadę do stacji Woodside, gdzie odbiera mnie wahadłowy autobus przystosowany do przewozu osób na wózkach i wyrzuca przed wejściem do biura EPVA.

Czuję zapach nowych pomieszczeń i perspektywa wchodzenia co rano do tego pełnego światła budynku czyni moją drogę korytarzem jeszcze bardziej ekscytującą. W biurze witają mnie potencjalni szefowie, sparaliżowani całkiem albo od pasa w dół mężczyźni na wózkach, którzy zostali zranieni w czasie służby w Wietnamie i w Korei. Informują mnie, że potrzebny im jest ktoś do występowania w ich imieniu na poziomie lokalnym i stanowym.

– Szukamy kogoś, komu nie sprawią problemu wyjazdy do Albany i przemieszczanie się w naszych sprawach po całej Long Island – tłumaczy jeden z nich. – Wyjazd do stolicy co najmniej raz w miesiącu. – Następnie mówią, że utrzymują się przede wszystkim z druku wizytówek w New Hampshire i jako fundacja non profit nie mogą zaoferować wysokiej pensji.

Kiwam głową. Wiem, że mogę dalej pracować jako kelnerka,

wieczorami i w weekendy, żeby dorobić do pensji.

– Doskonale – mówię. – Mam tam nawiązane pewne kontakty i wiem, ile trzeba czasu i samozaparcia, żeby coś tam wychodzić. Poza tym mam swoje auto.

Panowie unoszą brwi i zerkają po sobie, a następnie obiecują przejrzeć moje CV, listy rekomendacyjne i referencje. Następnego dnia dzwonią do mnie, proponując stanowisko pełnomocnika za siedemnaście tysięcy dolarów rocznie ze świadczeniami. Nie mam pojęcia, co dla mnie oznacza te siedemnaście tysięcy i tak naprawdę się nad tym nie zastanawiam. Liczy się to, że mam pracę.

Jestem w pełni świadoma, że to kolejny mój krok ku standardowi, czyli ku temu, jak żyją moi koledzy, których dzieciństwo było zupełnie inne niż moje. Po kilku miesiącach kursowania po dziewięćdziesiąt minut dwa razy dziennie, od Petermanów do biura i z powrotem, wprowadzam się razem z koleżanką ze studiów, Reyne, do ciemnego mieszkania w piwnicy o zakratowanych oknach, w Forest Queens.

– W razie pożaru nie ma stąd jak uciekać, nie było czegoś wyżej? – pyta Cherie, która przychodzi z wizytą. Wiem, że to nic nadzwyczajnego, ale na tyle mnie stać, a lokalizacja jest bardzo dogodna, biorąc pod uwagę moje ciągłe wyjazdy służbowe.

Weterani wojenni wysyłają mnie do Waszyngtonu, jeżdżę też po całym stanie Nowy Jork. Z pasją lobbuję za uchwaleniem ustawy na rzecz upośledzonych ruchowo. Jej celem ma być zniesienie barier społecznych i architektonicznych dla ludzi z trudnościami w poruszaniu się. Jestem szczerze zaangażowana w te działania, bo tak naprawdę chodzi w nich o wyrównanie szans i danie wszystkim jednakowego dostępu do życia i niezależności. Za każdym razem, kiedy w czasie przemówień czy sesji legislacyjnych pada słowo „samowystarczalny”, angażuję się jeszcze bardziej, bo zdaję sobie sprawę, że walcząc o godność niepełnosprawnych, robię to samo, co przez całe życie robiłam dla siebie.

Przy okazji pracy na rzecz weteranów w Albany poznaję

Alana Hevesiego, przewodniczącego komitetu na rzecz niepełnosprawnych, który, jak się dowiedziałam w czasie przyjacielskiej pogawędki, również mieszka w Queens. Jest profesorem w Queens College i wydaje się szczerze zainteresowany perspektywami młodych ludzi działających w polityce. W 1989 roku Alan postanawia kandydować na stanowisko rewidenta do spraw finansów miasta, a ja zgłaszam się jako wolontariuszka do pomocy przy kampanii. Przez kilka tygodni każdego wieczoru naklejam znaczki i w godzinach szczytu rozdaję ulotki w metrze.

Alan nie zdobywa stanowiska, ale w ramach przygotowań do następnych wyborów organizujemy Demokratyczny Klub RFK, nowe zgromadzenie polityczne, które ma zachęcić wolontariuszy. Ja zostaję mianowana główną założycielką, a kiedy dołącza do nas Bobby Kennedy Jr, który chce uczcić pamięć ojca, zaczynam widzieć korzyści z zaangażowania się w długofalową kampanię.

W kwietniu 1991 roku po dwóch i pół roku pracy dla Stowarzyszenia Sparaliżowanych Weteranów Wojen Wschodnich przechodzę do New Jersey Transit, które oczekuje mojej pomocy w zakrojonym na cały stan planie dostosowania kolei publicznej i autobusów do potrzeb osób niepełnosprawnych. Czas spędzany w autobusach i pociągach z Queens do Newark poświęcam na naukę pisania projektu rządowego w imieniu agencji stanowej. Z rozkwitem mojej kariery dostrzegam, że brakuje mi znajomości prawa.

Co rano, po drodze ze stacji Newark's Penn do mojego biura kilka ulic dalej, patrzę na plac budowy nowej siedziby Wydziału Prawa uniwersytetu Seton Hall. Dzień w dzień przez kilka miesięcy widzę cień rosnącego powoli budynku, wznoszącego się za stacją kolejową. Kiedy widać już, jak będzie wyglądał – cały biały, oparty na stali i szkłe – wstępuję do ich biura rekrutacji i biorę ulotkę, która wyjaśnia rewolucyjny program zwany Legal Education Opportunity – Prawo dla Każdego. Kierownik działu rekrutacji wyjaśnia mi, że prowadzą obóz równych szans, który trwa całe lato i przygotowuje studentów do ewentualności, że



zostaną przyjęci. Broszura podaje, że chociaż większość uczelni wymaga w ramach rekrutacji państwowego egzaminu wstępnego LSAT oraz odpowiednio wysokiej średniej ocen, oni dopuszczają studentów legitymujących się jednym z wymagań. Haczyk jest taki, że każdy kandydat musi przekonująco wyjaśnić, czemu nie celuje w obydwu.

Tylko przez pół sekundy zastanawiam się, czy ma sens zaczynanie czteroletnich studiów w wieku dwudziestu pięciu lat, kiedy większość znanych mi absolwentów prawa zaczyna już szukać pierwszej pracy. A jednak... uzyskanie dyplomu wydziału prawa wydaje się w zasięgu ręki, gdybym tylko dostała szansę na wykazanie się. W osobistym eseju wyjaśniam, czemu moja średnia ocen nie jest oszałamiająco wysoka, całuję kopertę na szczęście i wysyłam zgłoszenie.

Wiosną 1992 roku zostaję przyjęta. Obóz równych szans zaczyna się w czerwcu.

Dziekan wyjaśnia wszystkim siedemdziesięciu sześciu kandydatom, że chociaż prawdopodobnie żaden inny wydział prawa nie przyjąłby nas na studia, oni w Seton Hall widzą w naszych historiach potencjał.

– Jednak ten program będzie od was wymagał niezwyklego zaangażowania – ostrzega. – Musicie mieć świadomość, że przyjęcie was to dla nas ryzyko. Rankingi wydziałów prawa opierają się między innymi na statystyce studentów, którzy za pierwszym razem zdadzą egzamin adwokacki, a wy jesteście tutaj, ponieważ nie spełniacie jednego z dwóch głównych kryteriów powodzenia na tym egzaminie. – Dalej mówi, że zostaną przyjęci tylko ci, którzy ukończą obóz równych szans z oceną co najmniej dobrą. W sierpniu 1992 roku dowiaduję się, że mi się udało.

Pracuję w New Jersey Transit na cały etat i pozwalam sobie na zdobycie tylko dwunastu punktów w semestrze. Przed zajęciami zaczynającymi się o osiemnastej przez cztery dni w tygodniu kupuję w wydziałowej kafejce kawę i kanapkę na obiad. Po zajęciach, o wpół do dziesiątej, wsiadam do pociągu z Newark na Manhattan, wysiadam na stacji Penn Station, potem idę do metra i

wsiadam w autobus do Queens. O północy jestem w łóżku i wiem, że jutrzejszy dzień będzie wyglądał dokładnie tak samo. Czasem, kiedy już zasypiam, nagle przywraca mnie do pełnej świadomości myśl o Rosie. Nic w moim życiu nie może się równać z pustką w sercu, jaka po niej została. Jasne, rozwinęłam się społecznie i zawodowo, ale emocjonalnie nigdy się nie wyleczyłam. Tyle tylko że blizny po dzieciństwie zepchnęłam tak głęboko, że udaje mi się o nich nie myśleć.

Im więcej dowiaduję się o prawie i polityce, tym bardziej emocjonuje mnie fakt, że obracam się w tym świecie. Po pięciu latach poświęconych prawom osób niepełnosprawnych fizycznie, jestem gotowa na coś nowego. W 1993 roku, tym samym, w którym Rudy Giuliani startuje w wyborach na burmistrza Nowego Jorku, Alan ponownie kandyduje na stanowisko rewidenta i tym razem, przy wsparciu całego zaplecza, jakie zbudowaliśmy przez ostatnie lata, wygrywa.

Mianuje mnie członkinią dwóch działów. Przez pierwsze kilka miesięcy jego rządów na Manhattanie pracuję z szalonym zaangażowaniem, godząc pracę ze studiami w Newark.

– Jesteś jedyną znaną mi osobą, które nie uznaje odpowiedzi odmownej – mówi Allan, kiedy mianuje mnie na swojego dyrektora ds. relacji międzyrządowych. Do moich obowiązków należy przepchnięcie jego zamysłu legislacyjnego na poziomie miasta i stanu. Tytuł i zakres moich obowiązków zobowiązują i są dla mnie jednocześnie ekscytujące i onieśmiałające.

Dwudziestoosmioletnia studentka prawa kierująca zespołem i odpowiedzialna za wprowadzenie w życie programu legislacyjnego na terenie całego Nowego Jorku! Udaje nam się wprowadzić nasz zapis do przepisów dziesięciu stanów!

Sukces zawodowy ośmiela mnie do odezwania się po raz kolejny do Paula Accerbiego. Nie kontaktowałam się z nim od szesnastego roku życia, czyli od dwunastu lat. Jeśli udaje mi się przeciwstawić silnej i władnej opozycji na poziomie polityki stanowej, może uda mi się też przekonać Paula, że jestem porządną młodą kobietą, która chce się po prostu dowiedzieć, kim jest jej

ojciec. Tym razem nie piszę z domu zastępczego, tylko biorę wizytówkę i załączam do listu notatkę informującą o moim wykształceniu i stanowiskach pracy. Wysłałam list do Julii i Franka Accerbich. „Uprzejmie proszę o przekazanie mojego listu Paulowi, gdziekolwiek mieszka”, piszę do nich.

Tydzień później Paul dzwoni do mojego biura.

– Przeżyłaś bez ojca dwadzieścia osiem lat, więc nie rozumiem, czemu potrzebujesz go teraz – mówi.

– Uważam, że wiek nie ma znaczenia – odpowiadam. – Jestem czyjąś córką. Uważam, że twoją. Szanuję twoje życie, mam tylko nadzieję, że zrobisz badanie DNA, żebym miała pewność. Nie chcę nic od ciebie, naprawdę. Chcę tylko wiedzieć. – Biorę oddech. – Obiecuję, że po przeprowadzeniu testu dam ci spokój. – Nie chcę, żeby dowiedział się, że przetykam łzy i boję się powiedzieć prawdę: że chciałabym go poznać. Wiem jednak, że jeśli się z tym zdradzę, jego reakcja będzie jeszcze gorsza.

– Najpierw domagasz się odpowiedzi, a teraz chcesz mojego DNA? Nie zrobię tego badania! – Jego głos dudni ze słuchawki jak grzmot. – Nic ci do mojego życia i do moich decyzji. Za każdym razem, kiedy się pojawiaasz, stwarzasz problemy. Słyszałaś? Nigdy więcej nie kontaktuj się z Julią ani ze mną. – Rzuca słuchawkę.

Natychmiast dzwonię do Camille.

– A czego się spodziewałaś?

– Nie wiem. Spodziewałam się chyba, że będzie otwarty na perspektywę badania. Widzi, że jestem ustawiona życiowo i nic od niego nie chcę, z wyjątkiem prawdy.

– Gi, on całe życie uciekał przed prawdą. Ma rację, przeżyłaś bez niego dwadzieścia osiem lat, więc teraz też go nie potrzebujesz. Daj spokój. Masz być z czego dumna, masz na co czekać. Nie patrz za siebie. Już koniec. Już po wszystkim. Musisz iść naprzód.

Podnoszenie się po odrzuceniu zawsze było jedną z moich mocnych stron. Obiecuję sobie już nigdy się z nim nie kontaktować.

Pracując dla rewidenta, nieustannie stykam się z

najważniejszymi ludźmi w Nowym Jorku, z Rudym Giulianim i jego ekipą na czele. Zawsze niecierpliwie wyczekuję tych spotkań, nie tylko dlatego, że motywują mnie do dawania z siebie wszystkiego, ale także z powodu młodego, przystojnego asystenta pana burmistrza, którego stoicka mina wpadła mi w oko. Todd Ciaravino, tak jak ja, bardzo poważnie traktuje swoją pracę. Haczyk? Stoimy po dwóch stronach areny politycznej. Ja jestem demokratką i pracuję dla demokracji, a on jest republikaninem, który działa na rzecz republikanów. Nasi szefowie zawsze występują przeciwko sobie w politycznej wojnie. Przyglądam się Toddowi z daleka i kiedy mamy okazję pogadać, zauważam, że zawsze jest zdystansowany i tajemniczy. Nie patrzy na mnie jak na młodą wymiataczkę polityczną, za jaką lubię się uważać. Tego lata spędzam weekendy z przyjaciółmi w Newport, na Rhode Island i na Fire Island, wyspie granicznej, która odgradza Long Island od Oceanu Atlantyckiego. Planuję także wyprawę do Utah, bo chcę odwiedzić Rosie, która skończyła stanowy uniwersytet w Idaho.

Przybywam z naręczem prezentów i czułych uścisków, ale od początku nasze stosunki mają charakter chłodny i mechaniczny. Tak samo zresztą wyglądało kilka ostatnich spotkań, odkąd Cherie, Camille i ja dziesięć lat temu wsadziłyśmy ją do powrotnego samolotu do Idaho, byłam więc przygotowana, ale to niewiele zmieniło. Pozwoliłam sobie na nadzieję i wierzyłam, że ta wyprawa będzie przełomem.

Na dodatek część winy za jej opór biorę na siebie. W czasie studiów prawniczych, a szczególnie po ich ukończeniu w maju 1996 roku, praca stała się dla mnie zdecydowanym priorytetem. To jedyna dziedzina, w której coś mi się udało. Kiedy dowiaduję się, że zdałam egzamin adwokacki organizowany przez stan Nowy Jork, wreszcie czuję się usatysfakcjonowana i mogę poświęcić całą energię karierze zawodowej. Oprócz prac legislacyjnych, Alan oddaje mi pod opiekę również organizację miejskich grup zadaniowych. Jedna z nich ma zidentyfikować czołowych działaczy społeczności kulturalnych w Nowym Jorku. Na prośbę Alana biorę na siebie również sprawy imigrantów, choć mówię

mu:

– Nigdy nie miałam nic wspólnego z imigrantami.

– Kiedy tu przyszłaś, było wiele rzeczy, z którymi nigdy nie miałaś nic wspólnego, ale zawsze sobie radziłaś.

Później, w 1997 roku, do Alana dzwoni sąsiadka z Forest Hills, a on i jego asystent Jack machają do mnie histerycznie, wołając mnie do gabinetu Alana. Kiedy wchodzę, włącza tryb głośnomówiący.

– Mów, Gerry – zachęca do słuchawki, a do mnie mówi bezgłośnie: – Słuchaj!

– Na trzecią jestem umówiona z ludźmi z Białego Domu – mówi jakaś kobieta. – Będziemy rozmawiać o sprawach imigrantów i potrzebuję kogoś, kto pomoże mi zidentyfikować liderów poszczególnych grup etnicznych w Nowym Jorku.

– Mam dla ciebie doskonałą osobę – ogłasza Alan. – Wyślę ci Reginę Calacaterę.

Splatom ramiona na piersi. W co ty mnie pakujesz, Alan?

– Gerry? – pytam po skończeniu rozmowy. – Kto to był?

– To była Geraldine Ferraro.

Opadam na fotel.

– Chcesz, żebym pomogła Geraldine Ferraro?!

Geraldine Ferraro: była członkini Kongresu i kandydatka na stanowisko wiceprezydenta. Dzwonię do Camille, która każe dzieciakom krzyknąć do słuchawki: „Powodzenia!” Myślę o zadzwonieniu do Rosie, ale boję się, że pomyśli, że jak zawsze interesuje mnie tylko praca.

Alan mówi, że na tym spotkaniu, które Geraldine – Gerry – ma o trzeciej, będą członkowie komitetu prezydenta Clintona, New Americans.

– Ona mnie bardzo wspiera, Regino. Wystarczy, że wyślesz jej faksem notatkę służbową, a potem pojedziesz tam i wyjaśnisz, o co chodzi. Dostarcz jej informacji, o które prosiła. Załącz też wszystko, co wiesz dodatkowo o tych liderach. Mamy dwie godziny. Zamówię ci taksówkę, żebyście spotkały się w jej biurze i wszystko obgadały.

– Mam się z nią spotkać?! – Czuję, jak poci mi się nawet skóra czaszki. – Alanie, mogę śmiało zrobić to przez telefon.

Alan patrzy na mnie ostro.

– Regino, ładuj tyłek do taksówki i jedź tam! To okazja, która może się już nigdy nie powtórzyć.

W czasie podróży taksówką z naszego biura niedaleko ratusza w górę do SoHo, na ulicę Lafayette, patrzę na kwitnące na drzewach wiosenne kwiaty. Biuro Geraldine Ferraro mieści się na ostatnim piętrze oryginalnego budynku z czerwonej cegły z czarną markizą nad restauracją należącą do jej syna, Cascabel. Kiedy zza biurka patrzy na mnie bardzo profesjonalna sekretarka, zaczynam się wściekle pocić. Im bardziej staram się opanować nerwy, tym więcej potu produkują moje pory. Biorę dyskretne głębokie wdechy, a do tego liczę, żeby się uspokoić, i patrzę na Geraldine przez szklaną szybę w ścianie jej gabinetu. W słonecznym pokoju w stonowanych barwach porusza się pewnie i z gracją. Głos podnosi tylko raz, przez telefon.

I nagle do mnie dociera: poznanie Geraldine Ferraro to jak spotkanie z Amelią Earhart.

Ona przetrwała szlaki innym kobietom w polityce. Stawiła czoło przeszkodom politycznym i społecznym i nic sobie nie robiła z krytyki tych, którzy życzyli jej porażki. Przetrwała, bo wierzyła, że lepiej zostać pokonaną w walce, niż w ogóle nie stanąć w szranki. I oto jest, naprzeciwnie mnie, ubrana w miękki golf w kolorze morelowym, pachnąca czymś w stylu Chanel, z perłowymi kolczykami w uszach i uśmiechem zdobiącym jej twarz o doskonałych proporcjach.

– Regino – mówi. – Proszę, wejdź.

Kiedy mogę wreszcie skupić się na pracy, przestaję się pocić. Po kilku minutach wspólnego przeglądania mojej listy, Gerry pochyła się nad biurkiem i pyta:

– Może poszłabyś ze mną na to spotkanie?

– Na spotkanie... do Białego Domu?

– Tak. Widzę po prostu, że czujesz się w temacie znacznie pewniej niż ja.

Usiłuję wymyślić jakieś niecierpiące zwłoki zadanie, które zmusza mnie do natychmiastowego powrotu do pracy, ale przypominam sobie słowa Alana: „To okazja, która może się już nigdy nie powtórzyć”.

Kieruje mnie od biurka na kanapę i siada po drugiej stronie stolika do kawy na dużym fotelu. Mistrzowsko balansuje pomiędzy ciepłem a siłą, co dobrze widać, kiedy łagodnie sugeruje:

– Naprawdę, ty powinnaś o tym mówić.

Na samym początku spotkania przedstawia mnie ekipie z Białego Domu, a ja zdaję się na nią i wreszcie wyluzowana, przyswajam jej filozofię stoickiego podejścia do ryzyka. Zachwyca mnie, jak ludzie z Waszyngtonu jej słuchają, bo chociaż się nie wywyższa, jest oczywiste, że kiedy w pokoju przebywa Geraldine Ferraro, na pewno wie więcej niż ty. Przez dwadzieścia minut odpowiadam na pytania na temat nowojorskich liderów Afroamerykanów, Indian południowoazjatyckich i przyjezdnych ze Środkowego Wschodu, a Gerry dodaje mi odwagi skinieniami głowy, a w pewnym momencie nawet mruga okiem!

Po spotkaniu opiera ramiona na podłokietnikach fotela, na którym siedzi naprzeciwko mnie.

– Regino – zaczyna – myślę, że mogłabyś mi w czymś pomóc.

Prostuję się, tak jakbym nie była nieprzytomna ze zmęczenia.

– Pracuję nad książką o mojej matce. Była córką włoskiej imigrantki, która wiele poświęciła, żeby dać mojemu bratu i mnie szansę na takie samo życie, jakie wiodą typowi Amerykanie.

Typowi?! Mam ochotę powiedzieć jej: zaszła pani znacznie dalej niż typowy Amerykanin! Ale tylko uprzejmie kiwam głową i składam ręce na kolanach.

– Tak, pani Ferraro?

– Mów do mnie Gerry.

Mówi o swojej matce, Antonetcie. Padają takie zdania, jak „po śmierci ojca była sama” oraz „pracowała na Bronksie w fabryce koralików”, ale ja zastanawiam się nad listą niezwykłych

osiągnąć samej Gerry: stworzyła z mężem Johnem silną rodzinę, została asystentką prokuratora okręgowego w Queens do spraw przemocy seksualnej i członkiem Kongresu, a w 1984 roku jako pierwsza kobieta zyskała nominację na stanowisko wiceprezydenta z ramienia czołowej partii. Włączam się z powrotem, gdy mówi:

– I to byłoby zadanie dla ciebie, Regino. Planuję poświęcić ostatni rozdział książki współczesnym imigrantkom, ze szczególnym uwzględnieniem wyrzeczeń, na jakie się zdobywają, żeby zapewnić dzieciom możliwości, których nie miałyby poza Ameryką. Masz dużą wiedzę na temat współczesnej imigracji. Chciałabyś mi pomóc?

Powoli kiwam głową, ale nie mogę uwierzyć, że Geraldine Ferraro prosi mnie, żebym pomogła jej przy pracy nad książką. Jakąkolwiek książką, ale to jest książka o jej matce! Wypadam z jej biura, zbyt oszołomiona, żeby zatrzymać taksówkę i na piechotę, w szpilkach, idę półtora kilometra z powrotem do ratusza. Na pewno kiedy dotrę na miejsce, ona zadzwoni i powie:

– Regino, już nieaktualne! Znalazłam młodego, zdolnego studenta, który to dla mnie zrobi. Kogoś, kto ma normalną matkę i przeżył zwykłe dzieciństwo.

Alan czeka na mnie w drzwiach biura i mówi, że faktycznie dzwoniła Gerry.

– Dobra robota – chwali. – Wygląda na to, że zrobiłaś na niej wrażenie.

Nagle praca staje się ukojeniem, zapewnia mi granice i znane od dawna poczucie bezpieczeństwa, nie ma jak lista obowiązków do wykonania. Kiedy rok temu skończyłam studia prawnicze, miałam więcej wolnego czasu niż kiedykolwiek w życiu. Po raz pierwszy pracowałam tylko na jeden etat, bez kelnerowania, bez chodzenia na zajęcia albo przygotowywania kampanii wyborczej. Przez następne sześć tygodni spędzam noce oparta na łokciach i czytam na temat imigracji. Praca daje mi spokój, aż w końcu mam gotowy zarys i streszczenie mojej wizji ostatniego rozdziału książki Gerry. Wracam do jej biura i podaję jej dokument, który przyjmuje z uprzejmym uśmiechem.



Tydzień później oddzwania.

– Regino, mogłabyś do mnie zajrzeć?

Ściska mi się żołądek. Serce mi wali. Przekładam stopy z płaskich butów na szpilki i łapię taksówkę, którą kieruję się na Lafayette Street.

– Stwierdziłam, że skoro książka jest o mojej matce, powinna zaczynać się i kończyć na niej. – Głos i twarz Gerry są przyjazne, ale to nie ma znaczenia. – Jednak nie użyję materiałów, których mi dostarczyłaś.

Kiwam głową i próbuje przełknąć łyżę, które wzbierają mi w gardle. Przecież wiedziałam, że wcześniej czy później tak to się skończy.

– Jasne, Gerry. Jestem ci bardzo wdzięczna za możliwość współpracy z tobą.

– Nie tak szybko – mówi ona. – Wciąż potrzebuję twojej pomocy. Piszę o włoskiej imigrantce, ale czuję też potrzebę zarysowania tła włoskiej imigracji i wtapiania się Włochów w społeczeństwo amerykańskie. Tego fragmentu nie mam. Potrzebuję twojego doświadczenia w temacie.

– Ale Gerry... Chodzi o to, że ja się znam tylko na współczesnych schematach imigracji. Nie mam pojęcia o przeszłości. Poza tym, chociaż sama jestem pół-Włoszką, nie wiem wiele o moim dziedzictwie. Boję się, że w tej sprawie nie będę mogła ci pomóc.

Twarz jej tężeje, jest poirytowana moim oporem.

– Ależ będziesz mogła, Regino. Musisz poczytać na ten temat, ale jestem pewna, że dasz radę. Jestem na tyle pewna, że chciałabym zapłacić ci za zebranie tych materiałów.

– Och, Gerry – mówię niemal błagalnie, tak chciałabym, żeby mi odpuściła. Bo co, jeśli ją zawiodę? – Proszę – mówię. – Twoja wiara we mnie i możliwość pracy przy książce tak osobistej jest wystarczającą zapłatą.

Tego wieczoru, przed pójściem do domu, zatrzymuję się w nowojorskiej bibliotece publicznej. Przeglądam mikrofilmy i wypożyczam wszystko, co znajduję na temat Ellis Island i

włoskich imigrantów w Nowym Jorku, łącznie z *The Madonna of 115th Street* i *Beyond the Melting Pot*.

Zaangażowanie we wspomnienia Gerry, *Framing a Life*, jest wyrazistym punktem końcowym mojej pracy dla miasta. Zaszłam znacznie dalej, niż kiedykolwiek śmiałabym pomyśleć, ale... czas ruszać w dalszą drogę. Alan myśli o kandydowaniu na urząd burmistrza w 2001 roku, a ja nie mam ochoty zostać tu jeszcze przez te trzy lata. To nic dobrego mieć od pięciu lat dyplom ukończenia prawa, ale zero doświadczenia w zawodzie. Mój dyplom prawniczy jest dla mnie najcenniejszym osiągnięciem i siatką bezpieczeństwa. Jeśli wszystkie inne opcje zawiodą, dla prawników zawsze jest praca.

...ale najpierw muszę zacząć praktykować.

Niecierpliwie czekając na ukazanie się książki Gerry, zaczynam szukać pracy, w której mogłabym wykorzystywać prawnicze wykształcenie, a także więcej zarabiać. Mam trzydzieści lat, mieszkam ze współlokatorami w trzecim z kolei mieszkaniu na Manhattanie.

Przez całe życie mieszkałam z kimś na nędznej, ograniczonej przestrzeni, w której nie czułam się jak u siebie. A przede wszystkim muszę zacząć zarabiać tyle, żeby przestać zalegać ze spłatą pożyczki studenckiej na wydziale prawa. Sektor publiczny nigdy nie będzie w stanie zaoferować mi wystarczająco wysokiej pensji, żeby starczyło na czynsz, wydatki i sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów kredytu studenckiego.

Jeśli udaje mi się pozbyć wyrzutów sumienia z powodu Rosie, okazuje się, że nawet moja sytuacja rodzinna unormowała się i ustabilizowała. Camille i Frank są rodzicami Frankiego, Marii i Michaela, a Cherie i jej nowy mąż mają Jonathana i Matthew.

Wszystkich ich kocham tak bardzo, jakby byli moimi dziećmi. Spędzam z nimi wakacje, a oni towarzyszą mi w mieście na Boże Narodzenie albo zabieram ich na organizowaną przez Macy's paradę z okazji Święta Dziękczynienia. W weekendy spędzam czas z przyjaciółmi, chodzę do kina i na przedstawienia na Broadwayu. W ładniejsze dni biegam albo jeżdżę na wrotkach

w Central Parku. Najbardziej lubię niedziele: piję wtedy kawę w łóżku i czytam od deski do deski kilka gazet.

Pewnej niedzieli rano, niedługo przed Bożym Narodzeniem w 1997 roku, leżę w łóżku i czytam gazetę, kiedy dzwoni telefon. Jestem prawie pewna, że usłyszę głos Camille, więc odbieram, mówiąc: „No hej”.

– Regina, mam dla ciebie przesyłkę.

– Addie? – Zwykle dzwoni tylko na święta i moje urodziny. Ale głos ma zaciekawiony i poruszony. Albo zaniepokojony? W każdym razie napięty, jakby przed czymś się powstrzymywała. – Dobrze, to prześlij mi. To pewnie jakaś reklama.

– Nie sądzę. Prawdę mówiąc, myślę, że mogłabyś chcieć, żebym otworzyła ją natychmiast, sama. To list od Julii Accerbi. Chyba kartka świąteczna.

– No to otwieraj! – mówię. – Na co w ogóle czekamy?

Słyszę odgłos rozrywanej koperty, a potem Addie zaczyna się śmiać.

– Regina, nie uwierzysz: wysłała ci kartkę wydrukowaną przez Stowarzyszenie Sparaliżowanych Weteranów Wojen Wschodnich!

– Żartujesz? – śmieję się. Głównym źródłem utrzymania EPVA była sprzedaż kartek z życzeniami. – Pewnie z jej pieniędzy pochodziła część mojej pensji.

– O ironio! – chichocze Addie. – No dobrze, jesteś gotowa na ciąg dalszy?

– Tak!

– „Droga Regino”. Dalej wydrukowane życzenia i pod spodem: „Stare życzenia, ale zawsze aktualne: Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku!”

– I już?

– Tak. Podpisała... Mój Boże! „Kochająca ciocia Julia”.

– Ciocia Julia? Addie, jesteś pewna?

– Pewnie, że jestem pewna! Prześlę ci ją jeszcze dzisiaj, będziesz mogła poczytać sama.

Kiedy miałam szesnaście lat i kiedy miałam dwadzieścia

osiem, pisałam do Paula za pośrednictwem Julii i Franka, ale nigdy żadne z nich się do mnie nie odezwało, tylko Paul. Więc czemu teraz, chociaż nigdy wcześniej nie podejmowała prób nawiązania kontaktu, Julia okazuje mi zainteresowanie? Może coś się stało Paulowi i chce, żebym się o tym dowiedziała? A może po prostu zależy jej, żebym poznała prawdę. Ciocia Julia. Jakim cudem nagle mam ciocię Julię?

– Regina. – Addie wyrywa mnie z zamyślenia. – Jesteś tam? Co z tym zrobisz?

– Nie wiem. Po prostu mi to wyślij. A ja zadzwonię za parę tygodni, przed świętami.

Wszystko, co związane z tą kartką, jest dziwne i intrygujące, ale dwie sprawy zwracają moją szczególną uwagę. Po pierwsze, kartka została wysłana do domu Addie, do mojego dawnego domu zastępczego, gdzie nie mieszkam już prawie dziesięć lat. Wie o tym każdy choć minimalnie zapoznany z moim życiem. Po drugie, dlaczego nie wspomniała o swoim mężu, moim domniemanym wujku? Wybieram numer Camille, jedynej osoby na świecie, która rozumie, co to wszystko dla mnie znaczy.

– Co o tym myślisz? – pytam ją.

– Nie mam pojęcia – mówi po chwili zastanowienia. – To możliwe, że Paul zmarł? A może ta kobieta jest chora i chce ci coś powiedzieć, zanim jej stan się pogorszy? Zresztą, cokolwiek to znaczy, bądź ostrożna, skarbie. Wiem, że jesteś podekscytowana, ale to może zawieść cię z powrotem do uczuć, które masz już za sobą. Nie chcę, żebyś cierpiała.

Ale już za późno: totalnie w to wsiąkłam.

– Przecież to nie ja otworzyłam te drzwi, Camille. Ona to zrobiła. Dzieje się coś, o czym muszę się dowiedzieć. Odpiszę, nie będę dzwonić.

– I nie wspominaj Paula, dopóki ona tego nie zrobi. Nie wyciągaj go pierwsza. I nie pytaj, czemu podpisała się jako „ciocia”.

– Czemu?

– Bo ją wystraszysz. Napisz jej po prostu, jak dobrze sobie

radzisz, podaj swój nowy adres i numer telefonu.

– Camille, daj spokój, w takim razie równie dobrze mogę zadzwonić.

– Nie, Gi. Dlatego, że kiedy nie mówi ci się prawdy, bywasz trochę... obcesowa.

– Ha! – Jak dobrze mnie zna. – Ja nazywam to asertywnością... Ale masz rację.

– Najpierw do niej napisz. I nie poganiaj.

– Dobrze.

Kilka dni później przychodzi przekazana przez Addie kartka i stawia wszystkie kropki nad i, a ja mam już kilka wersji listu do Julii. Chcę go włożyć do kartki z życzeniami świątecznymi. Chociaż chciałabym jej zadać tyle pytań, moja odpowiedź jest prosta: w pracy idzie mi dobrze, jestem szczęśliwa, normalna i odniosłam sukces. Nauczyłam się już, że lepiej nie zadawać ważnych pytań: czemu podpisała się jako „ciocia”, czemu wysłała list do mojego domu zastępczego, czemu nie podpisała się także w imieniu męża i czemu pisze do mnie akurat teraz.

Miesiąc później przychodzi odpowiedź od Julii, tym razem do mojego mieszkania na Manhattanie.

*styczeń 1998*

*Droga Regino,*

*otrzymałam kartkę od Ciebie. Sprawiała mi dużą przyjemność. Często myślę o Tobie i o Twoich siostrach. Wiedz, że jeśli tylko miałybyś ochotę mnie odwiedzić, będziesz zawsze mile widziana. Wiedziałam, że moja kartka do Ciebie dotarła, bo nie wróciła do nadawcy.*

*Tak się cieszę, że sobie radzisz! Jestem bardzo szczęśliwa! Nie wiem, czy Ci mówiłam, ale Twój wujek Frank zmarł. Odkąd go nie ma, jest mi ciężko. Chciałabym, żebyś odwiedziła mnie z siostrami. Dajcie znać z wyprzedzeniem, to przygotuję dla was wszystkich jakiś posiłek.*

*Jak się wiedzie Twoim siostrom? Czy któraś z nich wyszła za mąż? Regino, tak się cieszę ze względu na Ciebie. Wiem, że życie*

*nie było dla Was łaskawe. O tylu sprawach mogłybyśmy porozmawiać. Życzę Ci dużo szczęścia w pracy. Co jakiś czas odzywa się do mnie Pauly. Wciąż mieszka na Florydzie.*

*Proszę, wpadnij do mnie. Mam trochę kłopotów z sercem. Kiedy osiąga się pewien wiek, wszystko się sypie. Raz jeszcze życzę Ci powodzenia i proszę, pisz do mnie. Dbaj o siebie.*

*Z miłością,*

*Ciocia Julia*

Czytam list kilkakrotnie, bo duże doświadczenie w rozczarowaniu odbiera mi nadzieję, że to wszystko jest tam napisane naprawdę. Że ona tak swobodnie odnosi się do Paula, że wyjaśnia, czemu imienia Franka nie było w podpisie pod życzeniami... Ale skąd zna moje siostry? Czemu tak automatycznie podpisała się jako „ciocia Julia”, a o swoim mężu pisze jako o „wujku Franku”? Widzę po stemplu, że list nadano z Long Island. Dlaczego odzywa się do mnie właśnie teraz, gdy mieszkam od niej dalej niż przez całe życie, bo dziewięćdziesiąt minut drogi?

Dzwonię do Camille i czytam jej list na głos.

– No i co myślisz?

Nic nie mówi, a potem ostrożnie sugeruje:

– Może mieszkaliśmy tam, gdy byliśmy dziećmi?

– Camille, ja nie mam ani pół wspomnienia związanego z tą kobietą. Julia. Czy to brzmi dla ciebie choć odrobinę znajomo?

– Gi, a może to jest to miejsce z wierzbą i dzieciakami, które skądś pamiętam?

– Kiedy to było?

– Kiedy byłaś naprawdę bardzo mała.

– Może Cookie i Paul mieli nas gdzieś, więc Julia i Frank nas przyjęli.

– Gi, pamiętaj, że ci Accerbi mogą nie mieć nic wspólnego z Paulem.

– Ale przecież pisze o nim. I nazywa siebie moją ciotką.

– Bo pewnie tak do nich mówiłyśmy, więc tak się podpisała. Wielu naszych opiekunów zastępczych kazało tak do siebie mówić. To jedyne logiczne wyjaśnienie. Proszę cię, Gi, nie rób sobie nadziei.

Nic nie mówię.

– Podała swój numer. Zadzwoń, a potem do niej pojedę.

– Jak się tam dostaniesz? – pyta Camille.

– Wynajmę samochód na Manhattanie. – Dziewięćdziesiąt minut drogi to nic w obliczu trzydziestu jeden lat czekania na odpowiedzi. – Potem wpadnę do ciebie i wszystko opowiem. No chyba że – sugeruję łagodnie – chciałabyś jechać ze mną?

Camille wzdycha i rozważa, co powinna zrobić dla mojego dobra, ale ja już znam jej decyzję. Jej nie kuszą powroty do przeszłości. Ciężko pracowała, żeby zacząć nowe życie u boku Franka, z dziećmi... Co jakiś czas udaje mi się zabrać ją na jedną z moich podróży sentymentalnych do szkoły podstawowej czy supermarketu w Saint James albo na plażę Cordwood. Chcę zapamiętać, jak tam łobuzowaliśmy, w tych jedynych miejscach, które dawały nam szansę na bez troskę, ale Camille jako starsza siostra pamięta co innego: zamieszanie, bicie, głód, rozpacz. Byliśmy nieszczęsną grupką zaradnych ulicznych dzieciaków, które próbowały budować dom z niczego. Ale to, że mam okazję zdobyć odpowiedzi na niektóre pytania o moją przeszłość, nie znaczy, że Camille musi być równie rozemocjonowana tą podróżą.

– Jedź sama – mówi w końcu. – Przy trójce dzieciaków mam dość zajęć. Napisała do ciebie, więc ty jedź. A potem przyjedź do mnie.

– Dobrze. Kocham cię, skarbie.

– A ja ciebie, robaczku. – Milknie na chwilę. – Regina?

– Tak?

– Pamiętaj, co ci mówiłam: bądź ostrożna.

## *Dziecko w każdym wieku*

*zima 1998–2003*

Siedzę w wynajętym samochodzie, ogrzewanie grzeje, a ja opieram się wygodnie i patrzę przed siebie. Pierwsze, co rzuca się w oczy, to wierzba płacząca w ogródku. Jest wielka, a jej zwieszane gałęzie kołyszą się na wczesnolutowym wietrze. Patrzę teraz na ogrodzenie z siatki otaczające całą działkę i dopada mnie wspomnienie: jestem malutka, stoję na podmurówce i śmieję się szaleńczo, bo znacznie większy ode mnie chłopiec przekłada palce przez oczka siatki i łaskocze mnie w brzuch.

Przenoszę wzrok na ogród i widzę figurkę Dziewicy Maryi otoczoną ceramiczną muszlą. Ozdabiają ją kwiaty w intensywnych kolorach różu, pomarańcza i żółci. Ostro kontrastują z brązowym trawnikiem i suchymi krzakami. Teraz obserwuję dom. Jest całkiem zwyczajny. Żółty gont, zniszczone drewniane okiennice z przybitymi gwoździami plastikowymi figurkami koni i owadów. Zauważam popękany cement na podjeździe, zaniedbane drzewa i krzewy, których od lat nikt nie przycinał.

Wysiadam z samochodu i powoli przechodzę przez ulicę. Staram się nie zwracać uwagi na nerwy, bo nie będę mogła pchnąć siatkowej furtki i po popękany podjeździe podejść do drzwi wejściowych. Jestem tak blisko kwiatowych rabat, że widzę płatki z jedwabiu. To bukiety sztucznych kwiatów powtykane w zamrzniętą glebę. Podchodzę do drzwi, chronionych od zewnątrz dodatkowymi drzwiami z naklejonymi kalkomaniami Police Youth League i z Jezusem, i Maryją. Naklejki z wizerunkiem Jezusa reprezentują każdy etap jego życia. Kiedy otwieram drzwi zewnętrzne, drzwi frontowe niespodziewanie stają otworem.



Pojawia się kobieta, wyraźnie przytłoczona wiekiem. Ma na sobie kwiecistą sukienkę do kolan, kaptcie i mocno lakierowany tapir siwych włosów.

– Regina? – pyta.

– Tak. Dzień dobry, Julio.

Otwiera drzwi i gestem zaprasza do sieni. Stoję przez chwilę w bezruchu, z szeroko otwartymi oczami, a ona mi się przygląda: najpierw moim włosom, potem twarzy, a na końcu ubraniu.

Wreszcie bierze mnie za rękę. I nagle jej drobne ramiona otwierają się w zaproszeniu. Zamieram. Boję się, że to zbyt wiele. Ale kiedy patrzę na jej twarz, wiem, że będzie załamana, jeśli ją odrzucę, więc obejmuję ją dyplomatycznym, zdystansowanym uściskiem. Przez chwilę trwamy w takiej pozycji, Julia rozkoszuje się mną, a ja... ja mówię sobie, że mogę bezpiecznie poddać się jej czułości. W końcu odsuwa się, ale cały czas zaciska w dłoni rękaw mojego płaszcza.

– Śmiało, skarbie – mówi. – Czuj się jak u siebie w domu.

Wchodząc do salonu, zerkam na stopnie prowadzących na piętro schodów, pokryte wytartymi dywanikami. Czuję się tak, jakbym wyszła ze swojego ciała i patrzyła na tę chwilę jak na film. Poznaję wszystko. Wiem, co jest na górze: trzy sypialnie i żółta łazienka. Schodzę z powrotem na dół, do jadalni z owalnym stołem i krzesłami z plastikowym pokryciem, na których siedziałam, mając pod pupą książki telefoniczne i poduszki, żeby w ogóle sięgnąć do blatu. Jeśli przejdę przez jadalnię, trafię do kuchni, wyłożonej żółto-brązowym linoleum. W rogu stoi mała kuchenka, a nad zlewem, w którym mnie kąpano, jest wielkie okno. Są tam także drzwi do ogrodzonego ogródka – do klamki nigdy nie sięgałam – oraz schody do piwnicy, w której leży dywan i stoją dwie małe kanapy, które dobrze pamiętam: tam moje siostry i ja spałyśmy w nocy.

Julia prowadzi mnie do kuchni, wciąż utrzymanej w kolorach żółci i brązu.

– Upiekłam dla ciebie ciasto z kruszonką – mówi. – Zjesz kawałek? A może zapiekanki makaronowej?

– Poproszę o kawałek ciasta – mówię. To zupełnie surrealistyczna chwila: dziwna, a jednocześnie tak znajoma.

– Wiesz, wyglądasz dokładnie jak on.

Zamieram na moment. Naprawdę tak swobodnie mówi o moim ojcu?

– Jak Pauly. Kiedy twoja babcia trzymała cię na rękach, powiedziała Pauly’emu, że wyglądasz dokładnie jak on, kiedy był dzieckiem. I wciąż jesteś podobna! Masz rysy Accerbich. On jest twoim ojcem, wiesz o tym. Prosiłaś o ciasto, tak?

Czy to się dzieje naprawdę?!

– Kiedy matka Paula trzymała mnie na rękach?

– Kiedy tu byliście z siostrami. Mieszkałyście tu jakiś czas, gdy byłaś malutka.

Wiedziałam. To jest Szczęśliwy Dom i to był nasz dom. Przez chwilę rozważam zapytanie Julii, czy mogę zadzwonić do Camille, ale boję się choćby oddychać, żeby nie zepchnąć z toru naszej rozmowy.

– Zastanawiałam się, od czego zacząć opowieść, ale chyba zacznę od początku, od czasu, gdy się spotykali. – Stawia przede mną ciasto, ale odsuwam je na bok, bardziej zafascynowana informacjami, jakie zaraz poznam niż zapachem cynamonu unoszącym się nad talerzykiem. – Cookie i Paul spotykali się – mówi Julia. – Mój Boże, do dziś pamiętam, jak zobaczyłam ją po raz pierwszy: przesywające ciemne oczy, skóra biała jak mleko i dwie rozkoszne dziewczynki. Pauly umawiał się z wieloma dziewczynami po rozwodzie z Carol, ale nie wszystkie tu przyprowadzał. Jednak twoja mama na pewno była kilka razy. Pauly ma jeszcze jedną córkę, z małżeństwa z Carol. Masz więc jeszcze jedną siostrę i dwie siostrzenice. Sądzę, że wciąż mieszkają na Alasce.

– Jak myśmy się tu znalazły?

Przez chwilę milczy, a potem sięga po moją rękę.

– Frank, to znaczy mój mąż, był starszym bratem Paula. Zmarł dziesięć lat temu. Miał już troje dzieci z pierwszego małżeństwa, ale jego żona zmarła przy porodzie trzeciego, świeć

Panie nad jej duszą. Razem mieliśmy jeszcze trójkę i Frank pracował pełną parą, żeby nas wszystkich utrzymać. Ale mimo to ósmioosobowa rodzina potrzebowała większego przychodu, więc zaczęłam pilnować dzieci różnych ludzi, kiedy chodzili do pracy. Rodzice trafiali do mnie z polecenia albo z ogłoszenia w gazecie „Pennysaver”.

Patrzę na jej dłoń, w której wciąż trzyma moją rękę. Julia starannie dobranymi słowami wyjaśnia, że kiedy Paul i Cookie ze sobą zerwali, nie widziała jej przez ponad półtora roku.

– Byłam więc... zaskoczona, ujmijmy to w ten sposób, kiedy odpowiedziała na jedno z moich ogłoszeń i spytała, czy mogłabym zajmować się jej trzema dziewczynkami. Pierwszego ranka pojawiła się tu z małymi Cherie i Camille, a na rękach miała słodkiego niemowlaka – ciebie. Właśnie skończyłaś rok. Powiedziała, że wróci po pracy. Po jakichś dziesięciu dniach przyprowadzania was tu dzień w dzień Cookie pojawiła się na moim progu z walizką. „Przyniosłam zabawki dziewczynek”, powiedziała, „żeby miały się czym zająć w ciągu dnia”. Nigdy jej nie zapomnę. Uśmiechnęła się, życzyła mi miłego dnia, a potem dziarsko ruszyła do samochodu, a przez ramię zawołała: „A tak w ogóle, to Regina jest córką Paula!” Stałam na ganku z tobą na rękach i zawołałam, żeby zaczekała. Ale nie zwróciła na mnie uwagi, po prostu zjechała z podjazdu. Pamiętam, że zastanawiałam się, jak to możliwe, że jest do was aż tak zdystansowana. Trzy śliczne małe dziewczynki! Kiedy pojechała, weszłam do domu i otworzyłam walizkę. I wiesz, co w niej znalazłam? Nie zabawki. O nie! Ubrania. I karaluchy.

Odwracam wzrok.

– To obrzydliwe.

– Zatrzasnęłam wieko i wystawiłam walizkę na ulicę. Przez następne osiem godzin wściekałam się i czekałam, że jak wróci wieczorem, to jej wygarnę. Ale byliście w domu, nawet kiedy Frank wrócił z pracy. Ona nie przyjechała. Powiedziałam Frankowi, żeby zadzwonił do Pauly’ego i ich matki. Obydwoje przyjechali natychmiast. Kiedy tylko Paul wszedł, zobaczył twoje

siostry i powiedział: „A co one tu robią, do diabła?” A potem spojrzał na swoją matkę, która trzymała ciebie na rękach. „To twoje dziecko, Paul”, powiedziała. Pauly odwrócił się do mnie i rzucił: „Pozbądź się tych dzieci” i wyszedł z domu.

Więc kiedy ja przez tyle lat dzieciństwa zastanawiałam się, czy mój ojciec istnieje, on cały czas wiedział o mnie!

– Ale nie pozbyliście się nas?

– Nie. Zignorowaliśmy Paula. Całą rodziną. Trzeba było wziąć za was odpowiedzialność, to oczywiste. Ale on odmówił. Wkrótce tygodnie zmieniły się w miesiące, miesiące w rok, a nadal nikt nie wiedział, gdzie podziewa się Cookie. W końcu zwróciliśmy się do opieki społecznej hrabstwa Suffolk, żeby przyznali nam kartki na jedzenie, bo nie wyrabialiśmy finansowo. A oni, zamiast pomóc, co zrobili? Zażądali, żebyśmy wydali was hrabstwu, które umieści was w domu dziecka albo w rodzinie zastępczej. – Pociera palcami skronie, a potem kładzie rękę na stole. – Frank odmówił. Powiedział, że nie odda swojej siostrzenicy i jej dwóch sióstr obcym ludziom, żeby skończyły w sierocińcu. Że potrzeba nam tylko kartek na żywność, nie pieniędzy. Ale hrabstwo odmówiło. – Zrezygnowana odchyła się na krześle. – Wtedy wszystko się popsuło.

Julia opowiada, że ona i Frank szybko opuścili urząd opieki społecznej, a pracownicy pytali, kiedy nas przyprowadzą.

„Nigdy!”, krzyczał Frank przez ramię.

– Bałam się, że dostanie ataku serca. Kilka dni później trzech pracowników socjalnych i policja pojawili się na naszym progu i zażądali wydania was. Frank trzymał cię tak mocno, że dwóch ludzi odginało mu ręce, a trzeci cię odebrał. Twój wujek Frank nie widział cię już nigdy więcej – mówi Julia. – Był zdruzgotany. Zawsze zastanawiał się, co się stało z twoimi siostrami i z tobą, aż w końcu pogodził się z tym, że nigdy już was nie zobaczy. I wtedy, ni stąd, ni zowąd, napisałaś do niego w 1983 roku. Kiedy dostaliśmy twój list, otworzył go, bo myślał, że piszesz do niego, potem dopiero zrozumiał, że chciałaś, żeby przekazał list Pauly’emu. Zadzwoił do brata i przeczytał mu list. „Ty draniu”,

powiedział Frank. „Przyjedź tu, porozmawiamy. Pomogę ci zachować się jak należy”. Kiedy Pauly przyjechał, Frank powiedział mu, że przecież świetnie wie, że jestem jego córką, więc musi wziąć za mnie odpowiedzialność i zabrać mnie z domu zastępczego.

– I co zrobił Paul?

– Pauly? Nic, skarbie. Taka szkoda. Mój Frank... Odszedł dziesięć lat temu, a ja nie mogłam się zmobilizować, żeby przejrzeć jego papiery. W końcu, przed ostatnimi świętami, wiedziałam, że już czas. I wtedy znalazłam kopertę. List zabrał Pauly. – Z emocji aż ścisnął mi się żołądek. Przynajmniej na tym mu zależało. – Ale twój wujek zachował kopertę, przez te wszystkie lata. Nie wyrzucił jej. Kiedy więc ją znalazłam, domyśliłam się, że któregoś dnia planował nawiązać z tobą kontakt, powiedzieć ci prawdę... Można uznać, że napisałam do ciebie dla niego. Frank zawsze chciał to zrobić. – Patrzy na mnie łagodnie, prawie przepraszająco. – Martwiłam się. Od napisania tego listu minęło już szesnaście lat. Nie wiedziałam, czy cię w ogóle znajdę, ale kiedy list nie wrócił, czułam, że musiałaś go dostać.

Następnie Julia mówi, że odpowie na wszystkie moje pytania pod jednym warunkiem: nikt z rodziny Accerbich nie dowie się, kim naprawdę jestem.

– Powiem im, że w latach sześćdziesiątych zajmowałam się tobą i twoimi siostrami. – Nachyla się do mnie. – Regino, zrozum mnie, proszę. Jeśli Accerbi dowiedzą się, że nawiązałam z tobą kontakt, wyrzekną się mnie. Jesteśmy bliską rodziną. Obiecuj mi, że zachowasz to dla siebie.

Kiwam głową i przysuwam sobie talerz z ciastem z kruszonką.

– Obiecuję.

Julia podnosi się od stołu i wychodzi z kuchni. Trzyma się tej samej poręczy, której ja trzymałam się jako dziecko. Kiedy zamykają się za nią drzwi do łazienki, zaczynam chodzić po kuchni, a potem przechodzę do jadalni. Podchodzę do honorowego

miejsca stołu, na którym kiedyś zasiadałam, żeby patrzeć, co się dzieje w ogródku. Pamiętam, że Julia wydawała tam przyjęcia urodzinowe dla swoich dzieci, z serpentynami, balonami i zwisającymi z gałęzi pojemnikami z cukierkami. Na stole jadalnym leży skorowidz z numerami telefonów, wypełniony starannym pismem. Przyglądam się otwartej stronie. A. Accerbi. Na liście nazwisk dostrzegam:

„Paul i Joan”

Z bocznej kieszeni torebki wyjmuję własny notatnik i długopis i szybko przepisuję ich numer, sprawdzając dwa razy, czy się nie pomyliłam. Słyszę za sobą skrzypienie podłogi, a kiedy się odwracam, widzę Julię.

– Znalazłaś to, po co przyjechałaś?

– Tak. – Uśmiecham się. – Dziękuję.

– Nie czuję się najlepiej – mówi Julia. – Od lat nie czuję się dobrze. Ciało mi puchnie, a wtedy trudno nawet siedzieć czy oddychać. Muszę odpocząć – oznajmia. – Ale chciałabym, żebyś wkrótce wróciła do mnie. I proszę, przyprowadź siostry, Regina. Bardzo chciałabym je znów zobaczyć.

Spotykamy się u podnóża schodów, a ja całuję ją w policzek.

– Dziękuję, Julio.

Kiedy otwieram drzwi, przez furtkę przechodzą dwie kobiety w średnim wieku i zmierzają w stronę domu. Zerkam na Julię, która wychodzi, żeby mnie przedstawić.

– Regina, to moje córki, Yvonne i Darlene. Dziewczynki, pamiętacie Reginę? Kiedyś się nią opiekowałam. Miała dwie siostry, Cherie i Camille.

– Ja Też! – woła Yvonne. – Nazywałyśmy Camille „Ja Też”, bo za każdym razem, kiedy Cherie o coś prosiła, Camilla mówiła: „Ja też!”

Uśmiecham się, bo przypomina mi się to stare przezwisko.

– Tak – mówię im. – Camille była Ja Też. Miło was znów widzieć.

Wkładam kluczyk do stacyjki i biorę głęboki wdech. Daję sobie minutę na przemyślenie wszystkiego. To był Szczęśliwy

Dom. Naprawdę istniał i stanowi jeden z ostatnich brakujących elementów zniszczonej układanki mojego dzieciństwa. To także dom mojej rodziny. Mam krewnych. Przechodzi mi przez myśl, że mogłabym zrobić jeszcze jedno kółko i lepiej się przyjrzeć domowi, ale postanawiam jechać prosto do Camille.

– Camille, wszystko pamiętałam! – mówię jej. – Linoleum w kuchni, figurkę Maryi przed domem. – Podaję wszystkie szczegóły i razem wyciągamy wnioski: to po zabraniu nas ze Szczęśliwego Domu trafiłyśmy do rodziny Giannich, do Babelkowego Domu. A następnie znalazłyśmy się w Fabryce Kleju, gdzie po raz pierwszy poznałam Cookie.

Gwiazdkową Mameę.

– Co zrobisz z tą wiedzą o Paulu? W ogóle cokolwiek? – pyta Camille.

Zbieram myśli. Ten człowiek – mój ojciec, teraz jestem już pewna – odrzucił mnie dwukrotnie, a ja nie pozwolę, żeby zrobił to po raz trzeci. Muszę spokojnie obmyślić racjonalną strategię. Albo sama poinformuję go, że wiem, że jest moim ojcem, albo zmuszę go do zrobienia badania DNA. Każde wyjście wymaga niezwykle starannego planu.

– O dziwo, podchodzę do tego zupełnie spokojnie. Jak na razie tyle mi wystarczy.

– To dobrze, skarbie.

Poza tym dla dobra Julii muszę działać ostrożnie.

W drodze powrotnej na Manhattan uświadamiam sobie coś jeszcze: naklejki z Jezusem na drzwiach, figurka Maryi na chodniku, ceramiczne głowy Jezusa wiszące na ścianie, a niedaleko talerz z Jezusem i krucyfiks z brązu... Zamiast odstawić samochód do wypożyczalni, jadę prosto do domu, szukam miejsca parkingowego i wbiegam pięć kondygnacji do mieszkania.

– Camille – w podnieceniu dyszę do słuchawki. – Julia ma w całym domu wizerunki Jezusa, widać to, zanim jeszcze wejdiesz do środka. Kiedy zaczęłam wszędzie zabierać ze sobą moje figurki Chrystusa?

– Jak byłaś mała – odpowiada Camille i śmieje się. –

Przynajmniej wiemy już, skąd one się wzięły.

Kilka tygodni później, w lutym 1998 roku, Camille odbiera telefon od Normana, z Idaho.

– U mamy wykryto raka – mówi jej. – Powiedzieli, że nie da się go wyleczyć.

Mam nadzieję, że Cookie pod wpływem cierpienia weźmie na siebie odpowiedzialność za ból, jaki nam sprawiała i wreszcie poprosi o wybaczenie, zamiast samej wskazywać winnych. Mimo to wiem, że nie ma siły, która zmusiłaby mnie do wybaczenia jej... Nie tego, co zrobiła mnie, ale co spotkało Rosie.

Cherie i Camille opłacają dla Cookie lot z Idaho, bo mają nadzieję, że w obliczu śmierci wreszcie się ukorzy.

– Powodzenia. Ja nie chcę z tym mieć nic wspólnego – mówię Camille i wybieram wyjazd na święta do Dublina, do rodziny chłopaka, z którym się spotykam.

Pierwszego dnia 1999 roku dzwonię do Camille z życzeniami. W odpowiedzi mówi, że Cookie nie przyjmuje do wiadomości, że wychowując nas, popełniła jakiegokolwiek błędy.

– Nic się nie zmieniło, Regina. Ale wiedziałyśmy, że lepiej nie liczyć na przeprosiny. Wracasz do Nowego Jorku dzień przed jej odlotem do Idaho. Może jednak przemyślisz sprawę pożegnania? Czy to nie byłaby dobra klamra?

Wygląda na to, że Cookie powiedziała moim siostronom, że wszystko, co sądzą o swoim dzieciństwie, to wykwit ich bujnej wyobraźni.

– Odwaliłam kawał dobrej roboty, wychowując was! – mówi.  
– Zobaczcie, jak porządnie wyrosłyście!

Przysmykam oko na jej wyparcie i odrzę do niej i przychyłam się do sugestii Camille, żeby spotkać się z matką po raz ostatni. Moje siostry i ich dzieci tłoczą się wokół mnie przy jadalnianym stole, kiedy pokazuję zdjęcia z wyjazdu do Irlandii. Cookie siedzi sama w salonie i ogląda telewizję.

– Gi – mówi Camille. – Robi się późno. Czy Cherie i ja nie powinnyśmy cię odwieźć na dworzec?

– No tak. – Powoli zamykam album i daję każdemu z



dzieciaków buziaka na do widzenia. Wkładam płaszcz, a potem odwracam się do Camille i szepczę: – Momencik.

Idę do salonu i staję spory kawałek od rozkładanego fotela, na którym siedzi Cookie, bo wiem, że dystans zapewni mi fizyczne i emocjonalne bezpieczeństwo. Ma na sobie niebieską flanelową koszulę, czarne elastyczne spodnie i do tego marszczy brwi, kiedy powoli przenosi na mnie wzrok. Migoczące na ekranie telewizora obrazy odbijają się w jej dużych przyciemnionych okularach.

– Do widzenia – mówię. Te słowa brzmią zimno i beznamiętnie. Odpowiada mi cisza, więc kiwam głową. Tyle dostałam. Cherie otwiera drzwi, a Camille i ja wychodzimy razem z nią.

Po drodze na stację wszystkie trzy płaczemy. Ze złości na naszą matkę, której nie udało się wziąć za nas odpowiedzialności, dlatego, że to takie niesprawiedliwe nie mieć żadnego wpływu na to, kto nas sprowadza na ten świat i... z poczucia ulgi, bo wkrótce już jej nie będzie. Na dobre.

Wiosną 1999 roku Camille dzwoni do mnie do pracy.

– Gi, mam niesamowitą wiadomość! Nigdy byś nie uwierzyła, że to się może przydarzyć Frankowi i mnie!

– Wygraliście na loterii?

– Nie! Pomyśl o czymś, co miało się nigdy nie wydarzyć.

– Jesteś w ciąży?

– Tak! Będziemy mieli jeszcze jedno dziecko! – Czuję, że po drugiej stronie linii telefonicznej aż promienieje. W 1996 roku u Franka zdiagnozowano nowotwór, a lekarze ostrzegali, że mógł wpłynąć na jego płodność. Camille mieszkała u mnie na Manhattanie, a jej teściowa zajmowała się dziećmi, żeby Frank mógł się leczyć w klinice onkologicznej Sloan-Kettering.

– Ale przecież lekarze powiedzieli wam, że nie będziecie mogli mieć więcej dzieci!

– Widocznie Bóg miał na ten temat inne zdanie – mówi Camille. – Dziecko Numer Cztery przyjdzie na świat w październiku.

Brzuch Camille rozkwita, tak samo jak moja znajomość z

Julią. Co najmniej raz w miesiącu dostaję od niej ręcznie napisany list, a kiedy tylko jadę z Manhattanu na Long Island, zaglądam do niej. Obydwie jesteście dyskretne i trzymamy naszą więź w tajemnicy przed jej córkami oraz dalszą rodziną, ale szczerze zainteresowanie Julii moim życiem sprawia, że zbliżyła się również do Camille. Na święta i urodziny wysyła listy i kartki do niej i do Cherie.

W październiku 1999 roku Camille rodzi Danielle Grace. Narodziny tej dziewczynki są dla nas doskonałym pretekstem do świętowania, tym słodsze, że spośród sześciorga dzieci w rodzinie pięcioro to chłopcy: Frankie i Michael, synowie Camille i Franka oraz trzech synowie Camille: Anthony, Matthew i Jonathan. Maria, córka Camille, będzie wreszcie miała siostrzyczkę.

Z każdym nowym członkiem naszej rodziny jest w niej coraz więcej radości. W głębi duszy czuję satysfakcję, że Cookie nigdy nie będzie jej częścią. Nie wiemy, ile czasu jej zostało, ale wiadomo, że nie dożyje końca tej dekady. W listopadzie, miesiąc po narodzinach Danielle, odczuwam w sobie przemożną chęć napisania do Cookie długiego listu.

*Nawet nie waż się wierzyć, że jest jakakolwiek Twoja zasługa w tym, co osiągnęliśmy. Mimo wszystkich przeciwności losu i Twojego wpływu, przetrwałyśmy. Wiele kobiet może urodzić dziecko, ale to jeszcze nie czyni ich matkami. Dla nas jesteś tylko Cookie.*

Norm donosi, że zaczął jej czytać mój list, ale kazała mu przestać po pierwszym akapicie. Informuje też, że w ostatniej chwili Cookie przerzuciła się z bycia mormonką na religię indiańską, bo wierzy, że po śmierci będzie szczęśliwsza.

Mija Święto Dziękczynienia, a Norm śle raporty na temat pogarszającego się stanu Cookie.

– Mam tylko jedno życzenie – mówię Camille. – Modlę się, żeby nie umarła szesnastego grudnia.

Camille zerka na mnie ciekawie.

– Szesnasty grudnia to urodziny Julii.

Julia jest mi teraz tak bliska, że nie chcę, żeby jej wyjątkowy

dzień został przyćmiony śmiercią mojej matki. Ale oczywiście 16 grudnia we wczesnych godzinach rannych, wkrótce po pierwszej chwili czasu Idaho i o czwartej czasu nowojorskiego, dzwoni mój telefon.

– Odeszła – mówi Camille.

Milczymy po obu stronach linii telefonicznej, pozwalamy tej chwili się dzieć. Ten rozdział naszego życia, na którego koniec czekałyśmy tak długo, wreszcie został zamknięty.

Biorę dzień wolny, a Camille odbiera mnie na stacji. Nawet nie omawiamy naszego planu, od razu wjeżdżamy na autostradę, bo obie dobrze wiemy, dokąd zmierzamy. Jedziemy do supermarketu w Saint James, mijamy stoisko na farmie Wicks, skąd kradliśmy jabłka, i King Kullen, skąd wynosiłyśmy jedzenie pod ubraniem. Przejeżdżamy obok mieszkania w Fabryce Kleju – teraz jest tam mechanik samochodowy Sal’s – tu najdłużej mieszkaliśmy całą rodziną. Jedziemy do szkoły podstawowej w Saint James, gdzie wałęsamy się po boisku, a w końcu docieramy na plażę Cordwood. Potrafiliśmy się tam bawić całymi godzinami, wypisywaliśmy na piasku nasze imiona, szukaliśmy małży wśród skał i zbieraliśmy na obiad naręcza trawy cebulowej.

Moja siostra i ja ramię w ramię idziemy plażą i nic nie mówimy. Pod szarym grudniowym niebem patrzymy na Long Island Sound, gdzie kiedyś był przycumowany pływający dok i stał zniszczony dom z kamienia, na którego ściany się wspinaliśmy.

– Zrobiła jedną dobrą rzecz – mówi Camille.

– Jaką?

– Dała nam nas.

Życia, które ofiarowała nam Cookie, były jak słowa wypisane patykiem na piasku. Można było je zmazać i napisać od nowa. Lepiej, nadając im znaczenie. Wszyscy zmieniliśmy nasze historie na takie, których pragnęliśmy.

Kiedy tak stoimy obok siebie na zimnej plaży, tylko jedna sprawa powstrzymuje Camille i mnie od poczucia pełni: Rosie. Ona nie chce, żebyśmy były częścią jej życia ani poznały jej rodzinę.

Wiemy, że wyszła za mąż i urodziła syna, ale

dowiedziałyśmy się dopiero po fakcie. Co jakiś czas przysyła Camille i mnie zdjęcia, na których widać, że jest kochającą i czułą matką, ale list bywa dołączony do zdjęć bardzo rzadko, a jeśli już, to brzmi bardzo formalnie. „U nas wszystko dobrze”, pisze, „Mam nadzieję, że u Was także”. Chce, żebyśmy wiedziały, że radzi sobie w dorosłym życiu, ale nie znajduje w nim dla nas miejsca.

W grudniu 1999 roku kolega mówi mi, że wybiera się na Times Square, żeby świętować nadejście nowego millennium.

– Pracowałaś w ratuszu, prawda? – pyta mnie. – Może dowiedziałabyś się, którądy najlepiej tam dotrzeć?

Dzwonię do kogoś, kto wiem, że pracuje teraz jako specjalny asystent komendanta nowojorskiej policji, do Todda Ciaravino, przystojnego, stoickiego asystenta Giulianiego, którego poznałam w czasie pracy dla rewidenta miasta. Kiedy już dzieli się ze mną przebiegiem chronionej trasy, przypomina sobie moją rozkwitającą pasję golfową i sugeruje, że miło byłoby poćwiczyć na polu treningowym w Chelsea Piers, kiedy zrobi się trochę cieplej.

Todd wyczuwa moją skorupę ochronną i w przeciwieństwie do innych facetów, którzy mi się podobali, jest wytrwały, dobrze wychowany i miły. Nie narzuca się ani nie jest arogancki. Wielu byłych partnerów i ludzie, których poznałam w dzieciństwie, obiecywali: „Możesz mi zaufać”, ale on udowadnia, że zasługuje na moje zaufanie. Dbą o mnie, a ponieważ startowaliśmy z tej samej pozycji, nie wścieka się o czas, który poświęcam pracy. Późną wiosną wkraczamy na terytorium potencjalnie poważnego romansu, ale wtedy właśnie Todd zaczyna podróżować trasą kampanii prezydenckiej Bush–Cheney. Jednocześnie ja odchodzę z Wall Street i wracam do sektora publicznego, a w ramach hobby zaczynam pojawiać się w Fox News, wspierając prezydenta demokrate. W sierpniu nasz związek, przyjemny i pełen pasji, kończy się. Nie dlatego, że mamy różne poglądy polityczne, ale dlatego, że oboje za bardzo angażujemy się w pracę.

Jest jeszcze jedna sprawa, która odrywa moje myśli od rozstania z Toddem: minęło dwa i pół roku od mojej pierwszej wizyty u Julii w lutym 1998 roku, a im więcej oglądam zdjęć Paula

i jego braci, tym bardziej jestem przekonana, że jest moim biologicznym ojcem. Przez lata przygotowywałam się emocjonalnie na poznanie prawdy, ale moja obecna sytuacja finansowa pozwoli mi wkroczyć na drogę sądową, jeśli on odmówi dobrowolnego poddania się badaniu DNA.

Na początku sierpnia szukam w Internecie adresu Paula i dowiaduję się, że mieszka w miasteczku na granicy kraju, w Blaine w stanie Waszyngton. Równocześnie z ustalaniem jego adresu przeglądam ustawy dotyczące ojcostwa, obowiązujące w stanie Waszyngton i planuję następne kroki, jeśli odrzuci moją prośbę o wykonanie testu. Zdradzam Julii, że zamierzam skontaktować się z Paulem.

– To ja nawiązałam kontakt z tobą – mówi Julia – więc pozwól, że was też skontaktuję.

Po kilku tygodniach ciszy stwierdzam, że on mnie ignoruje. Albo też sprawdza możliwości prawne... Pod koniec sierpnia dzwoni telefon.

– Musisz wiedzieć, że bardzo niepokoisz moją żonę i mnie – mówi. – Mam problemy z sercem, a ty możesz je pogorszyć. – Ta dobrze znana mi śpiewka potwierdza: tak, ma adwokata. Pierwszym, co doradza adwokat w sprawie tego typu, jest stworzenie pozorów, że sprawa będzie kosztowała stronę wiele stresu. – Czego ty chcesz?

Odpowiadam, że nie mam złych intencji i chcę tylko wiedzieć, czy jest moim ojcem.

– Nie oczekuję żadnego wsparcia – zapewniam go.

Wtedy on zdradza, co go tak martwi.

– Jeśli przyznam, że jestem twoim ojcem, rozpocznie się długi i bolesny dla nas wszystkich proces, bo stan Nowy Jork może postanowić pozwać mnie wstecznie za brak opieki nad tobą.

– Paul, nie będziesz musiał zwracać stanowi pieniędzy, jakie włożyli w utrzymanie mnie w rodzinie zastępczej – wyjaśniam beznamiętnie. – Nawet jeśli stan Nowy Jork robi takie rzeczy teraz, z całą pewnością nie mieli takiego prawa, kiedy byłam ich podopieczną. A żeby ostatecznie przekonać cię co do moich

intencji: dobrze mi się powodzi. Nie potrzebuję pieniędzy. Chcę tylko wiedzieć, czy jesteś moim ojcem. – Chcę również, żeby wiedział, że wiem, że nim jest, żeby stanął twarzą w twarz z faktem, że skazał mnie na potworne dzieciństwo tylko dlatego, że jestem jego córką. Oczywiście jako nastolatka miałam nadzieję, że znajdę go i nawiążę z nim jakąś więź, jako dwudziestoparolatka chciałam pokazać mu, jak dobrze sobie radzę, ale teraz chcę tylko, żeby przyjął do wiadomości swoją porażkę w temacie odpowiedzialności.

– Muszę kończyć, Regino – mówi. – To nie jest dobry moment.

Następnego dnia dzwoni dwa razy do pracy, ale mam akurat spotkania z klientami. Potem dzwoni po raz trzeci, ale też nie mogę rozmawiać. Zostawia numer faksu, ale nie telefonu, więc nie mogę oddzwonić, żeby normalnie porozmawiać. Kiedy chcę coś przekazać, muszę faksować albo czekać, aż on zadzwoni, więc on ma wszystko, co mówię na piśmie, ale z jego strony wszystko odbywa się ustnie. Kolejna strategia jego prawnika, mająca zapewnić mu panowanie nad sytuacją.

W końcu dostaję faks zwrotny, ale nie od niego, tylko od Wayne'a Tellera, prawnika Paula. Staram się utrzymać papier w roztrzęsionych dłoniach i czytam, że Paul nie życzy sobie dalszych kontaktów ze mną i jest to ostateczna decyzja. Żeby upewnić się, że nie będę podejmowała prób kontaktu, jego adwokat kończy list stwierdzeniem, że jeśli nie podporządkuję się tej prośbie i nawiążę kontakt po raz kolejny, będę odpowiedzialna za pogwałcenie zasady 4,2 Zasad Etyki Zawodowej.

Camille jest bardziej wściekła niż ja.

– Co to na litość boską jest zasada 4,2?!

– Zabrania adwokatowi kontaktowania się bezpośrednio z kimś reprezentowanym przez prawnika. Nawet jeśli jestem jego córką, jestem też adwokatem. On straszy, że rozpocznie wobec mnie postępowanie sądowe za pogwałcenie zasad etyki zawodowej, jeśli jeszcze raz skontaktuję się z Paulem.

– Wykorzystał przeciwko tobie twój największy sukces! –

mówi Camille. – Jakie to niesprawiedliwe! Ale i tak ze spotkania z nim nie wynikłoby nic dobrego. – Obie wiemy, że stara się mnie pocieszyć. – Co teraz zrobisz?

– Muszę poszukać w stanie Waszyngton wykwalifikowanego prawnika specjalizującego się w sprawach o ojcostwo, który podejmie się prowadzenia mojej sprawy. To nie będzie łatwe. Nigdy do tej pory dorosły nie wygrał procesu o ustalenie ojcostwa z drugim dorosłym, tylko nieletni mają prawo do sądowego nakazu wykonania badania DNA. Ktokolwiek weźmie tę sprawę, musi mieć nie tylko kwalifikacje do przeprowadzenia takiej bitwy, ale musi także w nią wierzyć.

– Ja wierzę – mówi Camille.

Prostota tej wypowiedzi mnie zdumiewa. W jednej chwili staje się oczywiste, że moja siostra jest jedyną osobą, która zawsze stała przy mnie, bez względu na decyzje, jakie podejmowałam.

– Naprawdę?

– Tak. Ty, ja, Cherie... wszyscy zawsze chcieliśmy wiedzieć, kim jesteśmy. Skąd się wzięliśmy. Vito i Norman zostali na tyle długo, że doczekali narodzin swoich dzieci, ale my trzy nie widziałyśmy nawet zdjęć swoich ojców. Wiem, że my dwie mamy różnych ojców, ale chcę poznać prawdę tak samo bardzo, jak ty. Skoro Cookie nie chciała nam pomóc w odnalezieniu swojego miejsca na świecie, musimy to zrobić same.

Doskonale to ujęła. Cała jestem pragnieniem poznania prawdy. Ale poszukiwanie odpowiedniego adwokata i przekonanie go, żeby wziął moją sprawę, trochę potrwa. Tymczasem Paul na pewno pomyśli, że jego list odniósł skutek i problem skończył się na zawsze. Ale ja jeszcze nie skończyłam.

Zaczynam od skontaktowania się z członkami Amerykańskiej Akademii Prawników Prawa Rodzinnego w Waszyngtonie. Zostawiam wiadomość kilkunastu z nich, ale oddzwania tylko sekretarka jednego. Mówi od razu: nigdy w Waszyngtonie dorosły nie próbował ustalić ojcostwa.

– Jest jednak prawnik, które mógłby rozważyć wzięcie takiej sprawy. Nazywa się Ralph Moldauer. Reprezentował dzieci w

sprawach o ustalenie ojcostwa, ale teraz jest przedstawicielem zawodowej drużyny sportowej.

– Drużyny sportowej? – śmieję się.

– Oczywiście – odpowiada. – Każda profesjonalna drużyna sportowa ma pod ręką co najmniej jednego specjalistę od prawa rodzinnego. – Wybucham śmiechem, bo ma to sens! – Dam pani numer do Ralpha.

Na początku stycznia 2001 roku Ralph zgadza się wziąć moją sprawę. Nie dlatego, że potrzebuje klienta, ale dowody, że Paul jest moim ojcem, są tak silne, a moja historia na tyle unikalna, że mam szansę na sukces. Chociaż, jak przypomina mi raz za razem, to się jeszcze nigdy nie wydarzyło w żadnym z pięćdziesięciu stanów.

– Chcę panią reprezentować – mówi Ralph – ale dla swojego dobra proszę na nic nie liczyć.

Rozumiem, że Ralph musi temperować moje oczekiwania, ale jest oczywiste, że zaangażował się w tę sprawę tak samo mocno jak ja. Czuję też, że są dwa powody, dla których zależy mu na doprowadzeniu jej przed oblicze sędziego. Albo uważa, że moja sprawa może stworzyć precedens dla innych dorosłych dzieci, albo robi to z ludzkiej przyzwoitości i chce dopaść Paula za to, co zaniedbał w moim dzieciństwie.

Pod koniec stycznia Ralph pisze do prawnika Paula z sugestią, że jesteśmy skłonni odpuścić postępowanie sądowe, jeśli Paul dobrowolnie podda się badaniu DNA. W odpowiedzi prawnik Paula pisze, że pani i pan Accerbi bardzo przeżywają moje próby nawiązania kontaktu z Paulem, przeżywają to fizycznie i emocjonalnie, a ja nie mam żadnych podstaw prawnych do wszczynania postępowania sądowego. Jeśli jednak się zdecyduję, mam być przygotowana na „agresywne roszczenie wzajemne za straty moralne, naruszenie prywatności i intencjonalne wywołanie emocjonalnego stresu”. Tak jak podejrzewałam od pierwszego telefonu w sierpniu, Paul planował wszcząć powództwo wzajemne, jeśli zacznę dociekać kwestii jego ojcostwa. To dlatego wciąż wyciągał kartę „fizycznego i emocjonalnego stresu”.

– Ten test robi się patyczkiem z watką! – mówię Ralphowi. –



Proszę momencik zaczekać. – Wstaję od biurka i zamykam drzwi do biura, żeby nie przeszkadzać współpracownikom. Biorę słuchawkę i dodaję: – Nie ma w nim nic inwazyjnego albo wywołującego niepokój fizyczny.

– Regino, rozmawiałem z jego prawnikiem – informuje mnie Ralph. – Paul jest gotowy walczyć, jeśli będziesz dążyła do procesu. Problem w tym, że to sprawa bez precedensu. W Stanach Zjednoczonych nie ma ani jednej innej sprawy, na której można się oprzeć, więc jeśli pozwiesz go, żeby uzyskać prawo do wyników DNA, będzie argumentował, że wykorzystujesz sąd do prześladowania go. Uwierz mi, tak dokładnie będzie. Nadażasz?

– Tak, idźmy dalej.

– Dobre wieści są takie, że jego koronny argument zostanie odrzucony, bo masz dowód, że próbowałaś załatwić tę sprawę polubownie. Nie obiecuję jednak, że mu się nie powiedzie i nie zażąda, żebyś opłaciła jego prawnika i ewentualne odszkodowanie za wywołany stres. Poza tym mamy tylko zeznania twoich sióstr i matki zastępczej, które potwierdzają to, co powiedziała ci nieżyjąca już matka biologiczna. Gdyby Cookie żyła, mogłaby złożyć zeznanie, że to on jest ojcem. Ale ona nie żyje.

Cholera. Nie sądziłam, że kiedykolwiek pożałuję, że mojej matki już nie ma.

– Nie udało ci się zdobyć oświadczenia nikogo, kto byłby w stanie z całą pewnością stwierdzić, że twoi rodzice prowadzili współżycie seksualne w czasie, w którym zostałaś poczęta. To może być problem.

Wyjaśnia mi to, co już wiem: test na ojcostwo to badanie DNA. Pobranie czyjegoś DNA, czy z krwi, czy w postaci wymazu z ust, jest chronione czwartą poprawką stanowiącą przeciwko nieuzasadnionemu przeszukaniu i zatrzymaniu oraz prawem do prywatności. Są jednak wyjątki w postaci sytuacji, w których sąd ma uzasadniony powód do uchylenia czwartej poprawki. Sąd postanawia tak, jeśli zostało popełnione przestępstwo albo gdy dziecko potrzebuje wsparcia, więc gdy znany jest ojciec, może ponieść koszty wychowania.

– Regino, jesteś dorosłą osobą, masz trzydzieści parę lat i trudno ci będzie udowodnić, że uzyskanie DNA Paula jest konieczne dla twojego dobrostanu – mówi Ralph. – Ale mamy jednego asa w rękawie: ustawa o ojcostwie obowiązująca w stanie Waszyngton nie definiuje pojęcia „dziecka”.

– To genialne!

– Zobaczymy. Ale wydaje się, że bez względu na to, czy człowiek ma lat pięć, czy trzydzieści pięć, wciąż jest czyimś dzieckiem. Wygląda na to, że prawodawcy zostawili dla dorosłych dzieci furtkę do dochodzenia swoich praw. – Milknie, a następnie dodaje. – Jedyne, czego nam brakuje, to oświadczenie, że twoja matka i Paul Accerbi byli parą w czasie, gdy zostałaś poczęta. Regino, jeśli w jakikolwiek sposób mogłabyś coś takiego zdobyć, byłibyśmy w znaczenie lepszym położeniu.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy, począwszy od sierpnia, kiedy rozmawiałam z Paulem po raz pierwszy, Julia powiedziała wszystkim, kim naprawdę jestem. W ciągu ostatnich trzech lat poznałam różnych członków jej rodziny i spodziewam się, że postrzegają mnie jako samowystarczalną, niezależną, przyzwoitą młodą kobietę, która po prostu chce poznać prawdę o tym, kim jest. Accerbi zaprosili mnie ostatnio na świąteczny obiad i zdawali się w pełni rozumieć, że nie szukam finansowego wsparcia. Kiedy powiedziałam im o poprzednich kontaktach z Paulem, zrozumieli, że starałam się uniknąć drogi prawnej i utrzymać sprawę z dala od sądu.

Teraz, kiedy sprawa nabiera biegu, jadę w któreś niedzielne popołudnie na Long Island, żeby poprosić o coś Julię.

– Julio, mój prawnik mówi, że musimy zdobyć pisemne oświadczenie kogoś, kto był świadkiem związku Paula i Cookie. Czy gdybyś to zrobiła, wywołałoby to konflikt między tobą a Accerbimi?

Ostrożnie składa ręce na kolanie.

– Nie, kochanie, myślę wręcz, że udzieliliby mi wsparcia. Regino?

– Tak?

– Wiesz, że możesz mówić do mnie „ciociu”, prawda?  
– Kiedy dowiem się prawdy, obiecuję, że zostaniesz ciocią Julią. Ale teraz nie chcę zapeszyć.

– Dobrze, kochanie – odpowiada. – Niech będzie. – Odsyła mnie z tygodniowym zapasem domowego jedzenia w starannie zamkniętych plastikowych pudełkach upchniętych w foliowej reklamówce.

Nazajutrz dzwonię do Ralpa.

– Zamierzam przylecieć do Seattle i poznać cię – informuję go. – Teraz, kiedy mamy zeznanie Julii, ta sprawa zmieni moje życie na zawsze. Chciałabym, żebyś wiedział, jak wygląda powódka, którą reprezentujesz.

W Seattle ląduję 28 lutego 2001 roku. Biorę podręczny bagaż i kieruję się w stronę głównego wyjścia z lotniska. Po drodze na postój taksówek zatrzymuję się przy planie miasta, żeby zorientować się przynajmniej, w którą stronę powinien jechać taksówkarz. Nagle, kiedy studiuję trasę, zaczynam się czuć niepewnie. Chwieję się na nogach, próbuję złapać się najbliższej kolumny. Czyżbym była tak przejęta, że zemdleję? Ale kiedy rozglądam się, żeby poprosić o pomoc, widzę, że cały budynek zaczyna się trząść i ludzie wybiegają na zewnątrz ze swoimi bagażami.

– Bomba, bomba! – krzyczą, a ja dołączam do tłumu mknącego ku wyjściu.

Stoję na zewnątrz i patrzę, jak ochroniarze wspinają się na słupy i patrzą na zniszczenia wokół lotniska.

– To było trzęsienie ziemi – ogłasza jeden z nich, a chaos w jednej chwili przycicha do poziomu szeptu.

Dwie godziny później wsiadam w końcu do taksówki i jadę do Seattle. Jedziemy w ciszy wśród zniszczeń wywołanych trzęsieniem, które zostało ocenione na 6,8 w skali Richtera. Kierowca pogłasnia radio, a dziennikarz informuje, że obyło się bez ofiar.

– Miasto przygotowane jest na trzęsienia o takim natężeniu – słyszymy i z poczuciem ulgi zauważam pewną ironię: ziemia

trzęsie się cały dzień. Będą wstrząsy wtórne. A ja wierzę, że cokolwiek się wydarzy, kiedy będzie po wszystkim, nadal będę stała na własnych nogach. Cieszę się, że dotarłam tak daleko.

Nazajutrz rano Ralph i jego asystenci witają mnie z sali telekonferencyjnej, w której zamierzamy przedyskutować strategię.

– Regino, ryzyko przegranej ma znacznie większe konsekwencje niż twoje rozczarowanie – mówi Ralph. – Ponieważ w stanie Waszyngton to będzie precedens, a dla innych stanów sprawa bez precedensu, jeśli sądy stwierdzą, że dzieckiem nie jest każdy bez względu na wiek, a jedynie osoba poniżej osiemnastego roku życia, zamkniesz drzwi innym dorosłym dzieciom, które mogłyby przeprowadzić efektywny proces sądowy.

Opieram łokcie na stole i zastanawiam się przez chwilę.

– Rozumiem. Ale ta luka prawna nie została wykorzystana wcześniej, bo sprawa wymaga mocnych dowodów. Biorąc pod uwagę oświadczenia Julii, moich sióstr, mojej ostatniej matki zastępczej i moje oraz fakt, że Paul nigdy nie wypierał się kontaktów seksualnych z moją matką, jesteśmy dobrze przygotowani do udowodnienia, że jestem jego córką, i uzyskania nakazu badania DNA. – Do nas obojga przemawia ta argumentacja, ale rozumiem, że on może mieć dodatkową obawę: podda bowiem próbie swoją renomę poważanego prawnika specjalizującego się w prawie rodzinnym. – Jestem pewna, że nie podjąłbyś się tej sprawy, gdybyś nie miał przekonania, że mamy szansę udowodnienia przed sądem, że jestem jego dzieckiem. A jeśli przychodzi do poznania prawdy o tym, kto jest twoim ojcem, powinno mieć do tego prawo dziecko w każdym wieku.

Dzwoni Ralph:

– Twoją sprawę rozpatrzy sąd w Whatcom County, gdzie mieszka Paul. Rozprawa odbędzie się na początku lata.

Kiedy dostaję dokumenty, które Paul dostarczył sądowi w czerwcu, nie mogę się doczekać, aż się dowiem, jaką obrał drogę obrony. Trzymam w rękach pismo procesowe Paula, szybko przelatuję wzrokiem po rozdziale zatytułowanym *Tło*, w którym

zazwyczaj pozwany przedstawia swój pogląd na fakty i przechodzę od razu do argumentacji.

Za pośrednictwem swojego adwokata Paul utrzymuje, że ponieważ jestem dorosła, prośba o wykonanie badania DNA stanowi pogwałcenie jego konstytucyjnego prawa do prywatności i ochrony przed nieuzasadnionym przeszukaniem i zatrzymaniem. Dalej wywodzi, że w związku z tym powinnam opłacić jego koszty procesowe oraz jego prawnika, choćby za sam pomysł wytoczenia mu sprawy. Tego się spodziewałam.

Następnie uważnie, od początku do końca, czytam pismo procesowe.

*Powódka ma 34 lata... jest licencjonowanym prawnikiem... mieszka i pracuje w Nowym Jorku. Pozwany to 66-letni emeryt mieszkający w Whatcom County w stanie Waszyngton, żonaty od 34 lat... w 1986 roku przeszedł atak serca... pozostający pod opieką kardiologa...*

Wybucham śmiechem na tę wstawkę o chorobie serca. Jest gotów wnieść przeciwko mnie kontrpozew z powodu zamierzonego narażenia go na stres! Kiedy skontaktowaliśmy się ze sobą po raz pierwszy, Ralph wyjaśnił, że Paul na darmo podkreśla, jak sprawa może wpłynąć na jego zdrowie, bo badanie DNA polega na pobraniu wymazu z ust. Nie jest to ani inwazyjne badanie, ani przysparzające nadmiernego stresu. Następnie czytam pierwsze linijki jeszcze raz, a potem jeszcze raz i jeszcze... Ja mam trzydzieści cztery lata, on jest od trzydziestu czterech lat żonaty...

Wziął ślub, gdy moja matka była ze mną w ciąży.

O to chodzi.

Kiedy byłam małą, Cookie zostawiła mnie z Frankiem i Julią, żeby Paul musiał stawiać czoło faktom. To była zemsta. Jej pokręcony sposób dania mu do zrozumienia, że mają razem dziecko.

Agresja, jakiej doświadczyłam, pozostając w rękach niestabilnej emocjonalnie kobiety, wywołana była złamanym sercem, na jakie naraził ją mój ojciec.

Siódmego czerwca Ralph dzwoni z wieściami:

– Sąd w Whatcom County zasądził na twoją korzyść i nakazał Paulowi przeprowadzenie badania DNA.

Oczywiście cztery dni później Paul składa apelację.

Wystąpienie stron przed sądem w Whatcom County ustalono na 3 sierpnia 2001 roku. W tej chwili nie mogę sobie pozwolić na podróż do Seattle na rozprawę, bo oszczędzam na założenie firmy na Manhattanie. Poza tym muszę mieć pieniądze na dodatkowe koszty sądowe: ten, kto przegra apelację, na pewno będzie odwoływał się do sądu wyższej instancji.

Po rozprawie dzwoni Ralph i mówi, że nie łudzi się, że sędzia zasądzi na naszą korzyść:

– Zasugerował, że nie chce orzekać, czy jeśli chodzi o ustalenie ojcostwa, dzieckiem jest tylko osoba niepełnoletnia, czy człowiek w każdym wieku – wyjaśnia Ralph. – Zdaje sobie sprawę, że to będzie miało poważne konsekwencje prawne. Powiedział, że lepiej, żeby zdecydował o tym sąd wyższej instancji. – Kilka tygodni później oddała moją sprawę.

Mam dwie możliwości: apelować do Sądu Apelacyjnego stanu Waszyngton, a potem, jeśli przegramy, do Sądu Najwyższego w Waszyngtonie. Ralph ostrzega, że postępowanie nie będzie łatwe i odbije się na innych. Oraz na moim koncie bankowym.

– Ale muszę ci powiedzieć, Regino, że ja wierzę w twoje dowody. Mamy szansę, ale upłynie kolejny rok, zanim rozprawa się odbędzie, a sąd wyda orzeczenie.

– Dobrze – mówię mu. – Chcę apelować.

Muszę wiedzieć.

Pamiętam zdanie, które kiedyś Julia zaznaczyła w Biblii: „prawda cię wyzwoli”. Nigdy nie zapomnę tych słów. Nawet jeśli będzie bolało, więcej siły da mi prawda niż pozostawanie w nieświadomości. Kiedy już ją poznam – i kiedy pozna ją Paul – będzie po wszystkim. Nauczyłam się już, że nie odpuszczę, dopóki nie doprowadzę sprawy do końca, a koniec nie nastąpi, dopóki nie poznam prawdy.

Rankiem 11 września 2001 roku pracuję dla mojego byłego

szefa jako obserwatorka wyborów w Queens. On kandyduje na burmistrza. Ankieterzy mówią mi, że w jedną z wież World Trade Center uderzył samolot. Kilka minut później zaatakowana zostaje druga wieża.

Tego popołudnia zamknięto wszystkie mosty i tunele prowadzące na Manhattan, więc nie mogę wrócić do domu. Jadę na wschód, do Camille, gdzie oglądam wiadomości i nagrania z ataków oraz zaczynam przeżywać liczbę ofiar śmiertelnych oraz wpływ, jaki będzie to miało na nasz kraj.

Kilka dni później z Seattle dzwoni Ralph.

– Chciałem się upewnić, że nic ci nie jest – mówi. – Próbowałem się dodzwonić od kilku dni.

Czekam, aż powie, że kontaktował się z nim prawnik Paula, że chciał się dowiedzieć, czy nic mi nie jest.

– Wayne Teller się nie odzywał?

Ralph sprowadza mnie na ziemię.

– Nie.

Kiwam głową, jakby mógł przez telefon poczuć moje rozczarowanie. Paul Accerbi nie zainteresował się nawet, czy żyję. Biorę głęboki wdech i przypominam sobie o mojej sile: robię to dla siebie, żeby wiedzieć na pewno, że jest moim ojcem.

Wiosną 2002 roku Ralph argumentuje w pisemnym oświadczeniu, że sąd popełnił błąd, oddalając moją sprawę i że ustawa o adopcji, obowiązująca w stanie Waszyngton w latach siedemdziesiątych, nie ogranicza prawa do dociekania przed sądem ojcostwa tylko dla nieletnich.

Następnie, co było do przewidzenia, Paul powtarza swoją linię obrony: powinien podlegać czwartej poprawce stanowiącej przeciwko nieuzasadnionemu przeszukaniu i zatrzymaniu.

Wystąpienie stron przed trzyosobowym składem sędziowskim odbyło się w maju 2002 roku, ale Ralph ostrzega, że mogą minąć kolejne trzy miesiące, zanim sąd wyda wyrok.

Pod koniec października dostaję faks od Ralpa. To pierwsza strona orzeczenia Sądu Apelacyjnego stanu Waszyngton w Seattle. Są na niej słowa kluczowe: „sprawa przekazana do ponownego

rozpatrzenia”.

Wstrzymuję oddech i przewracam stronę, gdzie znajduję decyzję sędziego Grosse’a oraz dwóch innych sędziów, Applewicka i Bakera, którzy się z nim zgadzają, zatem decyzja jest jednogłośna:

*Zgodnie z aktem Uniform Parentage relacja ojca z dzieckiem nie zależy od wieku dziecka. Dziecko ma chronione konstytucyjną prawo do dociekania ojcostwa. Ustawa oraz [ta] sprawa wspierają to prawo dla dziecka w każdym wieku, jeśli tylko przedstawi wystarczające fakty uzasadniające dociekanie ojcostwa w danej konfiguracji... Użycie sformułowania „w każdym wieku” podkreśla intencję Ustawodawców. Opierając się na akcie Uniform Parentage, Ustawodawcy zważyli interes dziecka i interes domniemanego rodzica. Prawo Accerbiego do prywatności zostanie naruszone nakazem wykonania badania DNA albo testu z krwi, ale nie jest to argument przeważający. Jeśli będzie to adekwatnie uzasadnione, Stan może uchylić to prawo. Naruszenie prywatności poprzez wykonanie testu DNA jest znikome. Co więcej, jeśli nawet zostanie potwierdzone, że Accerbi jest ojcem Calcaterry, nie będzie zobligowany do łożenia na dziecko, a jeśli zechce, może ją wydziedziczyć. Mentalny dobrostan Accerbiego nie przeważa nad prawami dziecka.*

Jestem zachwycona, że decyzja była jednogłośna, ale powstrzymuję się od świętowania. Bo to jeszcze nie koniec. Znam następny ruch Paula.

Sześć dni później jego prawnik potwierdza moje przypuszczenia, wnosząc apelację do Sądu Najwyższego stanu Waszyngton. Ralph mówi, że tylko powtarzają swoje wcześniejsze argumenty. Informuje mnie też, że ustalenia Sądu Najwyższego w Waszyngtonie dopuszczają zwrot kosztów procesowych stronie wygranej.

– Ralph, czy to znaczy, że jeśli wygram w Sądzie Najwyższym, Paul będzie musiał zwrócić mi dziewięć tysięcy dolarów, które zapłaciłam, żeby wszcząć tę sprawę, po to tylko, żeby wydał dwadzieścia pięć dolarów na badania DNA?!



– Nie do końca – prostuje. – W tym przypadku koszty sądowe to koszty związane z apelacją. Byłoby to tylko 414,71 dolara. Jeśli przegrasz, ty będziesz musiała to zapłacić Paulowi, a jeśli on przegra, ty je dostaniesz.

Śmieję się.

Siedem miesięcy po apelacji Paula, w czerwcu 2003 roku, Sąd Najwyższy stanu Waszyngton osądza na moją korzyść. Podtrzymuje decyzję sądu apelacyjnego. Paul ma wykonać badanie DNA i zapłacić mi 414,71 dolara. I tym razem się nie cieszę. Paul może apelować jeszcze do sądów federalnych. Ale mimo to musi przeprowadzić badanie.

Nie decyduje się na apelację. Przez cały lipiec i sierpień 2003 roku odmawia zapłacenia mi, choć taki jest nakaz sądu. Zgadzam się na kompromis: zamiast skarżyć go po raz kolejny, godzę się, że jeśli badanie DNA będzie negatywne, odstąpię od oczekiwania pieniędzy. Ale jeśli wynik będzie pozytywny, chcę dostać całą kwotę. Przez prawnika narzeka, że chociaż ja wygrałam sprawę, nie powinien być zmuszony do płacenia dwudziestu pięciu dolarów za badanie.

– To Reginie zależy na badaniu DNA Paula – mówi Ralphowi Wayne Teller. Ponieważ to kolejna próba odwleczenia badania w czasie, przystaję na jego prośbę.

Po kilku tygodniach, w sierpniu 2003 roku, dostaję list z Genelexu, laboratorium, które porównywało nasze kody genetyczne. Biegnę do mieszkania i rozrywam kopertę. Czytam:

*Paul Accerbi nie może być wykluczony jako biologiczny ojciec Reginy M. Calcaterry. Prawdopodobieństwo ojcostwa: 99,64 procent.*

Opadam na krzesło w kuchni i płaczę. To łyzy radości i triumfu.

Paul Accerbi jest moim ojcem.

Moim ojcem jest Paul Accerbi.

Przez trzy i pół dekady nie wiedziałam, czemu doświadczyłam takiego okrucieństwa z rąk matki, czemu krzywdziła mnie raz za razem... Czemu chciała mnie złamać.

Teraz wreszcie wiem: to dlatego, że byłam córką Paula.

Od tej chwili te części mnie, które poraniła, mogą zacząć się goić, bo zyskałam nową pewność w moim życiu. Paul Accerbi wie, że jestem jego dzieckiem, i wie, że ja wiem, że mnie porzucił. Już nigdy się tego nie wyprze. To koniec.

To koniec.

Przed rozmową z Ralphem wykonuję bardziej nagłący telefon. Wybieram numer Szczęśliwego Domu.

– Ciocia Julia?

Słyszę w jej głosie drzenie.

– Tak?

– Właśnie dostałam wyniki badań. Paul jest moim ojcem.

Ale, co jeszcze ważniejsze, ty jesteś moją ciocią.

Kiedy wieczorem przyjeżdżam do niej, żeby to uczcić, dzwoni telefon.

– To brat Paula, Sonny – mówi Julia. – Chce z tobą rozmawiać.

Przyciskam słuchawkę do ucha.

– Regino? Tu twój wujek! – woła. – Kiedy przyjdiesz z wizytą, żebym mógł podzielić się z tobą rodzinną spuścizną?

Mówi dokładnie tak samo jak Paul. Sonny mieszka dziesięć minut drogi od domu Julii, więc postanawiam jechać tam, kiedy od niej wyjdę.

– Co teraz? – pyta mnie Julia. – Pojedziesz spotkać się z Paulem?

– Nie, na razie nie. Oboje jesteśmy jeszcze w ogniu walki, to nie jest moment na spotkanie. Musi podpisać dokumenty, żeby sąd mógł oficjalnie uznać go za mojego ojca. Wtedy wystąpię o poprawki w akcie urodzenia. – Nareszcie będę mogła wpisać nazwisko Paula Accerbiego w rubryczkę, która przez całe moje życie była pusta.

W tygodniu przedświątecznym dostaję czek od prawnika Paula.

Opiewa na 389,71 dolara.

To zasądzone 414,71 dolara minus 25 dolarów za badanie

DNA.

## *Latarnie morskie*

2004–2012

Na Gwiazdkę w 2004 roku dostaję to, czego chciałam przez całe życie: wyjmuję ze skrzynki pocztowej niewielką przesyłkę. Adres nadawcy brzmi:

*Stan Nowy Jork*

*Departament Zdrowia, Sekcja Danych Demograficznych*

Wchodzę do kuchni, wieszam płaszcz i torbę na krzesło i delikatnie otwieram kopertę.

To mój akt urodzenia.

Mój kompletny akt urodzenia.

Po raz pierwszy musiałam go odebrać z ratusza w Islip w liceum, gdy ubiegałam się o pierwszą pracę, w sklepie Rickel's. Kiedy czytałam ten dokument jako nastolatka, moje znikome „dane demograficzne” w ogóle mnie nie zaskoczyły. Znacznie bardziej by mnie uderzyło, gdyby akt był wypełniony w całości. Wtedy zobaczyłam tam miejsce urodzenia – Lindenhurst, czyli jak wynika ze spotkania z Julią, miasto, w którym mieszka cała rodzina Accerbich. Była tam również nazwa szpitala, w którym się urodziłam, nazwisko lekarza prowadzącego, data i godzina narodzin, no i oczywiście, w rubryczce z podpisem „Matka”:

Camille Diane Calcaterra

Natomiast część z napisem „Ojciec” była pusta. Teraz, gdy mam trzydzieści osiem lat, po raz pierwszy w życiu wszystkie fakty dotyczące mojego życia znalazły się na swoich miejscach. Obok słowa „Ojciec” wypisano grubymi, wyraźnymi literami:

Paul Accerbi

Paul długo walczył, żeby ukryć łączącą nas więź, ale koniec

końców podpisał orzeczenie sądu i potwierdził, że jest świadomy łączącej nas relacji ojciec–córka.

Następnego dnia zabieram oba akty urodzenia do ramiarza w sąsiedztwie i wybieram bogate, czerwone tło.

– Chciałabym, żeby ten akt urodzenia znalazł się tutaj – wyjaśniam panu za ladą i układam pierwszy dokument na górze – a ten drugi tu.

Kiedy rama jest gotowa, dzwonię do Camille.

– Teraz muszę tylko znaleźć odpowiednie miejsce, żeby to powiesić – mówię jej.

– Ja wiem gdzie – odpowiada ona. – Tutaj.

– U ciebie? Przecież chodzi o to, żeby to było tylko dla mnie. Poza tym u ciebie jest pełno dzieci, ściany masz już zagospodarowane.

– Nie w moim domu, Gi – tłumaczy. – Miałam na myśli tutaj, czyli w hrabstwie Suffolk. Zrób to po prostu. Dokonaj tego, wróć na dobre do domu.

Skąd ten pomysł?! Całe dzieciństwo starałam się uciec z Suffolk. Dlaczego Camille uważa, że chciałabym tam wrócić? Zwłaszcza że sama zawsze bardzo nalegała, żebyśmy zerwały z przeszłością, więc nigdy bym nie podejrzewała, że to ona odnajdzie szczęśliwą przystań na Long Island. Oczywiście, mieszkają tam najbliżsi mi ludzie, ale to wciąż miejsce, gdzie doświadczyłam największego bólu w życiu. Najdrobniejszy bodziec, jakiś bar czy stara stacja benzynowa, wystarczy, żeby przywołać wspomnienie Cookie: jej okrucieństwa, zapachu, nieustannego wypominania mi, że nikt mnie nie chce. W wielu innych miastach znajdowały się domy, do których byłam wprowadzana i zmuszana do odnalezienia się w przypadkowej rodzinie, a potem równie gwałtownie zabierana stamtąd, zanim dostałam szansę poczuć się jak u siebie.

Troje mojego rodzeństwa też tu nie wróciło. Rosie jest w Utah, odkąd skończyła college, a Norm i Cherie mieszkają niedaleko siebie w Pensylwanii. Ze wszystkich miejsc, w jakich kiedykolwiek chciałam się osiedlić, Suffolk było ostatnie w kolejce

do nazwania domem.

Ale Camille nalega:

– Maria zapytała mnie wczoraj, gdzie ciocia Gi mieszkała najdłużej?

– Ale Camille, Long Island nie jest do końca...

– Long Island to dom. Ja mam tak samo koszmarne wspomnienia jak ty, Gi. Ale dzieciaki rosną. Chcą, żebyś uczestniczyła w ich zabawach, grach... Jesteś członkiem rodziny. Kiedy nie mieliśmy nic innego, mieliśmy siebie.

Przez wszystkie zawirowania, przez jakie przechodziłam, Camille, Frank i ich dzieci zawsze byli stałym punktem w moim życiu. A jednak nieustanne zmiany stały się dla mnie bardziej kojące. To dlatego, kiedy któregoś sierpniowego popołudnia w 2006 roku wpadam przypadkiem na Todda Ciaravina, po raz kolejny muszę wyjść poza bezpieczną strefę. Jestem akurat między spotkaniami, wychodzę ze sklepu obuwniczego w Time Warner Center na Manhattanie, przy Columbus Circle. Właśnie wtedy mijają mnie Todd i patrzy mi w oczy. Przez chwilę tak na siebie spoglądamy, a potem dopiero zaczynamy się do siebie uśmiechać, oboje w wymuskanych strojach służbowych.

– Co ty tu robisz? – pytam go.

– Mam spotkanie na górze. – Wymieniamy się uprzejmościami i numerami telefonów, a przed upływem miesiąca jesteśmy znów razem.

Uginam się pod namowami Camille i zgadzam się obejrzeć kilka domów w hrabstwie Suffolk. Sporo czasu poświęcam na zbadanie półwyspu North Fork na Long Island. Jest znacznie mniej ekstrawagancki niż Hamptons, które znajduje się dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie zatoki Peconic, ale pełen rozległych farm, sadów brzoskwiniowych i zjawiskowych winnic, jestem więc coraz bardziej przekonana, że właśnie w North Fork mogłabym zapuścić korzenie.

Todd jest ze mną, kiedy jesienią 2006 roku oglądam tu mały dom z widokiem na zatokę. Brzeg i błękitne niebo przypominają mi Saint James, gdzie razem z rodzeństwem dokazywaliśmy jako

dzieciaki. A kiedy widzę, jak znaczącą nazwę nosi ta mała posiadłość, jestem pewna, że musi być moja. Nazywa się New Suffolk. Nowe Suffolk.

Pośrednik handlu nieruchomościami mówi mi, że czekała na klienta od lat, czemu zresztą wcale się nie dziwię: kiedy wchodzimy do środka, natychmiast staje się jasne, że cały dom wymaga dużo uwagi, zaangażowania i troski. Począwszy od kominka aż po wannę cały wystrój utrzymany jest w nieapetycznym odcieniu różu. A jednak zwracam się do Todda:

– To jest to – mówię mu. – Tutaj zamieszkać. – Widzę, że przygląda się kominkowi i powoli przejmuje moją wizję. – Wyobrażasz sobie, co mogłabym zrobić z tym miejscem?

W styczniu 2007 roku kończę remont i wprowadzam się z moimi dwoma cocker spanielami. Todd spędza weekendy w swoim mieszkaniu na Brooklynie, a na weekendy przyjeżdża do mnie pracować nad kondycją i pomóc mi w pracach ogrodowych. Robi nawet ogrodzenie dla psów.

W ciepłe weekendy Camille przyjeżdża do mnie z dwiema najmłodszymi córkami, Danielle i Christiną, zabieramy na plażę leżaki i ręczniki. Dziewczynki jeżdżą na deskach i zakopują się nawzajem w piasku, a ja mówię Camille o moim najnowszym pomysle:

– Tak się zastanawiam...  
– Nad czym?  
– A może byśmy urządziły tu przyjęcie z okazji czterdziestki Normana? Mógłby wsiąść w autobus z Pensylwanii, a ja odebrałabym go w mieście. Postaram się skontaktować z Rosie...  
– Gi, po kolei. Ale pomysł świetny, jeśli tylko Norman będzie miał ochotę.

Nazajutrz dzwoniemy do niego i namawiamy na wzięcie tygodniowego urlopu i spędzenie go z nami na plaży, jak za dawnych czasów.

Staramy się zebrać naszą rodzinę... powoli, a jednak Rosie daje do zrozumienia, że chce utrzymać dystans. Z corocznych rozmów telefonicznych wiem, że wyszła za mąż i ma troje dzieci,

których nie znam. To moja odwieczna, otwarta rana: nie dane mi było patrzeć, jak moja siostrzyczka staje się czułą, pełną ciepła matką.

W 2008 roku zakładałam profil na Facebooku i zaczynam społecznościowe polowanie, żeby choć w ten sposób uczestniczyć w życiu Rosie. Czytam, co pisze o edukacji dzieci, i widzę zdjęcie, którego nie znam. To musi być jej córka Alexis. Wygląda dokładnie tak samo jak mała Rosie.

W styczniu 2009 roku ze zdumieniem odbieram przez Facebooka wiadomość. Rosie pisze, że czuje się odizolowana, będąc od nas tak daleko. Mówi, że zdała sobie sprawę, że my, jej starsze siostry, naprawdę zrobiliśmy wszystko, żeby ją chronić i chciałyby, żeby jej dzieci nas poznały. „Czy możemy spróbować jakoś to odkręcić?”, pisze. Nareszcie jest gotowa wpuścić nas z powrotem do swojego świata.

Tę wiadomość od Rosie czytam Camille przez telefon.

– Camille, chcę tam polecieć. Minęło czternaście lat, odkąd ostatnio była w Nowym Jorku, a jej ostatnia wizyta była straszna.

Słyszę, że Camille się zastanawia.

– Sprawdźmy, czy będzie miała ochotę rozmawiać.

Wysyłam do Rosie prywatną wiadomość i proszę, żeby do mnie zadzwoniła.

– Gi, tęsknię za wami – mówi przez łzy. – Wiem, że trzymałam się na dystans, ale nie podoba mi się to, że nie ma was w moim życiu. Chcę znów być częścią naszej rodziny.

Płacząc, odpowiadam:

– A my chcemy ciebie, słonko. Zawsze chcieliśmy.

Przez miesiąc rozmawiamy raz w tygodniu, a potem planujemy, że Rosie przyleci w marcu na długi weekend. Parkuję przed lotniskiem JFK i idę do punktu odbioru bagażu. Rosie jest jeszcze wyższa niż wtedy, gdy ją widziałam ostatnio. Wyróżnia się spośród stojących wokół kobiet. Odwraca się do mnie i cała się rozpromienia, nawet jej oczy się uśmiechają. Widzę, że walczy ze łzami i przytulam ją do siebie.

Toczę jej walizkę na kółkach do samochodu, a kiedy obie



jesteśmy już zapięte pasami, biorę ją za rękę i już nie puszczam. Prowadząc, patrzę na nią, żeby się upewnić, że naprawdę tu jest. Ona odwzajemnia uśmiech, a jej wciąż wilgotne oczy mówią: „Tak, jestem tu”.

Lokuję ją w pokoju gościnnym. Na stoliku nocnym stoi wazonik z ususzoną hortensją z mojego ogrodu, z zeszłego lata. Camille przyjeżdża na noc i rozsiadamy się we trzy na kanapach. Gadamy do rana.

To wtedy Rosie zdradza, że nie wiedziała o moich trudnych przeżyciach z Cookie ani że Cherie i Camille też przez nią cierpiały. Myślała, że tylko ją nasza matka dręczyła i torturowała. Nie pamięta, że zanim nas rozdzielono, widziała, jak byłam bita.

– Nie zostały ci te wspomnienia? – spytałam.

Kręci głową, jednocześnie szukając w pamięci.

– Nie.

– To dobrze.

Przeszłości poświęcamy tylko część naszego weekendu. Przez resztę czasu gadamy o tym, co się u nas dzieje, bo dołączają do nas Cherie i Norman. Zdradzam im, że myślę o kandydowaniu w wyborach do senatu stanowego w listopadzie 2010 roku.

– Obecny sprawujący ten urząd jest na stanowisku już od ponad trzydziestu lat... Mam przeczucie, że ludzie chcieliby zmiany. Wiem, że to wielka rzecz, ale wszystko, co do tej pory zrobiłam, na początku wydawało się nieosiągalne.

Wcześniej zaczynam kampanię i pracuję ciężko. Pukam do drzwi wyborców i rozmawiam z nimi o najważniejszych sprawach do rozwiązania w ich okolicy. Wyhamowuję tylko na tydzień, w sierpniu, kiedy Rosie, jej mąż Bobby i ich trójka dzieci przyjeżdżają na tydzień do mojego domu. Córka Rosie i jej dwóch synów po raz pierwszy poznają wszystkie ciotki, wujków i kuzynów.

Widok mia bambiny jako żony i matki jest niesamowity, magiczny. Całą rodziną chodzimy na długie spacery wzdłuż plaży, a moi sąsiedzi przestają na chwilę pracować w ogródkach. Wychylają się w swoich drewnianych krzesłach typu Adirondack,

żeby nam się przyjrzeć.

– Macie zgodę na prowadzenie pochodu? – krzyczą.

Liczę nas i okazuje się, że ramię w ramię, śmiejąc się i rozmawiając, idzie nas dwanaścioro.

Moja kampania obejmuje prawie połowę dużego hrabstwa, aż do momentu, kiedy sojusznicy konkurencji kwestionują moje prawo do kandydowania. Twierdzą, że nie mogę tego robić, bo mieszkałam w Pensylwanii, gdzie jest zarejestrowana moja firma prawnicza. Zeznaję, że rzeczywiście był bardzo krótki okres, kiedy reprezentowałam stan Nowy Jork jako powódka w sprawie globalnego korporacyjnego oszustwa, ale i tak większość czasu pracowałam i mieszkałam w Nowym Jorku. Prawie całe życie spędziłam w stanie Nowy Jork, a powrót do hrabstwa Suffolk tylko to przypieczętował: tu jest mój dom.

Kiedy w sierpniu 2010 roku zostaję wycofana z wyborów, mówię Toddowi, że muszę trochę odpocząć i odzyskać prywatność. Na kilka dni zamykam się w domu, leżę na podłodze i pytam sama siebie: „Skąd ja się tu wzięłam? Dlaczego tak o to walczyłam? Jest tyle innych bitew w życiu, znacznie bardziej wartych mojej energii”.

Todd proponuje, żebyśmy pojechali na wakacje, a ja zdaję sobie sprawę, że biorę pod uwagę tylko jedno miejsce: Utah, żeby spotkać się z Rosie. Todd rezerwuje dwa bilety na weekend Święta Pracy, a ponieważ sezon już się skończył, zatrzymujemy się w dużym kompleksie hotelowym w Park City, dokąd Rosie i Bobby zabierają Daniela, Brody’ego i Lexi na basen. Owijamy się luksusowymi, białymi szlafrokami i oglądamy głupie filmy, zamawiając do pokoju mnóstwo jedzenia. Mówię Rosie, że z zachwytem obserwuję Lexi, która prezentuje dokładnie takie same zachowania jak jej mama, kiedy była dziewczynką.

W czasie lotu do domu uświadamiam sobie, że mam znacznie więcej, niż kiedykolwiek śmiałabym marzyć: karierę prawniczą i znaczącą firmę, dzięki której mogę zmieniać świat, prawdę o moich biologicznych rodzicach i niezrównanego partnera, który zawsze jest przy mnie, kocha moją niezależność, wspiera mnie w

każdej przygodzie, a wręcz zachęca, żebym sięgała jeszcze dalej.

A teraz mam jeszcze Rosie.

Rok później, w 2011, jestem gotowa wrócić do polityki. Poznaję Steve'a Bellone, kandydata z ramienia demokratów na stanowisko starosty hrabstwa Suffolk. Kiedy zostaje wybrany, proponuje mi wstąpienie do jego administracji na stanowisko swojego zastępcy.

Waham się i mówię mu dlaczego:

– Jeśli przyjmę tę ofertę, będę musiała zrezygnować z członkostwa w zarządzie fundacji You Gotta Believe. To organizacja zajmująca się adopcjami starszych dzieci, które mogą uniknąć bezdomności, a może i czegoś gorszego. Fundacja ma umowę z hrabstwem i może z tego wyniknąć konflikt.

Steve zapewnia mnie, że pomagając mu w sprawach hrabstwa, będę miała jeszcze większy wpływ na los porzuconych dzieci.

– Dzięki zasobom hrabstwa pomożesz wielu bezdomnym dzieciom – mówi. – A przy tym będziesz mnie wspierać w codziennych sprawach dotyczących Suffolk.

Zaczynam pracę 1 stycznia 2012 roku. Jedenaście dni później, pod koniec spotkania kadry kierowniczej, koleżanka pyta mnie, czy czytałam rano „Newsday”, gazetę wychodzącą na Long Island.

– Regino, musisz to przeczytać – mówi.

Na pierwszej stronie jest zdjęcie Samantha Garvey, siedemnastoletniej uczennicy Brentwood High School znajdującej się na południowym wybrzeżu Suffolk. Samantha trafiła do półfinału konkursu talentów Intel Science. Jest jedną z trzystu uczniów walczących o najbardziej prestiżową nagrodę w dziedzinie nauk ścisłych w Stanach Zjednoczonych. Sęk w tym, że razem z rodziną mieszka w schronisku dla bezdomnych.

Kiedy zostali zmuszeni do opuszczenia domu, ich pitt bull, Pulga, został umieszczony w schronisku dla zwierząt. Z artykułu wynika, że rodzina Garveyów martwi się, że Pulga zostanie uśpiona, kiedy oni będą szukać nowego domu.

Wracam do biurka i dzwonię do schroniska, w którym umieszczono Pulgę.

– Chciałabym podać wam numer mojej karty kredytowej, żebyście umieścili psa w domu tymczasowym i zapewnili mnie, że nie zostanie uśpiony. Bardzo o to proszę. – Może tam zostać, dopóki nie znajdziemy rodzinie nowego miejsca zamieszkania.

O trzynastej tego samego popołudnia oddana grupa pracowników znajduje jedyny wolny dom, jaki posiada hrabstwo, i postanawia, że Samantha i jej rodzina wprowadzą się tam w ciągu dwóch tygodni. Kiedy Steve ogłasza, że Samantha znów będzie miała dom, rodziny, biznesmeni i wykwalifikowani członkowie społeczności zapewniają energię, meble i ręce do pracy. Na miejsce wchodzi robotnicy, którzy prowadzą zleczone przez Steve'a i mnie prace remontowe i przystosowują dom do potrzeb rodziny, a moja dziesięcioletnia siostrzenica Christina towarzyszy mi w wyprawie po dekoracje.

Zbieram wszystkie wycinki dotyczące rodziny Samantha oraz Pulgi. Christina i ja wybieramy ramy, wycieraczkę z rysunkiem szczeniaka, miski i smycz dla Pulgi. Smycz zawieszamy na haczyku przy drzwiach, a ponieważ pamiętam swoje marzenie z dzieciństwa, którego nie dopuszczałam do głosu, o rodzinnych zdjęciach wiszących na ścianach, razem z Christiną rozwieszamy w całym domu ramki z wycinkami z gazet. Tego popołudnia, gdy Steve przekazuje Samancie i jej rodzinie klucze do nowego domu, widzę, jakie są plusy mojej pracy i ile w ciągu krótkiego miesiąca dokonał rząd i społeczność hrabstwa.

Od stycznia przez całą jesień pracuję głównie nad budżetem hrabstwa Suffolk, ale któregoś wrześniowego ranka rzucam pracę, gdy odczytuję SMS-y od drugiej córki Camille.

„Danielle Grace

7.13

Ciociu Gino, mama miała wylew! Jedzie karetką do szpitala. Zadzwoń!”

„7.35

Ciociu Gino, gdzie jesteś? Zadzwoń, proszę!”

Dzwonię do Marii, jej starszej siostry.

– Ciociu Gi, mama miała rozległy wylew. Zanim przyjechało pogotowie, była sparaliżowana. Jedziemy do szpitala za karetką. Pospiesz się!

Wypadam z domu i czterdzieści minut jadę do uniwersyteckiego szpitala Stony Brook, gdzie Maria wygląda mnie w drzwiach poczekalni.

– Właśnie miała drugi wylew – mówi. A zanim kilka chwil później pojawia się Cherie, nastąpiły jeszcze dwa. Nasza czterdziestoosmioletnia siostra miała cztery wylewy.

– Miała pani wielkie szczęście – mówi jej lekarz. – Nikt tak młody nie ma takich wylewów, jakich pani doznała, i nikt nie odzyskuje zdrowia i władzy nad ciałem w takim stopniu jak pani.

Ciało Camille potrzebuje kilku dni na dojście do siebie po paraliżu. Jest przy niej Frank, pięcioro ich dzieci oraz Cherie i ja. Tuż przed weekendem zostaje wypisana do domu.

Na urodziny kupuję jej nowe ubrania do ćwiczeń, adidas i urządzenie do monitorowania pracy serca, żeby mogła zacząć trenować i wzmocnić serce osłabione wylewami.

A kilka dni po przejściu huraganu Sandy biorę dzień wolny od szukania tymczasowych domów dla ofiar żywiołu i poświęcam się jedynej pasji, która jest w stanie oderwać mnie od pracy: mojej rodzinie, która znów się rozrasta. Frankie, syn Camille, nie jest już dzieckiem, ale wciąż pełen jest bezwarunkowej miłości i właśnie bierze ślub. Cherie, Rosie, Norman i ja jesteśmy tam, żeby świętować ten dzień i wesprzeć Camille, która nie tylko jest w stanie poprowadzić syna do ołtarza, ale także tańczyć na jego weselu. Podchwytuje mój wzrok z parkietu i macha, żebym do niej dołączyła, bo DJ gra właśnie piosenkę na zamówienie: *Ain't No Mountain High Enough*.

Rosie, Cherie i Norm idą za mną i całą piątką obejmujemy się mocno i z głębi serc śpiewamy dla siebie nawzajem.

## *Epilog*

Pod koniec października Krajowy Instytut Meteorologiczny (National Weather Service) przewiduje gigantyczną burzę – huragan, który zostaje nazwany Sandy. Po raz pierwszy w historii Instytut wysyła swoich reprezentantów na Long Island, żeby przygotowali na skalę tej burzy władze hrabstwa i tych, na których spadnie pierwsze uderzenie.

– Śmierć i spustoszenie – powtarzają bez przerwy. – Mieszkańcy muszą potraktować tę burzę bardzo poważnie. Spustoszenia nie dokonają wiatr ani deszcz, tylko sztorm wywołany burzą. Topografia Long Island i Nowego Jorku zostanie zmieniona na zawsze.

– Nie wypuszczaj dzieci z domu – mówię Camille. – Będą przerwy w dostawie prądu, połamane drzewa, a nawet gorzej. Musicie spać w części domu jak najdalej od drzew.

Tysiące domów wzdłuż wybrzeża Long Island są całkowicie bezbronne. Łącznie z moim. Zamykam go, odmawiam modlitwę i kilka następnych nocy spędzam w sztabie antykryzysowym w Yaphank. Pełno tam Amerykańskiej Straży Wybrzeża, nowojorskiej Gwardii Narodowej, służb socjalnych, policji, strażaków, pracowników Czerwonego Krzyża i innych służb kryzysowych. Jestem z nimi przez całą noc, gdy walczą o zapewnienie bezpieczeństwa tylu mieszkańcom hrabstwa Suffolk, ilu zdołają ochronić. Staramy się też zorganizować otwarte linie telefoniczne dla ludzi z obszarów zalanych, którzy odmówili ewakuacji, zanim zrobiło się za późno.

Jestem pewna, że ta wypełniona strachem noc zostanie we mnie na zawsze. Jesteśmy świadkami powodzi, która niszczy całe osiedla. To pewnie złudne, ale mam nadzieję, że domy to ostatnie, co stracą ci obywatele.

W świetle dnia dołączam do służb kryzysowych i władz hrabstwa, którzy mają za zadanie zorganizowanie schronienia, jedzenia i zaopatrzenia dla setek mieszkańców, którzy w jednej chwili stali się bezdomni albo są pozbawieni prądu. Pracuję ciężko, żeby zapalić światło dla tej samej społeczności, która kilka dziesiątek lat temu nie pozwoliła, żebym ja pozostała w mroku.

Mroczne ostrzeżenia Krajowego Instytutu Meteorologicznego nie były przesadzone. Sandy, kiedy wędrowała ku nabrzeżu Atlantyku, zniszczyła prawie trzy tysiące kilometrów linii brzegowej. Ponieważ wypadła akurat pełnia księżycy, poza gwałtowną burzą problem stanowiła także katastrofalnie wysoka fala przyływu, która wywołała ogromny sztorm. Niektóre części północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych Sandy zostawił w spokoju, ale na Manhattanie i na wybrzeżu Nowego Jorku i New Jersey wywołał rozległe zalania. Niestety, choć było to do przewidzenia, zostawił ofiary śmiertelne i spustoszone miasta.

W którymś momencie nocy w samym tylko Nowym Jorku milion ludzi pozostało bez prądu. Awaria dotknęła także szpitale, stacje poboru paliwa, stacje benzynowe, środki masowego transportu i firmy telekomunikacyjne. Rozmiary zniszczeń skłoniły gubernatora Nowego Jorku, Cuomo, do wydania zarządzenia wykonawczego o powołaniu tzw. Komisji Morelanda do spraw zbadania stopnia przygotowania kryzysowych służb stanowych i gotowości reakcji w przypadku tak gwałtownych burz ze wskazaniem na bliższe przyjrzenie się infrastrukturze i pomoc w przeprowadzeniu restrukturyzacji elektrowni zaopatrującej Long Island, tak żeby oferowała usługę bezpieczniejszą oraz pewną nie tylko w dobrą pogodę. Trzynastego listopada 2012 roku Cuomo powołuje radę godnych zaufania komisarzy, którzy mają czuwać nad tym badaniem, a 20 listopada wyznacza mnie na stanowisko dyrektora wykonawczego komisji.

Teraz, kiedy piszę ten epilog, prace komisji trwają od kilku tygodni. Moja siostra Camille pracuje nad powrotem do formy po serii wylewów, jej lekarze wciąż nie ustalili przyczyny, dla której

nastąpiły tamtego pochmurnego wrześniowego dnia. Wszyscy staliśmy przy jej szpitalnym łóżku, gdy zasugerowałam zmianę tematu i zaproponowałam, żebyśmy całą rodziną spróbowali wymyślić tytuł dla tej książki. Biorąc pod uwagę jej główny motyw, nasze niezliczone domy – kruche, tymczasowe zamki z piasku, które budowaliśmy w najdziwniejsze sposoby, po to tylko, żeby runęły pod naporem fali i niesprzyjających okoliczności. Wspólnie postanowiliśmy zatytułować moją książkę: *Życie pisane na piasku*.

Piszę to 16 grudnia. To rocznica śmierci Cookie, ale wolę pamiętać ten dzień jako urodziny cioci Julii. Pierwszy raz od 1999 roku nie zadzwoniłam do niej z życzeniami ani nie pojechałam z urodzinową wizytą. Umarła w kwietniu 2012 roku, kilka dni przed wujkiem Sonnym.

Proste, piękne słowa Rosie sprzed prawie trzech lat pozwoliły zagoić się ziejącej pustce w moim sercu, która powstała tamtego ponurego listopadowego dnia w 1980 roku, kiedy zdradziłam pracownicy socjalnej, że jesteśmy bici. Tej wiosny proces gojenia się ran przyspieszyła przeprowadzka Cherie z Pensylwanii z powrotem do hrabstwa Suffolk. Jej pięćdziesiąte urodziny we wrześniu zeszłego roku świętowaliśmy całą piątką, wszyscy razem. Po raz drugi od dwudziestu dziewięciu lat.

Musieliśmy żeglować po wzburzonych morzach i niewiele było latarni morskich, które ułatwiałyby nam podróż, ale wszyscy cało dotarliśmy do portu. Przedarliśmy się przez złudne prądy. W czasie podróży moje rodzeństwo obdarzyło mnie siostrzenicami i siostrzeńcami, którzy czytając tę książkę, po raz pierwszy poznają naszą historię. Powołaliśmy do życia pokolenie dzieci, które nigdy nie doświadczą skrajnej nędzy, bezdomności ani przemocy. Wspólnie przerwaliśmy ten cykl.

Silny, stoicki i kochający moją rodzinę (oraz moje psy) Todd wskazał mi drogę i po raz pierwszy w życiu zapewnił stałość i stabilność, które wbrew pozorom przyjął z ulgą.

Mam własny, szczęśliwy dom.

Ale to nie zmienia faktu, że co roku w Stanach



Zjednoczonych wygasa opieka zastępcza nad czterdziestoma tysiącami dzieciaków, które nie mają dokąd pójść ani nie znają nikogo, kto mógłby im pomóc. Wciąż powszechnie uważa się, że starsze dzieciaki z rodzin zastępczych nie nadają się do adopcji, zatem zamiast skupić się na szukaniu dla nich docelowych domów, daje im się krótkie instrukcje na temat samodzielnego życia, a następnie w wieku osiemnastu czy dwudziestu jeden lat wysyła, żeby szukały własnej drogi. Ci młodzi dorośli dysponują ograniczonymi zasobami i nie mają pod sobą żadnej siatki bezpieczeństwa, więc pojawia się ryzyko, że zostaną bezdomni i cykl zacznie się od nowa. Niczyje dziecko obdarzone bezwarunkową miłością rodziców, którzy przyjęli je na zawsze, może przekazać dobro dalej. Ponieważ głęboko w to wierzę, wróciłam do zarządu fundacji You Gotta Believe i chcę postarać się, żeby więcej niczyich dzieci miało pewnego dnia własne szczęśliwe domy. Chciałabym, żeby każde z nich wiedziało, że to jest do zrobienia.

Wszyscy musimy wierzyć.

## *Podziękowania*

Moja podróż była znacznie prostsza, a czasem przypominała wręcz przygodę, dzięki mojej ukochanej siostrze Camille. Choć poszliśmy różnymi drogami, nigdy nie przestała kroczyć u mojego boku, gdy wytyczałam swój szlak. Pewnie nie napisałabym tej książki, gdyby nie jej wiara w sens opowiedzenia naszej historii. Moja najstarsza siostra, Cherie, na początku była sceptyczna, ale gdy przeczytała jedną z pierwszych wersji, szybko zaczęła mi kibicować i wręcz namawiała mnie do wykorzystania bardziej dramatycznych aspektów jej losów. Doznała cudownego poczucia ulgi, że wreszcie możemy opowiedzieć tę historię, a nie bać się, że wyjdzie na jaw. Za to przekonanie bardzo jej dziękuję. Wyrazy wielkiego uznania także dla mojego brata Normana, który wspierał mój plan mimo przywiązania do swojego spokoju i samotności. Wyrazy bezgranicznej miłości i uwielbiana dla Rosie, która ma własną historię do opowiedzenia, do czego ją namawiam, tak jak ona namawiała mnie. Ale oczywiście dopiero, gdy będzie gotowa.

Nieskończenie wdzięczna jestem także mojemu towarzyszowi, Toddowi Ciaravino, który zawsze jest przy mnie, nieważne, jak szalone mam pomysły. Z całego serca wspierał plan spisania tej historii, kiedy dopiero kiełkował, a potem pomógł mi doprowadzić go do pełnego rozkwitu. To sama robiła jego kochana rodzina. Wiele zawdzięczam także mojej powiernicy i najbliższej przyjaciółce, Melanie McEvoy, której wewnętrzny blask sprawia, że wszystko wkoło łśni. Mieszka niedaleko mnie na North Fork, a kiedy nie ma jej w pobliżu, nie czuję się jak w domu. Wy dwoje zapewniacie mi spokój.

Brakowałoby ogromnego fragmentu tej historii, gdy nie ciocia Julia – jej odwaga i niesłabnące dążenie do prawdy dały mi wolność. Nigdy nie przestała się o mnie troszczyć i wiem, że robi

to nadal.

Są ludzie, którzy wygrywają dzięki intuicji – wiedzą, jak nie wpaść w pułapkę, a jednak unikają tego, co oklepane. Ta książka powstała dzięki trzem kobietom, które właśnie to potrafią: Lisie Sharkey, Amy Banedell i Krissy Gasbarre. Nie napisałabym nic, gdyby nie Lisa Sharkey z wydawnictwa HarperCollins. Odważyła się przyjąć moją historię i zdała się na intuicję – nigdy nie zwątpiła we mnie ani w moją opowieść. Amy Bendell, moja redaktorka, także była od początku entuzjastycznie nastawiona. Jej nos i wrażliwość poprowadziły tę historię naprzód. Wiedziała, o czym trzeba powiedzieć szerzej, a kiedy mniej znaczy więcej i nie przestała przypominać mi, że to piękna historia. I jeszcze moja utalentowana współautorka, Krissy Gasbarre. Krissy sterowała opowieścią, delikatnie odblokowując wspomnienia i upewniając mnie w trafności podejmowanych decyzji. Wytrwale i precyzyjnie cyzelowała moje zapiski, w magiczny sposób wzbogacała je całkiem bez wysiłku, a jednocześnie dbała, żeby było w nich słyhać mój głos. Jestem głęboko zobowiązana wszystkim w HarperCollins, którzy zdecydowali się przyjąć debutantkę.

Wielkie, wielkie dzięki dla Eda Moltzena, którego wkład widać w całej książce i dla tych, którzy recenzowali i wzbogacali gotowy rękopis: Diny Nelson, Bobbiego i Gerome'a Ciaravinów, Terry'ego i Billa Gasbarre'ów, Jennifer Culp, Bobbiego Passalacqua, Lauren Grant oraz Nancy i Toma Gleasonów.

Na podziękowania zasługuje też wiele innych osób, które wpłynęły na moje życie: moi rodzice zastępczy, którzy ciężko pracowali, żeby zapewnić mi fundamenty i stabilność. Tu szczególne podziękowania dla Petermanów. A także dla wszystkich drogich przyjaciół, którzy nie oceniali na podstawie okoliczności, w jakich dorastałam, po prostu mnie wspierali. Rodziny niektórych z nich dbały, żebym była najedzona i dobrze ubrana: dziękuję Kim i Celindzie Garcia, Sheryl Williams, Tracey McMaster, Tracy Ressie, Erin DeMeo, Jeanine Illario, Cynthii Tait, Tammy Fisher, Kim Forsie, Veronice Sullivan, Monice Murray i Beth Seltzer.

Wyrazy wdzięczności dla Jo LoCicero, która piętnaście lat

temu powiedziała mi, żebym zaczęła pisać, oraz dla Patty Cooper i Katherine Barna za słowa zachęty i wskazówki.

Moja historia zaginęłaby w mroku, gdyby nie nauczyciele, którzy zapalali dla mnie światło, nawet jeśli mieli na to tylko chwilę, zanim wyprowadziłam się gdzie indziej. Ci, którzy się wyróżniali i naprawdę zapadli mi w serce, to: Kevin Kelly i Bob Maguire z Centereach High School, Lewis Brownstein, Nancy Kassop i Gerald Benjamin z Uniwersytetu Nowojorskiego SUNY New Paltz, pani Van Dover z St. James Elementary i pani Muse z Branch Brook Elementary. Takie same słowa wdzięczności składam bibliotekom publicznym.

Nie mogłabym zakończyć tej strony, gdybym nie wyraziła szczerzej wdzięczności dla fundacji charytatywnych oraz władz hrabstwa i stanu, które realizowały nasze najpilniejsze potrzeby, oraz oddanych pracowników socjalnych, których poświęcenie pozwoliło nam pójść naprzód. Kwitniemy i sprowadziliśmy na świat garstkę niezależnych i pełnych współczucia dzieci, które już teraz rewanżują się za to, co mają, poprzez Kościół i pracę charytatywną.



**Centrum Praw Kobiet** powstało w 1994 roku i jest organizacją pożytku publicznego, której misją jest działanie na rzecz przeciwdziałania przemocy i dyskryminacji ze względu na płeć oraz równouprawnienia kobiet i mężczyzn w życiu publicznym oraz w rodzinie. **W naszym działaniu kierujemy się przekonaniem, że prawa kobiet są niezbywalną, integralną i niepodzielną częścią fundamentalnych praw człowieka i podstawowych wolności, a przemoc wobec kobiet niezależnie od tego, czy sprawcą jest osoba prywatna, grupa społeczna czy państwo, stanowi naruszanie praw człowieka.**

Realizując misję Fundacji, łączymy monitorowanie ustawodawstwa i instytucji stosujących prawo z działalnością edukacyjną (szkolenia, wydawanie poradników, ulotek, raportów, pisma „Prawo i Płeć”) z udzielaniem pomocy i wsparcia indywidualnym kobietom. Ważnym elementem działalności Fundacji są również działania na rzecz zmian legislacyjnych oraz prowadzenie kampanii mających na celu uwrażliwianie różnych grup społecznych na temat problematyki przemocy wobec kobiet i dyskryminacji ze względu na płeć.

#### **Fundacja Centrum Praw Kobiet oferuje:**

- bezpłatne porady prawne, socjalne, finansowe i psychologiczne
- pomoc w kontaktach z policją, prokuraturą i sądami
- bezpłatne poradniki i ulotki prawne
- bezpieczne schronienie w Specjalistycznym Ośrodku Wsparcia
- udział w grupie wsparcia oraz terapeutyczno-teatralnej
- udział w warsztatach dotyczących zarządzania finansami

- udział w warsztatach samoobrony WENDO

**Szukasz pomocy, skontaktuj się z nami:**

ul. Wilcza 60, lok. 19, 00-679 Warszawa

tel./faks: (22) 622 25 17; (22) 652 01 17

e-mail: [temida@cpk.org.pl](mailto:temida@cpk.org.pl)

[www.cpk.org.pl](http://www.cpk.org.pl); [www.cpk.org.pl/finanse](http://www.cpk.org.pl/finanse)

**Telefon zaufania:**

(22) 621 35 37 (w czwartki od 10 do 16 dyżur prawny)

Całodobowy telefon interwencyjny dla kobiet ofiar przemocy  
600 070 717

[porady.prawne@cpk.org.pl](mailto:porady.prawne@cpk.org.pl)

[porady.psychologiczne@cpk.org.pl](mailto:porady.psychologiczne@cpk.org.pl)

Pomoc możesz uzyskać również w oddziałach Fundacji w Gdańsku tel. (58) 341 79 15, w Łodzi tel. (58) 341 79 15 oraz we Wrocławiu tel. (71) 358 08 74

**Chcesz wesprzeć nasze działania:**

Każda forma wsparcia jest cenna. Możesz nas wesprzeć finansowo: przekazując darowiznę albo odpisując 1% od podatku. Jeśli prowadzisz firmę lub działalność gospodarczą, możesz także odpisać od podatku kwotę przekazanej nam darowizny. Możesz podarować nam sprzęt, meble, których nie potrzebujesz, pomóc nam znaleźć lokal na rozszerzenie naszej działalności albo po prostu dołączyć do grona osób wspierających nas swoją

nieodpłatną pracą. Numer KRS: 0000188668; numer NIP  
5251450105; numer konta: 59 1020 1156 0000 7102 0059 9241

**Dzięki Wam Fundacja będzie mogła pomóc wielu  
potrzebującym kobietom!**



**Fundacja Feminoteka** działa od 2005 roku na rzecz likwidacji dyskryminacji ze względu na płeć we wszystkich sferach życia społecznego, publicznego i kulturalnego. Przeciwdziałanie przemocy wobec kobiet i dziewcząt jest dla nas jednym z priorytetowych działań. Realizujemy projekty dotyczące przeciwdziałania przemocy zarówno w mieście, jak i na wsi, w szkole i w pracy. Prowadzimy szkolenia, warsztaty, spotkania, dyskusje, wydajemy książki i publikacje. Prowadzimy telefon interwencyjny dla kobiet doświadczających przemocy (**731 731 551 czynny we wtorki, środy i czwartki w godz. 13.00–19.00**) oraz udzielamy bezpłatnych porad prawnych i psychologicznych. Feminoteka prowadzi antyprzemocowe warsztaty profilaktyczne WenDo – samoobrona i asertywność dla kobiet i dziewcząt oraz warsztaty antyprzemocowe dla chłopców. Wydawane są ulotki, plakaty, publikacje skierowane zarówno do ofiar przemocy, publikacje profilaktyczne dla młodzieży, jak również antyprzemocowe materiały skierowane do mężczyzn i chłopców. Przedstawicielki fundacji to ekspertki równościowe i antyprzemocowe, trenerki WenDo, trenerki z obszaru prawa człowieka. Uczestniczą w konferencjach, debatach, spotkaniach poświęconych sytuacji kobiet w Polsce, angażują w działania innych organizacji i instytucji w tym obszarze, jako ekspertki i trenerki uczestniczyły w licznych projektach i szkoleniach. Jesteśmy wszędzie tam, gdzie prawa kobiet są łamane. [www.feminoteka.pl](http://www.feminoteka.pl)

Feminoteka jest organizacją pożytku publicznego:  
**1% na Feminotekę to 100% równości**  
Pamiętaj o nas przy rozliczaniu podatku PIT: **KRS**  
**0000242885**



